

Jacek Piekara

PRZENAJŚWIĘTSZA RZECZPOSPOLITA



Jacek Piekara

Przenajświętsza Rzeczpospolita

Poniższa powieść jest fikcją literacką, a żadne z przedstawianych postaci i sytuacji nie odnoszą się do postaci i sytuacji rzeczywistych. Prezentowane przez Autora poglądy nie są też poglądami Wydawnictwa oraz jego pracowników.

Przedmowa

Zawsze kiedy myślimy o świecie alternatywnym, zadajemy sobie pytanie: „czy to mogłoby zdarzyć się naprawdę?”. Szczerze mówiąc, zagrożenie fundamentalizmem katolickim uważam w Polsce w obecnej chwili za niewielkie. Wiadomo, że na rozdmuchiwanie tego problemu zależy różnym lewackim i lewicowym, głoszącym „poprawność polityczną” mąciwodom, z którymi ściśle współpracuje duża część mediów. Tymczasem katolicycy fundamentaliści to zaledwie krzykliwa, bezczelna mniejszość, pozbawiona jednak szans, by odgrywać istotną rolę. W XXI wieku są oni jak dokuczliwe wszy: mogą pogryźć, ale nie mogą zagryźć.

W powieści „Przenajświętsza Rzeczpospolita” przedstawiam koncepcję mówiącą, że w roku 1989 dawni komuniści oraz agenci służb specjalnych wykorzystali i zawłaszczyli szarżującą religijność, by powrócić do władzy „pod przykrywką”. Czy jest to teoria „księżycowa”? Twierdzić podobnie może tylko ktoś, kto nie zna zadziwiających meandrów historii, pokazującej, do jak zdumiewających sojuszy dochodziło w niemal wszystkich państwach i niemal wszystkich epokach. A wiadomo przecież, że religijność sterowana ze złymi intencjami może przybrać oblicze fanatycznej nietolerancji. Problem ten można zaobserwować, nie tylko analizując historię Kościoła katolickiego, ale również śledząc ostatnio prowadzoną ofensywę islamu - ulegającej degeneracji religii, stanowiącej najpoważniejsze zagrożenie dla cywilizowanego świata.

Wizja przedstawiona w powieści, którą Czytelnik trzyma w ręku, to wizja nad wyraz gorzka: ześwinionej, zrujnowanej Polski rządzonej przez fanatyków, kryminalistów, głupców oraz biznesowe koterie związane z obcymi wywiadami i obcym kapitałem. My, którzy śledziliśmy przeróżne afery z ostatnich lat (poczynając od słynnej „moskiewskiej pożyczki”, poprzez aferę Rywin - Agora, a kończąc na aferze Orlenu), widzimy, iż wizja to nie tak bardzo odbiegająca od rzeczywistości. Sprzedajni lub nieudolni politycy, zalew medialnych kłamstw serwowany przez wynajęte do tego celu dziennikarskie hieny, biurokracja, hołdowanie zasadzie „mierny, ale wierny”, budowanie „republiki kolesiów” - oto dzisiejsza Polska. Polska Kwaśniewskich, Michników, Millerów i Rydzyków. Polska skazana na dwubiegunowość, gdzie jedną stronę sceny okupuje postkomunistyczna hołota zbratana z pseudointelektualistami z tzw. „środowiska Gazety Wyborczej”, a po drugiej stronie tkwią polityczne błazny związane z „Radiem Maryja”. Wybór to, zaiste, jak między dżumą a cholera. I ten właśnie system, system sprostywowanej III Rzeczpospolitej, powinien zostać zniszczony wraz z jego twórcami i admiratorami. Problem tkwi tylko w tym, że mimo szumnych zapowiedzi nikt tego systemu niszczyć nie chce, a po każdym wyborach okazuje się, że po raz kolejny społeczeństwo zaufało głupcom, nieudacznikom lub (nawet!) bandytom. Kto wie, czy w związku z tym nie czeka nas życie w groźnym i podłym świecie, w jakiejś mierze podobnym do przedstawionego Czytelnikom w *Przenajświętszej Rzeczpospolitej*? Być może na nic innego po prostu sobie nie zasłużyliśmy...

Rozdział pierwszy

Teraz! Teraz! Teraz, słodki Jezusie, nikt mi, kurwa, nie podskoczy, pomyślał Amalryk Dymała, rozglądając się po biurze z dumną miną szybko wzbogaconego fornała. Po biurze, które od dzisiaj było jego biurem! Prześlizgnął się wzrokiem po skórzanych fotelach, obrotowym krześle z czarną, miękką poduchą, olbrzymim biurku z mnóstwem szuflad i stojącym na blacie komputerem.

To moje! - wrzasnął w środku radosny głos i Amalryk Dymała wykonał ekstatyczny piruet.

Potem opadł na fotel i utonął w jego błogiej miękkości. Nadszedł wreszcie ten dzień. Za wszystkie wyrzeczenia, za przypochebne skamlenie, za robienie z siebie dzień po dniu kurwy. Nadszedł wreszcie czas spijania miodu, czas odcinania kuponów od gromadzonych przez całe życie oszczędności.

Jestem kimś, wreszcie kimś, pomyślał i choć zdawał sobie sprawę, że jest zaledwie jednym z tysięcy trybików we wszechogarniającej maszynie, to przecież wiedział także, że dla przeciętnego zjadacza chleba trybik ten jest trybem, a on sam - Amalryk Dymała - osobą godną najwyższego szacunku. Ale trzeba być ostrożnym. O tym Amalryk Dymała również doskonale pamiętał. Wystarczy jedno potknięcie, nieprzychylne słówko wypowiedziane gdzie nie trzeba przez księdza proboszcza, a kariera zakończy się tak nagle, jak się zaczęła. Tym razem na zawsze i bez powrotu. Kościół, Święty Opiekun Przenajświętszej Rzeczypospolitej, nigdy nie wybacał. Czasem, może nawet najczęściej, nie zauważał. Lecz gdy już chciał zauważyć, nie wybacał.

Amalryk Dymała doskonale zdawał sobie sprawę, co stało się z jego poprzednikiem. Słyszał o orgiach i pijaństwach, o korupcyjnych aferach. To jednak jeszcze nie byłoby nic strasznego. Kościół zwykle tolerował swobodę obyczajów swych funkcjonariuszy, ale wymagał w zamian absolutnej i bezwzględnej wierności. Tymczasem poprzednik Amalryka Dymały uznał, że poradzi sobie bez parasola ochronnego kurii. Więc kuria ten parasol zdjęła. Poprzednik Amalryka Dymały siedział teraz na Śląsku, w czarnej strefie hut, kopalń i obozów. Tam ciężką pracą starał się udowodnić swą przydatność dla społeczeństwa. Starał się, o ile oczywiście jeszcze żył, gdyż w Strefie Śmierci ludzie z reguły nie żyli zbyt długo.

Amalryk Dymała nie zamierzał kończyć na Śląsku, jego ambicje sięgały daleko, może nawet kiedyś, kiedyś, kiedyś do Sejmu bądź Senatu, wiecznych żłobów dla zgłodniałych owieczek Przenajświętszej Rzeczypospolitej. A Amalryk Dymała był głodny, potwornie głodny. Jego głód stał się ogromny aż do bólu. Mógłby wessać w siebie całą Polskę, ba - cały świat, a jeszcze byłoby mu mało. Na razie jednak miał to, co miał. Osiedle Stegny - jedno z ogromnych blokowisk Warszawy, prawie dwieście tysięcy ludzi. Obok pamiętających epokę wczesnego Gierka, rozsypujących się punktowców z „wielkiej płyty” stały tam całe wioski domków z dykty, puszek i plastiku.

Teoretycznie Amalryk Dymała był tylko jednym z doradców burmistrza z ramienia Kościoła. Praktycznie oznaczało to, że uzyskał rząd dwustu tysięcy dusz. Wiedział, że niektórzy będą go nienawidzić. Wiedział, że takich jak on nazywają psychujkami, księżojebami, zgnilcami bądź

najłagodniej - czarniakami (w odróżnieniu od czarnych, którą to nazwą określało się księży, a nie ich cywilnych pomocników). Ale wiedział również, że będzie mu podlegać osiedlowa policja, że będzie mógł urządzić kontrole moralności, których wyniki decydują przecież o losie obywateli. Bo każdy był w coś zamieszany. Nawet jeśli nie w pornografię lub posiadanie zakazanych książek czy, nie daj Boże, aborcję albo narkotyki, to na pewno wszędzie da się znaleźć środki antykoncepcyjne.

Zawsze można udowodnić przestępstwo cudzołóstwa, zawsze można sprawdzić listy obecności na mszach świętych, a jeśli nie, to każdy przecież podpadnie pod artykuł dotyczący „szkalowania autorytetów moralnych” bądź „umyślnego rozpowszechniania wieści godzących w porządek prawny”. W najgorszym razie zostawało oskarżenie o operacje czarnorynkowe, a ciężko byłoby znaleźć w Warszawie, w całej Polsce!, kogoś, kto nie korzystał z dobrodziejstw czarnego rynku. Dajcie mi człowieka, ja już znajdę paragraf! - te słowa musiał wypowiedzieć jakiś mądry człowiek.

Życie Amalryka Dymały zmieniło się niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Do niedawna tłoczył się z żoną i czworgiem dzieci w jednopokojowym mieszkaniu. Jasne, że miał wysoką pensję i dostęp do specjalnych sklepów. Ale teraz zamieszkał na Sadybie, w stusześćdziesięciometrowym bliźniaku skonfiskowanym pewnemu obywatelowi. Obywatel ów po pijanemu napluł na medalik z Matką Boską i powiedział, że królową, która tak umiejętnie opiekuje się swoim narodem, tenże naród powinien w podziękowaniu wyjechać w kosmos. Na bluźniercę doniósł życzliwy sąsiad i dlatego Amalryk Dymała mógł zamieszkać w komfortowych warunkach, dzieląc dom tylko z rodziną kościelnego doradcy na Sadybę i Wilanów. Bliźniak był w pełni chroniony, pracowały w nim oczyszczacze wody oraz powietrza. Ba - w ogóle była woda, Boże mój! Zawsze i gorąca, kiedy się tylko chciało!

Od strony drzwi dobiegło lekkie pukanie.

- Tak? - Amalryk Dymała przyjął oficjalny ton.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła starsza kobieta w szaroburym, źle skrojonym zakiecie. Sekretarka. Trzeba wymienić, pomyślał z niesmakiem Amalryk Dymała. Znaczący się w ramach reorganizacji przenieść na inne odpowiedzialne stanowisko. Bo jak tu pracować, kiedy takie próchno siedzi za drzwiami? Sekretarka musi być ładna, młoda i elegancka. No i mieć czym oddychać.

- Tak? - powtórzył, tym razem już niecierpliwie, stukając kciukami w blat stołu.

- Czy coś podać? - spytała nieśmiało, a oczy wbiła w czubki znoszonych butów.

Kawy, napiłbym się kawy, przemknęło przez głowę Amalrykowi Dymale. Takiej prawdziwej, z czarnych ziaren, a nie tej naszej, z żyta. Albo prawdziwej herbaty, nie z rumianku czy mięty. Ale nie, nie wolno tak od razu. Jeszcze pomyślą, że zamierzam pójść w ślady poprzedniego pełnomocnika.

- Szklanekę wrzątku i naszą ekspresówkę - powiedział, a żeby nie wydać się sztucznie skromny, dodał: - I kostkę cukru.

- Zaraz będzie, bracie. - Starsza pani wyszła, cichutko zamykając drzwi.

Amalryk Dymała doskonale wiedział, co należy do jego obowiązków. Miał się kontaktować z lokalną społecznością i dbać o jej rozwój moralny, rewidować wspólnie z proboszczem spisy wyborców. Krótko mówiąc, głównie przyjmować donosy oraz skargi. Kurewstwo ludzi jest niezmierzone, pomyślał i przypomniało mu się, jak po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę Kościoła. Przymknął oczy.

To było straszne. Ten pierwszy raz. Pałki, podkute buty walące w zebra, twarz przyjaciela przypominająca krwawą maskę, ta kobieta ściągnięta ze stołu i płód, który wypadł z niej jak worek. O Boże, Boże mój! Doniósł, tak, doniósł. Ale przerywanie życia jest skurwysyństwem, nie wolno zabijać. Kto mógł przewidzieć, że kobieta umrze? Kto mógł przewidzieć, że niezręczny cios pałki rozłupie kość w głowie przyjaciela i wbije ostrą drzazgę w mózg?

Ale potem była msza święta i proboszcz publicznie błogosławiący go za piękną postawę moralną. A później jeszcze propozycja nowej pracy i zmiana cuchnącej, małej kłitki z kuchnią, łazienką i kibelem na trzy rodziny. Zmiana na jednopokojowe, własne mieszkanie, które wydawało mu się szczytem luksusu. Wtedy, rzecz jasna. Nic - było, minęło. Jest to, co jest. A będzie? Będzie dzielnica, potem miasto, a potem albo praca w kurii, albo Sejm, albo ministerstwo. Będą wyjazdy za granicę, portfel pełen dolarów albo jenów (nie wolno niby mieć, ale wiadomo, jak z tym jest), własny dom, stałe wejście do Strefy. Będzie po prostu raj. I dzieciaki wreszcie pożyją. Nie to, co ja - chłopak z ulicy, pomyślał. Wódka, narkotyki, tanie dziwki. Dobrze, że się w porę opamiętałem, bo moje kości gnilyby teraz gdzieś na Śląsku. Wyszedłem na ludzi. Tak, słodki Jezusie, po prostu wyszedłem na ludzi.

Usiadł na obrotowym krześle i okręcił się w kółko, raz w jedną, raz w drugą stronę. Potem wstał i znowu usiadł. Wsadził do stacji pierwszy z brzegu dysk (niestety, prowincjonalne biura nie nadążały za rozwojem techniki, cały czas było tu jak za króla Ćwieczka), na chybił trafił wystukał numer, jaki przyszedł mu do głowy. Na ekranie pojawiły się imię oraz nazwisko. Liliana Maier. Cóż to za imię: Liliana? Czy była w ogóle taka święta? A nazwisko? Czy aby nie żydowskie?

Potarł koniuszek nosa palcem i czytał dalej. Wiek, miejsce zamieszkania, szkoła, opinie nauczycieli, praca, raporty przełożonych, grafik obecności na mszach, udział w pracach społecznych i uroczystościach religijnych, opinia księdza proboszcza, krótkie sprawozdania najbliższych sąsiadów, męża oraz trojga dzieci. Amalryk Dymała na początku przelatywał wzrokiem bezmyślnie po zielonych literkach, potem cofnął się i wczytał uważnie od początku do końca. Oto młodzianka, zaledwie przecież dwudziestoparoletnia matka Polka, czynna aktywistka, zawsze obecna na nabożeństwach z wyjątkiem jednego, cztery i pół roku temu, ale jest zwolnienie od zakładowego lekarza, od ósmego roku życia biorąca udział w pielgrzymkach do Częstochowy. W pracy miała doskonałą opinię, działaczka zakładowego zarządu Ligi Młodych Polek, kandydatka na członkinię w Lidze Rodzin Katolickich i członkini Zgromadzenia Samarytanek. No, no... Ale i warunki mieszkaniowe doskonałe: własne dwupokojowe mieszkanie.

Trzeba się będzie nią zainteresować. Może jakieś niespodziewane odwiedziny? Może namówić księdza proboszcza, aby w czasie mszy publicznie pobłogosławił tak gorliwą owieczkę? Ale wpieryw trzeba sprawdzić, rzecz jasna, chociaż wszystkie te dane nie mogą kłamać. Poza tym Amalryk Dymała nie chciał przyznać przed samym sobą, ale spodobała mu się ta dziewczyna. Na zdjęciu widać zielone oczy o kształcie migdałów, rude, opadające na ramiona włosy, jasną cerę z leciutkimi piegami. I pomimo skromnej, sięgającej szyi sukienki trudno nie dostrzec wspaniałego biustu, na którym opinała się materia.

Amalryk Dymała usłyszał trzask otwieranych, a potem zamykanych drzwi. Zerknął na zegarek, z cyferblatu łagodnie uśmiechał się Jezus. Dokładnie za trzy dziewiąta. Na pewno przyszli dwaj jego zastępcy. Trzeba ich wezwać, powiedzieć parę słów, przywitać się, nakreślić obowiązki. Oni obaj też są nowi. Zastępcy poprzednika Amalryka Dymały razem ze swoim szefem wyładowali na Śląsku. A może nie wzywać? Lepiej pójść samemu, nie wywyższać się, stworzyć od razu, od początku,

atmosferę zaufania.

Podniósł się z krzesła, wyłączył komputer i podszedł do drzwi. Delikatnie nacisnął klamkę. Przeszedł przez sekretariat, nie zwracając uwagi na służbiście wstającą starszą panią, i wszedł do gabinetu zastępców. Obaj siedzieli już na miejscach, ale Dymała obrzucił ich niezadowolonym spojrzeniem. Bowiem białe koszule nie były należycie zapięte pod szyją, czarne marynarki zwisały jak szmaty, niedbale przerzucone przez poręcze krzeseł. Jeden z mężczyzn oparł but na wysuniętej do połowy szufladzie. No i obaj palili papierosy. Pod sufit unosiły się kłęby dymu, jednak nie czuć było charakterystycznego smrodu. Amalryk Dymała momentalnie skoncentrował wzrok na leżących kolorowych paczkach. A więc to tak, pomyślał.

- Dzień dobry - przywitał się pierwszy z zastępców, wstając z miejsca.

- Co to jest? - Amalryk Dymała wyciągniętym palcem wskazał pudełko papierosów.

- Marlboro - rzekł wyjaśniającym tonem drugi, młody, czarnowłosy, z baczkami, i nawet nie zdjął stopy z szuflady. - Zapali pan?

- Nie - uciął ostro Amalryk Dymała. - I wy też nie będziecie palić! Chorzy nie mogą spełniać swego obowiązku wobec Kościoła. Działanie na szkodę własnego organizmu jest działaniem przeciw społeczeństwu! I zapiąć się pod szyją - dodał, starając się, aby jego głos wyrażał należyte obrzydzenie. - I marynarki mi założyć, ale już!

Władza jest wspaniała. Twarze zastępców spochmurniały, ale oni sami już zerwali się z miejsc i nie śmiać nawet mruknąć, zgasili papierosy, zapięli guziki i założyli marynarki. Amalryk Dymała przez chwilę przyglądał im się surowym, taksującym wzrokiem. Stali przed nim wyprostowani, bladzi, a ich wzrok nerwowo biegał gdzieś po ścianach. Nie ma to jak od początku wyraźnie zaznaczyć, kto ma prawo do mówienia, a kto obowiązek słuchania.

- No! - powiedział Amalryk Dymała. - Dzień dobry - dodał i wyszedł.

Postarał się, aby drzwi trzasnęły. Nie za głośno, ale tak właśnie ostrzegawczo. Cholera, zapomniał im powiedzieć, że palenie zagranicznych papierosów jest przejawem sabotażu gospodarczego. W końcu skąd mogą je mieć, jak nie z czarnego rynku? No nic, jeszcze zdąży. To przecież dopiero pierwszy dzień.

*

Poseł Lepki miał śniadą cerę, błyszczące czarne włosy i za szybki wytrysk. Podobał się kobietom, ale zawodził na całej linii. Kiedy po wszystkim wyciągał sflaczałego kutasa, witało go zwykle zdumienie.

- Już? - pytano, a potem było poklepywanie i „no, no, nie martw się, to się zdarza, zaraz zaczniemy od nowa”.

Zacząć od nowa nie było jednak sposobu, gdyż kutas posła Lepkiego nijak nie chciał się poddać rozgrzanym seksem myślom i smętnie zwiślał do połowy masztu.

Na nic były poklepywania, cmoktania i lizania, na nic wpychanie na siłę do rozognionej muszli.

Kutas posła Lepkiego giał się, wypadał i marniał. Wyglądał jak pomarszczony, uschnięty kiełek. Wyraźnie był ekspresowym pociągiem, przeznaczonym do tego, by tylko raz w ciągu dnia dojechać do stacji. Poseł Lepki wściekał się, choć wiedział, że pomstowanie na własnego kutasa jest nieco żenujące. Próżno posyłał go do psychoanalityków i seksuologów, próżno faszerował teksańskimi i japońskimi lekami o naukowo brzmiących nazwach, próżno wklepywał pochodzące z Chin maści i nacierał olejkami. Kutas lekceważył zabiegi posła Lepkiego, a jego zachowanie nigdy nie odbiegało od uświęconej tradycją, acz kompromitującej normy. No, może nigdy to przesada.

Jedyną kobietą, z którą poseł Lepki potrafił wykonać więcej niż trzy czy cztery ruchy frykcyjne, była Sonia. Poseł Lepki uwielbiał wchodzić w nią od tyłu, gdy jej ogromne pośladki drgały w rytm uderzeń niczym dwa rozwścieczone tłuste zwierzątka. Lewą dłoń trzymał zwykle na biodrze Sonii, a prawą leniwie gmerał w jej cyckach. Sonia potwierdzała i uwiarygodniała jego aspiracje do bycia macho. Potem, kiedy było już po wszystkim, poseł Lepki leżał wygodnie rozwalony na łóżku, archetypiczny obraz pana i władcy. Papieros tlił się w jego ustach, a Sonia szła do łazienki, kołysząc cyczkami, które falowały niczym zawieszony w powietrzu balony stratosferyczne.

Poseł Lepki właśnie myślał o Sonii, czując, jak kutas w jego spodniach twardnieje i próbuje wyrwać się na światło dzienne. W słodkich marzeniach przeszkodził mu nagły hałas. Usłyszał hurgot odsuwanego krzesła i głos sekretarki, która witała kogoś z wielką atencją. Do środka wpadł senator Kardupell. Kardupell z tych Kardupellów, jak zaznaczał z przebiegłym uśmieszkiem przy każdej prezentacji. Poseł Lepki wstał szybko z miejsca i ścisnęli się misiaczkami, czego - nawiasem mówiąc - poseł Lepki nie znosił, gdyż senator Kardupell miał niemiły zwyczaj unikania szczoteczki i pasty do zębów. „Jestem leniuszek” - mówił z rozbrajającym uśmiechem, kiedy był w towarzystwie samych swoich. A czasami sentencjonalnie stwierdzał, iż jest po prostu człowiekiem starej daty.

- Kopę lat, Arnoldzie. - Senator Kardupell niechcący poślinił ucho przyjaciela. - Op, pardon! - Odskokzył z rumieńcem na tłusciutkich policzkach.

- ...erbatę? - zająknął się poseł Lepki, przecierając małżowinę.

- Nie mam czasu. - Senator Kardupell zerknął na przegub. - Przedwyborcze spotkania, mój miły. Dzisiaj szkoła, nie, kurwa, dwie szkoły, a potem do Łodzi. Wiesz, te pierdolone prądki znowu chcą strajkować. - Uniósł ostrzegawczo w górę grubiotki jak serdelek palec.

Błysk złotego sygnetu smagnął posła Lepkiego po oczach.

- Teraz? - zdumiał się poseł Lepki.

- Właśnie teraz - zagrzmiął senator Kardupell. - Kiedy zjednoczony szlachetnym entuzjazmem naród powziął historyczną misję. Op, pardon - zreflektował się. - Co ja pierdołę, kurwa mać. Przyzwyczajenie, w mordę... Człowiek przemówi raz czy drugi w Senacie i później te pierdoły same wchodzi mu na usta. Wiesz, jak jest, Arnoldzie...

Poseł Lepki wzruszył niechętnie ramionami.

- Jesteś fałszywy do szpiku kości - powiedział, usiłując wywołać w sobie obrzydzenie.

- No. Bo ty, kurwa, inny jesteś - warknął senator Kardupell. - Kto to ostatnio powiedział: „Rzeczpospolita potrzebuje waszych gorących serc i wiary w lepsze jutro. Musimy znaleźć w sobie zdolność do poświęceń, zejść do zwykłych ludzi i z troską przyjrzeć się ich codziennemu życiu”?

- Ażeś zapamiętał. - Poseł Lepki wiedział, że się czerwieni.

- Coś żeś tam jeszcze popierdolił o zakładaniu sandałów misjonarza, tak? - Senator roześmiał się głośno. - Kto ci takie chujstwa pisze, Arnoldzie? Weź wyjeb tego asystenta.

- Asystentkę - mruknął Lepki.

- Jeden chuj - zaśmiał się senator Kardupell. - Aha, po co ja tutaj...? No tak, wpadnij dziś na kolację. Będą fajne laleczki. Popierdolim trochę.

- Gdzie? - spytał bez zachwytu poseł Lepki, bo pierdolenie kojarzyło mu się raczej z pasmem porażek niż z przyjemnościami.

- W Trójkacie! - klepnął go po ramieniu senator Kardupell. - Zapraszamy nas do Maxima.

Poseł Lepki oblizwał wargi.

- Nieźle - rzucił. - Ale... No, nie wiem...

- Tekszańscy inwestorzy. - Senator Kardupell spojrzał na niego uważnym wzrokiem. - O, tyle szmalcu mają. - Pokazał harmonię dłońmi.

- Srać na Teksas - mruknął poseł Lepki. - Niech no tylko zaczniemy z Suwałkami, a wszystkich ich o, tak. - Zwarł pięść, aż pobielewały chrząstki.

- Ano w Bogu nadzieja - westchnął z emfazą senator Kardupell i podniósł błękitne oczęta do nieba. - Tynk ci odpada - zauważył już trzeźwym tonem. - Dobra, muszę spierdalać. Bądź o siódmej, OK? Przepustkę masz?

- Pewnie - powiedział poseł Lepki urażonym tonem. - Co ja jestem, myślisz?

- Dobra, dobra, do wieczora.

Poseł Lepki odprowadził senatora wzrokiem i opadł na fotel. Pogrzebał niedopałkiem w pełnej popielniczce. Wieczór w Maximie. Nieźle. Pijaństwo i dymańsko jak w banku. A może się uda tych Tekszańców trochę przetrzepać? - myśli posła Lepkiego pomknęły ku fascynującej wizji nowej luksusowej willi, najlepiej w jakimś miłym i ciepłym kraju.

Ciekawe zresztą, czego chcą? - poseł Lepki z lekkim zaniepokojeniem pomyślał nad tym, co mógłby sprzedać. Hmmm. Jakiś projekt ustawy? Poprawka? Drobne przegłosowanie przecinka zamiast kropki, które oznaczać będzie kilka milionów dolarów w czyjejś kieszeni, zastąpienie słowa „i” słówkiem „lub”? A może zaczyna się wielka gra o Suwałki? Jeśli tak, to życie wielu ludzi może zmienić się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. No, zobaczymy. - Ziewnął głęboko i nadusił przycisk interkomu.

- Marylko, idę do domu - oznajmił.

- Do widzenia, panie pośle - usłyszał z głośnika uprzejmy głos sekretarki.

Pomyślał o jej głębokich dekoltach i krótkich sukienkach, zastanawiając się, dlaczego właściwie jeszcze jej nie przeleciał. Może dlatego, że musiałby ją potem wywalić z roboty, a była naprawdę miłą dziewczyną i dobrą pracownicą. „Ha! A więc kołaczą we mnie jeszcze jakieś resztki przyzwoitości!” - mruknął do samego siebie.



Konrad Piotr uważał się przede wszystkim za pisarza. Budził się co rano ze skowytem kaca i mówił do siebie: „jestem pisarzem, kurwa, przecież jestem pisarzem”. Szybko wypijał śniadanie i tłukł jak obłąkany w grzechotkę maszyny. „Bzdury, bzdury” - mrucał, mnać wielkie kule białego papieru, rozdziejzonego teraz naciekami słów. „Bzdury, bzdury. Mój Boże, nieuchronność dziejów, konieczność historii, poszukiwanie archetypów, eschatologiczne dążenia. Boże, Boże, co te słowa znaczą? Czemu nie chcą pokornie złożyć się w zręczne zdania? Jezusie, jak topornie, ciężko idzie, lecz na Bożą chwałę ta młócka przecież. Zresztą, pierdolę Bożą chwałę” - jęczał pisarz Konrad Piotr, a krople krwi z jego zmasakrowanych palców pruły powietrze i rozbryzgiwały się na kartkach niczym ślady po rozgniecionych muchach.

Tak przynajmniej pisarz Konrad Piotr wyobrażał sobie swoje twórcze męki. W rzeczywistości bowiem zasiadał na wygodnym krześle przed konsolą i powoli, głębokim, wyważonym głosem dyktował słowa, które następnie komputerowy program bezbłędnie zapisywał na ekranie. Jednak niezależnie od tego fakt pozostawał faktem: pisarz Konrad Piotr cierpiał męki twórcze, a zdania, które ukazywały się na śnieżnobiałym ekranie, wydawały mu się toporne i pozbawione głębszego sensu.

Pisarz Konrad Piotr - pierwsze pióro Przenajświętszej Rzeczypospolitej, moralista i filozof, dziennikarz i publicysta, pisarz i scenarzysta, producent telewizyjnych i sieciowych programów, ozdoba księgarskich witryn, osobisty przyjaciel Prezydenta Tysiąclecia i Wielkiego Prymasa. Tak wyglądało to od strony oficjalnej.

Wyróżnienia, nagrody, artykuły w prasie, prace magisterskie i doktorskie na jego temat. Ale jednocześnie sam wiedział, że w rzeczywistości jest tylko mdłym autorzyną, powierzchownym filozofem, średnio sprawnym dziennikarsko rzemiecią, poszukującym taniej popularności producentem. Człowiekiem nienawidzącym tego, co robi, głęboko gardzącym Kościołem, prezydentem, prymasem i samą Przenajświętszą Rzeczpospolitą, łącznie z jej obywatelami i jej historią. Nienawidził własnego kraju za to, że niegdyś Polska była o krok od wielkości, a wybrała podłość. Jedyne szmal był prawdziwy. W świecie abstrakcji i podwójnych den tylko on był wartością konkretną. A pisarz Konrad Piotr kochał szmal. Kochał szmal nie dla samego szmalu, lecz dla jego możliwości. Szmal pozwalał kupować ludzi, powalał ich na kolana, wysuwał im jęzory ku nadstawionej dupie. Uganiali się za szmałem, modlili się do szmalu, wzywali szmalu.

I pisarz Konrad Piotr był nie tylko Wielkim Pośrednikiem i dawcą łaski Bożej, ale też uosobieniem sukcesu. Człowiekiem, któremu się powiodło. Symbolem. Przykładem. Za to też go nienawidzono i kochano. Ale bardziej kochano, gdyż przy całym swym zaangażowaniu w poparcie systemu potrafił sprawiać wrażenie, że stoi poza systemem, a nawet systemowi temu heroicznie się opiera. Niewątpliwie ta umiejętność była jedną z niewielu, a może jedyną, jaką udało mu się osiąść w mistrzowskim stopniu.

Wstał od biurka i zatoczył się do łazienki. Siódma, siódma, siódma - zakołatało mu w głowie. Jacys Amerykanie, Kurdupell, Szybkospust. Boże mój, jak można kogoś przezwąć Szybkospustem? Pisarz Konrad Piotr poczuł strach w gardle i żołądku. A gdybym tak ja? A gdyby tak mnie? Co za wstyd, Jezusie. Kto tam jeszcze? Chuj zresztą, nieważne. Pamięć do nazwisk, wydarzeń i dat

parowała wraz z cumulusami alkoholu. Żarłoczne drobinki C₂H₅OH pożerały kuleczki szarych komórek, smakowały je niczym radziecki kawior. Tfu, kurwa mać. Rosyjski kawior przecież. Co za przyzwyczajenie...

A przecież już tyle lat minęło, tyle już lat, od kiedy wielki Związek Sowiecki pierdolił z hukiem niczym mocno zabełtany szampan i rozlał się pienistą, bąbelkującą strugą w małe kałuże. Ile krwi, Jezusie - pisarz Konrad Piotr aż się wzdrygnął - ile cierpienia i ile śmierci. Czeczenia zamieniona bronią chemiczną w toksyczne ugory, wyludniona i martwa Jakucja, spalona Gruzja, zniszczona Armenia, Kazachstan przemieniony w pustynię, Kamczatka, która stała się atomowym poligonem. Ach, pierdolić wszystkich. Rosja to teraz tylko krąg ziemi wokół Moskwy i Leningradu (dawniej Petersburga), rządzony przez udzielnych watażków, mafiosów, generałów lokalnych dywizji. Nikt nie ma wpływu na ich decyzje, żyją z przemytu, niewolniczej pracy, handlu narkotykami... Ach, Boże mój, gdybym miał choć krzynekę talentu, pomyślał pisarz Konrad Piotr, jakże chciałbym oddać ducha tych czasów. A ja co? Miętoszę słowa i obrazy, starając się wycisnąć z nich esencję, buduję zdania jak cepy. Jezusie, dlaczego wypowiedane przeze mnie słowa nie brzmią, dlaczego dźwięczą chrypliwie niczym pęknięty dzwon? Kurwa, kurwa, kurwa, Jezusie.

Pisarz Konrad Piotr, pogrążony w ponurych myślach, wszedł do wanny pełnej pachnącej szmaragdowej wody. Przecież nie boję się śmierci, przemknęło mu przez myśl szybko, kiedy zerknął na ostre nożyczki leżące na łazienkowej półce. A jednak może się boję? - dodał zaraz, bo zemdliło go od samej myśli. Rozłożył się wygodnie i włączył hydromasaż. Puścił w letnią wodę strugę moczu, czując, że odzyskuje spokój. Zrobiło mu się ciepło między udami i zasnął z głową na krawędzi wanny.



- Pierdol mnie, pierdol mnie! - kobieta krzyczała głosem jak zdarta płyta, a kardynał Anastazy Pastuch pierdolił, acz niechętnie.

Za każdym razem prawie do szaleństwa doprowadzało go poczucie winy, ale masochistyczna rozkosz doznawania poczucia winy też doprowadzała do szaleństwa. Z kolei sam orgazm i wytrysk lepkiej białej cieczy wydawał mu się czymś co najmniej niestosownym. Chwila zapomnienia, oszołomienia i otumanienia nie przystoi przecież dostojnikowi Kościoła i politykowi. Kardynał Anastazy Pastuch wierzył w potęgę ludzkiego rozumu (pojmowanego jako zbiorowa mądrość społeczności), a wszelkie doznania burzące tę wiarę napawały go niepokojem. Jakże to? - zapytywał sam siebie. Można się tak zatracić w zwierzęcym pożądaniu, w chęci jedynie tłoczenia, wyjmowania, cmoktania i miętoszenia, czego jedynym celem jest rzygnięcie białego lepiszcza? Jakże to, pocieranie o siebie dwóch naskórków może doprowadzić człowieka do szaleństwa oraz ekstazy? Niezbadane są drogi ewolucji, westchnął w myślach kardynał Anastazy Pastuch tłocząc, cmoktając i miętosząc, gdyż jako człowiek świątły nie wierzył w Boga, ale w ewolucję i w to, że wszyscy wzięliśmy się z protoplazmy, z jakiejś szaroburej kałuży skoncentrowanego białka.

- Pierdol mnie, pierdol mnie - głos kobiety sięgnął wyższych rejestrów.

Kardynał Anastazy Pastuch nie znosił wulgarności i słów obrażających moralność publiczną.

Jednak rozkosz słuchania zabronionych słów była prawie tak samo silna, jak obrzydzenie tym wywołane. Kardynał Anastazy Pastuch nienawidził spoconych ciał, spazmatycznie drgających kończyn, orgiastycznych jęków, zlepionych w kosmyki włosów i perlącej się kroplami kobiecości.

- Pierdol mnie, pierdol mnie, pierdol mnie - płyta się zacięła, a kardynał Anastazy Pastuch poczuł, jak potworne imadło ścisła jego męskość.

Zajęczał z bólu i rozkoszy, gardząc sobą za to, że nie potrafi kontrolować fizjologicznych odruchów. Zacisnął białe, upierścienione palce na sutkach kobiety.

- Oooooo - zawył, ładując w nią seriami.

Potem wyrwał się z lepkich objęć i wybiegł z pokoju przez otwarte drzwi, a krople spermy pryskały na uda i podłogę.

- Do diabła, Antek, było bosko - doszedł jego uszu wdzięczny jęk.

Gdybym wierzył, mógłbym się choć pomodlić, rozpaczliwie pomyślał kardynał. Cóż to za ironia: niewierzący prymas Przenajświętszej Rzeczypospolitej. Zresztą kto w dzisiejszych czasach tak naprawdę wierzył?

Rzucił okiem w głąb pokoju. Różowa, zachęcająco otwarta muszla zdawała się wypełniać całe wnętrze. Dziewczyna leżała z bezwstydnie rozłożonymi nogami i głaskała się po brzuchu długimi palcami o złotych paznokciach.

- Gdyby Ojciec Święty to widział - zajęczał Anastazy Pastuch i skrył twarz w dłoniach.

Chwycił go szloch, kiedy pomyślał o słabości człowieka, ale jego członek wbrew zamiarom właściciela, znów wyprężył się do szturmu.

- Chodźże do mnie! - z pokoju dobiegł rozkazujący głos, gdyż dziewczyna nie lubiła kończyć po pierwszym razie.

- Precz, szatanie! - wrzasnął kardynał i zamknął się w łazience.

Mydłem i ciepłą wodą zaczął omywać swą męskość z białego kleju. Mimowolnie zachwycił się kształtem i wielkością naprężonej purpurowej główki.

- Antek... - dziewczyna zaczęła kusić go spod samej łazienki.

Kardynał powiódł palcem od nasady do samego czubka członka. Delikatnie przesunął dłonią po jądrach.

- A-na-sta-zy, mój koteczku - usłyszał ciepły, nasycony pożądaniem głos.

I w końcu, skuszony oraz zepchnięty na złą drogę, kardynał Anastazy Pastuch ze spuszczoneymi pokornie oczami i naprężonym do granic możliwości członkiem wyszedł z łazienki. Gdyby wierzył, mógłby powiedzieć, że pokonał go szatan kusiciel. Ale kardynał wierzył w ewolucję i Freuda. Bolał więc tylko nad niezgłębionymi otchłaniami swego id.



Amalryk Dymała był już trochę zmęczony. Trzeba jednak przyzwyczaić się do nowego rytmu codziennej biurowej pracy, uważać na wszystkich petentów, bo Bóg jeden wie kto prawdziwy, a kto podstawiony. No, a potem trzeba odbębnić kontakty obywatelskie, na Bożą chwałę zresztą. Nie daj Bóg tylko za częstych interwencji. To zawsze śliska sprawa, policjanci grają w swoje gry i nigdy tak naprawdę nie wiadomo, dla kogo pracują. Amalryk Dymała zerknął po raz nie wiadomo który na tarczę zegarka. Duża wskazówka zbliżała się do dwunastki i zasłoniła Jezusowi lewe oko. Mała tkwiła na czwórce. Pora się zbierać. Połowa dnia miała się ku końcowi. A pojutrze o dziewiątej proszona kolacja u proboszcza w ogromnym kościele św. Bonifacego. Tym kościele, który trzema wieżycami wyrastał ponad dziesięciopiętrowe bloki. Wielki zaszczyt, ale i wielka próba. Jeżeli Amalryk Dymała nie spodoba się proboszczowi, nie zagrzeje tu długo miejsca. Ale ten proboszcz ponoć ludzki człowiek. Nie da zrobić krzywdy. Trzeba go poprosić o przywilej codziennej wieczornej spowiedzi. Co prawda zawsze o szóstej była msza (Amalryk Dymała postanowił sobie, że nie opuści żadnej), ale proboszcz nigdy nie wstawał tak rano. A lepiej przecież spowiadać się proboszczowi niż komukolwiek innemu. To dobry argument w egzaminie lojalności. Egzaminie, który wciąż trwa i nigdy nie kończy się ostateczną oceną.

Amalryk Dymała wstał i delikatnie, pieczołowicie, poprawił olbrzymi plakat z Matką Boską i Dzieciątkiem, który nieco się przekrzywił. Potem oderwał kartkę z kalendarza. Wtorek opatrzony został rysunkiem świętego Sebastiana, z którego ciała wyrastały strzały o pierzastych końcach. Święty Sebastian miał przymknięte oczy, nieco znużony wyraz twarzy, jakby chciał, aby wszyscy dali mu już święty, notabene, spokój. Pod rysunkiem widniał jego krótki życiorys i wybite wersalikami hasło: „Walcz o chwałę Bożą, choć wrogowie ci grożą”, i drugie: „Zostaniemy chrześcijanami, choćby skłuli nas ostrzami”. Dymała przeżegnał się przed wiszącym nad biurkiem krzyżem. Krwawe rany na dłoniach i stopach Chrystusa perlily się pociągnięte lśniącem lakierem. Przez moment zastanowiła go wielorakość przedstawień Jezusa. Czyżby Kościół nie wydał żadnych dyrektyw? Na zegarku twarz Chrystusa była twarzą puciołowatego blondynka z trefionymi włosami i uroczym dołeczkiem w brodzie. Na krzyżu zaś Chrystus miał czarne włosy i czarną, strzyżoną w szpic bródkę. Przypominał nieco hiszpańskiego torreadora albo to, co Amalrykowi Dymale kojarzyło się z wizerunkiem hiszpańskiego torreadora. Dlaczego pozwolono na taką dowolność interpretacji? - pomyślał ze zdumieniem i obiecał sobie, że zwróci na ten problem baczną uwagę. Przecież portretów i rzeźb są tysiące, Bóg jeden wie jak zasadnicze różnice one kryją? Kto wie czy nie czai się w tym herezja?

Wyszedł z pokoju energicznym krokiem, znamionującym, że mimo całego dnia pracy jest silny, sprawny i gotowy, jak przystało ochotniczemu pomocnikowi Kościoła. Sekretarka na jego widok wstała, albo może raczej już stała przygotowana, czekając, aż pryncypał wyjdzie.

- Z Bogiem, siostró - powiedział Amalryk Dymała, żegnając ją lekkim skinieniem głowy.

Nie usłyszał cichej odpowiedzi, gdyż wszedł do pokoju zastępców. Tym razem panował tam wzorowy porządek. Obaj mężczyźni założyli marynarki, a guziki koszul mieli zapięte pod szyję. Pokój został przewietrzony, nie snuły się już pod sufitem kłęby dymu, z blatów biurek zniknęły paczki papierosów i wypełnione popielniczki.

- Czas kończyć - rzekł. - Zachowajmy siły na jutro, aby tym goręcej służyć Panu.

Zastanowił się, czy nie przeholował. Wiedział przecież, że gorliwość jest czasem gorsza od braku działania. Ale nie, chyba wszystko w porządku. Obaj zastępcy wstali.

- Jeszcze chwilę popracujemy, jeżeli brat pozwoli - powiedział ten młody, ciemnowłosy z baczkami.

- Proszę bardzo - odparł Amalryk Dymała. - Z Bogiem, bracia - pożegnał się i wyszedł.

Zszedł stromymi betonowymi schodami. Klatka schodowa była sterylnie czysta i pachniała świeżą farbą. Dymała porównał ją w myślach z setkami innych klatek w setkach innych bloków. O, tak, Kościół dba o swoje owieczki. Na pierwszy rzut oka dostrzegł, że malarze i tynkarze byli tu niedawno. Nie to, co gdzie indziej. Żadnych plam pleśni, liszajów odpadającego tynku, żadnych wulgarnych napisów, rysunków wydrapanych gwoździem, rozsmarowanych po podłodze petów, porzuconych czy zbitych butelek, żadnego smrodu moczu i kału dochodzącego zwykle z piwnicy, ani śladu białego, chrzęszczącego miazgi z rozbitych szyb, żadnych psich i kocich gówien. Ale też nie wchodził tu byle kto. Jedynie pracownicy i ci, co zostali wezwani. A bramy pilnowała, czy też przynajmniej powinna pilnować, policja. Dymała otworzył ciężkie okratowane drzwi. Dostrzegł już policyjny radiowóz i dwóch policjantów. Jeden siedział za kierownicą, drugi opierał się o maskę, leniwie ćmiąc papierosa. To byli funkcjonariusze oddani do dyspozycji Amalryka. On jednak nadal miał przed mundurowymi jakiś atawistyczny, wyniesiony z dzieciństwa lęk.

Lęk pochodzący z tych czasów, gdy chował się wśród zaułków przed sunącymi złowrogo biało-żółtymi wozami, gdy wpędzał go w bramy sinoniebieski blask kogutów i przerażający jęk syren. A potem ta noc, kiedy czarne postaci ze srebrnymi, haftowanymi krzyżami na piersiach i pleksiglasowymi lustrzanymi szybami zasłaniającymi twarze, runęły do mieszkania przyjaciela.

Nie zapomni giętkich ciosów pałek, wstrętnego klaśnięcia rozbijanego ciała, chrupotu miażdżonych kości. I na koniec przytłumiony śmiech, gdy myli pod kranem gładkie białe rękawice ze szkarłatnych nacieków.

Młodszy policjant pstryknięciem wyrzucił papierosa pod ścianę.

- Cześć - powiedział, taksując Amalryka Dymała uważnym spojrzeniem. - Co robimy?

Amalryk Dymała opracował harmonogram popołudnia. Wpierw obiad w osiedlowej stołówce dla urzędników i policji, no a potem aż do wieczora praca.

- Jedliście już obiad, chłopaki? - rzucił sztucznie wesołym tonem.

Policjanci wymienili rozbawione spojrzenia. Kiedy ten młodszy się uśmiechnął, widać było szczerbę zamiast obu jedynek. Ale, co dziwne, nie seplenił.

- Myślisz o ścieku? - zapytał kierowca, wystawiając głowę za okno.

- O ścieku? - nie zrozumiał Dymała.

- Może weźmiemy chłoptasia i pokażemy mu, gdzie się je porządne obiady? - leniwie zaproponował młodszy policjant.

- Niech siada. - Kierowca ruchem głowy wskazał Amalrykowi miejsce na tylnej kanapie.

Amalryk Dymała posłusznie wgramolił się do środka. Na ciemnoszarych obiciach odznaczały się jakieś czerwone i białe smugi. Zaskorupiałe i nie do zmycia. Wjechali w Śródziemnomorską, zrećtnie omijając wypełnione wodą dziury w jezdni, i skręcili w Sobieskiego, na prawo, sunąc szeroką, trzypasmową ulicą w stronę Wilanowa. Kierowca wcisnął jakiś przycisk i zaraz z głośników ustawionych na półce przy tylnej szybie buchnęła ostra, drażniąca muzyka. Wytwór

zachodniej cywilizacji nadmiernej konsumpcji. Muzyka pozbawiona wartości ideowych. Kierowca zanucił coś fałszywie pod nosem, starając się dotrzymać kroku piosenkarzowi. Uszy Amalryka Dymały zostały zalane przez obce, angielskie słowa.

- Aj łona laf ju tunajt - śpiewał kierowca, a młodszy policjant obrócił głowę w stronę Amalryka Dymały:

- Niezłe, co?

- Wolę nasze. - Dymała wzruszył niepewnie ramionami.

- Co, pewnie mszy byś posłuchał. - Zarzeli obaj, a kierowca obejrzał się i śpiewał, naśladując pedalski głos: - Aj łona fil jor bady.

Jednocześnie uśmiechnął się i puścił oko do Amalryka. Ten nie bardzo wiedział, jak się zachować. Poczuł, że spotniały mu dłonie. Na szczęście obaj policjanci z powrotem odwrócili się w kierunku jazdy. Samochód tymczasem minął wysoki budynek po prawej, gdzie kiedyś trzymano psychicznych, a teraz cholera wie co się tam działo. Wysoki betonowy mur, wieżyczki strażnicze z pękami reflektorów, zwoje kolczastego drutu i tylko słyhać było zza muru rżenie potężnych silników ciężarówek i, o, akurat zobaczyli jedną, jak wyjeżdżała przez uchyloną bramę. Taki kolos z ogromną metalową budą i niepoliczalną ilością kół, wysokich gdzieś do męskiego ramienia. Potem minęli szybko równe szeregi bloków, które ciągnęły się aż do Wilanowa.

Amalryk Dymała pamiętał, że kiedyś, jeszcze nie tak dawno przed jego urodzeniem, były tu pola i płynęła rzeczka nazywana Śmierdzianką. Był mostek, gdzie spotykali się ludzie chodzący z psami na spacer, a nad rzeczką rosły gęste krzaki, w których w ciepłe dni, nasycone zapachem trawy i brzęczeniem owadzich skrzydełek, walono w gardła zimne piwo, rzucając puste butelki do wody. A one nie tonęły, tylko wysuwały nad powierzchnię pochylone szyjki i płynęły daleko, Bóg wie dokąd, tam gdzie kończyła się Śmierdzianką. Albo też poważnie łykano słodkie, mocne wino, odganiając natrętne osy. Teraz rosły tu bloki, jeden przy drugim, ściśle, prawie że oparte o siebie, patrzące jeden na drugi brudnymi źrenicami szyb. Pomiędzy blokami wyrosły lepianki i baraki zbudowane z dykty, puszek, plastikowych butelek oraz kartonów.

Kompleks Wilanowa, pałac, knajpy, park, kościół były otoczone wysokim ogrodzeniem. Spacerowali tam strażnicy, ale nie tak czujni, znużeni raczej, bo chwała Wilanowa, ta wielka chwała, przeminęła już dawno. Bąbel Śródmieścia wchłonął wszelkie korzyści, tam utworzono Strefę Raju, tutaj tylko jakieś przedrajce, raj dla uboższych, ale rzecz jasna daleko, daleko zamożniejszych od Amalryka Dymały. Stąd jego zdziwienie, nawet lęk.

- Hej, słuchajcie - starał się przekrzyczeć głos, który rzeził w kółko „fak mi bejbe”. - Gdzie jedziemy? Chyba nie tutaj?

Policjanci nie zareagowali. Strażnik powitał ich uśmiechem, widać było szczerbę tam, gdzie powinien mieć lewą dwójkę i trójkę, machnął przyjacielsko dłonią w czarnej rękawicy, w której trzymał kanapkę. Rażąca niesubordynacja. Amalryk Dymała był skonsternowany. Skonsternowany, zażenowany i zdumiony. Wiedział, że przyszedł znikąd, ale nie mógł przypuszczać, iż aklimatyzacja będzie tak ciężka. Zjawił się w tym świecie jak cierń, jak nieproszony gość, ucieleśnienie biskupiej idei „nowych kadr”. A już widział, że nie wszystkim się to podoba. Policjanci, którzy nominalnie byli jego podwładnymi (choć stopień i rodzaj zależności był tu problemem niezwykle zagmatwanym), traktowali go z grzeczną pogardą. Zresztą może nawet nie pogardą, lecz wynikającą z większego

doświadczenia wyższością.

Dymała wiedział, że to tylko pierwsza próba, być może najłatwiejsza. Potem przyjdzie czas na trudniejsze wyzwania. Trzeba będzie znaleźć wspólny język ze współlokatorami - rodziną wieloletniego funkcjonariusza Kościoła, z proboszczem, tak, przede wszystkim z proboszczem. Ale tych tutaj także nie wolno lekceważyć. To mogłoby się okazać zgubne. Należy rozegrać partię, którą zaproponowali, wejść, wniknąć w struktury, poznać ich nawyki, upodobania, słabości i nie dać poznać własnych.

Boże, Boże, daj mi siłę, szepnął w myśli Amalryk Dymała, kiedy z cichym pomrukiem silnika wracali z Wilanowa, gdzie zjedli obfity obiad, wybierając dania z karty, w której ceny wyglądały jak numery telefonów. I oczywiście nie zapłacili nic, żegnani sięgającymi do ziemi ukłonami kierownika sali.

Co tam było? - przypominał sobie leniwie, koniuszkiem języka wydłubując resztki jedzenia pomiędzy zębów. Przekąska to tatar ze świeżutkiej, pachnącej wołowiny, potem flaki, gęste i pieprzne, potem kotlet schabowy z prawdziwymi ziemniakami i podlewanym czerwonym winem bigosem, w którym panoszyły się kawały mięsa. Do tego wszystkiego niemieckie, dobrze schłodzone piwo o zawieszistej, ciężkiej pianie, a na deser naleśniki z orzechowym nadzieniem, polane czekoladą i spirytusem. Ogień został następnie zgaszony przez zręcznego kelnera, szybko i umiejętnie, usłużnie. Potem brzoskwinie w bitej śmietanie, obsypane czekoladowymi wiórkami. To jest życie, pomyślał Amalryk Dymała, wypinając wzdęte brzuszysko. Rany boskie, chyba nigdy przedtem nie byłem tak najedzony.

Ale jednocześnie tlił się w nim jakiś lęk z powodu niezapłaconego, ba - nawet niepodanego rachunku. Zacząłem grać w ich grę, pomyślał z nagłym biciem serca. I to na ich sposób. Czy mają mnie teraz w garści, czy złapali mnie? - zastanawiał się. Ale co robić? Postanowił, że opowie o tym proboszczowi. Tak, na pewno opowie. Ponieważ doskonale zdawał sobie sprawę, iż całkowite poddanie Kościołowi zawsze było, jest i będzie plusem największym z wyobraźalnych. Póki jest się wiernym, Kościół cię chroni. Gdy wiernym być się przestaje, Kościół odwraca od ciebie miłosierne oblicze Jezusa. Kościół nie czyni nic, pozwala tylko działać prawu. Prawu, które złamałeś. Tak stało się z poprzednikiem Amalryka Dymały. Kościół nie uczynił mu nic złego. Dał tylko wolną rękę sprawiedliwości. I sprawiedliwość wyznaczyła temu człowiekowi Śląsk jako pokutę.

Boże, strzeż mnie przed Śląskiem, wzniosł w myślach prośbę Amalryk Dymała. Świadomość totalnego osaczenia powiększyła się. Jedzenie było zbyt ciężkie i obfite. Odbiło mu się. Smak flaków, bigosu oraz czekolady zmieszał się w jedno i eksplodował głębokim beknięciem. Młody policjant odwrócił się w jego stronę.

- Zdrówenko - zawołał, uśmiechając się, a uśmiech ten wydawał się szczery.

- W Gruzji tak było - powiedział kierowca. - Nie beknąłeś, to, kurwa, obraza, że ci nie smakowało, znaczy.

- W Gruzji? - spytał młodszy.

- Byłem tam. Będzie ze trzydzieści lat, a może więcej, w którym to, kurwa, było? - Kierowca podrapał się po brodzie. Obrócił niedbale kierownicę jedną ręką i samochód skręcił w Śródziemnomorską, skacząc po wybojach. Amalryk Dymała mało co nie uderzył głową w wyściełany szarą tapicerką sufit.

- No i co teraz? - Młodszy zapalił papierosa. Amalryk Dymała teraz dopiero zauważył, że policjant ma obgryzione do krwi paznokcie.

- Nieoczekiwana wizyta - zdecydował szybko. - Skręć tu! - rozkazał, wskazując ulicę Kartaginy, gdzie po lewej stronie wznosił się długi na kilkaset metrów blok.

Ludzie zniknęli w bramach, widząc nadjeżdżający radiowóz. Samochód tymczasem łagodnie zahamował.

- Skoro tak, to chodźmy - powiedział kierowca i wyciągnął kluczyki ze stacyjki.

Wysiadł, poprawił pas, przesunął rzemyk hełmu pod brodę.

- Gdzie?

- Gdziekolwiek - odpowiedział Dymała, chcąc, aby to los zdecydował, które z mieszkań odwiedzi podczas pierwszej oficjalnej wizyty.

Weszli do najbliższej klatki schodowej, szczerzącej z metalowych ram ostre kielki wytłuczonych szyb. Jakieś dziecko z głośnym tupotem wbiegło po schodach.

- Które piętro? - spytał kierowca.

- Aby najniżej - westchnął młodszy policjant. - Nazarłem się, a nie chcecie chyba, żebym się zesrał na tych schodach?

- Drugie? - zaproponował Dymała i nie słuchając odpowiedzi, wspiął się na stopnie.

Ściany były zdarte do żywego tynku. To zresztą obowiązek dozorca, zapłaciłby za nieprawomyślne napisy. A i tak widać było czerwony zygzak: „...życ” i niebieskie, niewyraźne: „...alajcie”. No, ale można uznać, że dozorca wywiązywał się z obowiązków. Drugie piętro, krata na szerokość klatki, drzwi z dwoma zamkami. Palec Amalryka ominął dzwonki, elektryczność z pewnością nie działała, i głośno walnął pięścią w metalową ramę. Raz, drugi i trzeci.

- Zara, kurwa, pali się?! - usłyszeli ochrypnięty głos. Szczęknięty zamki i zza drzwi wyłoniła się lekko chybotliwa postać łysogo obywatela w szarym podkoszulku i gatkach do kolan.

- Ło Jezusie - zawołał, widząc, kto stoi przy drzwiach. - Już otwieram, proszę bardzo, już otwieram. - Odsunął zasuwę, wpuszczając Amalryka Dymałę i policjantów.

- Pozwoli pan? - zapytał Dymała. - My w odwiedziny, porozmawiać, można?

- Ależ sercem całym zapraszam. - Łysy obywatel wyciągnął dłoń zapraszająco. - To dla mnie zaszczyt, proszę bardzo...

Weszli do środka. W maleńkim przedpokoju stały butelki po piwie i wódce, rozbebeszona szafa wypluwała ciuchy, kilkanaście par znoszonych i brudnych butów kłębiło się w wielorasowej orgii. Dalej był pokój przedzielony ogromnym regałem, tak że utworzył dwie kłitki. W pierwszej z nich dwa puste, ale zasłane pościelą, złączone łóżka. Za regałem usłyszeli odgłosy pospiesznego sprzątanania.

- Bibkę się urządziło? - spytał młodszy policjant i odrzucając brudną, pełną plam pościel, siadł na tapczanie.

- A jaka tam bibka... - uśmiechnął się łysy obywatel, szczerząc spróchniałe trzonki zębów.

W całym mieszkaniu okna były ściśle zamknięte, niektóre nawet dodatkowo zabite deskami. Wszędzie unosił się smród brudnej bielizny, starego piwa i zjełczałego jedzenia.

Nagle zza regału wyszła cycata blondynka w różowej sukience. Rozpuszczone tlenione włosy opadały jej na ramiona.

- To Ola - powiedział łysy obywatel. - Znaczy się żona, a ja Onufry Faja jestem.

- Wiemy, kim jesteś. - Kierowca niedbałym ruchem zrzucił z komody talerz pełen petów i usiadł.

- Dzień dobry. - Tleniona cycatka uśmiechnęła się nerwowo.

- A tam kto jeszcze? - zapytał surowo młodszy policjant.

- To lokatorzy, znaczy się - tłumaczył gorączkowo Onufry Faja. - Ej, Marcin, Monika, wychodźcie, gości mamy. Dzieci na podwórku - powiedział, a jego oczy trwożliwie biegały od policjantów do Amalryka Dymała i z powrotem.

- Ile macie dzieci? - Amalryk Dymała chciał, by jego głos brzmiał przyjacielsko.

Oczywiście mógł sprawdzić w połączonym z Siecią minidysku, ale wolał spokojnie porozmawiać z gospodarzami.

- Ano jedno na razie Bóg dał, ale sąsiedzi - machnął ręką na regał - już trójki się dorobili.

- Coś się nie starasz - mruknął młodszy policjant, macając wzrokiem blondynkę, której nabrzmiałe sutki prześwitywały przez różowy materiał. - Nie ma co na Pana Boga zwałać, może kondomiak z ciebie, co? Może nie chcesz mieć więcej dzieci?

- Ależ chcemy! - zaprzeczyła gorąco blondyna, falując biustem. - Naprawdę się staramy. Do Częstochowy już pięć razy szliśmy, prosząc o łaskę Świętą Panienkę. A kondomy, niech się pan Boga boi... Gdzieżbym na to pozwoliła?

Młodszy policjant prześlizgnął się wzrokiem z jej piersi na uda. Amalryk Dymała zobaczył to i uśmiechnął się w myślach. Ale żona łysiego obywatela Onufrego Fai rzeczywiście była warta grzechu, jeśli ktoś lubił wielkie cyce i wielkie zady. Amalryk Dymała obiecał sobie, że dziś popracuje nad swoją małżonką, choć z płaskim biustem i mysimi włoskami ani się mogła równać z tym blond potworem, którego za sam wygląd powinno się odesłać do obozów seksualnej reedukacji. Wreszcie zza czarnego regału pokazali się lokatorzy. Oboje młodzi, przed trzydziestką, ona - krótko ostrzyżona brunetka, on - chuderlawy rudzielec w okularach w drucianej oprawce, sklezionej pomiędzy szklami różowym plastrem.

- Dzień dobry, dzień dobry - przywitali się i nagle zrobiło się gęsto.

- Jak się w ogóle żyje? - zapytał serdecznie Dymała.

- Dziękuję, dobrze, staramy się - odpowiedział rudzielec. - Ciasno trochę, bo widzi pan, na mieszkanie czekamy i...

- Oł, czego im się zachciewa - prychnął kierowca.

- No, bo troje dzieci. - Chuderlak spojrział na niego nieśmiało. - I tak tu, gdyby nie państwo Fajowie, ale ciasno, prawda? - Błagalnym wzrokiem szukał potwierdzenia.

- Ciasno - przytaknął Amalryk, a jego serce zaczęła rozpierać spontaniczna chęć zrobienia

dobrego uczynku. - Jak nazwisko? - Sięgnął po minidysk oprawiony w żółtą ciełą skórę.

- Wihajsterek - gorliwie podyktował rudzielec. - Marcin i Monika Wihajsterek.

- Sprawdź - obiecał Amalryk Dymała. Surowy i sprawiedliwy, ale przecież ludzki. - Naprawdę sprawdzę i postaram się coś zrobić.

- Jeżeli tylko jesteście w porządku - zastrzegł młodszy policjant i pogroził im wskazującym palcem.

- Ależ jesteśmy, ja mogę pokazać...

- Ty tu nam nic nie pokazuj, Wihajsterek. - Policjant nie opuścił palca. - My się i tak wszystkiego sami dowiemy.

- Spokojnie - powstrzymał go Amalryk Dymała. - Sprawdź - uciął dyskusję. - A w razie czego wam - skierował wzrok na Fajów - zawsze kogoś znajdziemy.

- Ależ tego, jeszcze teściowie tu są... - prawie krzyknął Onufry Faja. - O, w kuchni, tera wyszli, ale mieszkają... Razem nas i rodziny pięcioro na trzydziestu metrach, znaczy się w prawie jesteśmy. Nie musimy nikogo brać. Ich to tylko z grzeczności. - Wskazał Wihajsterków.

- Cicho - syknęła wściekle żona Fai i uroczo uśmiechnęła się do Amalryka Dymały. - Jestem pewna, że pan nas nie chce skrzywdzić.

- A ciebie, Faja, sprawdzimy. - Młodszy policjant ukamienował łysego spojrzeniem. Onufry Faja skurczył się w oczach i umilkł. - Coś lewy jesteś, Faja. Ludziom nie chcesz pomagać.

Cycata blondyna zasłoniła męża biustem przed wzrokiem policjanta.

- On jest w porządku, panie władzo - powiedziała przymilnie, ale i z napięciem w głosie. Czubkiem języka oblizwała wargi.

- Ty jesteś w porządku - zaśmiał się policjant i wstał.

Amalryk Dymała zobaczył, że w spotęgowanej ciasnocie ręka policjanta zawędrowała na pośladek Oli Fajowej. Ale ten gest był tak szybki, że prawie niezauważalny.

Amalryk Dymała wystarczająco znał życie, żeby wiedzieć, iż młody policjant znalazł sobie właśnie materac. Sporo kobiet, które znał, gdy mieszkał jeszcze w zwykłym bloku, było materacami krzyżaków albo czarniaków. I się nie skarżyły. Za to skarżyły się te, co odmówiły. Chociaż gdy któraś naprawdę mocno się stawiała i potrafiła dotrzeć ze skargą do parafii, zdarzało się, że policjant lądował na Śląsku. Przeciętny policjant w konfrontacji z księdzem nie miał żadnych szans. Dlatego też gliniarze uważali i haczyli tylko to, co dawało się haczyć bezkonfliktowo. Małżonka obywatela Fai dała się haczyć. To było widać.



Poseł Lepki uwielbiał Trójkąt. Lecz jednocześnie Strefa Rozkoszy budziła w nim poczucie narodowej niższości. Przezroczysta kopuła, jak mydlana bańka, nakrywała całe Śródmieście.

Oczyszczacze tłoczyły świeże powietrze, mrugały światła neonów, po ulicach spacerowali ludzie w szykownych garniturach kosztujących być może kilka tysięcy dolarów za sztukę. A laski? Laski wprost niesamowite. Pewne siebie i swoich wdzięków, ubrane według ostatnich trendów lansowanych przez włoskich i chińskich dyktatorów mody, obwieszane kosztownościami, uroda poprawiona za pomocą bajecznych implantów. Na posła Lepkiego nawet nie spojrzą.

Na zewnątrz był on kimś, kimś mogącym decydować i stawiać warunki, kimś, kto rozporządza konkretną, realną władzą. Ale tutaj, w Trójkacie, polski poseł czy senator stał na niezbyt wysokim szczeblu drabiny. Tutaj dużo cenniejszą zwierzyną byli zagraniczni bankowcy, inwestorzy, naukowcy i lobbyści. Coraz mniej przyjeżdżało ich od czasu, gdy coraz mniej można było w Polsce ukraść, a rozpaczliwie szukający dobrych interesów radni, posłowie oraz senatorowie mieli coraz mniej do zaoferowania. Ale pogłoski, te cudowne, choć niepotwierdzone oficjalnie pogłoski o wielkim bogactwie ukrytym pod szarymi, uschłymi lasami Suwalszczyzny przygnały ich wszystkich z powrotem. Tutaj też czekali na dostęp do naprawdę wielkiego koryta.

I nic nie znaczyło, że poseł Lepki miał świetnie skrojony garnitur, strzygł się u najmodniejszego fryzjera, używał drogich wód. To nic, że w jego spince krawata dyskretnie lśnił mały brylant, a spod mankietu koszuli połyskiwał złoty zegarek marki Patek. To nie wystarczało. Od posła Lepkiego śmierdziało polskością, polskość ciągnęła się za nim jak niechciany ogon, otulała go jak złowieszczą aura. W rzeczywistości był tylko akwizytorem. Akwizytorem próbującym sprzedać te resztki, które zostały z niegdyś bogatego kraju. Jednym z tysięcy likwidatorów spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, którą kiedyś nazywano Polską.

Ulice w śródmiejskim Trójkacie były jak kryształowe lustra, powietrze orzeźwiające, świeże, zupełnie przezroczyste. Naokoło witryny sklepów, stylowe restauracje, dyskretnie eleganckie puby. Uśmiechy i wszędzie dudniąca obca mowa. Niemcy, Anglicy, Skandynawowie. Lubili tu przyjeżdżać, od kiedy politycznie poprawne rządy zakazały w ich krajach prostytucji, ze sklepów wyeliminowano mocne alkohole, a wszechpotężna policja skutecznie walczyła z narkotykami. Czasem trafiał się zbłąkany Tekszańczyk, pewny siebie Arab z blond dziewczkami uwieszonymi u ramienia, wytrzeszczooki Japończyk, mnóstwo spokojnych Chińczyków ubranych, jakby wyszli spod jednej sztancy. Wszyscy uprzejmi i eleganccy. A gdzieś tam w głębi ich oczu tliła się pogarda, tak potworna pogarda, że zatykająca dech w płucach, rżnąca na wylot serce i żołądek.

Poseł Lepki przyglądał się temu wszystkiemu zarówno zachwycony, jak i upokorzony, ale wtedy przypomniał sobie o polach Suwalszczyzny i wyprostował się. Łachudry, pomyślał, przyjdziecie jeszcze do nas na swoich pierdolonych kolanach i to wy będziecie się uczyć polskiego. Potrącił kogoś i zaraz dobry nastrój minął.

- *Entschuldigen Sie, bitte...* - wymamrotał niepewnie. Ach, kurwa, było się uczyć języków!

- *Oh, nevermind* - w przelocie rzucił Tekszańczyk, bo to jednak był Tekszańczyk, a nie jakiś pieprzony Szwab. Taka otwarta twarz, szczery uśmiech. Posła Lepkiego ogarnęła nagła sympatia do tego człowieka.

- *Would you want drink one drink with me?* - Starął się oszołomić nieznanego uśmiechem, zapominając o złym akcencie i nieznaności słownictwa, starał się być uprzejmy.

Tekszańczyk uśmiechnął się szeroko i odszedł bez słowa. Wyprostowany jak świeca. Pan świata, kurwa jego mać... Poseł Lepki znów się rozejrzał wokół.

- To będzie kiedyś dla nas - wyszeptał do siebie. - Tylko dla nas, dla nas.

Uderzenie światłem. M-A-X-I-M, wirujący czerwony napis. Kryształowe, przyciemnione szyby, poważny szwajcar o szerokich ramionach. Tłumaczył coś dwóm osobom. Angielski i niemiecki, płynnie, bez zająknięcia, mimo że Polak. Szczyt kariery, największe osiągnięcie, jest pewnie chlubą i radością rodziny. Ich oczkiem w głowie, zazdrością sąsiadów. O Jezu, gdzie my jesteśmy? Poseł Lepki poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Czy w kontaktach z zachodnią cywilizacją nasza rola polega jedynie na tym? Może rzeczywiście różnimy się budową mózgu - my, Słowianie - poseł Lepki przypomniał sobie głośną ostatnio pracę berlińskiego profesora.

Wszedł do środka. Szwajcar usłużnie otworzył przed nim drzwi. Ale poseł Lepki poczuł, że zaraz zgubi się w tym złocisto-aksamitno-atłasowym wnętrzu, uspi go cichy szum klimatyzacji, ukojący upajający zapach igliwia. Opadł na fotel, który był jak otchłań wyrzeźbiona z gąbki. Wpadł, wtulił się w miękkość, zginął pośród zapachu skóry i aksamitnego dotyku.

Pisarz Konrad Piotr zażył garść kolorowych tabletek i szybko popił wódką. Otrząsnął się, ale poczuł, że wchodzi na wysokie obroty. Ubrał się elegancko, jak zwykle. Koszula szyta na miarę, garnitur z Londynu, buty z Rzymu, złota spinka z dyskretnym brylantem, do kieszeni papierośnica (za którą zwykły Polak zarabiałby brata, pomyślał pisarz Konrad Piotr).

Konrad Piotr mieszkał jeszcze w obrębie Wielkiej Warszawy, ale już hen za Wilanowem, hen za szarymi kolosami drapaczy chmur, których dachy ginęły w obłokach smogu. Mieszkał w piętrowej willi, gdzie pełną parą pracowały oczyszczacze powietrza i wody, w podziemiach były basen, sauna oraz sala gimnastyczna (z niej pisarz jeszcze nigdy nie skorzystał). Osiedle chroniono murem, drutami pod napięciem, a dobermany o lśniących zębiskach prężyły się na smyczy. Z wieżyczek wznoszących się nad murami sterczały lufy karabinów, teren omiatały laserowe czujniki. Enklawa.

Oaza dla tych, którym się powiodło. Dla tych, którzy odbili się od polskiego dna, którzy nie są już polską hołotą, a po prostu obywatelami Europy. Pełnoprawnymi członkami świata zachodniej cywilizacji.

Pisarz Konrad Piotr zamówił limuzynę. Wielki czarny wóz z pancernymi szybami i milczącym kierowcą o kamiennej twarzy bezszelestnie wjechał na podjazd. Konrad Piotr ostatni raz spojrzął w lustro, strzepnął niewidoczny pyłek z kłapy marynarki i poprawił krawat. Potem przyglądził gęste szpakowate włosy, z których był tak dumny, i zwilżył wargi językiem. Wszedł, a za nim automatycznie trzasnęły zamki i włączyły się systemy ochronne.

Jadąc przez miasto, starał się nie wyglądać przez okna limuzyny. Aby nie ulec pokusie, przyciemnił szyby. Nie zamierzał oglądać warszawskich ulic. Zbyt przygnębiający widok, a przecież doskonale wiedział, jak one wyglądają. Warszawa, pomyślał, środkowoeuropejskie charknięcie. Słońce niemal nigdy nie wyglądało zza smogu, kwaśne deszcze łomotały w okna i dachy jak krwawe łzy, powietrze, z którego, zdawałoby się, wystrzelono tlen. I ci ludzie, mój Boże - pisarza Konrada Piotra aż zemdlilo i ścisnęło w dołku - swołocz, barbarzyńcy. Ziemiste twarze i oczy jak czarne studnie - pisarz Konrad Piotr zanotował w pamięci wyrażenie „oczy jak czarne studnie”, bo mogło się przydać.

Do jego uszu doszedł grzechot karabinowej serii. Może policja rozpędzała kolejną demonstrację, a może były to po prostu coraz rzadsze już w dzisiejszych czasach porachunki mafijne. Ale limuzyna sunęła bez przeszkód, w równym tempie, a samochody i ludzie usuwali jej się z drogi. Pisarz Konrad

Piotr doskonale wiedział, jak bardzo go nienawidzą. Nawet nie jego, lecz bogactwa, którym się otaczał. Na przykład czarnej limuzyny z kierowcą. Wiedział, że większość przechodniów najchętniej wydobyłaby go z tej skorupy i bezbronnego jak żółwia poszatkowała na kawałki. Nic by im to nie dało prócz satysfakcji zabicia kogoś lepszego od siebie. Staliśmy się społeczeństwem z epoki wczesnego kapitalizmu, pomyślał, a może nawet feudalizmu. Nasza „polska droga” - zarządził rozpaczliwym śmiechem. Narodowo-katolicki socjalizm! Pokażemy Europie! O kurwa, ale pokazaliśmy! Pisarz Konrad Piotr zacisnął dłonie tak, że paznokcie zostawiły we wnętrzu nabiegłe krwią, sine półkola. Pokazaliśmy, ale mnie to nie dotyczy, pomyślał znowu, ja nie jestem my, ja jestem ja, istnieję obok, a nawet wbrew temu społeczeństwu, jego słabość przekształciłem we własną siłę. Czegóż mi brakuje? - zastanowił się z nagłym poczuciem psychicznego komfortu. Udało mi się zrealizować wszystko, co zamierzyłem. Wszystko? Uśmiech powoli zgasł na jego twarzy, bo przecież doskonale wiedział, że nie posiada niczego poza materialnym dostatkiem.

*

Senator Kardupell stał i się pocił. Krople spływały po jego twarzy, tonąc w mięsistych nozdrzach. Sala nie chciała go słuchać. Sala wyła. Zwykle wysłuchiowano tego, co miał do powiedzenia, w nabożnym milczeniu. Potem stosowna dawka aplauzu i oklasków, trochę niewymuszonej euforii i ewentualne pytania z sali. Wyważone i przygotowane. Ale teraz tak nie było. Senator Kardupell patrzył przerażony na kobiety, wyglądające niczym maskarony z obrazów Hieronymusa van Aken Boscha, i wzbierała w nim połączona z nienawiścią pogarda. Wiedział, że nic mu nie grozi, przemawiał z piętra, a obok stali muskularni chłopcy w lustrzanych okularach. Ale tłum na dole falował, krzyczał i groził. Senator Kardupell oblizwał wargi, próbował odchrząknąć.

- Eh-he-eh - jego chrząknięcie trzasnęło pod sam strop, zahuczało po sali, walnęło w tłum.

Senator Kardupell nagle załamał się, zrezygnował. Postanowił poddać się i wycofać. Obojętni, lodowaci chłopcy w lustrzankach cicho poszli za nim.

- Kurwa, po co mi to było! - bluznął senator Kardupell. Zmitygował się szybko, podejrzliwie łypnął na czarne garnitury, ale znalazł tylko gipsowe twarze bez wyrazu. Trybun ludowy się znalazł, pomyślał nienawistnie o samym sobie. Co za pierdolone suki niewdzięczne. To ja tu do nich jak do kogo dobrego. Przypomniawszy sobie twarze i złapał go dygot. I te oczy, wzdrygnął się. Te pierdolone oczy jak... jak... - szukał słowa. Jak czarne studnie... Dobrze, trzeba sprzedać greps Konradowi Piotrowi. Oczy jak czarne studnie... To mu się spodoba. Pięćset złotych. Czy ta kurwa mówiła, że zarabia pięćset złotych? Co za kłamliwe nasienie. Senator Kardupell był pewien, że nikt nie może zarabiać pięciuset złotych miesięcznie. On sam wynajmował swojej dziwce apartament, którego utrzymanie kosztowało dziesięć razy więcej.

Z sali między innymi pytano go, czy wie, jak długo czeka się na wizytę u lekarza specjalisty? A skąd on, kurwa, miał to wiedzieć, skoro nigdy w życiu nie korzystał z publicznych placówek? Zresztą trzeba było być samobójcą, żeby pójść do przychodni albo państwowego szpitala. Miałeś wtedy szczęście, jeśli nie skończyłeś w magazynie części zamiennych. Przecież lekarze też musieli z czegoś żyć...

Starał się odgonić przykre myśli i zwrócić ku pogodniejszym stronom życia. Siódma, siódma, siódma - przepłynęło przez niego niczym najśłodsza muzyka. Och, popijemy i popierdolimy, ale najważniejsze jest to, że rozmowa może skończyć się wielkim kontraktem, albo chociaż perspektywą wielkiego kontraktu.

Senator Kardupell zaczął gorączkowo zastanawiać się (nie po raz pierwszy już i zapewne nie po raz ostatni), czego mogą chcieć Teksasczycy. Ale im więcej chcą, tym więcej dadzą. Chociaż coraz mniej zostało w tej pierdolonej Polsce do sprzedania. Przehandlowali wszystko, swołocze, pomyślał z nienawiścią o poprzednich rządach. Nam tylko resztki zostały, z trudem wyrwane nędzne okruchy, pieniądze wyblągane od Szwabów, Jankesów, Chinoli, Dżapsów za jakieś koncesje, układy, ułatwienia. Dno. Nędza. Senator Kardupell zgrzytnął zębami tak mocno, że aż przez chwilę bał się o swoją nadwerężoną czwórkę. Ale teraz pierdolić ich, rozpogodził się nagle, myśląc o szarych polach Suwalszczyzny.

*

Poeta Atlas Symbol jadł parówki. Wypluwał z obrzydzeniem kawałeczki chrząstek i kości, które zgrzytały między zębami, zakąsał ostrą musztardą. Dobra, niemiecka, pomyślał, obficie smarując leżące na talerzu kielbaski, które wyglądały jak dwa balasy gówna. Jedzenie przerwał mu głośny sygnał telefonu. „Oda do radości” zabrzmiała w całym domu. Atlas Symbol chwycił słuchawkę w dwa palce, starając się nie zostawiać na plastiku tłustych śladów. Zdumiał się, że telefon w ogóle działa, bo linia była zepsuta przez ostatnie kilka tygodni. Cóż, miła niespodzianka!

- He? - zagadał, przełykając ostatni kęs.

Ze słuchawki zajazgotał nagłaco ostry, natarczywy głos.

- Nie mam czasu - warknął.

Później jednak słuchał uważniej, troskliwie zezując na ropny pryszcz, który załagł się w kąciku warg. Lewą dłonią starał się go wydusić.

- Dobra. - Huknął słuchawką w aparat, aż w środku coś się poskarżyło jękliwie.

Wszedł do łazienki i spojrzał w pokryte pajęczą siecią pęknięć lustro. Napiął bicepsy, zrobił groźną minę.

- Nooo. - Zadowolony z siebie okręcił się na pięcie.

Był pewien, że mimo czterdziestki wygląda jak młody bóg. Ani grama tłuszczu, żadnych obrzydliwych fałd spływających z brzucha, twarde jak stal mięśnie, czarno-srebrne, gęste futro na piersiach i ramionach.

- Ech, ech, ech - zachwycił się sobą.

Nabrał z wiadra rudej wody i ochlapał twarz, parszkając na liszaje tynku, kiedy poczuł kwaśny, żelazisty smak w ustach. Potem ściągnął przybrudzone gatki, naznaczone żółtą smugą niczym obfitym smarknięciem, i dość dokładnie opłukał kutasa.

- Pilot gotów - zdecydował, podciągając majtki stanowczym ruchem.

Załóżyl jedyne spodnie od garnituru, z tłustą plamą na siedzeniu, nieco za małą flanelową koszulę i szaro-brązową kurteczkę z wyliniałym sztucznym misiem. Atlas Symbol żywił bowiem zaprogramowaną pogardę dla stroju i akcentował niechlujnym ubiorem swój bunt wobec rzeczywistości. Zatrzasnął wzmocnione żelazem drzwi i elektronicznym kluczem uruchomił system zamków oraz zasuw. Dziarsko zbiegł po schodach, przeskakując po trzy i cztery stopnie. Codzienna gra ze strachem, próba zręczności. Kto wie, może kiedyś zwali się w czteropiętrową studnię o betonowym dnie? Na razie było to jednak niezwykle ekscytujące.

Na podwórku dwaj dziesięcioletni chłopcy leniwie i bez specjalnego zaangażowania kopali trzeciego, który leżał spokojnie, nie starając się nawet zasłonić, i tylko jęczał, kiedy buty łomotały po klatce żeber.

- Ja wam dam! - krzyknął poeta.

Chłopcy bez strachu, ale i bez złości zwrócili w jego stronę obojętne twarze.

- Spierda-laj. - Wrócili do kopania.

Łup, łup i jęk, łup, łup i jęk. Atlas Symbol wzruszył ramionami i odszedł rakiem. On swoje zrobił. Zareagował protestem na niesprawiedliwość i przemoc. Wystarczy. Zresztą niech się pozabijają, kurwa, zatelepała w nim złość. Im mniej tych gówniarzy, tym mniej potem morderców, złodziei i gwałcicieli. Wziął gazetę od snującego się po ulicy gazeciarza i idąc, kartkował ją szybko. Park naprzeciwko straszył uschlými drzewami, na przerdzewiałym szkielecie ławki siedzieli dwaj czerwono nosi obywatele i ładowali jagodziankę.

Tradycja nie ginie, z obrzydzeniem pomyślał poeta Atlas Symbol i sięgnął po papierosy. Pierwszy rozpadł się w palcach, z drugiego udało się uratować połówkę. Zaciągnął się głęboko. Uwielbiał to poranne uderzenie w płuca, pierwsze sztachnięcie, kołujące w głowie i nastrajające euforycznie. Zakaszlał i splunął gęstą flegmą w dziurę kanału odpływowego. Kurwy, kratkę ukradli, przemknęło mu przez myśl.

Kierował się w stronę Puławskiej, ale nagle umknął w bramę. Środkiem ulicy sunęła czarna falanga. Sztandary. Jak zwykle orzeł, Matka Boska, krzyże, biel i czerwień, biel i żółć. Okrzyki z tysiąca gardeł. Okute kije w dłoniach. Dum, dum - huczały podkute buty. Trach - rozbite szyby krzyczały jak pęknięte serca. Bóg, Honor, Ojczyzna - ryk pod niebo. Czarne skórzane kurtki ze srebrnymi ćwiekami, wysokie sznurowane buty o krawędziach okutych żelazem, grube rękawice naszpikowane ostrzonymi guzami. Skowyt policyjnych syren, z daleka zahuczał śmigłowiec brzmiący niczym przetrącona wałka. Atlas Symbol zniknął w labiryntach podwórek. Serce waliło mu jak u spłoszonego ptaka. Poczul się jak konspirator czekający swego czasu, wódz wkrótce zwycięskiej rebelii.

- Ja wam dam. - Unikał poetyckich gestów w rodzaju grożenia pięścią niebu, chociaż bardzo go kusiło.

Pomyślał o sobie niczym o spokojnym kolosie, skale, o którą bezskutecznie rozbijają się fale oceanu. A skała trwa nienaruszona, godna i górująca nad żywiołem.

Zaczęło w nim rosnać poczucie siły. Gdyby mógł, uniósłby świat niczym ten mitologiczny bohater, jakże mu tam było...? Ech, skleroza nie boli, Bogu dzięki.

- Guza, kurwysynu, szukasz? - dobiegł go rechot z wnąki.

- Spierdalać, gnoje! - zaryczał niczym spiżowa trąba poeta Atlas Symbol, po czym zobaczył tylko pędzący błysk i myśli zgasły.

*

Pisarz Konrad Piotr wsłuchiwał się w monotony, jednostajny szum silnika. Limuzyna łagodnie zahamowała, otworzyły się elektronicznie sterowane drzwi. Wysiadł, a przed sobą miał przezroczysty bąbel Raju. Spod kopuły błyskały już światła neonów, niczym blask gwiazd. Strefa ochronna przed Strefą Rozkoszy otoczona siatką pod napięciem, stalowe postaci z cichośmiertnymi bassdogami sunęły jak czujne duchy. Pisarz Konrad Piotr stał, kontemplując przez chwilę widok, który zdumiewał i przerażał go za każdym razem. Jasność pośród Ciemności, Dobro wśród Zła, Cywilizacja wewnątrz Barbarzyństwa, Enklawa Luksusu, Komfortu i Bezpieczeństwa. Terra Incognita, a jednocześnie Ziemia Obiecana dla maluczkich, mlekiem i miodem płynąca, żyzna kraina Kanaan dla narodu wybranego. Pisarz Konrad Piotr westchnął i wolnym ruchem wyjął papierosa z papierośnicy. Usłużny strażnik błysnął ogniem. Bassdog przysiadł z respektem. Zapach pieniędzy i sławy. Potężny, przytłaczający, oszalamiający zapach zniewalający ludzi i zwierzęta. Pisarz Konrad Piotr zaciągnął się głęboko i powolutku wypuścił dym układający się w koła, prawie niewidoczne w nieprzezroczystym powietrzu. Kątem oka zobaczył gromadkę dzieci, jakiś tumult.

- Co to? - spytał, nawet nie zwracając głowy w stronę strażnika.

- Dzieciaki - zadudniło spod plastikowej przyłbicy.

- Tu? - Pisarz Konrad Piotr zdumiony ruszył szybkim krokiem w stronę rozwrzeszczanej gromadki.

Wychudzone dzieciaki, w ubrankach poznaczonych rudymi deszczowymi plamami, obskakiwały tłustego, złotopalcego Francuza.

- *One euro for poor polish kids, mister* - krzyczało najodważniejsze.

- Łan ełro, łan ełro - zawtórowała mu reszta. Francuz chuchnął na monetę i podrzucił ją do góry.

Kiedy upadła, dzieci rzuciły się w jej stronę, gryząc i kopiąc się nawzajem. Pisarz Konrad Piotr patrzył na porwane ubrania, kępy włosów w dłoniach, krew na brudnych buziach.

- *You motherfucker!* - Przyskoczył i szarpnął płaszcz Francuza. - *Pierre, I'll kill you!*

Francuz zaśmiał się i policzki zadrgały mu jak wielkie kule żelatyny, oczka zginęły w łopoczących fałdach tłuszczu.

- *Easy, easy, oldfriend* - mruknął z mocnym akcentem, przytulił Konrada Piotra do szerokiej piersi i ucałował głośno w szczecinę.

Pisarz spróbował się wyrwać, ale ostatecznie pokonany, został unieruchomiony w silnym, choć miękkim uścisku Pierre'a. W końcu Francuz odsunął go od siebie. W tym samym czasie spuszczone ze smyczy bassdog radośnie dopadł dziecko. Zostało najbardziej pobite w walce, więc nie uciekało.

Białe kły szarpnęły łydki. Wrzask. Pisarz Konrad Piotr zamknął oczy. Wrzask. Dudniący śmiech spod przyłbicy. Warkot. Wrzask. Śmiech.

Konrad Piotr odwrócił się. Rzeczywistość pokonała go i wytrąciła ze spokojnego świata chronionych osiedli, pancernych limuzyn i czystej wody. Na pograniczu dwóch światów doszło do sceny przerażającej i przejmującej. Do erupcji bezmyślnej, być może nieświadomionej nienawiści. A Pierre? Kurwa mać! Pisarz Konrad Piotr poczuł, jak coś go dusi w gardle. Do jakiego doszliśmy upodlenia? Przecież to znany biznesmen, a jednocześnie członek fundacji charytatywnych, zasiadający we władzach Human's Right Watch i Amnesty International.

Zamknął oczy, a potworna tęsknota za gorzałą przewierciła mu mózg. Poczuł, że jeśli zaraz, za moment, za sekundę, się nie napije, albo chociaż nie zacznie iść w stronę, gdzie można się napić, to po prostu umrze. Zaciśnął zęby i wciągnął ze świstem powietrze. Sam dla siebie zabrzmiał jak zapchany odkurzacz.

- Piiiic - zachrypiał. - Piiiic, daaaj! - Uczepił się szerokich rękawów płaszcza Pierre'a.

Senator Kardupell na szerokim siedzeniu limuzyny rznął śliczną, rozczochraną trzynastolatkę o anielskiej buzi. Lewą dłoń wkręcił jej we włosy, prawą zaciśnął na piersi. Zręcznie kierował głową dziewczynki tak, żeby kutas raz wysuwał się z ust, a raz ginął w nich aż po same jądra. Blond aniołek posłusznie, choć z wyraźnym trudem, łykał krótkiego, grubego kutasa senatora Kardupella. Senator Kardupell jednak nie mógł się spuścić, nie mógł znaleźć ukojenia w szybkim tryśnięciu. Męczył się, a jego myśli wciąż wracały do pierdolonych prządek z obrazów Boscha.

- Staraj się, kurwo! - ryknął i puszczając nabrzmiały mały cycek, walnął ją w bladą, zgrabną dupę, poznaczoną plamami pryszczu.

Dziewczyna jęknęła i chwyciła go dłonią za jaja. Uścisk był tak silny i niespodziewany, że senator Kardupell wybuchnął strumieniem spermy. Poczuł, jak lepki płyn spływa po wiotczącym kutasie na rozporek, a z niego na czarne spodnie.

- Ty kurwo - syknął wściekły i chlasnął ją w twarz. Z satysfakcją zauważył, że sygnet zostawił na jej policzku krwawy ślad. - Mówiłem, żebyś wszystko połknęła!

Wyrwał czyściutką, bielusienką chusteczkę i nerwowo zaczął ścierać białe nacieki. Trzynastolatka odsunęła się w drugi kąt limuzyny i zaczęła naciągać bluzkę. Miała tak małe cycki, że nawet nie musiała nosić stanika. Senator Kardupell uruchomił przycisk i limuzyna łagodnie wyhamowała. Rzucił dziewczynie dwieście złotych, syknęły otwierane drzwi.

- Spierdalaj - rozkazał krótko.

Rozparł się na siedzeniu i zapiął rozporek. Sięgnął do barku. Szybka gorzała, łyk, dwa z gwinta. Lepiej. Odetchnął z ulgą. Ta głupia gówniara próbowała go spuścić przez jakieś sześćdziesiąt kilometrów. Jej brocha, będzie miała daleko do domu, zaśmiał się w myślach senator Kardupell. Przypomniał sobie lśniące od spermy usta dziewczyny i przez chwilę żałował, że jej nie zatrzymał.

Włączył telewizor. Ekran wypełniła blada, ascetyczna, uduchowiona twarz Anastazego Pastucha. Senator Kardupell radośnie klepnął się w kolano. Antek Jebaka, prymas Przenajświętszej Rzeczypospolitej. Jaki pan, taki kram. Szkoda go tylko, że nawet nie popierdoli bez wyrzutów sumienia, pomyślał z przekorną litością, gdyż znał tak obce jemu samemu moralne rozterki kościelnego dostojnika. Wyłączył głos i popatrzył na poruszające się teraz bezgłośnie usta kardynała.

Ciekawe, jak by się poczuł, gdyby to jemu wpakować kutasa w mordę? - przemknęło mu przez głowę złośliwie, ale zaraz wybiegł myślą do spotkania o siódmej i zerknął na zegarek. Zdąży na wielką grę. No!



Teksańczycy już czekali. W półcieniu złote oprawki okularów słały figlarne błyski. W Teksasie powracało się do korzeni. Nie - operacjom siatkówki, nie - implantom, nie - soczewkom. Klasyczna elegancja w dwudziestowiecznym stylu. Było ich dwóch - jak bracia bliźniacy. Wysocy, opalone twarze, lekkie sportowe garnitury, ciała zahartowane tenisem, golfem, za młodych lat pewnie baseballlem.

Poseł Lepki, patrząc na nich, czuł własną znikomość. Oni byli przystojni urodą biznesmenów-milionerów, on - urodą francuskiego kelnera. Senator Kardupell nie miał takich obaw i rozterek. Jak zwykle jowialny uśmiezek i poza w stylu „ach, jak dawno cię nie widziałem, stary kumplu”. Pisarz Konrad Piotr siedział blady jak śmierć, milczący, wyniosły, pełen zachodnioeuropejskiego blasku, wypolerowany niczym prawdziwy Europejczyk. Gorzałę pił co prawda jak swój człowiek, szklankami i bez zapitki. Jednak przedtem, zanim przystąpili do picia i interesów, było krótkie przywitanie. Silne uściski teksańskich dłoni. Poseł Lepki zawstydził się wilgotnych palców. Senator Kardupell tokował oksfordzką angielszczyznę. Takie ple, ple, ple, *small-talk*. Poseł Lepki prawie nic nie rozumiał, po raz kolejny żałował, że nie ma talentu do nauki języków obcych. Zginał i rozginał palce, oblizywał wyschnięte usta, łykał szybko jeden kielich wódki za drugim. Nagle poczuł przyływ odwagi, a co ja, kurwa, gorszy jestem? Klepnął Teksańczyka po ramieniu, wskazał na karafkę.

- *Vodka for you*⁷. - spytał. Lodowate oczy ostudziły euforię.

- *No, thanks* - sucha odpowiedź i wzrok ponad jego głową.

- Reasumując... - pisarz Konrad Piotr mówił po polsku, nie przejmując się, czy Teksańczycy rozumieją.

Ma klasę, pomyślał z zazdrością poseł Lepki. Jeden z Teksańczyków najwyraźniej znał polski, drugi szybko włączył modułowy translator i wpiął go do ucha. Pisarz Konrad Piotr znał płynnie angielski, niemiecki i włoski, podobno potrafił się dogadać po hiszpańsku, a wtajemniczeni mówili, że w tokijskiej restauracji umiał dyskutować na temat kulinarnych niuansów w rodzimym języku kucharza. Jednak, jak zwykle kiedy chodziło o pisarza Konrada Piotra, nie wiadomo było, gdzie kończy się prawda, a zaczyna anegdota. W każdym razie nie myślał zniżać się do używania obcego języka w swoim własnym kraju. Tak naprawdę cała ta rozmowa nudziła go i brał w niej udział tylko z chęci uczestniczenia w czymś ważnym.

- Reasumując... - pisarz Konrad Piotr ważył słowa jak złote dolary - żądacie od nas niemożliwości. Nikt nie da rady stanąć na drodze powszechnej euforii, a kto spróbuje to zrobić, zostanie zgnieciony.

Senator Kardupell zatarł dłonie. W myślach, oczywiście, gdyż naprawdę trzymał je na blacie

stołu i z trudem powstrzymywał drżenie palców. Wielka gra! O kurwa, jaka wielka gra! Mądrała, pomyślał o pisarzu Konradzie Piotrze. Niech utrudnia. Niech wznosi przeszkody. Sypną złotem za ich zdjęcie. Jeeezu - chciwość zaskowytała w duszy senatora Kardupella. Słodki Jezusie, będziemy, kurwa, bogaci. Niewiarygodnie bogaci.

- Poza tym nie wiem, czy powstrzymywanie entuzjazmu byłoby w interesie Rzeczypospolitej - dodał surowo pisarz Konrad Piotr.

Maestro - senator Kardupell chciałby bić brawo. Świątełka w oczach Teksańczyków kusily jak łagodne chochliki. Lali hojnie wódkę pisarzowi Konradowi Piotrowi. Ten chłonał ją jak gąbka, ale równie dobrze mógłby pić wodę. Tylko policzki zaczerwienił mu dyskretny rumieniec. Poseł Lepki zabełkotał coś pod nosem i kiwnął się na boki. Z ust wyszedł mu tęczyowy bąbel z trudem powstrzymywanych wymiocin. Czyjeś ramiona błyskawicznie i bezszelestnie usunęły posła Lepkiego z pola widzenia. Z dala doszło ich uszu tylko przeraźliwe rzygnięcie. Teksańczycy elegancko nie zareagowali.

- Jesteśmy w stanie zainwestować bardzo poważne sumy - mówił jeden z nich. - W celu stworzenia silnego lobby w Parlamencie, Kancelarii oraz Episkopacie. Ważne by było także przekonanie opinii publicznej, uruchomienie publikatorów.

Senator Kardupell wzruszył w myślach ramionami. Ach, ci Teksańczycy, cały czas mają złudzenia co do opinii publicznej. A kogo, do kurwy nędzy, obchodzi głos ludu w Przenajświętszej? Chociaż, zastanowił się przez moment, może i mają rację? Może sprawa jest na tyle poważna, by wywołać rewoltę? Przypomniał sobie wściekły tłum zdesperowanych prządek, a wiedział doskonale, jak krótka droga dzieli rozpacz od rewolucji.

- Potrzebujemy panów pomocy - kontynuował Teksańczyk. - Pana - zwrócił się do pisarza Konrada Piotra - jako niekwestionowanego autorytetu moralnego, wybitnego pisarza i publicysty, szanowanego przez samego Ojca Świętego. I pana - szkła błysnęły w stronę senatora Kardupella - gdyż od lat znane są pańskie sympatie dla naszej ojczyzny, a poza tym wiemy - tu konfidencjonalny uśmiezek - o pana niedających się przecenić wpływach w Kancelarii i Parlamencie. Oczywiście mam też nadzieję, że skorzystamy z pomocy pana posła, który musiał nas tak niespodziewanie opuścić, gdyż doskonale zdajemy sobie sprawę z jego wpływów wśród polityków młodego pokolenia.

Senator Kardupell szybko zaczął podliczać stronników oraz tych, których można łatwo przekupić lub zastraszyć. Imię ich Legion, ucieszył się, i damy radę.

Chociaż ciężko będzie, oj, ciężko. Lepki też jest niezbędny, ale chapnie, co mu dać. Łapczywe to, młode jeszcze. Zeżre gównem za parę złotych - w senatorze Kardupellu urosło poczucie wyższości zrodzone z doświadczenia i mądrości życiowej.

- To oczywiście jedynie nieoficjalna rozmowa, przyjacielska pogawędka - zastrzegł Teksańczyk, odsłaniając przepiękne, lśniące białe osiągnięcie sztuki ortodontycznej. - Pozwalam sobie jednak mieć nadzieję, że panowie przemyślą problem i będziemy mogli porozmawiać o konkretnych.

Słowo „konkrety” obudziło w senatorze Kardupellu rozkoszny dreszczyk emocji. Teksańczycy wstali jak synchronicznie zgrane lalecзки. Pa, pa - zawołał za nimi radośnie (oczywiście w myślach) senator Kardupell. Już niedługo popłyną kochane pieniążki. Wirtualny strumyczek zasili wiecznie spragnione jeziorka na Kajmanach, Szeszelach oraz Bahamach, w zurskich bankach prowadzonych

przez siwowłosych dżentelmenów, których dziadkowie z taką pieczołowitością przechowywali sztaby złota uzyskane ze sprzedaży dzieł sztuki, włosów oraz złotych zębów. Senator Kardupell uśmiechnął się do własnych myśli, a na głos wypowiedział kilka szybkich, uprzejmych stereotypowych zdań i nawet w oczach tych eleganckich mężczyzn przez chwilę błysnęło znużenie.

- Pragniemy, aby nasze wyjście nie przeszkadzało panom w kontynuowaniu wieczoru. Pozwoliliśmy sobie wydać dyspozycje, by służono panom wszystkim, co najlepsze. - Uśmiechy, ukłony i szczupłe sylwetki zniknęły z pola widzenia.

Eeeech, popierdolim, ucieszył się na darmochę senator Kardupell, bo wiedział, że w Maximie dziwki piekielnie drogie, a on im bogatszy, tym bardziej żał mu pieniędzy.

- Gdzie Szybkospust? - Pisarz Konrad Piotr celowo zaakcentował obraźliwe słowo, gdyż przypomniał sobie ten wstrętny kolorowy bąbel rzygowin wysuwający się z ust posła Lepkiego niczym śmierdząca bańka mydlana.

- U lekarza - wzruszył ramionami Kardupell i załadował trzy wódeczki, jedną po drugiej. - Hopla! - krzyknął radośnie. - Świat jest nasz, kurwa żesz! - Walnął w plecy pisarza Konrada Piotra, czując w sercu nagły przyływ sympatii.

*

Poeta Atlas Symbol ocknął się porażony potwornym bólem. Końcówki czuciowe nerwów były tak bezlitośnie atakowane, że wydał z siebie zwierzęcy, niekontrolowany skowyt.

- Morda w kubeł, gnoju - usłyszał głos.

Nie nienawistny i wrogi, ale jakby nieco znużony, zmęczony bezustannym powtarzaniem. Głos człowieka, który usiłuje wykonać, co do niego należy. I, być może, do niego właśnie należało ciągle powtarzanie: „morda w kubeł, gnoju”.

Atlas Symbol ostrożnie uchylił powieki i rozejrzał się wokół, starając się jak najwolniej poruszać ciężką niczym butla rtęci głową. Był zawieszony w szarówce, gdzie pomarańczowo migał tylko rozjarzony punkcik papierosa. Do nozdrzy doszedł smrodliwy zapach taniego tytoniu. Poeta wyciągnął dłoń i nagle poczuł pod palcami sprężysty opór. Teraz, kiedy oczy przyzwyczyły się już do mroku, zobaczył, że to siatka z cienkich, mocnych drutów. Spojrzał w górę, a potem wokół siebie i serce skoczyło mu do gardła. Był zamknięty w klatce. Tak małej, że nie mógłby się położyć na betonowej posadzce z wyprostowanymi nogami. I tak niskiej, iż mógł w niej stanąć jedynie, bardzo mocno przygarbiając plecy.

- Gdzie ja jestem? - Atlas Symbol w nagłym, instynktownym ruchu podniósł dłoń do ust i zaczął skubać dolną wargę. - Boże mój, proszę pana - zawołał w stronę pomarańczowego ognika. - Co się dzieje?

Usłyszał kroki i ujrzał szarą postać, która powoli wyłoniła się z mroku, zbliżyła i przykleiła do siatki. Stary mężczyzna o zniszczonej, zapuchniętej twarzy i policzkach pokrytych siwą szczecina wydawał się przez moment Atlasowi Symbolowi wysłańcem Opatrzności i zbawicielem.

- Proszę, proszę... Co się dzieje? - Wiedział, jak wygląda areszt, izba wytrzeźwień, dom wariatów, i wiedział również, że miejsce, w którym przebywał, było czymś zupełnie innym.

Stary wzruszył ramionami i przecisnął przez małe oczka siatki wypalonego do trzech czwartych papierosa.

- Sztachnij się, biedaku - chrypnął przyjacielskim tonem.

Atlas Symbol posłusznie, parząc palce i usta, wciągnął dym.

- Szkoda cię, człowieku. - Stary pokiwał głową z ubolewaniem.

Poeta chwycił z całych sił siatkę.

- Dlaczego? Co tu się dzieje?

- Ja tam nic nie wiem. - Stary wzruszył ramionami, a jego twarz nabrała wyrazu chytrej ostrożności. - Ja tu tylko sprzątam - dodał i zaniósł się rżącym, zakończonym pokastywaniem i spluwaniem śmiechem.

- Błagam... - Atlas Symbol gorączkowo zastanawiał się, jak przekonać tego człowieka, aby zechciał mówić. - Ja jestem bogaty, naprawdę, niech pan tylko powie...

- Bogaty? - przerwał mu ironicznie stary. - Ciebie nie ma, człowiek, rozumiesz? Zniknąłeś, ot tak, psssy - strzelił palcami w powietrze. - Nekrologi, pogrążona w bóleści rodzina i takie tam, jasne?

Atlas Symbol zacisnął palce tak mocno na siatce, że druty wpiły się głęboko w ciało.

- To jakiś żart - wybełkotał. - Kurwa mać, kurwa, to jakiś żart, prawda?! - Rozpaczliwie szukał potwierdzenia na twarzy starego, czekał na śmiech, szczęk kluczy w zamku, rubaszne słowa: „co, mało się nie posrałeś w pory, nie?”, a potem pójdą na wódkę, a potem się upiją i obaj będą się śmiać z jego strachu i niepewności wśród poklepywania i pełnych szklanic.

Ale zamiast tego nagły błysk wypełnił pomieszczenie. Rozdygotane jarzeniówki ukazały wnętrze. Atlas Symbol zamrugał porażonymi oczami, lecz mimo to zobaczył wreszcie, gdzie się znalazł. Ujrzał długie rzędy identycznych klatek połączonych ze sobą bocznymi ścianami. W czterech czy pięciu z nich dostrzegł leżących na podłodze ludzi, skulonych, embrionalnie zwiniętych. Porzucone szmaciane kukielki. Stary odskoczył od siatki. Do pomieszczenia weszło dwoje ludzi w białych kitlach. Mężczyzna o lwiej grzywie siwych włosów i kobieta w drucianych okularach, z twarzą o ostrych rysach.

- Awantury? - spytał siwy i zwrócił uważne spojrzenie szarych oczu na starego dozorcę.

- A skąd, panie doktorze. Przecknął się tylko.

- Gdzie ja, kurwa, jestem?! - Światło dodało poecie odwagi. Obecność istot z krwi, kości i ciała wyzwoliła jego energię.

- Jest pan przede wszystkim w towarzystwie kobiety, młody człowieku. - Piorunujący atak szarych oczu. - Proszę się zachowywać przyzwoicie, bo będę musiał pana ukarać.

- Słuchaj, kurwysynu! Otwieraj tę klatkę i wypuść mnie stąd. Nie wiesz, kim jestem, wale?! Co to za szopa? Nowy dom wariatów czy co?

Kobieta uspokajająco położyła wąską dłoń na ramieniu doktora.

- Jest pan w klinice - wyjaśniła ciepłym głosem, tak niepasującym do drapieżnej twarzy. - Proszę się nie niepokoić. Będzie pan miał okazję wziąć udział w eksperymentach naszego zespołu badawczego i w ten sposób przyczynić się do rozwoju nauki.

- Oszalała pani czy co? Jakie eksperymenty?! Kurwa żesz, otwierajcie tę klatkę, bo zapakuję was do pudła na całe życie. Wy nie wiecie chyba, kim jestem?!

Doktor i kobieta wymienili rozbawione spojrzenia.

- Szczerze mówiąc, nie interesuje nas to - powiedział pogodnie siwowłosa lew. - Interesuje nas pan wyłącznie jako tak zwana istota ludzka, potencjalny podmiot i przedmiot prac naukowych. Interesuje nas pan wyłącznie z medycznego punktu widzenia, natomiast pana status społeczny, pana zasady moralne, przekonania religijne czy poglądy polityczne nie zajmują nas i nie będą zajmowały w najmniejszym stopniu.

Poeta Atlas Symbol zamilkł. Poczł, że wdepnął w nielicne kłopoty.

- Jestem bogaty... - rzekł w końcu, niezbyt zgodnie z prawdą.

Jednak doktor nie dał mu dokończyć. Rozłożył ręce.

- To nas również absolutnie nie obchodzi. Nie jesteśmy przecież porywaczami. - Rozbawiony mrugnął do swojej partnerki. - No dobrze... - Przyjrzał się raz jeszcze uważnie Atlasowi Symbolowi, po czym zwrócił wzrok w stronę kobiety. - Wygląda na silnego, wypoczętego - stwierdził. - Zaczynamy jutro...

- Co zaczynamy?! - ryknął wściekle przerażony Atlas Symbol, ale jego słowa zginęły wśród ciemności i huku zamykanych drzwi.

Znów widział jedynie pomarańczowy ogień, to nikiący, to jarzący się na nowo. Opadł na beton, wiedząc, że musi, że powinien coś zrobić. Musi. Ale najbardziej bolesne było to, iż nie wiedział nic. Jutro się dowie, lecz jutro będzie za późno. Tylko tego był pewny.

*

- Chodź, pokażę ci kogoś. - Pierre Chirac odciągnął pisarza Konrada Piotra od pijącego z lubością i mamroczącego coś pod nosem senatora Kardupella.

Sunęli przez przyćmioną ciszę świąteł. Konrad Piotr, pijany i nieważki, grzał się w ciepłe i bezpieczeństwie ramienia swego towarzysza. Stanęli u progu bajecznie rozjarzonej sali.

- Patrz. - Pisarza owionął ciepły oddech Pierre'a. - Oto największy człowiek twoich czasów.

Dlaczego moich? - leniwie pomyślał Konrad Piotr. Czyżby uważał, że sam żyje poza naszym światem i poza naszym czasem, a co za tym idzie, że nie obowiązują go reguły i prawa rządzące tutaj?

Jednocześnie pilnie przyjrzał się wskazanej przez Francuza postaci. To był wysoki mężczyzna o ostrym jak siekiera profilu i czarnych, głębokich, semickich oczach. Kiedy się śmiał, czerwona krecha ust leciutko pękała, ukazując olśniewającą biel zębów. Ale oczy pozostawały tak przejmująco zimne, że pisarzowi Konradowi Piotrowi zrobiło się nagle straszno. Konrad Piotr znał ludzi na tyle, by wiedzieć, że tego człowieka należy się bać. Przez moment ich spojrzenia się spotkały. Czarne oczy przewierciły duszę na wylot, wydrążyły aż do bólu, obnażyły i rozbroiły. Mężczyzna w bajkowo rozjarzonej sali powoli kiwnął głową, jakby w pełnym napięcia powitaniu, i ręką dał komuś znak. Szybki, władczy gest, i nawet nie sprawdził, czy został on zauważony. Wiedział, że zauważony zostać musiał. Ogromny goryl ze srebrnymi wszczepami zamiast oczu podszedł do nich lekkim krokiem kota.

- Pan Światłoniesień prosi - oznajmił tonem bez wyrazu.

Pierre Chirac prawie siłą wepchnął pisarza do sali, a ten zmrużył porażone blaskiem oczy. Pan Światłoniesień nagle znalazł się tuż przy nich. Twarda jak decha dłoń ścisnęła palce.

- Miło mi - zgrzytnął głos. - Czytałem wszystkie pana książki, z ogromnym zainteresowaniem śledziłem pana programy. - Usta nieco bliżej i szept: - Fascynujące doświadczenia, naprawdę, będę zachwycony, mogą panów gościć.

- Dziękuję - odpowiedział twardo Konrad Piotr, nie uciekając ze wzrokiem i wytrzymując lodowato-pałące spojrzenie czarnych oczu.

Czerwona krecha pękała. Uśmiech na tej twarzy wyglądał przerażająco. Pisarz szybko popieścił dwie wódki, jedną po drugiej. Poczul w głowie niezwykłą jasność. Alkohol wyostrzył zmysły do granic możliwości. Zresztą tyle już wypił alkoholu tego wieczoru, że nie był w stanie zapamiętać ani ilości, ani rodzajów trunków. Dobrze, że jeszcze przy poprzednim stoliku niuchnął dwie kreski metakoksu i teraz czuł, że alkoholowe otępienie ustępuje, a wkracza euforyczna energia.

- Kim pan jest? - spytał nagle bezczelnie. - Kim jest facet, o którym mój przyjaciel mówi, że to najwybitniejszy człowiek naszych czasów?

Cisza uderzyła jak obuchem. Mimo gwaru musiano usłyszeć to pytanie i Konrad Piotr, pławiąc się we wrogich spojrzeniach, zrozumiał, że tego rodzaju pytań w tym towarzystwie nie zadawano. Pozwolił sobie w dodatku na drwiący uśmiezek. Pan Światłoniesień delikatnie ujął go za ramię. To dotknięcie, leciutkie niczym muśnięcie wiatru, pewnie skierowało pisarza Konrada Piotra w stronę małego gabinetu. Drzwi zamknęły się z cichym młaśnięciem. Pan Światłoniesień usiadł w skórzanym fotelu i uprzejmym, oszczędnym gestem poprosił pisarza Konrada Piotra, aby spoczął naprzeciw niego. W mroku gabinetu cienie i jasne plamy układały czarno-biały kalejdoskop na twarzy pana

Światłoniesienia.

- A kim pan jest? - spytał cichym, kulturalnym głosem. - Czy pan to w ogóle wie?

- Jestem bankrutem - odpowiedział szczerze i po prostu pisarz Konrad Piotr, ponieważ metakoks pobudzał do szczerości. - Po sześćdziesięciu latach życia zdałem sobie sprawę, że zmarnowałem czas. - Wzruszył nerwowo ramionami. - Nie wiem dlaczego. Mam pieniądze, ale tu - rozpaczliwie wałnął pięścią w pierś - tu jest pusto. Ja już nic nie czuję! Czasem jeszcze zdaje mi się, że budzą się jakieś uczucia, nadzieje, tęsknoty, ale potem dochodzę do wniosku, iż to tylko maska. Żądam od siebie przeżywania i czucia, a więc zmuszam się, by przeżywać i czuć.

- Inteligenckie pierdolenie - warknął nagle pan Światłoniesień i machnął w powietrzu wypielegnowaną dłonią. - Potraficie tylko mętnie gadać, gubić się w gąszczu aluzji i metafor, rozprawiać o niczym słowami, które nic nie znaczą. Zawsze byliście tacy! Czasami można było zrobić coś dla was, ale nigdy i niczego nie można było zrobić z wami.

W pisarzu Konradzie Piotrze obudziło się poczucie winy za całą historię. Zwiesił głowę.

- Co więc mam zrobić? - zapytał i poczuł pod powiekami słony żwir łez.

Był na tyle przytomny, aby wiedzieć, że jednak coś jest nie tak. Metakoks powinien dać mu wiarę we własne siły i entuzjazm, a nie powodować filozoficzno-nostalgiczne odrętwienie.

- Pytałeś, kim jestem. - Pan Światłoniesień wstał i Konrad Piotr poczuł się nagle, jakby siedział w cieniu olbrzyma. - Więc dostaniesz odpowiedź. Niedługo przyjadą po ciebie moi ludzie. Zabierzemy cię na interesującą wycieczkę. Mam rozbudowane plany wobec tego kraju, a ty możesz mi pomóc w ich realizacji. - W głosie zadrgał zły śmiech.

Pisarz Konrad Piotr sięgnął niepewnie do kieszeni.

- Wizytówka - wymruczał. - Dam wizytówkę.

- Nie trzeba. - Pan Światłoniesień urwał ten gest w pół ruchu.

Pisarz Konrad Piotr schował dłoń za siebie.

- Idź do domu i wyśpij się - usłyszał suchy rozkaz. - Masz być w dobrej formie, kiedy po ciebie przyjedziemy.

Pan Światłoniesień odwrócił się nagle. Konrad Piotr bezdźwięcznie poruszył wargami. Wiedział, że każde słowo byłoby tu zbędne. Wymknął się jak zbity pies, prześlizgnął przez salę, zostawił perorującego zawzięcie, pijanego już Pierre'a Chiraca. Z kim ja się, kurwa, zadaję? - usiłował obudzić w sobie gniew. Taki nadęty idiota! Co mnie naszło, że tyle gadałem? Chwycił go nagły wstyd, jakby zrobił coś bardzo złego. Przecież to kryminalista, aferzysta, przestępca, wyjaśniał sam sobie i po chwili wybuchnął śmiechem.

Przestępcy to wszak ludzie w tym świecie normalni i na miejscu, twórcy nowego ładu. Oni właśnie wyznaczają rytm życia metropolii, oni są jej biciem serca i jej oddechem. Oni są bezlitosnymi przywódcami krainy dżungli, oni jedzą, aby nie zostać zjedzonym, ich prawa i normy etyczne zostały przyjęte i zaakceptowane przez społeczeństwo. Wyznaczone przez nich sankcje skutecznie obowiązują, a surowość nie budzi oporu, lecz jedynie tępe przerażenie. Ci, którzy są do tego zdolni, błogosławią sobie dobrodziejstwa mimikry.

Pisarz Konrad Piotr podszedł do rozwalonego w fotelu senatora Kardupella, który zasnął z szeroko otwartymi ustami i teraz głośno chrapał. Przy jego kolanach siedziała półnaga silikonowa blond piękność i popijała drinka, czekając, aż senator się obudzi i będzie mogła znowu zająć się czymś konkretnym. Ale Kardupell zasnął głębokim pijackim snem. W kącikach ust zastygła ślina, z szerokich, różowych niczym wargi sromowe nozdrzy sterczały ciemne kłaki.

Oto zwierzę doskonałe, pomyślał pisarz Konrad Piotr. Ani drapieżca, ani łowna zwierzyna. Po prostu chytry padlinożerca, doskonale wykorzystujący słabość przeciwnika i siłę potencjalnego sprzymierzeńca. Perfekcyjny dojadacz resztek. Drapieżnik odpędza go groźnym warknięciem, nie poświęcając mu uwagi. Lecz perfekcyjny dojadacz resztek staje się bezlitosnym i nieugiętym drapieżcą wobec zwierzyny, w której wyczuje choć cień słabości.

Nieoczekiwanie senator Kardupell z trzaskiem zębów zamknął usta i otworzył oczy. Brudnożółte białka poznaczone siecią krwawych pęknięć. Pisarz Konrad Piotr zawsze podziwiał w nim zdolność prawie natychmiastowej regeneracji. Senator Kardupell był już bowiem znowu niemal trzeźwy i gotów do kontynuowania libacji.

- Gdzie byłeś? - zachrypiał, z trudem pokonując drętwotę języka.

Zerknął na blondynkę klęczącą koło fotela i zaczął mocować się z rozporkiem.

- Pomogę, panie senatorze - szepnęła z uwodzicielskim uśmiechem, a Kardupell pokiwał głową.

- Spotkałem kogoś - wyjaśnił z wahaniem pisarz Konrad Piotr.

Bezszelestny kelner podpłynął i napełnił kielichy złotym, lodowatym szampanem.

- Kogo? - leniwie i w sumie bez zainteresowania spytał senator Kardupell. Palcami prawej dłoni międlił włosy dziewczyny, która solidnie pracowała na otrzymane od Teksasńczyków honorarium.

- Mówi ci coś nazwisko Światłونيسień?

Senator Kardupell wyprostował się nagle, uważny i napięty, jakby jego nozdrza chwyciły upragnioną woń wiodącego do celu tropu.

Dziewczyna cicho jęknęła i zakrzuszyła się nieprzygotowana na to, że kutas senatora wejdzie jej aż tak głęboko w gardło. Ale Kardupell nawet nie zwrócił na to uwagi.

- Adam Światłونيسień? Czy mówi mi coś to nazwisko?! Chyba żartujesz?! - Wzrok senatora Kardupella, bystry, przenikliwy i ostrożny, zawisnął na ustach pisarza Konrada Piotra.

- Nie jestem politykiem ani kryminalistą - powiedział z nietajoną pogardą w głosie Konrad Piotr. - I nie muszę znać kulis waszego świata.

- Nie znać go to nie znać Polski. - Senator Kardupell nie pogniewał się. Pozwolił sobie za to na wygłoszenie sentencji. Poklepał blondynkę po wielkim cycku. Potar mosił przez chwilę napięty sutek.

- No? - ponaglił go pisarz.

Senator Kardupell spojrział chytrze i siorbnał złoty eliksir.

- Najprościej mówiąc, przemytnik - powiedział, odstawiając kielich. - Ale to słowo nie jest odpowiednie wobec człowieka tak wszechstronnego. - Senator Kardupell uśmiechnął się i pisarz Konrad Piotr poczuł raczej, niż zobaczył, że w tym uśmiechu kryje się coś złowieszczonego.

- No! - ponaglił znowu żądny wiedzy, ale jednocześnie aż obolały z niewytłumaczalnego strachu.

- Żywność na Wschód. Głównie żywność, ale też broń, zwłaszcza ciężka, elektronika, maszyny o wyższym stopniu komplikacji.

- A stamtąd? - zdziwił się pisarz Konrad Piotr, który wiedział, że Wschód jest jednym wielkim pobojo wiskiem, wstrząsanym cały czas wojnami pomniejszych watażków.

- Stamtąd? - zdziwił się senator. - Narkotyki, złoto, diamenty - wyjaśnił jak dziecku. - Czasami metale ciężkie i takie tam... A poza tym - zniżył głos - ludzie...

- Ludzie?!

- Głównie kobiety - mruknął niechętnie senator Kardupell. - Do burdeli, filmów porno, filmów śmierci, laboratoriów...

- O czym ty, kurwa, gadasz?! - Pisarz Konrad Piotr poczuł, że musi się napić.

Sięgnął po karafkę, a wódka spłynęła do duszy niczym niebiański nektar. Pił, a potem oddychał głęboko, kątem oka dostrzegając, że dziwka zręcznie wyłapała cały wytrysk na twarz, a potem palcami o długich paznokciach starła spermę na usta i dokładnie wylizała. Kardupell poklepał ją po policzku, a ona wstała i odeszła, kołysząc biodrami.

- O niczym, odpierdol się, co cię to obchodzi. - Senator Kardupell odwrócił wzrok od odchodzącej blondynki i otrząsnął się. - Spierdalaj, kurwa, weź jakieś dziwki, zobacz, co z tym jebanym pijakiem, obudź go, kurwa, albo co, albo nie budź, chuj z nim... Tylko nie pierdol już, nie pytaj, daj się zabawić, w dupę. Popierdolić trochę. Co cię to wszystko obchodzi, gnoju? Siedzisz sobie, jebany, w zamkniętym na cztery spusty domu, myślisz o gównach, piszesz o gównach, jesteś, kurwa, nikt! Jesteś, chuju, gorszy niż my!

Senator Kardupell poderwał się z miejsca. Pisarz Konrad Piotr, wstrząśnięty i ogłuszony, zobaczył jego spoconą twarz, obwisłą skórę poznaczoną szeroko rozwartymi porami. Ale w senatorze Kardupellu nagle coś pękło, powietrze uszło z niego z głośnym sykiem. Opadł na fotel i pisarz Konrad Piotr przez moment, przez zaledwie chwilę wystarczającą na zmrużenie oka, zobaczył go takiego, jakim był naprawdę. Zobaczył starego, zmęczonego i potwornie zgorzkniałego człowieka o beznadziejnie smutnych oczach. Ale zaraz potem szarozółty uśmiech rozjaśnił twarz senatora Kardupella. Lubieżne mrugnięcie małych oczek.

- Przeprowadź jakieś szpary, staruszku. Popierdolisz sobie, co? A i mnie pewnie za chwilę znowu kutas zaswędzi. Nie ma to jak zakisnąć ogóra przed snem i to jeszcze za darmo.

Pisarz Konrad Piotr wolno odwrócił się i otarł pot z czoła. Serce uderzyło mu w żebra, jakby chciało je połamać. Nagle zrobiło się coraz duszniej, powietrze wpłynęło do ust jak gęste wymioty. Ten koks, pomyślał z rozpaczą, jasna cholera, co oni mi sprzedali?

- Muszę się napić - jęknął, nie wiedząc nawet, czy jęczy naprawdę, czy też tylko mu się wydaje, że jest w stanie wydać z siebie jakikolwiek odgłos.

Ale stolik zniknął już gdzieś za szaroburą mgłą. A wokół tylko ciemność i otchłań bez dna, w którą leci się z przeraźliwym strachem. Serce wyskoczyło w górę jak wyrzucone z katapulty i zatrzymało się w ustach, bijąc między zębami, trzepocząc w nich niczym schwytyany karaluch. Lecz najgorszy był taki straszny, straszny żal, że to już koniec wszystkiego.

Rozdział drugi

Amalryk Dymała wspinał się po schodach z lekka ociężałym krokiem, bo też położył się późno spać. A ściśle mówiąc, położył się wcześniej, lecz zasnął dopiero po dłuższym czasie, gdyż trudził się zaspokajaniem swych męskich instynktów. Rzecz jasna w absolutnej ciemności, by nie widzieć zmęczonej, szarej twarzy żony, jej włosów, rzadkich i myszowatych, jej cycków obwisłych jak uszy spaniela.

Cały czas przed oczami miał tę blondynę, Fajową, czy jak jej tam, te blond włosy nastroszone, cyce jędrne, rozrywające bluzkę, i umalowane krwistą szminką usta. Więc spuścił się aż trzy razy, co nie zdarzyło mu się od dawna, lecz żona jak zwykle witała to posłuszną obojętnością, dając się układać, podkładać i nakładać jak mechaniczna, dobrze skonstruowana lalka. Tak że później miał do siebie tylko obrzydzenie, a kiedy zasnął, śnił sen pełen jędrnych cycków i tyłków, pełen ostrego światła i gwałtownych jęków. Tak śnił, że spuścił się po raz czwarty, co zdumiało nawet jego samego. No, ale efekty zarwanej nocy były takie, że teraz szedł zmęczony i w drodze nie rozmawiał nawet z towarzyszącymi mu policjantami.

- Pozwólcie no ze mną - powiedział do młodszego, kiedy już przyjechali.

Weszli do biura, gdzie czekała wyprężona i służbiście uśmiechnięta sekretarka.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - przywitał się Amalryk Dymała. Uważał, że powitanie należało wymawiać pełnym zdaniem. Byli tacy, którzy mówili jedynie „niech będzie pochwalony”, a niektórzy nawet rzucali tylko mimochodem „pochwalony”, zupełnie jakby zamawiali piwo w knajpie. Szubrawcy.

- Na wieki wieków amen - odpowiedziała starsza pani i trafiła uśmiechem również w funkcjonariusza.

Weszli do gabinetu. Amalryk Dymała zamknął drzwi, gestem poprosił policjanta, by usiadł.

- Chciałem z wami porozmawiać o wczorajszej wizycie - zaczął.

- Tak? - Oczy mężczyzny stały się nagle czujne. Amalryk Dymała usiadł za klawiaturą komputera i wstukał nazwisko Wihajsterek. Powoli, uważnie przeczytał dane.

- No właśnie - rzekł jakby do siebie. - To młode małżeństwo ma trójkę dzieci. Doskonała opinia, naprawdę doskonała. Chyba warto coś dla nich zrobić, nie sądzicie?

- A to już jak brat uważa - odpowiedział ostrożnie policjant.

- Zaraz zobaczymy, co tu mamy. - Amalryk Dymała sprawdził listę obywateli w klasie „X”. Tych, których krok tylko dzielił od reedukacji, a potem - Śląska.

- O, właśnie - rzucił. - Ci będą dobrzy. Szumowiny. - Włączył drukarkę i oderwał potem kartkę. Podał wydruk policjantowi.

- Załatwi brat jeszcze dzisiaj wysiedlenie i przydział do obozu... - Poszukał w myślach, który jest najbliższy. - No, w Jachrance, powiedzmy... Materiał mamy wystarczający, opinie, donosy sąsiadów,

brak referencji od proboszcza, tu jakieś skargi o burdy i pobicie, ech, dawno już powinni siedzieć na Śląsku. Ale niech będzie ta Jachranka. Potem zawieziecie do podpisu sędziemu, jeszcze dzisiaj wszystko. A Wihajsterków wsadzimy do tego mieszkania. Należy im się.

- Tak jest. - Policjant złożył pieczołowicie wydruki i schował do kieszeni bluzy.

- Dalej tak: obywatelowi Fai zanieście przydział do robót publicznych. To mu zajmie czas codziennie od szóstej do osiemnastej. - Amalryk Dymała pozwolił sobie utkwić spojrzenie w funkcjonariuszu, po czym wstukał właściwe dane do komputera.

Policjant uśmiechnął się lekko, uśmiechem grzecznym, ale też jakby konfidencjonalnym i porozumiewawczym. Potem kiwnął głową.

- I to by było tyle - podsumował Amalryk Dymała.

- A ci teściowie? - zapytał policjant. - Mówił, że też z nimi mieszkają czy co tam...

- No cóż, to już załatwicie we własnym zakresie - rzekł Amalryk Dymała. - Niech chodzą na spacer. To wszystko.

Policjant wstał.

- Dziękuję bratu - powiedział i Amalryk Dymała czuł, że podziękowanie jest szczere. - Mam u brata dług.

- Nie ma o czym mówić. - Amalryk Dymała po chwili zobaczył już tylko plecy funkcjonariusza i drzwi się zamknęły.

Zręcznie rozegrałeś tę partię, pochwalił się w myślach. Z krzyżakami trzeba jakoś żyć.

Co prawda sam chętnie zabawiłby się z obywatelką Fajową, ale żądze należy powstrzymywać. Zresztą na pewno coś prędzej czy później się trafi. Choćby taka Wihajsterkowa. Aż dziwne by było, gdyby nie przyszła okazać wdzięczności. No, pan Faja nie będzie zachwycony. Ale jak trzeba, to wyśle się go nawet na Śląsk. Do Amalryka Dymały dotarło nagle z impetem i w całej rozciągłości, że ma władzę. Ale z władzy przecież należy korzystać z umiarem. Nieumiarkowani kończą na Śląsku.

Amalryk Dymała, od czasu gdy zszedł z ulicy, zaczął być ostrożny. Żadnego cudzołóstwa, żadnych łapówek, żadnych układzików. Bo to ma króciuteńkie nogi, kiedy jest się pionkiem. Bo na twoje miejsce czeka stu chętnych wilków-żarłoków-denuncjatorów. Raz tylko odstąpił od reguły i skończyło się tryprem. Bogu dzięki, że znajomy lekarz, na którego miał haka, potrafił wszystko wyprostować. Ale ile go to kosztowało strachu. Boże mój, ile strachu. Poza tym trzeba uważać. Tryper, kiła, to wszystko bajki. A enzetbeo? A zgnilica? A escezet? A kaszawica? To są dopiero choroby, Boże chroń, bo przed zgnilicą już nawet kondom nie chroni. Wirusy ponoć hulają poprzez gumę w tę i we w tę. Zresztą niechby któryś doniósł o kondomie. Kariera robi fiuu i odlatuje na wieki wieków amen.

Amalryk Dymała wstał i poprawił plakat z Marią i Dzieciątkiem, który znowu wisiał jakby koślawo. Wyrwał kartkę z kalendarza. Na rysunku przedstawiony był święty Stanisław klęczący przed krzyżem, a obok niego stał rycerz w zbroi i z mieczem w dłoni. Widać, że zadawał właśnie drugi cios, gdyż święty Stanisław nie miał już prawej ręki. Leżała ona obok i Amalryk Dymała zauważył, że palce tej uciętej dłoni są złożone tak, jak gdyby robiły „figę”. A pod spodem, jak zwykle, widniał krótki życiorys i tym razem jedno tylko hasło: „Choć wróg ma siłę i miecze, ja

wierzę w boską pieczę". No i pięknie.

Amalryk Dymała usiadł i z westchnieniem sięgnął po pokaźny stos listów, donosów, podań i petycji. Takie dokumenty przychodziły zwykle standardową pocztą lub były podrzucane na progu biura. Rzadko zdarzało się, aby ktoś odważył się wysłać donos pocztą elektroniczną, najczęściej chciano zachować anonimowość. Amalryk Dymała na razie polecił sekretarce, by przekazywała mu wszystko, co nadejdzie. Trzeba rozeznac się w sytuacji, zobaczyć co i jak, a dopiero potem powierzyć jej pierwszą selekcję. O Chryste, czy ci ludzie muszą tak bazgrać?

Ty huju pierdolony w łeb kszyszaku. Będzieś się smarzył w Piekło i te gnoje z Kurji. Życzę ci tylko żebyś zdechł ciężko, gnido pierdolona, żeby cię gnilec zrzarł, huju...

Amalryk Dymała zastanawiał się przez chwilę, czy nie nadać sprawie biegu. Dałoby się zrobić ekspertyzę grafologiczną i porównać z próbkami, ale w COW-ie nie pochwaliliby go za to. I tak mają dość roboty. Poza tym gdyby człowiek chciał się zajmować każdym takim listem, to nie miałby już nic innego do roboty. Z drugiej jednak strony kto wie czy ten człowiek nie wykonał właśnie pierwszego kroku prowadzącego do następnych przestępstw. Zaczął od listu, a na czym skończy? Na podkładaniu bomb pod kościoły? Jednak lenistwo zwyciężyło i Amalryk Dymała wrzucił kartkę do puszeczka niszcarki.

- Niech ciebie lepiej zeżre - powiedział głośno, myśląc o anonimowym nadawcy, i sięgnął po następne pismo. No, tu przynajmniej staranna, układna i czytelna pisownia.

Szanowny Bracie, pozwalam sobie zająć cenny czas Brata, lecz sprawa, z którą się zgłaszam, jest niebagatelnej, a wręcz podstawowej wagi dla bytu Narodu Polskiego. Otóż w wyniku wieloletnich obserwacji i badań doszedłem do pewnego i niezachwianego wniosku, że Ojczyzna nasza, Państwo Narodu Polskiego, została opanowana przez siły międzynarodowego żydostwa w wyniku masonsko-syjonistycznego spisku. Zarówno władza w Watykanie, jak i władze polskie są agenturą Żydów i masonów, rządzoną z Wall Street i Berlina. Sam papież, jak też prezydent i co najmniej połowa parlamentu oraz episkopatu to Żydzi lub płatni agenci międzynarodowego żydostwa. Jeżeli leży Bratu na sercu szczęście Narodu Polskiego, pójdzie Brat moją drogą. Drogą walki z żydomasonerią w celu obrony wartości Narodowych i Chrześcijańskich. Jeżeli Brat pragnie mi pomóc, proszę dzisiaj o godzinie szesnastej wyjrzeć przez okno i trzy razy machnąć białą chusteczką. Pozostanę z Bratem w kontakcie. Z Narodowym pozdrowieniem. Bojownik.

Amalryk Dymała wziął kartkę do ręki i poszedł z nią do pokoju sekretarki. Położył list na jej biurku.

- Niech siostra wyśle to do Centrum - nakazał. - Oni już będą wiedzieli, co z tym fantem zrobić.

Amalryk Dymała był już znużony. Oczy bolały od ciągłego rozszyfrowywania bazgrołów, palce od ciągłego wstukiwania danych w komputer. Ale nie wolno sobie pozwolić na odpoczynek, należy wejść w rytm pracy, na stałe wjechać w jej koleiny. To drugi dzień, pocieszył się w myślach, z czasem będę coraz lepszy.

Teraz miał sprawę wymagającą najwyższej uwagi. Oto dwa dowody mówiące, że w gabinecie dentysty Paździerkiewicza istnieje tajny punkt aborcyjny. Co gorsza (gorsza, rzecz jasna, dla dentysty Paździerkiewicza), w komputerze była zapisana już informacja o rewizji sprzed czterech miesięcy. Rewizji, która nie przyniosła żadnych rezultatów. Ale przecież nie rewiduje się niewinnych, prawda? Odkryto jedynie standardowe wyposażenie stomatologiczne, nie dopatrzono się również uchybień

podatkowych.

Coś w tym jednak musi być, pomyślał Amalryk Dymała. Coś w tym musi być oprócz zawistnej złości sąsiadów, wkurzonych, gdyż dentyście Paździerkiewiczowi jako specjaliście przysługiwało prawo do własnego jednopokojowego mieszkania, a przecież był w nim jedynym lokatorem.

Aborcja to straszne oskarżenie i należało sprawdzić je z wyjątkową pieczołowitością. W państwie, gdzie jednym z wyznaczników społecznego oraz religijnego zaangażowania jednostki była jej prokreatywność, działania przeciw tejże prokreatywności były zbrodnią główną. W Przenajświętszej zgodzie z nauką Kościoła szanowało się życie ludzkie od momentu poczęcia. Nie było, rzecz jasna, kary śmierci. Winni aborcji podlegali reedukacji. Przeprowadzanej zarówno w obozach rozsianych po całej Polsce, jak i na Śląsku. Tam mogli dokonać szczerego i spontanicznego rachunku sumienia, tam mogli zbawić swe grzeszne dusze. Ale aborcja była zbrodnią i w każde działania wyjaśniające powinna być zaangażowana policja kryminalna, a nie zwykli krzyżacy, czuwający jedynie nad moralnością społeczności.

Lecz Amalryk Dymała wiedział z własnego doświadczenia, że angażowanie kryminalnych wiąże się z dużymi nieprzyjemnościami. Kryminalni byli w miarę niezależni, arogancy i potężni. Szczerze mówiąc, mieli w dupie zarówno krzyżaków, jak i ochotniczych pomocników, a czasami nawet samych księży czy proboszcza. Podlegali bezpośrednio swojemu szefowi, a ten odpowiadał przed ministrem i przed biskupem. Bardzo wysokie progi. Z drugiej strony nie zainteresować się donosem i pozwolić, aby kryminalni rozpoczęli akcję sami, to świadectwo nieudolności, a kto wie, może również współdziału? Amalryk Dymała potarł brodę i syknął, bo zdarł sobie plaster, którym zakleił ranę powstałą podczas golenia.

Problem trudny, Boże mój, ale istniało z niego wyjście. Można po prostu wpisać w planie popołudnia inspekcję prywatnych gabinetów lekarskich, a donosy zwyczajnie... Amalryk Dymała złożył kartki i włożył je gdzieś na spód stosu papierzysk. I tak właśnie jesteśmy czysti, ucieszył się. Wystukał numer wozu policyjnego.

- Patrolowy siedem, zgłaszam się - usłyszał.

- Za pół godziny rozpoczynamy inspekcję, proszę się przygotować - powiedział do słuchawki.

- Jaką inspekcję? - zachrobotał podejrzliwy głos.

- Zobaczycie - odparł Amalryk Dymała i rozłączył się.

Od momentu gdy załatwił sprawę młodego policjanta, poczuł się pewniej, dużo pewniej nawet wobec tego starszego. Kierowcy, znaczy się.

Pół godziny zleciało szybko jak papieska msza czy numerek z dobrą kurwą. Amalryk Dymała wyszedł, przecierając zmęczone oczy.

- Zawiadomiła siostra Centrum? - zagadnął sekretarkę.

- Oczywiście, bracie. Przesłali zaszyfrowaną wiadomość.

O Chryste, westchnął w myślach Amalryk Dymała. Czy taka sprawa wymaga szyfrów? Wrócił do pokoju i włożył kartkę w chłonny pyszczek dekodera. „Odpierdol się, palancie, i nie zawracaj nam głowy takim gównem!” - przeczytał na monitorze. Zmiał w ustach przekleństwo i wrzucił obie kartki do niszcarki. Co za kurwy, pomyślał. I wiedział już, że pogłoska mówiąca, iż ludzie z Centrum

Ochrony Wiary są bardzo, ale to bardzo zapracowani, jest prawdziwa.

- I jak, bracie? - zapytała sekretarka.

- Zdaje się, że mają mnóstwo spraw tego typu. Na przyszłość nie będziemy im zawracać głowy.

- Oczywiście, bracie. Ma brat najzupełniejszą rację.

Kpi? - pomyślał Amalryk Dymała, który w obecności tej kobiety ciągle czuł się wyjątkowo nieswojo. Wyszedł z niezłomnym postanowieniem, że postara się o jej zwolnienie. W końcu najważniejszy jest komfort pracy szefa, nieprawdaż?

Policjanci już czekali. Młodszy, wyraźnie zadowolony, ćmił papierosa, zaciągając się ze smakiem. Cały promieniał samczą dumą i poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

- Wszystko dobrze poszło? - zapytał Amalryk Dymała.

- Tak jest, bracie - dziarsko odparł policjant. - Chłopcy z wywózki zajęli się tamtą meliną. Wihajsterkowie się meblują, sędzia podpisał postanowienie od ręki, a obywatel Faja już w pracy.

- Tak lubię - pochwalił go Amalryk Dymała. - Błyskawice.

Usiadł na tylnym siedzeniu.

- Na Barcelońską - zdecydował.

- Co to za inspekcja? - Starszy policjant nie zapalił silnika, tylko odwrócił się w stronę Amalryka Dymały.

- A co jesteście tacy ciekawscy? - uśmiechnął się Amalryk Dymała uśmiechem, który jemu samemu wydawał się zarówno cwaniacki, jak i podszyty lekkim poczuciem wyższości. - Tak jedziemy sobie... Z ludźmi pogadać...

Silnik zaskoczył. Wjechali w Śródziemnomorską i podskakując na wybojach, skręcili w Barcelońską. W plastikowym, przeszklonym baraku pomiędzy Barcelońską a Kartaginy kłębił się tłum ludzi. Wrzaski i śpiewy krążyły wzdłuż betonowych pudeł, odbijały się od ścian, huczały stugębnym echem.

- Tutaj - rozkazał Amalryk Dymała i zaparkowali przed pierwszym blokiem.

Weszli do drugiej klatki schodowej. Jakiś zabiedzony pies o wyliniącej sierści czekał uporczywie i tak długo, póki but młodszego policjanta nie musnął czubem jego boku. Wtedy dopiero odskoczył z potępieńczym jazgotem. Potem usiadł spokojnie po drugiej stronie ulicy i długo, zajadle drapał się w bok, idiotycznie zadzierając pysk ku niebu.

- Które piętro? - znudzonym głosem zapytał starszy policjant, sprawiając wrażenie, że oto znalazł się w towarzystwie rozkapryszonego dziecka, które zmusza go do uczestniczenia w jakiejś przerażająco mało zabawnej grze.

- Dziewiąte na przykład - rzucił Amalryk Dymała.

- Nie masz szacunku dla mojego wieku, chłopcze? Myślisz, że wczółgam się aż na dziewiąte?

- Jeśli będzie trzeba, to i wczółgasz się, bracie - odparł twardo Amalryk Dymała, bardzo mocno akcentując ostatnie słowo.

- Po co tam idziemy?

Amalryk Dymała niejasno zaczął coś podejrzewać. Czyżby macki aborcji sięgały tak daleko? W milczeniu wszedł na schody. Policjanci chcąc nie chcąc ruszyli za nim. Przez zdartą do szarego betonu powierzchnię ściany biegł brudnożółty napis: „Chrystus was osądzi”, a pod nim czarny gryzmoł „White power”.

- Sprawdźcie, kto jest opiekunem tego bloku - przykazał Amalryk Dymała. - Niech jutro o dziewiątej zamelduje się u mnie.

Na drugim piętrze jeszcze gorzej. Bardzo wyraźnie wyryte na ścianie: „Pierdolta się!”, a niżej napis farbą, w której kolorze ciężko się było rozeznaczyć: „Pastuchuj”.

Do czwartego piętra wszystko szło gładko, ale między czwartym a piątym starszy policjant zaczął sapać i złapał się za pierś.

- Nie idę dalej - wychrypiał. - Pierdolone serce mnie przez ciebie zajebie, synu...

- Pomóż mu - nakazał Amalryk Dymała młodszemu policjantowi, starając się, by jego głos zabrzmiał lodowato. - Jeżeli ktoś chce służyć Bogu i Ojczyźnie, musi być silny! - wygłosił sentencję prosto w sufit pocięty smugami sadzy.

Poszli wyżej. Jakaś kobieta rozwieszająca bieliznę na korytarzu zapiszczała przeraźliwie, a potem gęsto się tłumaczyła i ciągle kłaniając, towarzyszyła im aż do siódmego piętra. Przy tym bełkotliwie wygłaszała bliżej nieokreślone skargi i prosiła o pomoc. Trwało to tak długo, dopóki Amalryk Dymała nie odpędził jej jednym niecierpliwym ruchem ręki. Na ósmym piętrze wciągnął głęboko powietrze nosem, a potem zaczął węszyć jak ogar na tropie. Policjanci zaniuchali razem z nim.

- Bimberek - powiedzieli chórem i uśmiechnęli się do siebie, jakby znaleźli Wyspę Skarbów.

- Co z tym robimy? - wydyszał starszy policjant.

- Wpadniemy na kielicha? - przymrużył oko młodszy.

- Jak będziemy wracać - zdecydował Amalryk Dymała.

Nielegalny wyrób alkoholu, czyli, mówiąc ludzkimi słowami, pędzenie bimbrowy, było zagrożone surowymi sankcjami. Nic dziwnego, jeżeli pomyśleć, że Przenajświętsza największe zyski czerpała ze sprzedaży wódki swym obywatelom. Dlatego też wszelką konkurencję bezlitośnie tępią, powołując się na artykuł mówiący o „sabotowaniu filarów gospodarki państwowej”. Ale jednocześnie w praktyce władza podchodziła do bimbrowników łagodnie. Raczej grzywny niż obóz reedukacji, raczej napiętnowanie w kościele niż Śląsk. Nawiasem mówiąc, napiętnowanie w kościele było najlepszą reklamą mety. Tłumy waliły wtedy dzień i noc.

Dlaczego tak było, dlaczego na bimbrowników patrzyło się z jakąś dziwną pobłażliwością? - tego Amalryk Dymała nie potrafił sobie wytłumaczyć. Oczywiście inaczej rzecz wyglądała, kiedy władze łapały zagorzałych recydywistów. Wtedy delikwenta czekał obóz na Śląsku. Ale przyznać trzeba, że na bimbrowników nie wysyłano zbyt wielu donosów. Ba, Amalryk Dymała wiedział, że bardzo często całe bloki zakładały małe spółdzielnie zarabiające na produkcji alkoholu. No i zdarzało się, że do tych właśnie spółdzielni należeli zarówno krzyżacy, jak i czarniacy.

Wreszcie zatrzymali się na dziewiątym piętrze. Solidne, podwójne drzwi i wizytówka „doktor

stomatologii Pantaleon Paździerkiewicz". Dymała zastukał knykciami. Dwukrotnie i dość mocno.

- Kto tam? - zza drzwi odezwał się ostry kobiecy głos.

- Inspekcja osiedlowa. Przełożony ochotniczych pomocników Kościoła Dymała i załoga wozu patrolowego siedem - odezwał się Amalryk bardzo, ale to bardzo oficjalnym tonem i wręcz smakował każde wypowiedziane słowo. - Proszę otworzyć.

Odpowiedziało mu milczenie. Głucha cisza, a potem coś jakby stukot obcasów i głos gdzieś z głębi. I rumor.

- Wyważajcie - rozkazał.

- Jest brat pewien?

- Wyważajcie! - rzucił już ostrzejszym tonem. Policjanci od niechcienia i z wyraźnie dostrzegalnym brakiem przekonania oraz zapалу parokrotnie kopnęli w drzwi. Ale solidna, wzmacniana metalem płyta i framugi bez trudu wytrzymały ten atak. Amalryk Dymała postanowił sam dać przykład. Rozpędził się i huknął w drzwi barkiem. Odbił się, siadł na ziemi, zajęczał, pocierając ramię.

- Strzelajcie w zamek! - wrzasnął wściekle.

Starszy policjant oparł się o ścianę, powolnym ruchem wyciągnął papierosa i zapalił go. Zaciągnął się leniwie.

- Rozkaz na piśmie proszę - powiedział bynajmniej nie proszącym tonem.

Dymała drżącymi dłońmi przeszukał kieszenie. Wreszcie wyjął notatnik, wyrwał zeń kartkę i opierając ją na drzwiach, zaczął bazgrolić. Podał ją starszemu policjantowi. Ten nie przyjął.

- Pieczętka.

Znów wściekle buszowanie. A pieczętka, kurwa, została w samochodzie. Razem z telefonem. Boże mój, wezwałbym kryminalnych, pomyślał Amalryk Dymała. Jak Boga kocham, wezwałbym.

- Nie mam - warknął. - Została w aucie!

Starszy policjant rozłożył dłonie z udawanym współczuciem i ironicznym uśmieszkiem przyklejonym do twarzy. Dymała doskonale wiedział, że gdy zejdzie sam, wszystkie ślady zostaną zatarte. Jeżeli wyśle jednego z policjantów, to okaże się po prostu, że pieczętka w wozie nie było. Boże, daj zachować cierpliwość. No dobrze, co ma wisieć, nie utonie.

- Wracamy - poddał się, ale kopnął po raz kolejny z wściekłością w drzwi. - Ja do was jeszcze przyjdę - zakrzyczał i usłyszał, jak jego głos dudni w betonie bloku.

- Zobaczymy, co z tym bimbrem - powiedział łagodnie starszy policjant. - Przyda się bratu dobry kielich.

Amalryk najchętniej udusiłby faceta własnymi rękoma. Spojrzał w te przymrużone, zatopione w fałdach tłuszczu chytre oczka, na ten wąski wąsik skrywający górną wargę, na ten perkaty nos z białoczubym syfem na samym końcu i aż go kusilo, aby przywalić twardą pięścią prosto w tego właśnie syfa.

- Macie rację. - Z trudem opanował złość. - I z tamtym też mieliście rację. Nie miałem pieczętki,

moja wina. Trudno.

- Ale skontrolujemy ich. - Policjant uśmiechnął się zwycięsko. - Wrócimy tu, bracie. Sprawdzimy wszystko.

Amalryk Dymała doskonale wiedział, że nie ma po co wracać i czego sprawdzać. Już za godzinę, może pół, ba - może za dziesięć minut wszystko będzie w najlepszym porządku. Po prostu szanujący się gabinet stomatologiczny. Skurwysyny, ach, mój Boże, jakie skurwyżeszyny.

Jedno piętro połknęli jak zgłodniałe charty w czasie polowania. Pięścią w drzwi, kopniak jeden, drugi, trzeci. Na korytarzu słodki zapach bimbru. Wyraźnie sączy się z mieszkania numer dwadzieścia siedem.

- Kto tam? - zły głos zza drzwi.

- Otwierać, chuj - zawrzęsnał młodszy policjant. - Bo będę strzelał w zamek.

O, tak, pomyślał Dymała, teraz wierzę, że byście strzelali. I nawet nie pomyślelibyście o pieczętce ani rozkazie na piśmie. Swołocz, jak Boga kocham.

Tymczasem za drzwiami usłyszeli podenerwowane głosy, rwetes, nawet zapach bimbru stał się jakby bardziej intensywny. Młodszy policjant jeszcze raz kopnął w zamek, aż po klatce schodowej poszło echo.

- No co, kurwa, mam strzelać? - krzyknął, robiąc oko do kumpla.

Słychać było szcęk zasuw, chrobot zamków i drzwi się uchyliły. W szczelinie dostrzegli zarośniętego osobnika o gorylej twarzy i łapach przypominających utyłane w błocie bochny chleba.

- No co jest? - Starszy policjant wszedł, lekko odsuwając goryla, jakby nie był on gorylem, a niewinnym, dobrodusznym makakiem.

Smród bimbru zaświdrował im w nozdrzach.

- Łech, łech, łech - zaśmiał się młodszy policjant, a w tym śmiechu wszyscy czuli już oczekiwanie dobrej zabawy.

Amalryk Dymała ruszył za nimi, ale dość niepewnie. W dużym, prawie pustym pokoju zobaczył sześć kotłów z zacierem stojących na gazowych kuchenkach. Para, wędrując labiryntami chłodnic, skapywała sobie spokojnie, kap, kap, do dużych szklanych baniaków, przemieniając się w dziewięćdziesięcioprocentowy eliksir radości. Na polówce, pod starannie zabitym deskami oknem, leżał rozchełstany obywatel i głośno chrapał z szeroko rozdziawionymi ustami. W środku różowej, zaślinionej jamy widać było istne karczowisko spróchniałych pni. A między kotłami stał szczupły okularnik z wąsikami.

- De-gus-tacja! - zawołał młodszy policjant i twarz okularnika rozluźniła się, a goryl z przedpokoju wybuchnął głupkowatym, rehotliwym i rżącym śmiechem.

- Zapraszam - powiedział okularnik łagodnym głosem człowieka kulturalnego i wykształconego. - Przejdźmy do drugiego pokoju.

Otworzył drzwi, a tam ciemne skórzane fotele, stolik o blacie z przydymionego szkła, duży czarny zestaw kwadro. Z głośników sączyła się delikatna, łagodna muzyka. W środku dwie kobiety i mężczyzna, a na stole pękate koniakówki wypełnione przezroczyстым płynem, duża butelka

niemieckiego soku, talerzyki z chlebem, śledziami i kiełbasą.

- Czym chata bogata - zachęcił okularnik i gestem zaprosił ich do środka. - Mamy trzy smaki: zwykły bimber, śliwkowy i jałowcowy a la gin. Który panowie życzą? Może być też nalewka na wiśniach i pomarańczówka. Wszystko domowy wyrób. Właśnie zaczynaliśmy...

- Nie ma to jak czyściocha - westchnął starszy policjant. - Prawda?

- A jak - potwierdził młodszy. - Pijemy, aż oślepiemy, co?

- Gwarancja najwyższej jakości - uśmiechnął się okularnik. - U mnie bezwypadkowo. Nasz klient, nasz pan. - Pstryknął niecierpliwie na goryla, a ten zaraz wniósł na tacy trzy pękate kieliszki, słodkie bobasy z dużymi brzuskami.

- Proszę siadać. - Wskazał gościom sofę i wolny fotel.

Amalryk Dymała rozparł się w fotelu, policjanci na sofie.

- Przedstawię państwa, jeśli można - rzekł ugrzecznionym tonem okularnik. - Oto pani Danuta. - Czarnowłosa, mocno umalowana kobieta kiwnęła energicznie głową. - I pani Joasia. - Trójkolorowa blondynka, tak na oko ze czterdzieści lat, uśmiechnęła się. - I pan Janek. - Mężczyzna o urodzie Rudolfa Valentino czy też, jak kto woli, prowincjonalnego fryzjera frywolnie pomachał im bogato upierścienioną dłonią. - A to pan Amalryk Dymała i nasza dzielna załoga z wozu patrolowego numer siedem.

- Co, co? - zapytał zdumiony Amalryk Dymała. - Skąd pan wie?

- Spodziewałem się panów prędzej czy później - wyjaśnił z uśmiechem okularnik. - A wiedza jest najznamienitszym orężem. Ale mniejsza z tym. Wypijmy za miłą znajomość i za wzajemne zrozumienie. - Wzniósł kieliszek.

- Rach, ciach, ciach, babkę w piach - powiedzieli policjanci.

- Pijmy, bo się ściemnia.

Amalryk Dymała jednym płynnym ruchem wlał zawartość kielicha do gardła, wciągnął głęboko powietrze i zaczął dyszeć jak wyrzucona na brzeg ryba. Czarnowłosa pani Danuta szybko wetknęła mu w macającą na oślep dłoń kawałek razowego chleba. Amalryk Dymała prawie że wsadził go sobie w nos i wciągnął głęboko w nozdrza kojący zapach.

- Jezus - powiedział już nieco uspokojony. - Ale towar, jak Boga kocham.

- Jasny gwint - potwierdził młodszy policjant.

- Kurwa mać - dodał z podziwem w głosie starszy.

- Cieszę się, że smakuje. - Okularnik uśmiechnął się szeroko. - Może śledzika? - Podniósł talerzyk, a oni ze smakiem zakąsili.

Amalryk Dymała poczuł już słodkie, ociążałe ciepło rozplływające się po ciele. Rozparł się w fotelu jeszcze wygodniej i leniwie żuł śledzika. Powinien właściwie wracać do domu, ale uzmysłowił sobie, że tak naprawdę to ma mnóstwo czasu. Po prostu mnóstwo. Jak miło siedzieć tu przy złotym świetle gazowych lampek, słuchać atlasowej muzyki czule pieśczonej uszy, tonąć w wygodnym fotelu i chłeptać ten rozkoszny trunek, od niechcienia pogryzając śledzika oraz kiełbasę.

Ot, kulturalni ludzie, pomyślał Amalryk Dymała, zastanawiając się jednak, tak półświadomie, czy trzeba będzie donieść na nich wyżej czy też nie. Ale raczej chyba trzeba będzie. Chociaż szkoda, bo meta jest niezła. Ale, ale... Zaraz, a jeśli oni...? No bo skąd wiedział, nazwisko i w ogóle? I taki w sumie pewny siebie, a więc? A więc pytanie chyba brzmi: kto? Kto ich ochrania? Proboszcz? Dzielnica? Nie przypomina przecież zwykłej meliny. Amalryk Dymała miał skalę porównawczą, bo pamiętał przecież dobrze te gorzelnie, gdzie na podłodze, w wymiotach i szczyinach, leżały pokłady pijaków, ktoś z rżeniem kopulował, a ktoś inny zgarniał garściami ciepły zacier z kotła i wcierał sobie w pysk, jęcząc z nadmiernej rozkoszy. Jest chyba różnica, prawda? Dymała z pełnym respektem uwielbieniem popatrzył, jak kryształowa nić bimbru wplata się w jego kieliszek. Westchnął z błogą radością i wydawało mu się, że w tym momencie jest całkowicie szczęśliwy.

- Najlepszego.

- Aby nam się - odpowiedzieli policjanci.

Amalryk Dymała jednym płynnym ruchem wlał zawartość kieliszka do gardła, wciągnął głęboko powietrze i zaczął dyszeć jak zmęczona gangbangiem dziwka. I znów ten kojący zapach razowca i znów mlask, mlask, przeżuł śledzika, a ciepełko rosło w nim, wielkie już teraz niczym pałac prymasa.

- Opowiem wam kawał - zachichotała pani Danuta. - Wiecie, jak się nazywa Żyd zakopany głową do ziemi? Co? No, wiecie?

Wszyscy pokręcili głowami, że nie wiedzą, a pani Danuta zasłoniła dłonią przyczernione zębki.

- Żydkiwka! - parsknęła i złapała ją czkawka.

- Nu, palewoj - rozbawili się policjanci, a potem, kiedy mieli już pełne kieliszki, unieśli je zgranym ruchem, niczym jednojajowe bliźniaki.

- Pitu, pitu, chlastu, chlastu, nie mam rączek jedenastu.

- A ja jestem chłopak z Bródna, nikt mi w picciu nie dorówna.

Amalryk Dymała jednym płynnym ruchem wlał zawartość kieliszka do gardła, wciągnął głęboko powietrze i zaczął dyszeć jak bokser po dwudziestej rundzie.

- Ciabarachciachciach! - zawołał, łupiąc kieliszkiem w blat stołu.

- Sraka! - odezwał się rudolfovalentinopodobny dżentelmen, starając się przypalić filtr papierosa. - Sraka! - Zaśmiał się do siebie i upuścił papierosa na podłogę.

- Pijcie! - zakrzyczała trójkolorowa pani Joasia. - Czarniaki i krzyżaki piją! A kto nie wypije, tego we dwa chuje! - zakończyła zaśpiewkę, rezygnując z rymu na rzecz efektu. Klepnęła mocno w plecy nadal czkającą panią Danutę. - Danką, przestań, kurwa twoja!

- Sraka! - powtórzył, rozglądając się groźnie, rudolfovalentinopodobny dżentelmen. - Sraka!

- Chlup w ten głupi dziób.

- Chluśniem, bo uśniem.

Amalryk Dymała jednym płynnym ruchem wlał zawartość kieliszka do gardła, wciągnął głęboko powietrze i zaczął dyszeć jak polski górnik. Trafił śledzikiem prosto do ust, a potem przez długą chwilę zlizywał olej z palców i wyjadał cebulkę, która nie wiedzieć czemu trafiła za niezbyt czyste paznokcie.

- Ja to tak, kurwa, lubię. - Machnął dłonią. - I jakby ktoś coś chciał, no to wiecie gdzie, nie? No, właśnie, ja ludzi porządnych nie skrzywdzę, nie? - Poklepał młodszego policjanta w ramię.

- Pewno, że nie - przyznał policjant. - Kawał z ciebie chuja, ale fajny facet jesteś. Brudzia?

Obcałowali się śliskimi ustami i czule przytulili. Zaczęli klepać zajadłe misiaczki.

- Mów mi... - Amalryk Dymała nie dowiedział się, jak ma mówić młodszemu policjantowi, bo ten nagle puścił rozległego, pięknego pawika, trafiając częściowo w Amalryka Dymałę, częściowo w oparcie fotela, a częściowo w podłogę.

- Ty obrzygańcu, ty! - wrzasnęła histerycznie pani Danuta, jakby ktoś zardzewiałym pilnikiem przejechał po szkle.

- Sraka! - odkrywczo zawołał rudolfovalentinopodobny dżentelmen, a młodszy policjant otarł rękawem usta i widać było, że się wstydzi.

Cały pokój ułożył się na leniwie wirującej karuzeli, a dźwięki dochodziły jakby z daleka czy zza ściany. Ktoś się śmiał histerycznym, czkawkowym chichotem, ktoś darł mordę, a przynajmniej rozdziawiał usta na całą szerokość, bo głos ledwo co płynął w ociążonym powietrzu. Ktoś tłukł szklanką w blat stołu. Amalryk Dymała obracał się w fotelu niczym widz w kinie o czterech ekranach. Patrzył to przed siebie, to na lewo, to na prawo, to w tył, wciąż niewinnie zdumiony nagłą zmianą obrazów. Bo oto pani Danuta jeszcze przed chwilą chichotała radośnie z głową przechyloną do tyłu, teraz nagle po powrotnym obrocie fotela siedziała spokojnie, a dwie baniaste półkule cyczków wysuwały się z rozchełstanej białej bluzki. A w cyckach tych leniwie gmerał rudolfovalentinopodobny dżentelmen, na którego twarzy wyraźnie odbijała się walka, jaką toczył z własną słabością. Walkę chyba przegrywaną, o czym mogło świadczyć zaistnienie tęczowego szlaczka na dywanie. Rudolfovalentinopodobny dżentelmen miał coś w ustach, żuł, przełykał. Być może resztki własnych wymiocin, a być może tylko powstrzymywał się, by znów nie krzyknąć: „Sraka”.

Jedynym punktem constans stał się młodszy policjant, który zasnął oparty o bok sofy, skulony, z zastygłym na twarzy wstydem i małym kolorowym stalaktytern zwisającym z kącika warg. Starszy policjant i pani Joasia też podlegali nieustannym przeobrażeniom. Oto przed chwilą byli ubrani, a już nie są, oto przed chwilą pani Joasia była na górze, teraz jest na dole, oto przed chwilą cały ekran wypełniał biały tyłek pani Joasi, a teraz główne miejsce zajmuje jej szybko poruszająca się grzywa trójkolorowo blond włosów.

Amalryk Dymała odwrócił się do nich plecami i zatopił wzrok w grubych brązowo-szarych zasłonach z lizanego pluszu. W źrenicach czuł ich miękkość. Nadal nie dochodziły do niego żadne dźwięki i był bardzo szczęśliwy w tym świecie, do którego udało mu się właśnie trafić.

Wyciągnął się wygodnie w fotelu, podkładając dłonie pod głowę, i leniwym, lekkim ruchem lewej nogi powodował drobne skręty fotela raz w prawo, a raz w lewo. Czuł, że zgromadził w sobie wszechogarniającą i wszechpotężną moc. Wiedział, że jednym skinieniem dłoni mógłby wybić dziurę w betonowej ścianie, jednym gniewnym ruchem brwi zabić człowieka. Mógłby też unieść się w powietrze, przeniknąć przez szybę i zasłony. Mógłby pożegłować w noc. Mijając kopułę chmur i smogu, wzbić się pod gwiazdy. Mógłby już nie wracać na powierzchnię i żyć w przestworzach pośród aniołów o białych skrzydłach i satelitów.



Atlasa Symbola z półsnu przepełnionego koszmarami i zwidami obudziło skrzypnięcie drzwi. Czujnie uniósł głowę i rozejrzał się w ciemności niewidzącymi oczyma. Obrócił się to na lewo, to na prawo, jak zwierzę instynktownie czujące zagrożenie i chcące wywęszyć, z której strony ono nadejdzie. Usłyszał szept, a potem starcze pokaszływanie, szurające kroki i znowu skrzypnięcie drzwi. Nagle poczuł za kratami czyjś oddech. Ciemność rozciął ołówkowy promień światła dobiegający z maleńkiej latarki. Po chwili potrzebnej na akomodację wzroku poeta Atlas Symbol ujrział twarz kobiety, która przedtem zjawiała się wraz z lwiogrzywym lekarzem.

- Pan nazywa się Atlas Symbol, czy nie tak? - Szept tchnął wraz z zapachem szpitalnych chemikaliów.

- Tak, tak - gorączkowo potwierdził poeta, pragnąc wierzyć, że oto otwiera się furka wolności.

- Niech pan słucha. Niech pan uważnie słucha. Mogę pana uratować, przynajmniej chwilowo, przeprowadzić, ale niech pan nie robi żadnych głupstw.

- Tak. Proszę... - Poczuł, jak jego serce zaczyna mocniej bić i pojawia się nadzieja. Wiedział, że w jego głosie dźwięczy żarliwe błaganie, ale wcale się tego nie wstydził.

Kobieta pomajstrowała przy zamku i siatkowe drzwi uchylły się. Chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. Poeta Atlas Symbol poczuł jej mocne szczupłe palce na nadgarstku. Wyszli na korytarz. Pod drzwiami stał stary stróż i ćmił papierosa, parząc palce.

- Pan wraca, panie Czesiu - zarządziła kobieta ostro.

Stary ponuro kiwnął głową, zamruczał pod nosem coś, co brzmiało jak: „będą z tego, kurwa, kłopoty” i szurając butami, zniknął w ciemności.

- Co tu się dzieje? - wyszeptał Atlas Symbol. - Gdzie my, na Boga, jesteśmy?

- Za mną, proszę, za mną. - Kobieta nerwowo pociągnęła go korytarzem wzdłuż rzędów zamkniętych białych drzwi.

Na końcu korytarza skręcili w lewo. Otworzyła kluczem drzwi i kiedy znaleźli się już w środku, pieczołowicie je zamknęła. Opadła na fotel stojący bokiem do dużego białego biurka. Na blacie przymglonym światłem paliła się nocna lampka.

- Niech pan siada. - Zmęczonym gestem wskazała mu krzesło pod ścianą.

Poeta Atlas Symbol pokornie usiadł, ciesząc się chwilą wolności. Otarł dłonie o spodnie, a potem przeciągnął nimi po twarzy i starał się palcami przyczesać włosy. Wiedział, że muszą wyglądać okropnie. Rozcapierzone na wszystkie strony, brudne i matowe. Przez moment jakąś dziwną wesołość obudził w nim fakt, że nawet w takiej sytuacji potrafi jeszcze myśleć o swym wyglądzie.

- Jest pan w naszym tajnym laboratorium... - powiedziała kobieta.

Otworzyła szafkę biurka, wyjęła z niej dwa plastikowe kubki i małą butelkę. Rozlała ją do końca, jeden kubek wyciągnęła w stronę poety Atlasa Symbola. Ten wypił duszkiem, łapczywie wysączejąc

wódkę do dna. Gwałtownie złapał powietrze w piersi i wypuścił je z głębokim świstem.

- ...w centrum badań medycznych. Testujemy nowe leki i nowe kosmetyki. Wykonujemy zamówienia najpoważniejszych firm światowych.

- Chryste! - Dopiero po chwili do poety Atlas Symbola dotarł właściwy sens tych słów. - Źeście, kurwa, chcieli zrobić ze mnie szczura! Królika!

- Na początku prowadzono doświadczenia tylko na zwierzętach, ale potem przyszła dyrektywa, by rozszerzyć badania na ludzi - wyjaśniła kobieta zimnym, pozbawionym emocji głosem. - Piecze się dwie pieczenie na jednym ogniu. Przeprowadzamy bowiem selekcję materiału ludzkiego, eliminując osobniki nieprzydatne z punktu widzenia społeczeństwa. Narkomanów, alkoholików, kryminalistów, homoseksualistów i tym podobnych. Z drugiej strony i na Zachodzie, i na Wschodzie cenią nasze badania, no i dobrze płacą.

- Jezusie... - Poeta Atlas Symbol poczuł, że serce zaczyna mu łomotać w samym gardle, a organizm domaga się wódki. Dużo, kurwa, dużo wódki. - Żeby oni o tym wiedzieli...

- Oni? Znaczą nasi partnerzy z Unii czy Japonii? - Kobieta roześmiała się szczerym, wesołym śmiechem. - Niech pan nie będzie naiwny! Oczywiście, że wiedzą. Próbowali podobne doświadczenia robić u siebie, ale mają za bardzo rozbudowany system kontrolny i zaliczyli kilka wypadków. Zlecili więc właśnie nam tę odpowiedzialną pracę.

Poeta Atlas Symbol zacisnął dłonie w pięści tak mocno, że wydawało mu się, iż pękną mu ścięgna i żyły.

- Odpowiedzialną pracę - wyszeptał wyschniętymi wargami. - A co ze mną?! - ośmielił się zapytać i wiedział jedno: cokolwiek się stanie, nie da się wziąć żywcem.

- Uratuję pana - powiedziała tak po prostu. - Zapamiętałam pana twarz z okładki książki. - W zimnym nosowym głosie zadrgała nagle nuta rozrzewnienia. - Pisał pan piękne wiersze... Cóż, spróbuję więc panu pomóc.

- Jak?

- Stąd nie ma wyjścia. Mogę pana tylko przerzucić do transportu, gdzie trafiają obiekty nieprzydatne do badań.

- Do transportu? Jakiego transportu?! Dokąd?

- Na Śląsk - odpowiedziała cicho.

Poeta Atlas Symbol głęboko nabrał tchu. Poczuł, że ręce znowu zaczęły mu drżeć. Och, kurwa, jak bardzo by się napił!

- To lepsze, naprawdę. - Kobieta pochyliła się w jego stronę. - Przynajmniej nie będzie bolało. Tak jak tutaj. I będzie pan żył. Może się panu uda... - nie skończyła, bo przecież sam wiedział, że nic nie może się udać. Ze Śląska nie ma powrotu.

Ale Atlas Symbol doskonale zdawał sobie sprawę, że wszystko było lepsze od perspektywy zostania obiektem laboratoryjnych badań. Kiedyś, dawno temu, czytał raport ekologów (powstały jeszcze w czasach, kiedy wolno było pisać niecenzurowane raporty, a ekologom nie dawano szansy osobistego zapoznawania się ze śląskim skażeniem) dotyczący okrucieństw wyrządzanych

zwierzętom. I była to lektura zarówno obrzydliwa, jak i przerażająca.

Jezu Chryste, a teraz robią to wszystko na ludziach! W Polsce, to prawda, że w Polsce, ale przecież te skurwysyny z - jak to się mówi - „cywilizowanego świata” doskonale wiedzą, w jaki sposób powstają wyniki. I nic ich to nie obchodzi! Zresztą niby dlaczego miałyby obchodzić? W końcu zajmowali się nami tylko wtedy, kiedy można nam było coś ukraść, czegoś nas pozbawić, w jakiś sposób nas wykorzystać. I zostało tak do dzisiaj. Tyle że coraz mniej jest już do ukradzenia.



Pisarz Konrad Piotr podniósł powieki, które wydawały się tak ciężkie jak gnieźnieńskie wrota. No, w dzisiejszych czasach może należałoby powiedzieć „berlińskie wrota”, gdyż zabytek ten znalazł zasłużone schronienie w niemieckim muzeum. W każdym razie Konrad Piotr, kiedy tylko uniósł powieki, zobaczył podwieszane na plastikowym pręcie trzy przezroczyste butelki. Powędrował wzrokiem dalej, dostrzegając, że przezroczysty przewód połączył butelki z jego ręką.

Żyję, pomyślał mętnie, przypominając sobie niedawne (a może dawne, bo któż wie ile czasu minęło) pijaństwo. Rozejrzał się i zobaczył wbudowany w ścianę ekran, końcówkę sieciowego podłączenia, drzwi prowadzące zapewne do łazienki, abstrakcyjny kolorowy sztych na ścianie oraz bukiet kwiatów w wazonie z zielonego szkła. Poruszył dłonią, prawą, bo w lewej ręce, podłączonej do kroplówki, czuł odrętwienie, i nacisnął przycisk w ścianie. Prawie natychmiast i bezszelestnie otworzyły się drzwi. W progu stała lekarka w śnieżnobiałym kitlu. Pisarz Konrad Piotr momentalnie nabral do niej zaufania, widząc poważną, skupioną twarz, wysoko podpięte włosy i duże okulary w plastikowych oprawkach.

- Dzień dobry - przywitała go ciepło. - Nazywam się Melissa Kacperek i jestem pana osobistym lekarzem. Bardzo się cieszę, że wraca pan do sił.

- Chuj tam, a nie wracam do sił - pisarz Konrad Piotr ledwo wydobył zdanie z zaciśniętego i wyschniętego gardła. Ciekaw był, jakie wrażenie wywrą wulgarnie słowa na nieskazitelnej lekarce.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - Ona wydawała się nie słyszeć nawet tych słów, czy raczej tego jednego słowa.

Podeszła i z lekkim uśmiechem na ustach sprawnym ruchem poprawiła poduszkę pod głową pacjenta.

A niby dlaczego miałyby się dorosła kobieta obrażać na takie słowa? - pomyślał pisarz Konrad Piotr. Na pewno miała go w cipie, ustach, pewnie i w tyłku, a może nawet we wszystkich tych trzech miejscach naraz, więc o co tu się w ogóle urażać?

- Pić - wychrypiał, zastanawiając się, co mu strzeliło do łba, żeby zaraz po wyjściu z komy poświęcać czas tak idiotycznym myślom.

Do jego ust trafiła łyżeczka pachnącego, aromatycznego soku. A potem druga, piąta, dziesiąta. Pisarz Konrad Piotr poczuł się bardzo szczęśliwy. Lewa dłoń kobiety opierała się nad jego karkiem i podtrzymywała głowę, prawa poiła go, uśmierzając ból wyschniętego gardła; W tej czynności pojenia było coś abstrakcyjnie seksualnego, jakiś podprogowy erotyzm, i pisarz Konrad Piotr z

zażenowaniem zorientował się, że ma erekcję. Choć oprócz zażenowania poczuł również ulgę, bo wiedział, że w jego wieku i w ciężkim stanie zdrowia mogą się przytrafić różne zaburzenia w funkcjonowaniu organizmu. A akurat to zaburzenie bardzo, ale to bardzo by mu nie odpowiadało.

Odsunął głowę, bo nie chciał więcej pić, i lekarka posłusznie cofnęła dłoń z napełnioną już łyżeczką.

- Co wyście mi zrobili? - zapytał, wiedząc, że żyje i żyć będzie.

Melissa Kacperek ułożyła jego głowę na poduszce tak delikatnie, jakby była ona (oczywiście głowa, a nie poduszka) z chińskiej porcelany.

- Przeszedł pan zapaść. Nie zawał, ale zapowiedź zawału. Jeżeli będzie pan pił tyle, co dotychczas, stanie się pan naszym częstym gościem. Albo będzie pan musiał wymienić serce, wątrobę i nerki.

Pisarza Konrada Piotra zabolowały te brutalne słowa. Jak nie pić, pomyślał, kiedy tylko ona została. Ta nasza matka - gorzałka, pocieszycielka ubogich duchem, pani zwidów landrynkowych, życiodajna słodycz.

- Mam prawie sześćdziesiąt lat - powiedział. - A to sporo jak na nasz kraj, nieprawdaż?

Zdanie trąciło oczywistą herezją. Ale tu, w szpitalu miłych Bogu owieczek, wolno było mówić wszystko. Dlatego Melissa Kacperek tylko się uśmiechnęła.

- Jest pan jeszcze młodym, silnym mężczyzną. - Poglądziła pisarza Konrada Piotra po głowie, jakby był niesfornym dzieckiem upierającym się przy głupiej zachciance. - Będzie pan żył długo, tylko trzeba dbać o siebie. Niech pan pomyśli o ludziach, dla których pańska śmierć byłaby tragedią...

Konrad Piotr spojrział na nią w milczeniu, a potem wybuchnął śmiechem. Nazbyt gwałtownym, wkluwającym się boleśnie pod serce. Przecież mnie nikt nie kocha i nikt nie będzie po mnie płakał, pomyślał z nagłym przerażeniem. Nie zostawię po sobie żadnego śladu w ludzkiej pamięci oprócz tych kilkunastu tysięcy stron, które po mojej śmierci będą wydawane aż do urzygu, a które i tak mało kto przeczyta.

Mój Boże, powinienem coś zrobić, czegoś dokonać. Przymknął oczy, a jego dłonie, prawie tak białe jak prześcieradło, opadły niczym skrzydła martwego ptaka. Lekarka cicho wyszła z pokoju, potem ktoś siadł na krześle przy drzwiach i pisarz Konrad Piotr przez następne godziny słyszał tylko miarowy, spokojny szelest przerzucanych stron. Szelest, który nawet mu nie przeszkadzał, choć był więcej niż pewien, że ten ktoś na pewno nie czyta jego książki.

Rozdział trzeci

W budzie ciężarówki znajdowało się kilkadziesiąt pasażerów. Co najmniej kilkadziesiąt, i poeta Atlas Symbol czuł smród potu, zakrzepłej krwi oraz strachu. Ludzie stłoczyli się, przytulili do siebie niczym dzikie zwierzęta, aby grzać się od własnych ciał, aby czerpać siłę od innych, aby czuć się częścią wspólnoty, nie być jednostką, samotną, zagubioną i bezbronną. Choć byli przecież

wszyscy zarówno samotni, zagubieni, jak i bezbroni. Byli ziarnem, które zmielą Młyny Boże. Bezlitośnie, bezosobowo i beznamiętnie zmielą na proch, nie pozostawiając żadnej szansy ucieczki i nie dając łaski odkupienia grzechów.

W ciężarówce bardzo szybko zrobiło się duszno i Atlas Symbol otarł pot z czoła, policzków, ust. Czuł na wargach słony smak. A jeżeli za chwilę ciężarówka zatrzyma się? - przebiegło mu przez myśl. Do środka włożą gumową rurę, przez którą buchną sine dymy spalin? Nie, kurwa, nie wolno tak myśleć. To nie wojna, żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, jesteśmy cywilizowanymi ludźmi. Boże mój, jesteśmy w samiuteńkim środku Europy, w tej kolebce rzymskiej, śródziemnomorskiej kultury. Ale to przecież ta sama kultura, gdzie narodzili się Savonarola, Torquemada, Loyola, to stąd przyszły Żelazna Dziewica, garota i stosy, to stąd wyruszyły statki Pizarra i Corteza, to tu zrodziły się chrześcijaństwo, komunizm, faszyzm oraz to właśnie stąd trzy brodate potwory, a potem dwóch wąsatych psychopatów trzęsło światem i połykało ludzkie istnienia niczym nastolatka chipsy. To tu wreszcie działy się te wszystkie straszne rzeczy. Tu i na wschód od nas...

Jakie więc mamy prawo mówić o europejskiej cywilizacji, europejskiej kulturze i europejskich wartościach? Czy tak naprawdę jesteśmy w czymś lepsi od mudzahedinów? Czy jesteśmy lepsi od tych, którzy ostatnich izraelskich Żydów spalili na wielkim stadionie w Hajfie i transmisję z tego pokazu emitowali na cały świat? Czy jesteśmy lepsi od burzycieli Notre Dame, którzy na wielkim wybetonowanym placu pozostałym po budynku urządzili miejsce modlitw do Proroka?

Ciężarówka zahamowała raptownie i ludzie przewalili się do przodu. Coś twardego wbiło się poecie między łopatki, jednocześnie czuł, jak jego łokieć wchodzi miękko w czyjeś ciało. Usłyszał jęk kobiety.

- O, przepraszam - wymamrotał. - Przepraszam bardzo...

Ciężarówka ruszyła i wtedy wszyscy poleciecieli do tyłu. Atlas Symbol przewidział to, przytulił się do ściany, zapał, w efekcie w ramionach wylądowało mu coś ciepłego, niedużego, o dziwo, w tym smrodzie potwornym coś, co pachniało perfumami. Kobieta nie uwolniła się z jego uścisku, zresztą nie bardzo miała jak, bo wokoło zamieszanie, ciężarówka rozgaworzyła się przekleństwami, i „kurwa twoja mać, ty palancie”, i „spierdalaj z moich pleców”, i „gdzie się, chuju, pakujesz”, i „bo jak cię jebnę, pizdolcu”, i jakiś jeszcze taki delikatny krzyk, pełen rozpacz i inteligentnej bezradności: „moje okulary, przepraszam państwa, czy ktoś nie widział moich okularów?”. A wtedy w tej pełnej posapywań i przekleństw ciemności wybuchnął śmiech i ludzie znów, chociaż na moment, stali się ludźmi... „No, może zejdziesz mi z nogi, panie”, „weź ten łokieć”, a ktoś nawet: „pomacajmy, może te okulary się znajdują...”. I znów rozległ się śmiech na to macanie... „Już ja cię sama pomacam” - odezwał się wesoły kobiecy głos, ale zaczęli szukać. Zjednoczyła ich wspólna sprawa znalezienia tych pieprzonych okularów, dawno już pewnie leżących na podłodze, połamanych i rozbitych przez dziesiątki przewalających się ciał.

- Gdzie nas wiozą? - poeta usłyszał cichy szept przy uchu.

- Wszystko będzie dobrze - odparł wymijająco, bo przecież wiedział dokąd jada, ale wymienianie tej nazwy, tej przeklętej nazwy, byłoby tylko dodatkową torturą. Zupełnie niepotrzebną, gdyż na tortury nadejdzie jeszcze czas.

Kobieta odsunęła się nieco, ale nie na tyle, by nie czuł nadal ciężaru jej ciała. Ich rozmowa zakończyła się na tej krótkiej wymianie dwóch zdań i milczeli, aż wreszcie ciężarówka zatrzymała

się, a warkot silnika umilkł. Ktoś na zewnątrz zgrzytnął zamkiem, metalowe drzwi rozwarły się na oścież.

- Wychodzić na rampę! - huknął wzmocniony megafonem głos.

Więc wychodzili ostrożnie, zeskakując na betonową nawierzchnię, aż wreszcie wszyscy znaleźli się na zewnątrz. Atlas Symbol zauważył jednak, że większość osób trzymała się blisko ciężarówki, jakby jej ciepłe, ciemne wnętrze było ostatnim azylem, który ciężko na zawsze i ostatecznie opuścić.

Na torze dostrzegł lokomotywę z kilkoma doczepionymi wagonami, obok niej kilku nieuzbrojonych policjantów i człowieka w szarym płaszczu stojącego przy dużym kartonowym pudle. Podchodzili do niego kolejno i każdy dostawał plastikową litrową butelkę wody oraz jakąś wypchaną mlecznobiałą torebkę foliową. Policjanci niedbale wskazywali, że należy wsiadać do pierwszego wagonu. Przedziały były zwyczajne. Siedzenia brudne, porwane i postrzępione, ślady rzygowin na oparciach, podłoga lepka od brudu, poniewierające się strzępy papierów, w kącie kubeł z zatęchłą wodą i gnijącą szmatą, od kibla zawiewał smród kału i moczu, zresztą nic dziwnego, bo sedes po brzegi załadowany był różnokolorowym gównem. Ot, taki zwykły polski prowincjonalny wagon, codzienność wiecznego i nieśmiertelnego PKP.

Do każdego przedziału wepchnięto mniej więcej po dziesięć osób, więc trzeba przyznać, że władza zapewniła im luksusowe warunki przewozu. I tylko zamiast okien były stalowe blachy, a zamiast szyb na korytarz jednolita masa z twardego plastiku. No i, rzecz jasna, policjanci zamknęli drzwi na klucz. Aż do końca nikt nie wyjdzie z przedziału, choć jeśli podróż się przeciągnie, a policjanci będą w humorze, to wypuszczą co bardziej potrzebujących (i potrafiących opłacić tę przysługę).

Resztę wagonów zapcha zapewne ładunek z następnej ciężarówki, a potem dołączą normalne, osobowe, tyle że ludzie z osobowych wysiądą w Częstochowie, może nawet w Lublińcu czy Myszkowie, bo to ostatnie miejscowości przed prawdziwym Śląskiem. Pierwszy wagon natomiast pojedzie dalej: do Sosnowca, może Gliwic, Katowic czy Kędzierzyna. Obojętne w końcu, gdyż wybierać można tylko między mniejszym lub większym złem. I tak nikt nie przeżyje dłużej niż kilka lat, a nie będą to łatwe lata, na pewno nie. Większość zdechnie zresztą w ciągu pierwszych dwóch. Wypadki przy pracy, zabójstwa, pijaństwo, kary dyscyplinarne, skażenie środowiska - zbiorą obfite żniwo. Ale to nikogo nie obchodziło, bo transporty wciąż szły, a dzielne matki Polki wciąż rodziły i rodziły, i nawet wysoka śmiertelność niemowląt nie mogła zmienić tego stanu rzeczy.

Poeta Atlas Symbol trafił do drugiego przedziału. Zaraz też zobaczył, że czterech facetów siadło naprzeciw siebie i nie interesując się już niczym innym, wyciągnęli przetłuszczone karty i zaczęli grać. Oprócz nich znalazła się tam jeszcze babina z siwymi włosami związanymi kolorową chustą, młoda dziewczyna z rozmazaną maską ostrego makijażu na twarzy, chudy, niski facet z przerzedzonymi włosami, mrużący oczy krótkowidza, stary mężczyzna o siwych, sumiastych wąsiskach zażółconych nikotyną i sąsiadka Atlasa Symbola z ciężarówki - trzydziestoparoletnia na oko, niewysoka kobieta o smagłej, energicznej twarzy, obciętych na pazia włosach i płaskich piersiach.

- Jestem Elwira - powiedziała, ściskając rękę poety Atlasa Symbola. - Trzymajmy się razem, dobrze?

Atlas Symbol kiwnął szybko głową i przedstawił się. Nieco niewyraźnie i cicho, ale kobieta

usłyszała widać dobrze, bo jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Nawet pan? Boże mój... - zamilkła ponuro. Poeta nie zamierzał tłumaczyć, że jego uwięzienie i zesłanie są jedynie tragiczną pomyłką, zresztą było to nieważne. Ważne było tylko, że jechali tym pociągiem. I ważne było, dokąd prowadziły tory. Mimo grozy całej sytuacji Atlas Symbol odczuł dziwne zadowolenie z faktu, iż kobieta rozpoznała jego nazwisko. Szczerze mówiąc, rzadko się to zdarzało, zwłaszcza że tomiki jego autorstwa ukazywały się w niskich nakładach i wegetowały gdzieś w podrzędnych księgarniach oraz na niezbyt popularnych stronach internetowych. Zresztą, Boże mój, pomyślał poeta Atlas Symbol, kto w dzisiejszych czasach czyta wiersze oprócz niewielkiego grona poczciwych i sentymentalnych idiotów?

- A pani za co, jeśli można, oczywiście...?

Babina w kolorowej chustce siedząca naprzeciw nich wyglądała jak znieruchomiały w słońcu żółw. Oparła pięści na kolanach, uważna i słuchająca. Elwira wzruszyła ramionami.

- To nie tajemnica - powiedziała. - Rok temu wysłano mnie do ośrodka, błędy i tak dalej... Moralność, sam pan wie, jak to jest. Byłam dziennikarką i parę rzeczy poszło nie tak, jak trzeba. Teraz w ośrodku zdecydowali, że potrzebuję ostrzejszej terapii. - Uśmiechnęła się gorzko, odsłaniając żółte od nikotyny zęby.

- Dlaczego?

- A kto to wie? - Wzruszyła ramionami. - Myślisz, że powiedzieli dlaczego? Sądzę, że powoli zmierzamy do idealnego rozwiązania, kiedy oskarżony nie zna ani nie rozumie swojej winy oraz wyroku i nie przedstawia mu się żadnych możliwości poprawy.

- Ale jednak to nie Wschód - mruknął poeta Atlas Symbol. - Istnieją pewne ograniczenia. Nawet dla nich. Są prawa, jakie są, ale są, a tam, pomyśl, jak tam jest... - Sam zdumiał się, że broni tego systemu, tak przecież znieawidzonego. I to systemu, który wtrącił go do pociągu w jedną stronę: na Śląsk.

Elwira przytaknęła bez przekonania.

- Nie znam się na polityce - odparła. - Zajmowałam się kulinariami...

Cholera, poeta Atlas Symbol nic nie powiedział, ale pomyślał, że jeśli system zabiera się już za arestowania kucharek, to musi gonić w nielichą piętękę. Bo co może być złego w opracowywaniu przepisów pod tytułem: „Dziesięć sposobów na pyszne placuszki z obierzyn”? Chyba że zamknięto ją za sprawy niezwiązane z zawodem, ale o to nie wypadało już dalej pytać.



Senator Kardupell siedział już w swoim biurze. Czarny blat, wielki niczym płyta lotniska, gościnne, miękkie jak sen fotele. Dwaj Teksaszczyki czuli się w nich wyraźnie nieswojo. By sięgnąć po pękatą złotą lampkę, musieli podnosić się i głęboko wychylać. Senator Kardupell z uwagą oglądał plany, kosztorysy i porozumienia pojawiające się na ekranie monitora. To, rzecz jasna, tylko wstęp. Wstęp do wielkiej akcji, ale musiał przecież wiedzieć, o co będzie walczył, i już po lekturze

pierwszych stron zorientował się, że walka nie będzie łatwa. Teksańczycy bowiem chcieli ni mniej, ni więcej, tylko cały kwadrat na linii Gołdap, Ełk, Augustów i aż do starej granicy przerobić na tysiące działek, które kupi potem Towarzystwo Humanitarnej Pomocy Polsce im. Tadeusza Kościuszki, zainteresowane stworzeniem centrum ekologicznego oraz strefy wysokiego bezpieczeństwa. Zważywszy, że właśnie te tereny pływały na ropie, pomysł mógł być trudny do przeforsowania.

Ostatnia strona dokumentu była najbardziej interesująca. Kontrakt dla firmy senatora Kardupella jako konsultanta współpracującego z Towarzystwem. Kontrakt na zawrotną sumę. Po prostu zawrotną. Ale Teksańczycy wiedzieli, że jest się o co bić. Jeżeli wytrysk Przenajświętszej wpłynie w bezdenne łona światowych firm paliwowych, równie dobrze mogą się powiesić. Ogromna ilość ropy na rynku zaburzy kruchą strukturę porozumień naftowych, która i tak już ciężko przeżyła ograniczenie arabskiej produkcji oraz izolację Rosji i odcięcie świata od jej przebogatych złóż.

Senator Kardupell był pewien, że w tej samej chwili toczą się podobne rozmowy w Kancelarii Prezydenta. Z kim w Kancelarii? Na pewno z szefem gabinetu politycznego, przełożonym prezydenckich spowiedników i z garderobianym. Może z kimś jeszcze? Ale ci wystarczą. Prymas i sekretarz Episkopatu to następni.

Z Sejmu marszałek Capgut, marszałek od ilu już kadencji? Od wieków, kurwa, od wieków... W tej chwili mogą zlekceważyć nawet nuncjusza. Chociaż nie, po co robić sobie wroga? Przecież gdyby ropa trysnęła, papież mógłby całować w zadek byle polskiego proboszcza. Watykan nigdy nie pozwoli, aby Przenajświętsza stała się bogata. Utraciłby jedyne pastwisko, jakie jeszcze posiadał na szerokim świecie. Jedyne laboratorium eksperymentalne, w którym dokonuje się doświadczeń na wiernym owczym stadku. W tym właśnie miejscu interesy Teksańczyków i Watykanu się spotykały.

Inna rzecz, iż o wiele wygodniejsza, ba, wręcz zbawcza, była misja Teksańczyków, którzy chcieli zamknąć Suwalskie, odgradzić, odseparować i może najwyżej odetkać kurek za kilkadziesiąt lat. Ale przynajmniej rozpoczęliby jakieś inwestycje, a Watykan najchętniej zapomniałby o całej sprawie i włożył geologiczne ekspertyzy pod sukno. Zresztą jak zwykle Watykan i każdy z tych przeklętych papieży myśleli tylko, jak wyszarpać z Polski krocie pieniędzy, oferując w zamian stek pobożnych bzdurek i kilka wagonów świętych obrazków. Tak było od zawsze, tak jest i tak będzie. Im bardziej ubodzy i zrozpaczeni byli Polacy, tym lepiej miał się polski Kościół. Bogate, syte społeczeństwo było ostatnią rzeczą, jakiej mogli sobie życzyć świętojeblowi.

Kto mi da więcej? - pomyślał senator Kardupell. I co ważniejsze, kto wygra? Jeśli stanę po niewłaściwej stronie, będę najwyżej bogatym emigrantem, zaśmiał się sam do siebie. Ale wytrysk Suwałk zbyt go przerażał. Nie sięgał nawet tak daleko myślą, by zastanawiać się nad wszelkimi światowymi implikacjami tego wydarzenia. Doskonale wiedział, że to może radykalnie i na zawsze zmienić oblicze Przenajświętszej, zburzyć ustalony ład i porządek, rozbebeszyć z trudem zasłane łóżeczko, roztrącić klocki. Figury przestaną cokolwiek znaczyć. Pionek przemieni się w hetmana, dama dostanie króla do towarzystwa. A senator Kardupell zbyt lękał się zmian, by stanąć po stronie Niemców lub Japończyków. Teksańczycy gwarantowali słodkie *status quo*.

Minął przecież czas powstań i podobnych idiotyzmów. Polska była niegdyś jak dobra tłusta samica jesiotra. Kiedy się ją dobrze wyjebało, wtedy dawała dużo kawioru. Ostatnio sytuacja się pogorszyła, ale teraz wszystko wydawało się wracać do normy.

Senator Kardupell z zazdrością pomyślał o tych, którzy jako pierwsi skorzystali z dobrodziejstw

tak zwanych „transformacji ustrojowych” po upadku komunizmu. Jakie to były cwane złodziejachy - aż pokiwał głową w podziw. A wszystko tak pięknie opakowane, że niby dla dobra kraju, że prywatyzacja, że zastrzyk obcego kapitału. No i jedyny kapitał, jaki się zwiększał, to zagranicznych firm oraz ich własny.

A majstersztyk z wchodzeniem do Unii Europejskiej na początku wieku? Z negocjatorami kupionymi wcześniej przez Niemców oraz Francuzów? Negocjatorami, którzy natychmiast otrzymali suto opłacane posadki za to, że sprzedali polskie interesy? Zresztą i tak potem Polskę wyjebano z Unii na zbity pysk, przy okazji rabując z niemal wszystkiego, co było jeszcze cokolwiek warte. I wtedy senatora Kardupella aż coś zabolalo w sercu, że tamta swołocz ukradła i sprzedała niemal wszystko, co było do ukradzenia i sprzedania, a jemu samemu zostało tak niewiele. Na szczęście pojawiała się suwalska szansa...

Senator Kardupell pograżył się w myślach tak głęboko, że uprzejmy Tekszańczyk musiał powtórzyć drugi raz ostatnie zdanie. Pokiwał więc głową i zaczął perorować w swojej nienagannej oksfordzkiej angielszczyźnie, która - być może - gdyby byli w innym kraju, peszyłaby tych Tekszańczyków mówiących z wyraźnym południowym akcentem.

- Widzę w tym planie pewien potencjał. - Uśmiechnął się. - Ale będę z panami szczerzy. Parlament rządzi się swoimi prawami i nawet jeśli wykorzystam wszelkie możliwe wpływy, rzecz może się okazać nie do przeprowadzenia. Panowie wiedzą, ile trzeba się nabiegać za tym stadem? I jeszcze żeby decydowały względy merytoryczne! Ale nie... - Pokręcił głową. - Jasio nie lubi Stasia, więc będzie głosował przeciwko niemu. Czesio odszedł do innej partii, więc jak jego starzy koledzy się zgodzą, to on na złość im... Ech - przerwał. - Co ja wam będę tłumaczył? Sami panowie wiedzą, jakiej hołoty tam nasprawdzano, czasami człowiek nawet nie wie, ile komu trzeba dać w łapę. Tak więc - podsumował - nie jestem w stanie niczego zagwarantować.

- Miejmy jednak nadzieję, że pańskie kolosalne wpływy oraz ogromny szacunek, jakim się pan cieszy, pozwolą przekonać Parlament do naszego planu... - powiedział uprzejmie Tekszańczyk, chyba zaskoczony przemyślaną szczerością senatora. Potem obaj wstali.

Przez zapomnienie, na pewno przez zapomnienie, zostawili w gabinecie pękatą skórzaną teczkę. Potem, kiedy wyjdą, senator Kardupell zanurzy drżące z pożądania palce w tej teczce, rozkoszując się twardym dotykiem ciasno upchanych paczek z banknotami. A każda taka paczka będzie mu śpiewała pieśń zwycięstwa. To oczywiście tylko sumka przeznaczona na koszty reprezentacyjne, tylko początek wielkiego eldorado... Oczywiście gotóweczka, tak by nie pozostawić żadnych śladów w globalnej sieci finansowej. Zresztą gotóweczką najlepiej się płaci tu i tam, z pełną dyskrecją...

Nadszedł więc czas, aby werbować sojuszników. Czas rozpętać antyniemiecką kampanię. Zjedzą nas, olaboga! zatrują cały kraj, oszukają, faszyci przekłęci, kapitalizm bez ludzkiej twarzy, na krwi i pracy polskiego robotnika utuczają się jak te wszy bez mała. W dodatku tam mordują dzieci i nie wierzą w Przenajświętszą Panienkę. Kościoły przerobili na kluby, kawiarnie, sale gimnastyczne i dyskoteki. No nie - senator Kardupell zaśmiał się w kułak. Tym argumentem nie można szermować. Założę się, że większość Polaków chętnie zatańczyłaby na ołtarzach, a przynajmniej na spasyłych cielskach swych świątobliwych pasterzy. No, ale za to opowiemy o odwiecznej przyjaźni polsko-amerykańskiej i o Kościuszcze, co za wolność naszą i waszą...

A co do Japończyków? Ci byli trudniejszymi graczami. Ich kraj coraz gorzej radził sobie bez surowców. Próbowali zastępować ropę syntetycznymi produktami, próbowali przestawiać tory

gospodarki, ale jednak się nie dało. Ropa naftowa znaczyła o wiele mniej niż jeszcze dwadzieścia czy trzydzieści lat temu, ale nadal była cenniejsza od złota. Bo bez złota dało się żyć. A bez ropy - nie. Dlatego senator Kardupell wiedział, że Japończycy zrobią wszystko, aby dostać kontrakty i rozpocząć w Polsce kontrolowane wydobycie. Nagle sam zastanowił się nad własnymi myślami. Wszystko? Czy mogą posunąć się do fizycznej eliminacji przeciwników własnego projektu? Wzdrygnął się. Nie, nie, pocieszył sam siebie, rozsądny handlowiec najpierw stara się kupić konkurenta. Zabija go dopiero w ostateczności...

Konrad Piotr trzymał głowę wysoko, bo poduchy ułożono mu na szpitalnym łóżku w pokaźne wzgórce. Senator Kardupell usiadł naprzeciwko niego i pisarz czułymi nozdrzami wciągnął zapach francuskiej wody po goleniu zmieszany z zapachem dobrego koniaku. Poseł Lepki przechadzał się nerwowo po pokoju, a w jego oczach zastygła wieczna już żalność kaca. I ból tak wielki, jak w oczach krzyżowanego Jezusa. Bo, niestety, poseł Lepki nie brał sobie do serca rad senatora o tym, by kaca leczyć za pomocą medycznych zabiegów oraz farmaceutycznych wynalazków. Pozostawał przy starej metodzie „klina klinem”, ale nawet ona nie za bardzo już chciała pomagać.

Nie rozmawiali o niczym ważnym. Jakżeby można? Pokój przecież z całą pewnością był nieustająco monitorowany. Swoją drogą ciekawe, kto przegląda potem raporty? *Quis custodiet ipsos custodes?* - odwieczny dylemat rządzących. Goście wpierw więc czule dopytali się o zdrowie pisarza Konrada Piotra, a ten poskarżył się na pragnienie i klucie pod sercem. Na to poseł Lepki zajęczał, że też go kłuje pod sercem i też ma pragnienie, zresztą jak ma nie kłuć, kiedy człowiek tyle się napatrzy na biedę w ojczyźnie. A senator Kardupell skrzywił się i zaznaczył, że nie ma jak transfuzja oraz orzeźwiająca kąpiel z uroczą pokojóweczką, albo nawet dwiema czy trzema. I że choćby dlatego warto, kurwa, no naprawdę, kurwa, warto być bogatym...

Pisarz Konrad Piotr domyślił się, że ci dwaj już zdecydowali, co robić, i że stanęli po tej, a nie po innej stronie barykady. Jeśli wygrają, ich życie w jeszcze większym stopniu zacznie przypominać piękną bajkę. A jeśli przegrają... Cóż, odjadą na ciepłe wyspy, pod palmy, na piasek złoty, i zrobią wszystkim: pa, pa... W końcu jak Rzeczpospolita Rzeczpospolitą nigdy tu jeszcze nie uczyniono krzywdy kolesiom, znajomkom i przyjaciołom. Owszem, odstawiano ich czasami na boczny tor, ale zawzięcie broniono przed jakimikolwiek oskarżeniami i, nie daj Bóg, więzieniem. Tak jeszcze było za PRL, za III Rzeczypospolitej i tak było teraz za Przenajświętszej. Stawiano tylko jeden warunek: korzystaj sobie, skurwysynu, do woli z tego, co nakradłeś, ale nie wolno ci kłapać dziobem! Pogódź się z porażką i w ciszy oraz spokoju korzystaj z uciulanego majątku. I w związku z tym nikt dziobem nie kłapał, a złodziejska solidarność jednoczyła nawet zawziętych wrogów.

Pisarz Konrad Piotr nie chciał już stawać po niczyjej stronie, pragnął tylko, aby dano mu święty spokój. Dość nacierpiał się i nawalczył, by zdobyć margines samodzielności, by nie bać się już nikogo. A teraz ci dwaj przyszli do niego i znowu chcieli, aby wybierał, uczestniczył w jakiejś brudnej walce, machinacjach i podchodach. I po co mi to? - pomyślał pisarz Konrad Piotr. Dla następnego miliona lub dziesięciu? Co to zmieni w moim życiu? Że zamiast willi i dwóch samochodów będę miał kilka domów i kilkanaście samochodów? A może kupię sobie jacht oceaniczny? Tylko po co? Aby stracić i jacht, i życie na rzecz buszujących po morzach piratów? A może kupię sobie prywatny odrzutowiec? Żeby martwić się, czy kiedyś te tony żelastwa nie spadną wraz ze mną z wysokości kilku kilometrów, a ratownicy nie będą w stanie rozpoznać, czy to spalony ja czy spalony fotel?

- Jestem chory - powiedział, przerywając senatorowi Kardupellowi w połowie jakiegoś

dowcipu. - Jestem chory - powtórzył. - Będę musiał zrezygnować z wielu zajęć.

A oni dobrze zrozumieli, że ma na myśli nie tylko działalność twórczą, ale również uczestniczenie w przeróżnych stowarzyszeniach, fundacjach oraz organach doradczych, które, chociaż nieznane większości obywateli, w znaczący sposób wpływały na decyzje prominentów Przenajświętszej.

Gdyby pisarz Konrad Piotr wsparł Teksańczyków, nawet dyskretnie, byłby to as w rękawie, karta przetargowa, gdyż on mógł przekonać wielu. Nie mówiąc już o tym, że ku wiecznemu zdumieniu senatora Kardupella pisarz Konrad Piotr był znany i lubiany przez zwykłych ludzi. Jego programy telewizyjne oraz sieciowe, pełne pasji i humoru, balansujące na wyznaczonej przez cenzurę oraz poczucie dobrego smaku granicy, przyciągały przed monitory miliony ludzi. Umiał mówić mową prostaków, trzeba mu przyznać, a przy tym robił to w tak elegancki sposób, że zadowalał nawet bardziej wysublimowane gusta. Potrafił zrozumieć słabych, a uderzyć w silnych. Jeśli tylko chciał. A czasami, przez jakąś dziwną przekorę, chciał.

Oczywiście: kto liczył się ze zwykłymi ludźmi? Z tą pozbawioną własnych przekonań tłuszcza? Ale czasami ta właśnie tłuszcza okazywała się niebezpieczna i niesterowalna. I mogła przeważać w walce. Senator Kardupell zbyt dobrze znał historię, aby nie wiedzieć, iż takie rzeczy zdarzały się nie raz i nie dwa. Kiedy na dworach oraz w pałacach ścierały się koterie dostojników, potem przychodził wściekły lud i solidarnie wszystkich skłóconych wieszał. Tak mogło być i tym razem, więc warto było się pokusić o przeciągnięcie na swoją stronę całego tego bydła zamieszkującego Przenajświętszą.

- Jestem chory - powtórzył znowu, tym razem jeszcze twardszym głosem, pisarz Konrad Piotr, a senator Kardupell nagle spoważniał, zaś poseł Lepki starał się skoncentrować zamglony wzrok.

- Bardzo sprytnie - powiedział senator po długiej chwili. - Tak czy inaczej, każdy przyjmie cię z otwartymi rękoma, prawda? A ty spokojnie sobie poczekasz na zwyciężcę, co?

- Nie wiem. - Konrad Piotr przymknął oczy. - Nie wiem, coś mi się śni czasami, wiecie? Jakieś głupie koszmary. O handlarzach ludźmi, o doświadczeniach medycznych, o torturach, o filmach, na których zabija się naprawdę... Chyba się starzeję albo umieram, albo cholera wie co...

Popatrzyli na niego w milczeniu i nawet poseł Lepki zdawał się trzeźwieć.

- Ja jestem z innego świata - ciągnął pisarz Konrad Piotr. - Nie pochodzę stąd, tylko z tamtych smutnych bloków nad Śmierdzianką, z krzaków pełnych pustych butelek, z pól, gdzie pośród gęstej trawy i oszałamiających zapachów lata i rumianku kochałem się po raz pierwszy, lałem nasienie w ciepłą ziemię, bo ona bała się ciąży...

Senator Kardupell spojrział w osłupieniu na posła Lepkiego, jakby chciał powiedzieć: „co żesz, kurwa?”. Ale Lepki wpatrywał się w Konrada Piotra wzrokiem pełnym niezrozumienia. Przynajmniej na chwilę zapomniał o kacu.

- Myślę, że tam właśnie schował się Bóg - mówił dalej Konrad Piotr, nawet nie interesując się, czy oni go słuchają czy nie. - Przestraszył się betonowych kościołów, gdzie nie mógł się uśmiechać, gdzie Jego głos niósł się groźnym echem i gdzie nie mógł szeptać ani czule mówić. Przestraszył się tych kreatur w ornatach, stułach i albach, bo zbyt natrętnie Go wzywali i krzyczeli na Niego wciąż, by przyszedł, i wymachiwali pastorałami, jakby chcieli Go stłuc jak psa. I kazali Mu robić rzeczy, których nie umiał, i odpowiadać za rzeczy, których nie uczynił...

- Kuurwa... - wyszeptał poseł Lepki, a senator Kardupell rozłożył tylko bezradnie ręce. Jego oczy bardziej niż kiedykolwiek przypominały ugotowane i obrane ze skorupki jajka.

- I wiecie, tak sobie myślę, że tam właśnie skrył się Bóg. W ulotnej wizji wiecznego lata krzaków nad Śmierdzianką. I tam pije zimne piwo z zielonych butelek, a kapsle otwiera zębami. Zrobił sobie poduszkę z trawy i nakrył się szarym płaszczem. I nie słyszy już naszych głosów, bo ogłuchł od huku megafonowych modlitw.

I chyba już nawet nas nie kocha, ani Go nie obchodzimy. Bo może tak naprawdę nas po prostu nie ma? Może umarliśmy wtedy, kiedy buldożery zryły pola, gdy beton zalał koryta strumieni i gdy głowy kościołów oraz wieżowców sunęły pod niebo...

Pisarz Konrad Piotr umilkł i leżał spokojny, nieruchomy, jakby martwy, a o tym, że żył, świadczył tylko ciężki, chrapliwy oddech. Senator Kardupell i poseł Lepki przyglądali mu się w osłupieniu. Aż wreszcie obaj jak na komendę odchrząknęli. Kacowy stupor posła Lepkiego rozpułnął się w zdumieniu, senator Kardupell wstał i obaj wyszli, życząc zdrowia tej bladej postaci z zamkniętymi oczami, która nie słuchała ich już wcale, nie żegnała się z nimi, nie widziała po prostu ich obecności i było pewne, że nie zauważy nieobecności. Wyszli więc na korytarz.

- Boże móóój - wymamrotał senator Kardupell, przyjmując błysk zapalniczki od posła Lepkiego i zaciągając się głęboko. - On, kurwa, zwariował. Kurwa żesz mać, zwariował... - powtarzał, jakby chciał przekonać posła Lepkiego.

Poseł Lepki pokiwał tylko głową.

- Co za Śmierdzianka, w dupę? - zapytał senator Kardupell. - Co za Bóg? Co za piwo otwierane zębami? Kurwa żesz...

- Taka rzeczka - przypomniał sobie poseł Lepki. - Pod Wilanowem. On stamtąd jest. Rzeczywiście ją zabetonowali, zbudowali osiedla...

- No i co, kurwa, na sentymenty mu się zebrało?! Utracona Śmierdzianka młodości, jebana jedyna? No, co on, kurwa, chory czy jak?

- W każdym razie nici - skonstatował poseł Lepki.

- Nici? - uśmiechnął się senator Kardupell. - A to jeszcze zobaczymy. Przecież kiedyś chyba wyzdrowieje. Chuj jeden, nie miał się kiedy rozchorować. Mówiłem, żeby tyle nie pił, gnida... No, chodź zresztą, chodź, pójdziemy spokojnie pogadać.

I zniknęli w białym korytarzu, starając się wyrzucić majaczenia pisarza Konrada Piotra ze swej pamięci, bo mieli przecież na głowie ważniejsze sprawy...

*

- Proszę, proszę, bardzo proszę, ależ oczywiście jest tutaj - pisarz Konrad Piotr usłyszał z korytarza głos Melissy Kacperek i usłyszał również wibrujące w tym głosie przerażenie. Kogo mogła aż tak się bać lekarka z rządowej kliniki?

Rozejrzał się po pokoju. Posła Lepkiego i senatora Kardupella nie było już, widocznie wyszli, ale kiedy? Nie zauważył, aby się pożegnali, nie za bardzo mógł sobie przypomnieć, o czym z nimi rozmawiał. A może w ogóle ich nie było?

Drzwi się otworzyły, a w nich pojawiła się Melissa Kacperek. Błada, z twarzą ściągniętą strachem.

- Ma pan gościa - obwieściła jakimś niezwykłym, uroczystym tonem.

- Proszę - odparł obojętnie pisarz Konrad Piotr, znowu zastanawiając się, kto mógł wywołać aż takie wrażenie w rządowej klinice, gdzie widywało się wszelkie grube fisze.

Do pokoju pierwsze wtargnęły dwa wężące pyszczki detektorów trzymane przez wciśniętych w czarne garnitury facetów-jak-góry. Detektory z cichutkim popiskiwaniami obwąchały pokój i cofnęły się. Zapewne jednak zdążyły w tym czasie zdeaktywować wszystkie urządzenia nagrywające. Wtedy do wnętrza wkroczył olbrzymi bukiet herbacianych róż, a za nim pan Światłoniesień we własnej osobie.

- Nieładnie, mój drogi - rzekł, odwrócił się na chwilę do Melissy Kacperek i podał jej bukiet. - Włóż je do wazonu, kochanie.

Potem znów spojrzął w stronę pisarza Konrada Piotra, zrobił kilka kroków i usiadł obok na łóżku.

- Cóż za przykra niespodzianka? - zamruczał. - Jak można tak martwić przyjaciół? Mam nadzieję, że dbają tu o ciebie? Zbieraj siły, mój drogi, zdrowiej, przecież obiecałem ci interesującą wycieczkę, nieprawdaż?

- Jestem bardzo chory - powiedział cicho pisarz Konrad Piotr i patrzył w sufit, aby nie spoglądać w tę straszną twarz i w te niesamowite, ciemne jak otchłań oczy.

- Głupstwo - warknął pan Światłoniesień. - To drobiazg, chwilowa niedyspozycja. - Ujął pisarza Konrada Piotra za ramię i ten nagle poczuł, jak uścisk wlał w jego ciało ożywczą siłę.

- Tak - odparł po chwili i nieopatrznie oderwał wzrok od sufitu. Zaraz też zginął w tych oczach jak ocean ciemności. - Tak - powtórzył. - To tylko chwilowa słabość. Będę zdrowy - obiecał, czując się jak dziecko, które coś przeszkrobało i próbuje się wytłumaczyć.

Pan Światłoniesień uprzejmie poklepał go po policzku.

- Jesteś mądrym chłopcem, mój drogi. Na pewno z tego wyjdiesz, jeżeli tylko będziesz bardzo chciał. A ty będziesz bardzo chciał, nieprawdaż? - Pan Światłoniesień nachylił się nad nim.

- Oczywiście - rzekł Konrad Piotr, wiedząc już, że będzie żył i że chce żyć dlatego, bo pan Światłoniesień oczekuje tego od niego.

- Wspaniale - zaryczał donośnie gość i wstał. - Więc do rychłego zobaczenia, przyjacielu - dodał i nie odwracając się już, ruszył w stronę drzwi.

Jeszcze z korytarza dobiegł tylko jego głos:

- Opiekuj się nim, kochanie, dobrze? Bardzo bym chciał, żeby wyzdrowiał. To mój drogi, drogi przyjaciel.

I zaraz potem niewiarygodnie oddany głos Melissy Kacperek:

- Ależ oczywiście, proszę pana, zadbam o niego jak o samą siebie.

- Bardziej, moje dziecko, bardziej - zamruczał pan Światłونيسień i rozmowa powoli ucichła w głębi korytarza.

A pisarz Konrad Piotr rzeczywiście poczuł się silniejszy. Wydawało mu się, że krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach i nagle dopadł go głód. Chce mi się jeść, pomyślał z niedowierzaniem. Krwista polędwica z ziemniakami, a do tego mnóstwo sałaty w sosie winegret. I butelka „Absolutu”. I mnóstwo zimnego jak lód toniku oraz wiadro soku grapefruitowego. A potem kilka niuchów metakoksu. Boże mój, będę żył! Naprawdę będę żył! Wyprostował się, poprawił poduchy pod głową i przeciągnął się z poczuciem siły.

- Obiad! - zawołał na cały głos, a głos ten był silny i niósł się jak grom labiryntami szpitalnych korytarzy. - Obiad!

Pan Światłونيسień usłyszał ten okrzyk, wsiadając do samochodu. Zatrzymał się na moment i uśmiechnął.

- Wspaniale, chłopcze - wyszeptał, a jego oczy były jak noc.



Amalryk Dymała uchylił powieki ciężkie niczym kłapy śmietnikowych zsyków. Starał się poruszyć sztywnym językiem i niemal poraził go ohydny, cuchnący smak własnej śliny. Spróbował podnieść głowę, ale ona żyła własnym życiem i nie zamierzała wcale słuchać nerwów oraz mięśni. Przekreśliła się tylko na bok, pozostawiając Amalryka Dymałę w rzygliwej bezsilności. Wtedy poczuł czyjąś ciepłą, pomocną dłoń, a na usta spadły krople prawdziwego pomarańczowego soku. Czuł, jak ten precudownie orzeźwiający i pachnący eliksir zmywa niesmak, brud oraz stęchliznę.

- O Boże... - westchnął jeszcze z bólem, ale już również z wdzięcznością.

Nad sobą zobaczył uprzejmie uśmiechniętą twarz wąskowąsogo okularnika i jednocześnie widział, jak wygląda w jego oczach. Rozczochrany facet z opuchniętą twarzą i brudnym mchem zarostu. Oczy jak szyby naftowe, zęby oklejone śmierdzącą mazią, wymięta koszula, krawat sterczący z kieszeni, kalesony ściągnięte za nisko, niezakrywające czarnych, skręconych jak owcze runo włosów podbrzusza. Na stopach tylko przepocone skarpetki, gdyż buty padły gdzieś pod stołem.

Usiłował odchrząknąć, ale wtedy grube, tępe szydło wwierciło się lewym uchem i poprzez zwoje mózgowe próbowało przedostać do prawego, niczym uparty, pracowity kornik o stalowych zuchwach.

- Klin należy wybijać klinem - życzliwie poddał okularnik.

Amalrykowi Dymale zrobiło się trochę niedobrze, ale oto skierował wzrok na lewo, a tam na malutkim stolyczku zobaczył tacę. Na niej leżał pokrojony biały chleb, prasowany kawior w salaterce, ogóreczki na talerzyku, przykryty pokrywką rondelk i wódka w spotniałej z zimna karafce. Amalryk Dymała wręcz nie chciał wierzyć własnym oczom. Mocno zacisnął powieki i po chwili otworzył je ponownie. Wąskowąsowy okularnik podetkał mu pod usta szklanekę bimbru, usmarowaną na

krawędziach czerwoną szminką, w drugim ręku trzymał widelec z nabitym śledzikiem, z którego na koszulę Amalryka Dymały kapnęła kropelka oleju.

- A borowiki? - próbował wykrztusić Amalryk Dymała, bo coś mu się wydawało, że do tego zestawu właśnie borowiki idealnie by pasowały.

Ale wąskowąsy okularnik nie tylko nie odpowiedział, lecz wykorzystał okazję, że usta gościa się rozchyliły, i wtedy wlał w nie strugę śliwkowej trucizny. Ach, boski to był smak! Amalryk Dymała przełknął, po czym momentalnie chwycił zębami nieszczęsnego, białego na pal widelca śledzika i zmiażdżył go łapczywie. Przez moment sądził, że rzygnie niczym rozsierdzony Wezuwiusz, ale zrobiło mu się miło, błogo i ciepło. Szydło uciekło poprzez lewe ucho, głowa zaczęła słuchać mięśni i płynących z mózgu poleceń, a język przestał przypominać zeszytniałą od brudu wkładkę do butów.

Amalryka Dymałę ogarnął taki przyływ odwagi, że spuścił stopy na ziemię, założył buty i ustawił tułów w pionowej pozycji. Przez chwilę poczuł się jak statek zdany na łaskę sztormu, ale zaraz potem przysłała uspokajająca flauta.

- Która godzina? - wyrzucił z siebie raptowny pisk i pełen lęku zerknął na lewy przegub. Z cyferblatu z wyraźnym rozczarowaniem spoglądała na niego puciołowata twarz Jezusa.

- Dopiero piąta - uspokoił go okularnik. - Zdąży pan na mszę, proszę się nie martwić.

- O Boże... - Amalryk Dymała westchnął z ulgą i wdzięcznością.

Znalazł siły, by rozejrzeć się po polu bitwy. Z fotela zwieszały się nagie zwłoki rudolfovalentinopodobnego osobnika. Na jego udzie opierała głowę pani Danuta, ogrzewając leżący tuż obok jej ust zwiędły kiełek kutasa chrapliwym oddechem zmęczonej robotnicy. Pani Danuta była w bluzce, ale rozchełstanej na piersiach, w spódnicy, ale bez majtek, które porzucone leżały w pełnym niedopałków talerzyku. Amalryk Dymała wykadrował w prawo. Tam spał potwór o dwóch głowach i ośmiu dziwacznie powykręcanych kończynach. Potwór był zrosnięty pośrodku i chrapliwie rzeził na dwa głosy. Amalryk Dymała przesunął wzrok jeszcze bardziej w prawo i zauważył skulonego w kłębek młodszego policjanta, który spał smacznie, cichutko, a wyraz twarzy miał taki, jakby śnił mu się papież śpiewający w anielskich chórach.

- O Boże - powtórzył Amalryk Dymała, tym razem z przerażeniem, i powoli zaczęło do niego docierać, co też narobił i że to wszystko może się bardzo źle skończyć.

- Proszę się nie martwić. Dyskrecja zapewniona. - Wąskowąsy okularnik usiadł obok niego. - Te ściany widziały dużo gorsze rzeczy, proszę mi wierzyć.

- Ach tak - odparł wcale niepokieszony Amalryk Dymała i zaczął się zastanawiać, w jaki sposób zręcznie wsypać całe towarzystwo, aby samemu się nie sparzyć. Trzeba będzie uzgodnić zeznania z policjantami i kolejno wyeliminować tutaj obecnych. Boże mój, Boże, a jeśli współlokator, ten pełnomocnik na Sadybę, zobaczył, że go nie ma? Przecież nie wiadomo nawet, co to za człowiek. Jak można było zaniedbać uroczystego poznania się? Boże, chroń, ile błędów narobiłem, Boże, nie pozwól, aby przez jedną noc, jedną zmarnowaną noc, padła cała kariera, Boże, miej litość nade mną grzesznym. To byłoby niesprawiedliwe...

Amalryk Dymała czuł się jak dziecko zamknięte w ciemnej komórce bez drzwi i okien. Ach, gdyby mógł tylko cofnąć czas. Nigdy już nie zrobię nic podobnego, nigdy, przysięgam Ci, Boże, tylko pomóż mi jeszcze tym razem. Serce mu załomotało i poczuł taką duchotę, jakby miał już umierać.

- Mam dla pana mały prezent - powiedział z uśmiechem wąskowąsy okularnik i podał mu śnieżnobiałą (Boże mój, cóż jest śnieżnobiałe w tych czasach?) kopertę.

- O, nie, nie! - Amalryk Dymała zdecydował stanowczo odmówić i wiedział, że jest wreszcie górą, i wiedział wreszcie, kto tu, kurwa, rządzi! - Nie, to wykluczone!

- Ależ proszę tylko zajrzeć. - Wąskowąsy okularnik złożył błagalnie dłonie, ale ten jego uśmieszek, ciągle przyklejony do ust, jakoś nie współgrał z proszącym gestem. - Nalegam - dodał w końcu bardziej stanowczym tonem.

Amalryk Dymała, hipnotyzowany jego pytonim wzrokiem, przyjął kopertę. Otworzył ją i wyjął osiem błyszczących, śliskich prostokątów. A na każdym prostokątku kolorowy obrazek. A każdy obrazek taki, że dobry Bóg w niebie oczy zasłonił ze wstydem. Choć i może zerkał ostrożnie przez palce, bo obrazki były hm... hm... frapujące.

- To szantaż - pierwsze słowo było jak basowy pomruk, a drugie już tylko wypowiedziane dyszkantem, gdyż Amalrykowi Dymale zaschło nagle w gardle.

- Skądże - dobrodusznie uśmiechnął się wąskowąsy okularnik. - To tylko pamiątka na cześć tak uroczu spędzonego wieczoru. Chciałbym, żebyśmy wszyscy zapamiętali go z sentymentem... A to znaczy - i tu wzrok mu nagle stwardniał - żadnych donosów.

- Ja nawet nie pomyślałem... - wyszeptał Amalryk Dymała, ale serce wezbrało mu bezsilną nienawiścią.

Tak chętnie palnąłby twardymi kulakami w te wytrzeszczone patrzaki. A jednocześnie wiedział, że nie można już nic zrobić, że można tylko poddać się w pokorze nurtowi, co prowadzi Bóg wie dokąd. W otchłań piekielną zapewne.

- Ależ wierzę, wierzę - łagodnie przytaknął wąsko-wąsy okularnik, lecz z całą pewnością aktorska kariera nie była przeznaczona dla niego.

- A to, to? - Amalryk Dymała uniósł zdjęcia w dwóch palcach.

- Proszę zatrzymać na pamiątkę. - Wąskowąsy okularnik odwrócił się w stronę stołu. - Jeszcze wódeczki, śledzika? I niech pan wie, że zawsze jesteście tu mile widziani.

Dwugłowy potwór puścił głośnego bąka, smrodliwego jak nieszczęście, lecz nie wiadomo, która strona potwora była za ten czyn odpowiedzialna. Amalryka Dymałę ogarnęła nieposkromiona chęć, by smutki dnia dzisiejszego i strach, co pełzał w duszy, zapić kieliszeczkiem bimbru. A może i dwoma bądź trzema? Lecz przecież msza święta o szóstej, a o dziewiątej czas zasiąść przy biurku, budować swą pracą chwałę Przenajświętszej...

- Klina klinem - westchnął Amalryk Dymała i z hojnej zdradzieckiej ręki przyjął kieliszek.

- Za współpracę. - Wąskowąsy okularnik zamoczył tylko usta i dokładnie je oblizał.

Niech cię z taką współpracą!

- A oni? - zapytał Amalryk Dymała, wskazując ruchem głowy policjantów.

- O nich proszę się nie martwić - uspokoił wąskowąsy okularnik. - Wiedzą, że milczenie jest złotem, tak jak i my wszyscy już o tym wiemy, nieprawdaż? Wódeczki? - zaproponował zaraz i nalał, nie czekając nawet na odpowiedź. Bo i po co miał czekać? Odpowiedź mogła być tylko jedna, jeśli

jeszcze człowiek chciał żyć pod niebem Przenajświętszej.

- Dobry bimber nie jest zły - rozpaczliwie odpowiedział Amalryk Dymała, strapiony tym, że człowiek z niego słaby duchem.

Dwugłowy potwór zaczął charczeć, tak jakby obie głowy kłóciły się w jakimś niezrozumiałym pradawnym języku, co jednocześnie przypominał krakanie kruków i rżenie rur kanalizacyjnych. A rozmowę tę potwór umiał sobie wypierdywanymi systematycznie bąkami, które kto wie czy nie niosły ładunku informacji zawartego w dźwięku, a być może ukrytego w zawiłej sekwencji zapachowej. A może... - pomyślał Amalryk Dymała niezbyt składnie, gdyż jego myśli zaczęły gdzieś odlatywać. Może dwugłowy potwór, zmieniając strukturę chemiczną powietrza, przekazuje nam prawdy święte i objawione, a jednak dla nas nierozszyfrowywalne? Znaki pochodzące od Boga lub od obcej cywilizacji, stojącej na wyższym poziomie rozwoju? Może w tych pierdnięciach ukryto tajemne przesłanie wyjaśniające, jak zyskać szczęście, rozprawić się z biedą oraz chorobami? Jak stworzyć nowego człowieka, który największej przyjemności nie będzie znajdował w dręczeniu drugiej myślącej istoty? Ha, boskie znaki! Może są to boskie znaki? A zważywszy na czystość naszych dusz, na naszą obyczajność, dobroć uczynków i na miłość, jaką odczuwamy ku bliźnim, to można się nawet spodziewać, iż znakomitym środkiem porozumiewania się z nami byłyby właśnie pierdnięcia dwugłowego potwora...

Amalryk Dymała oderwał się od durnych myśli, które narodziły się nie wiedzieć czemu i nie wiedzieć skąd. Zerknął na zegarek. Duża wskazówka przysłoniła Jezusowi lewe oko. Za pięć szósta, Boże mój! - zdenerwował się i serce zabiło mu szybciej, ale zaraz potem się uspokoiło. A niech tam, pomyślał błogo, pójdę na mszę o osiemnastej, może to i lepiej będzie, bo wieczorną odprawi proboszcz, a w rannej uczestniczy zapewne jakiś przydupas, młody księżyk, co musi wstawać z kurami i od rana samego zajmować się ludem bożym. Co, jak wiadomo, jest zajęciem bardzo denerwującym.

Amalryk Dymała, rozgrzeszony i uspokojony, oparł się wygodniej. Co zrobi ze zdjęciami ten zgnilec przebrzydły? - pomyślał, patrząc z leniwą obojętnością na kręcącego się wąskowąsego okularnika, który z obrzydzeniem, ale fachowo usuwał nieszczęsne skutki wczorajso-dzisiejszej libacji. Nic zapewne - odpowiedział sam sobie - bo ma mnie, chuj, w garści i to mu bez wątpienia odpowiada. Jak polecimy, to razem, a to rozsądny człowiek, ziemi się chyba trzymać zechce i latać nigdzie nie będzie. Zresztą przecież na zdjęciach nie wypadłem aż tak źle, bo ot, po prostu, spałem w fotelu. A że obok, przy nogach, dwugłowy potwór bawił się we wsadzanki-wyjmowanki i lizanki-obciągakki, to przecież nie moja wina.

Amalryk Dymała pocieszał się właśnie w taki sposób, choć dobrze wiedział, że nic go nie uratuje, kiedy Kościół zechce unieść władczą dłoń i przywalić mu klapsa w zuchwałę dupsko. Bo nie ma ratunku przed Kościołem, tak jak i nie ma ratunku przed Bogiem. Może nawet właśnie Kościół jest groźniejszy, bo Bóg siedzi daleko w chmurach i słońcu, a Kościół tu i teraz, pośród betonowych olbrzymów, smogu i kwaśnych deszczy. Kościół w programach komputerów i na końcu pał policyjnych, a nade wszystko zapewne Kościół w obozach i na Śląsku. Kościół w huku megafonów i na stronach gazet, Kościół w biciu dzwonów i sinym blasku telewizorów. Kościół ogarnia cię i otacza jak roznamiętniona modliszka. I możesz tylko nie wiedzieć kiedy, ale wiesz, że na pewno prędzej czy później nadejdzie ta właściwa chwila. I kogóż tu winić lub oskarżać? Modliszka jest modliszką, a zatem ma własne modliszkowe zalety oraz modliszkowe przywary. Lecz przecież w bożym planie mieszczą się i modliszki, które widać służą czemuś, czego my jeszcze, zesłani tu na

sekundy boskiego zegarka, nie możemy odgadnąć...

Amalryk Dymała musiał na chwilę przysnąć, gdyż kiedy otworzył oczy, zauważył, że scena uległa pewnym znaczącym przeobrażeniom. Nie było już w pokoju dwóch uroczych pań, a co za tym idzie, nikt nie ogrzewał oddechem kutasa rudolfovalentinopodobnego osobnika, a także rozpadł się i szczeł dwugłowy potwór. Policjanci natomiast mocowali się z bluzami oraz kłamrami pasów i usiłowali wyglądać, jakby nic nie zaszło. Po ich minach Amalryk Dymała domyślił się jednak, że zapoznali się już z bogatym materiałem zdjęciowym i wyciągnęli zapewne odpowiednie do sytuacji wnioski.

- Ósma trzydzieści - obwieścił wąskowąsy okularnik. - Ja do pracy i panowie do pracy. Ale zapraszam na wieczór.

Starszy policjant burknął coś pod nosem, młodszy uciekł wzrokiem. Amalryk Dymała podniósł się na nogi i próbował skoncentrować wzrok. Znowu wręcz czuł własny, smrodliwy oddech i przez głowę przeleciała mu głupia myśl, że to nie wina bimbru, ale że czuje zapach własnej, gnijącej duszy i już do końca życia będzie egzystował otoczony tym smrodem...

- Kąpiel przygotowana - zaprosił go wąskowąsy okularnik. - Proszę bardzo.

Pociągnął Amalryka Dymałę do małej łazienki o fioletowej podłodze. Szara aluminiowa wanna wypełniona była do połowy parującą wodą z kożuchem mydlanej piany. Obok stały dwa wiadra z wodą do spłukania.

- Pani Joasia pomoże panu - zdecydował gospodarz i wpuścił do łazienki jedną z części dwugłowego potwora, teraz ubraną we wdzięczny czerwony szlafroczek.

- Nie - chrypnął Amalryk Dymała, ale wąskowąsy okularnik zamknął już drzwi i zostawił ich samych.

- No, szybciotko - rozkazała pani Joasia, a głos miała tak świeży i dźwięczny, jakby nie piła całą noc i jakby nie była potem częścią dwugłowego potwora, a powróciła dopiero co ze śpiewania godziniek.

Amalryk Dymała poddał się bezradnie jej zręcznym, stanowczym dłoniom, które pozbawiły go koszuli, podkoszulka, butów, spodni, skarpetek i majtek. Zauważył, że gatki z tyłu mają brązową plamę, z przodu natomiast widać żółty zaciek. I wstyd mu się zrobiło, że wygląda jak byle obdartus, a nie jak człowiek, co ma odpowiedzialne stanowisko, a w domu wannę i bieżącą wodę.

Pani Joasia nie obudziła w Amalryku Dymale żadnych zbereźnych uczuć, choć w rozcięciu szlafrocza dokładnie zobaczył białe piersi o napuchłych czubkach, a nawet ślad po ugryzieniu pod lewym sutkiem. Ale Amalryk Dymała dostrzegał w niej tylko czułą opiekunkę, matkę-pielęgniarkę, więc posłusznie dał się zapakować w gorącą aż do bólu wodę i zanurzył się w niej z głową. Po chwili wyskoczył, parszając i plując.

- Boże mój - powiedział z ulgą. - O to właśnie chodziło!

Pani Joasia nalała tymczasem na dłoń niebieskiego, gęstego płynu z buteleczki o etykiecie oznaczonej fikuśnymi znaczkami, może były to chińskie hieroglify, a może druk roztarł się pod wpływem wilgoci. Wtarła szampon we włosy Amalryka Dymały i pieczołowicie rozprowadziła, drapiąc skórę głowy paznokciami. Amalryk Dymała rozparł się wygodnie, wystawiając stopy poza krawędź wanny. Zrobiło mu się prawdziwie bosko. Przymknął oczy, kiedy pani Joasia spłukała mu głowę letnią wodą z kubelka, dokładnie, tak aby zmyć wszystkie mydliny.

- Proszę wstać - rozkazała łagodnie.

Kiedy posłusznie się podniósł, pani Joasia namydliła mu brzuch, członka, jądra i uda. Delikatnie powiodła palcami i odciągnęła napletek. W związku z tym Amalryk Dymała powoli zaczął stawać się mężczyzną. Te wyrafinowane, delikatne drapanięcia i muśnięcia poczuł gdzieś głęboko, chyba w samym mózgu. Znów już przestał pamiętać o pracy, mszy, zeszłej nocy, szantażu, a jedynie błagał w myślach, aby ta kąpiel trwała wiecznie. Lecz niestety, pani Joasia obmyła go z piany, a potem lekko poklepała po biodrze.

- Może pan wychodzić. - Uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

Amalryk Dymała posłusznie, bo w jej rękach zmienił się w niewolnika, wyszedł z wanny, rozchlapując wodę na podłogę. Pani Joasia otuliła go ogromnym frotowym ręcznikiem koloru nieskalanej wręcz bieli.

- Za piętnaście dziewiąta - oznajmiła rzeczowo. - Tu jest maszynka na baterie i woda kolońska. Do widzenia.

- Ależ... - Nie wierząc, że to się ma tak skończyć, Amalryk Dymała spróbował chwycić dłoń pani Joasi, lecz kobieta wywinęła się zręcznie i zniknęła za drzwiami.

- Co za kurwa! - wymruczał do siebie i zaczął mocno trzeć ramiona ręcznikiem, aby zapomnieć o własnym pożądaniu i naprężonym aż do bólu kutasie. - Co za kurwa - powtórzył raz jeszcze, wiedząc, że musi ją prędzej czy później przerznąć, bo inaczej będzie chory.

Zresztą jak ona śmie robić fochy? Ona, która bawiła się tak udanie w dwugłowego potwora! Ale ponieważ była rzeczywiście za piętnaście dziewiąta, więc Amalryk Dymała pospiesznie się ubrał. Pospiesznie, choć z niejakim obrzydzeniem, bo żadna to przyjemność kalać świeże, pachnące ciało ciuchami śmierdzącymi dymem papierosowym i zastarzałym potem. Na odchodne spryskał się jeszcze obficie wodą kolońską i zapominając o goleniu, wyszedł z łazienki. Policjanci czekali już przy drzwiach.

- Takiemu to dobrze - wymamrotał starszy policjant i strzyknął śliną. - Jedziemy?

- Jedziemy - dziarsko odparł Amalryk Dymała i wyszli żegnani porozumiewawczym uśmiechem wąskowąsęgo okularnika.

Za trzy minuty dziewiąta był już przed własnym biurkiem. Tak powinien zaczynać się dzień pracy bogobojnego urzędnika! Ale w głowie jeszcze mu szumiało. Szumiało to mało powiedziane, bo czasem poprzez spokojne bezmiary mózgu przechodziły potężne tsunami, mdlące aż do żołądka. Amalryk Dymała siorbał gorącą kawę z cytryną (skąd, do licha, wytrzasnęli cytryny?), bo ona ponoć wspaniale leczy kaca. Nie zdążył jednak nadelektować się smakiem, kiedy głos sekretarki posłusznie poinformował:

- Opiekun bloku Barcelońska 3 czeka. Czy mam wpuścić?

- Tak - odrzekł szybko Amalryk Dymała i dopiero po pewnym czasie zorientował się, dlaczego ten facet czeka.

Czeka, bo go wezwano, rzecz prosta. Jeszcze po małej chwili przyszło przypomnienie, dlaczego go wezwano. Ale oto już w drzwiach zameldował się baryłkowaty osobnik w przyciasnym garniturze i wystających spod marynarki szelkach.

- Brat mnie wzywał, prawda?

Amalryk Dymała nic nie odpowiedział i tylko wpatrywał się w przybysza sokolim spojrzeniem, przewiercając duszę na wylot. Ten nerwowo przestąpił z nogi na nogę i wyraźnie było widać, że czuł się coraz bardziej nieswojo.

- Nazywam się Serafin Szmaja - zakomunikował, oczywiście tylko po to, aby w ogóle coś powiedzieć i przerwać męczącą ciszę.

Amalryk Dymała podniósł szklankę do ust i wypił kilka łyków kawy. Opiekun bloku Barcelońska 3 zrobił młynka palcami, spłoszony schował dłonie za siebie i znów przestąpił z nogi na nogę, tym razem opierając ciężar ciała na lewej stopie.

- Co, robaki macie? - surowo zapytał Amalryk Dymała, bo wiedział, że z takimi trzeba ostro i z góry.

Baryłkowaty osobnik zamarł w miejscu i wlepił w przełożonego rozszerzone strachem oczy.

- No co, macie czy nie macie? Mówić umiecie?

- Tak - szczerknął opiekun bloku Barcelońska 3.

- A robaki macie? - Nie.

- To dobrze. Niezdrowo mieć robaki - stwierdził Amalryk Dymała i przechylił szklankę do ust. Podniósł wzrok zza biurka.

- No, jak umiecie mówić, to mówcie - rozkazał.

- Aaa, zaraz, z przeproszeniem, ale co ja mam mówić, bracie? - Baryłkowaty osobnik najwyraźniej zdążył się już spocić, a jego palce wyczyniały jakieś nad wyraz skomplikowane łamańce, tak jakby chciały wypierdolić jeden drugiego.

- Mówcie, co macie na swoje usprawiedliwienie - tym razem łagodniejszym tonem poddał Amalryk Dymała.

- A względem, tego tam, czego, przepraszam? - Opiekun bloku Barcelońska 3 na przemian to bladł, to czerwieniał, a sumienie, widać było jak na dłoni, miał nad wyraz nieczyste.

- Już wy wiecie względem czego! - nasrożył się Amalryk Dymała i stuknął tak mocno długopisem w blat biurka, że omal nie zniszczył obsadki.

Serafin Szmaja rozdziawił usta, odsłaniając widok na bagno pełne smrodliwych i gnijących korzeni, po czym zamknął je z trzaskiem.

- No! - pogonił go Amalryk Dymała tym szybkim i władczym „no”, które tak często doskonale skutkuje. I teraz nie było inaczej.

- Zakazali, bracie, jak Pana Boga kocham - wybuchnął płaczem Serafin Szmaja i kułakami roztarł łzy po dziobatych policzkach. - Błagam was, co ja jestem, cieć tylko, a oni zakazali, jak Boga kocham! - I zaczął wyc.

Amalryka Dymałę niemile podrażniło to wycie, bo zmysł słuchu miał tego właśnie dnia wyczulony do granic możliwości. Ale mimo kacowego ośpienia zorientował się, że oto wdepnął w coś nowego. Całkiem przypadkiem, w nowe śmierdzące gównno, o wiele ważniejsze niż głupawe

napisy na ścianach klatki schodowej.

- Mów wszystko, Szmaja - rozkazał surowym głosem. - Jak na świętej spowiedzi, Szmaja, a może ocalisz dupsko przed Śląskiem.

Opiekun bloku Barcelońska 3 padł na kolana i zaczął tłuc łbem w ziemię, jakby właśnie składał pokłony dalekiemu prorokowi. Po chwili przestał i podniósł załzawione, pełne skruchy oczy.

- Ja chciałem donieść - chlipnął i wysmarkał się w palce. - Przysięgam, że chciałem, ale powiedzieli: „Ty, Szmaja, pilnuj własnej dupy i nie wtykaj nosa, gdzie nie trzeba”. Tak powiedzieli, jak Boga kocham.

- I ty posłuchałeś, gnido? - zaryczał Amalryk Dymała, nie mając pojęcia, o co chodzi.

- Ło Boże, ło Boże, a co miałem, jak Boga kocham, skoro kazali?!

- A wiesz, czym to grozi, Szmaja? No wiesz? Baryłkowaty obywatel z rozpaczą pokiwał głową z takim impetem, że mogło się wydawać, iż zaraz spadnie mu z ramion.

- No to powiedz ty mi, Szmaja, czym grozi!

- Śląąąskieem - zaniósł się szczerym płaczem opiekun bloku Barcelońska 3.

Amalryk Dymała włączył rejestrator.

- Mów. Wszystko od początku. Potem spisujemy zeznanie. Ale jak spróbujesz kręcić, to ja ci potem łeb ukręcę.

- Jak na spowiedzi! - Serafin Szmaja uderzył się pięścią w pierś, aż zahuczało, i zaczął gadać.

Gadał takie rzeczy, że Amalrykowi Dymale włos zjeżył się na głowie. Trudno było czasem rozpoznać słowa pośród tego chlipania, jęczenia, wzywania Boga na świadka (nie udało się pomimo tylu lat wysiłków wprowadzić szacunku dla przykazania numer dwa), ale mimo to zarysował się całkiem wyraźny obraz. A więc to tak... Daleko sięgają macki zła.

No dobrze, intensywnie myślał Amalryk Dymała, słuchając rozpaczliwego bełkotu. Tylko co ja mam z tym wszystkim zrobić?

- Dość! - przerwał Serafinowi Szmai, a ten zamilkł natychmiast i z klęczek popatrzył na Amalryka Dymałę oczami wiernego psa, który z równą bezradnością przyjmie nagrodę, jak i karę.

- Teraz uważaj, Szmaja. - Amalryk Dymała starał się mówić wolno i z naciskiem. - Idź do domu i siedź cicho jak kondom w kieszeni, jeśli chcesz zostać w Warszawie. Puścisz parę z gęby i po tobie, rozumiesz?

Opiekun bloku Barcelońska 3 pokiwał energicznie głową.

- No to wynoś się - rozkazał Amalryk Dymała.

Począł, aż Serafin Szmaja wyjdzie, i jednym łykiem wykończył kawę. Oparł brodę na pięściach i starając się pokonać kacową tępotę, zaczął intensywnie myśleć nad tym, jak wykorzystać uzyskane informacje. I czy w ogóle w jakikolwiek sposób je wykorzystywać? Bo Amalryk Dymała doskonale wiedział, że gra będzie ryzykowna, jak wypierdolenie chorej na zgnilec kurwy. Lecz może się opłacić. Tak, tak, może się nadzwyczajnie, ale to nadzwyczajnie opłacić. Z trudem przełknął gęstą, gorzką ślinę, która zalęgła się w ustach.



Pociąg powoli ruszył. Poznali po szarpnięciu i stukocie kół oraz nikłym powiewie idącym ze szczelin pomiędzy stalowymi blachami. Błogosławiony ten powiew, bo zaczynało się robić trochę duszno. Czterech facetów pod oknem zajmowało się grą w karty z namaszczeniem i pasją, a „chuje” oraz „kurwy” padały coraz gęściej w miarę rozkręcania się zabawy. I tak to im szło spokojnie, jakby jechali do Częstochowy, Lublińca czy Myszkowa, a nie te ładne parę stacji dalej. Kopcili też niemiłosiernie, napełniając przedział duszącym, gryzącym dymem, tak polskim i swojskim, że aż w oczach stawały łzy. Stary mężczyzna o sumiastych wąsiskach troskliwie przełamał papierosa na pół. Jedną połowę pieczołowicie schował do kieszeni bluzy, drugą włożył do szklanej fiki i palił dopóty, dopóki papieros nie spalił się do końca. Młoda dziewczyna oparła się lekko o ramię jednego z karciarzy (ten, zaaferowany, nawet tego nie poczuł) i spała z rozchylonymi ustami, cicho posapując. Niski facet o przeredzonych włosach kręcił się niecierpliwie, jakby miał hemoroidy, raz podpierał brodę lewą ręką, raz prawą, czasem chował na chwilę twarz w dłoniach. Natomiast babina naprzeciwko poety Atlasa Symbola i Elwiry nadal siedziała przechylona w ich stronę i wlepiała nieruchome, żółwiowe oczy. Poeta nie mógł przywyknąć do tego wzroku, uciekał ze spojrzeniem, kręcił głową, ale znów powracał i ciągle napotykał te gadzie oczy pełne wrogiej obojętności i obojętnej wrogości.

- Przepraszam państwa... - To niecierpliwy niski facet o przeredzonych włosach nachylił się w ich stronę. - Czy państwo wiedzą, jak tam jest?

- Gdzie? - zapytał Atlas Symbol.

- No tam. - Niski facet wykonał rękoma nieokreślony ruch. - No tam, na Śląsku.

- A nie wie pan, skąd my to mamy wiedzieć? - odezwała się Elwira, ale bez złośliwości.

- Nie, no ja przepraszam. - Niski facet wycofał się i uciekł spłoszonym spojrzeniem. - Ja tylko tak...

- A pan za co? - zagadnął życzliwie poeta, chcąc go ośmielić.

- Ja? Ja? - spieszył się niski facet. - Ja, widzi pan, to śmieszne, ja napisałem opowiadanie. - Na wątle, blade policzki wypełznął mu ceglasty rumieniec.

- Pan jest pisarzem? - życzliwie poddała Elwira.

- Ach nie, nie, gdzieżbym tam. Ja tak po prostu kiedyś usiadłem, no wie pani, tak jakoś samo... I potem podesłałem je paru znajomym, no i wie pani, jak to jest. I teraz jestem tutaj.

- Kumple pana sypnęli - stwierdził bezlitośnie Atlas Symbol.

Niski facet skurczył się w sobie i nachylił jeszcze głębiej w ich stronę.

- Gorzej - szepnął. - Dużo gorzej. Żona. Dwadzieścia lat razem i to ona właśnie... - głos mu się załamał. - Jesteście pierwszymi, którym to mówię. Ja przepraszam, ale musiałem komuś, bo to tak ciężko...

Elwira uspokajająco poklepała go po dłoni.

- Teraz już wszystko za nami - rzekła. - Teraz wszystko nieważne. Musimy zapomnieć o tym, co było, a żyć tylko tym, co jest i co będzie. Nie ma powrotu do przeszłości.

- Nie ma powrotu do przeszłości - powtórzył niski facet, jakby chciał zapamiętać te słowa. - Tak, oczywiście, ma pani rację, ale ja miałem mieszkanie, rodzinę, odpowiedzialne stanowisko. Ja, ja miałem nawet prawo do służbowego samochodu we wtorki i czwartki, a teraz... - dodał płaczliwie i rozłożył ręce, po czym szybko przetarł oczy wierzchem dłoni.

Poeta Atlas Symbol spojrział na Elwirę i przymrużył lewe oko. Cała ta niesmaczna sytuacja zaczęła go bawić. Oto produkt systemu został zepchnięty przez tenże system na samo dno. Ciekawe, cóż to było za opowiadanie, skoro tak rozjuszyło świętojebliwych. Żadnego obozu reedukacji, tylko od razu Śląsk? No, facet musiał nieźle przyładować. Nawet gdyby kręcił filmy porno, nie zrobiliby mu specjalnej krzywdy. W każdym razie nie aż taką.

- Co pan takiego napisał? - zapytał Atlas Symbol i naprawdę był ciekaw odpowiedzi.

- Wolałbym nie mówić. - Niski facet zerknął podejrzliwie w jego stronę. - Wystarczy mi tego, co mam.

- Jak pan chce. - Poeta wzruszył ramionami. - Ale gorzej już nie będzie. Trafiłeś do piekła, przyjacielu. Niżej nie spadniesz, bo jesteś na samym dnie.

- Skoro lubi pan takie poetyckie porównania - odciął się facet - to osobiście uważam, że i piekło dzieli się na kręgi. Ja wolałbym być w tym, gdzie najrzadziej podlewają smołą. Nie wiem, jak pan.

Atlas Symbol znów wzruszył ramionami.

- On ma rację - roześmiała się Elwira. - Oto pierwszy kandydat na dozorcę baraku.

- Też coś! - Facet najwyraźniej się obraził, prychnął i wzgardliwie odwrócił się do nich plecami.

- No nie, kurwa twoja końskim chujem w szamę wyjebana mać! - zaryczał jeden z grających, rzucając karty. - Miałem to jak w banku, w pizdu cyc!

Jego przeciwnik uśmiechnął się triumfalnie, a dwaj pozostali, którzy odpadli z rozgrywki wcześniej, milczeli i ponuro przypatrywali się, jak zwycięzca zgarnia pulę.

- Znaczy jesteś goły - zarechotał młody bysiorek w błyszczącej plastikowej kurtce.

- Chuj ci w dupę, jak jestem goły - odgryzł się przegrany i czujnym, taksującym wzrokiem rozejrzał się po przedziale i przyjrzał jego pasażerom. W końcu zdecydował coś i trącił niskiego faceta końcami palców w głowę.

- Co, co? Słucham? - Facet podniósł na niego przestraszony wzrok.

Przegrany podrapał się po szorstkim czarno-siwym zaroście.

- Iskaj się z waluty - rozkazał.

- Słucham? - niepewnie zapytał facet i nerwowo poprawił przedziałek na przerzedzonych włoskach.

Trzej pozostali karciarze zarechotali wesoło i zaczęli z ciekawością przypatrywać się, co nastąpi dalej. Bysiorek w plastikowej kurtce przestał nawet tasować karty. Przegrany tymczasem bez

zbędnych już słów walnął faceta w pysk krótkim lewym sierpem. Facet spadł z ławki, a przegrany przyciągnął go za kołnierz w swoją stronę niczym opornego psiaka. Dziewczyna siedząca obok niskiego faceta i opierająca głowę na ramieniu jednego z trzech karciarzy nawet nie drgnęła. Nadal spokojnie spała z na wpół rozchyłonymi ustami, tylko zmieniła bezwiednie położenie nóg, aby umożliwić przesunięcie ciała po podłodze. Przegrany podniósł swą ofiarę, trzymając ją mocno pod szyją.

- No co, kurwa, chuju? - zapytał. - Dogadamy się?

- Niech pan mnie puści! Ja się poskarżę!

Przegrany teatralnie westchnął i nadal mocno trzymając faceta prawą ręką, lewą uderzył go kilkakrotnie w żołądek. Za każdym ciosem facet śmiesznie podrygiwał i jęczał niczym rozdeptywana żaba. Potem zaczął płakać i mamrotać przez łzy.

- Gdzie się taki, kurwa, uchował? - Przegrany odwrócił głowę do kumpli i to był jego błąd, bo facet niepewnie, ale za to szybko, uderzył go szerokim sierpem w twarz.

Przegrany, zaskoczony, poluźnił uchwyt i wtedy facet wyrwał się, stanął na równe nogi i krzycząc coś niewyraźnie, zaczął młócić potężnymi wiatrakami. Ale przegrany skulił się, zasłonił i wypchnął nogi, przewracając niskiego faceta na jednego z trzech karciarzy. Ten szybkim ruchem uwięził ofierze ramiona. Przegrany stanął pomiędzy nogami faceta. Z rozbitej wargi spływała mu strużka krwi, zbierała się też na wąsach pod nosem.

- Ty kurwo, ty - powiedział nadzwyczajnie spokojnym głosem i zaczął bić krótkimi, fachowymi ciosami, a głowa faceta skakała pomiędzy jego pięściami jak balonik.

Dziewczynę obudził nagły wstrząs i teraz odsunęła się, spychając żółwią babinę pod ścianę przedziału. Patrzyła trochę przestraszona, a trochę jeszcze śpiąca.

- Boże, zrób coś - zaszepotała Elwira, szarpiąc poetę Atlasa Symbola.

Ale ten, niegłupi przecież, więc uwięził ją w silnym uścisku ramienia.

- Daj spokój - zasyczał. - To nie nasza sprawa.

- No dość już, bo go zajebiesz! - pogodnie rozkazał bysiorek w plastikowej kurtce i odepchnął przegranego. - Ma za swoje. Starczy kurwie.

Karciarz, który trzymał faceta, puścił go teraz i bezwładne ciało osunęło się na podłogę.

- Żesz w pizdu, moje spodnie! - Karciarz próbował zetrzeć z nogawek plamy krwi. - To chuj jebany, całe zajebał! - Kopnął ze złością nieruchome ciało i szpic buta miękko wszedł pod żebra.

Facet widać nie stracił przytomności, bo zaskowyczał cichutko i płaczkliwie. Przegrany tymczasem kucnął i dokładnie przeszukał jego kurtkę. Wyjął portfel, a z niego plik banknotów. Liczył uważnie na głos, śliniąc palce.

- Sto trzydzieści, sto trzydzieści pięć, sto pięćdziesiąt pięć, dwieście pięćdziesiąt pięć, no dobra, i to się przyda.

Podciągnął lewy rękaw faceta do góry i zręcznie zdjął mu zegarek. Obejrzał go pod światło.

- In-ger-soll swiss ma-de - wysylabizował, a potem uniósł prawą dłoń faceta i zaczął siłować się z obrączką. - Schodźże, w kurwę! - zaklął zły i otarł krew z nosa.

Ścisnął rękę faceta pomiędzy kolanami i szarpał jego dłoń w tę i we w tę, ale obrączka trzymała się palca jak zaklęta, mimo że pobity nie miał już ani siły, ani ochoty, aby mu przeszkadzać.

- W kurwę żesz - warknął i sięgnął do kieszeni. Szybki stłumiony trzask i z plastikowej obudowy wyskoczyło wąskie ostrze. - Ujebię mu, kurwa, tego palca.

Wtedy stary wąsacz poklepał go po ramieniu.

- Nie trzeba - powiedział, kucając obok z sapnięciem. - Dajże, synku.

Wziął dłoń faceta w swoją, popluł na palce i jednym zgrabnym ruchem ściągnął obrączkę.

- No. - Podniósł głowę zadowolony. - Technika. Oddał obrączkę przegranemu i znów spokojnie siadł, wygodnie się opierając. Wyjął z bluzy zachowaną połówkę papierosa i wsadził ją do szklanej fifki.

- Po co od razu rznąć? - spytał. - Sposobem trza.

- Takiej kurwie? - skrzywił się przegrany. - Chuja mu, jebanemu, oberznąć, będzie taki, kurwa, podskakiwał, cwel w dupę jebany.

Ale wyjął z kurtki paczkę papierosów i kilka z nich podał wąsaczowi na otwartej dłoni.

- Na zdrowie - powiedział, uśmiechając się krzywo. - Jak się ocknie ta menda, to też niech ci coś odpali...

- Boże mój - zaszeptała cichutko Elwira, czując, że jest coraz bliżej Śląska.



Czas płynął wolno jak rzeka flegmy. Amalryk Dymała ciągle wycierał spocone dłonie o spodnie, nie przyjmował nikogo, niby to pogrążony w pracy. Tak naprawdę praca była jednak tego dnia ostatnią rzeczą, którą mógłby robić. Czekał z bólem na godzinę szesnastą, zerkając co i rusz na zegarek, z cyferblatu którego Jezus uśmiechał się wyjątkowo złośliwie. I godzina szesnasta w końcu nadeszła. Wreszcie Amalryk Dymała był wolny, wreszcie mógł wrócić do domu (a nie był tam przecież od wczorajszego ranka) i przygotować się do wielkiej batalii.

Policjanci byli jacyś smętni i otumanieni, może od tego rudego deszczu, co łomotał uporczywie w szyby, a może od kaca, a może po prostu wciąż pamiętali o zdjęciach z wczorajso-dzisiejszej nocy i pamięć ta nie budziła w nich szczególnego entuzjazmu. Zatrzymali się przed samym domem Amalryka Dymały, a on wyszedł z wozu i osłaniając głowę rozpostartą płachtą gazety, wbiegł na schody. Zadzwonił szybko trzy razy. Drzwi otworzyła żona, ale jakaś inna, i Amalryk Dymała przez moment zastanawiał się, jakie zaszły w niej zmiany. Aż wreszcie zorientował się, że ma starannie uczesane włosy, dyskretny, lecz wyraźny makijaż, a ubrana jest nie w przybrudzony szlafrok, w którym zwykła dotąd chodzić, lecz w szarą, gustowną garsonkę.

- Khem, khem - chrząknął Amalryk Dymała, patrząc na żonę.

Nie można co prawda powiedzieć, żeby stała się atrakcyjna, ale przynajmniej stała się mniej

nieatrakcyjna, a to było po prostu absolutnie zdumiewające.

Amalryk Dymała wszedł i cisnął w kąt gazetę. Wielkie zdjęcie papieża z pierwszej strony rudy deszcz poznał plamami i papież w związku z tym wyglądał, jakby był chory na zgnilca.

- Zmęczony? - zapytała żona bez zainteresowania i przeszła do saloniku. Saloniku, kurwa mać, jak to się zmienia w życiu człowieka!

- Gdzie dzieciaki? - odpowiedział pytaniem Amalryk Dymała i zdjął marynarkę.

- Na górze, w swoich pokojach.

Na górze, w swoich pokojach, kurwa mać. Na górze, w swoich pokojach - brzmi naprawdę nieźle. Bo jakby kto nie wiedział, mają pięć pokoi. Pięć. Salon i pokój obiadowy na dole oraz trzy sypialnie na górze. Dwie dla dzieci, jedna dla nich. Osiemdziesiąt metrów kwadratowych. Pogubić się można.

- Chcesz obiad? - Żona zerknęła w jego stronę, a Amalryk Dymała kiwnął głową i siadł w fotelu.

- Prosimy obiad - powiedziała głośno, a Amalryk Dymała podniósł wzrok i spojrzał na nią ze zdziwieniem. Zdziwienie znacznie się powiększyło, kiedy zobaczył w drzwiach postać z tacą w rękach, zmierzającą do pokoju obiadowego.

- Kto to? - nie wiedząc czemu zapytał szeptem.

- To? - Żona machnęła dłonią i Amalryk Dymała zobaczył, że ma równo obcięte, podpiłowane paznokcie, błyszczące, bo pociągnięte bezbarwnym lakierem. - To pani do gotowania i dzieci. Będzie przychodziła na pół dnia.

- Kobieto - zasyczał Amalryk Dymała, ale nie zdążył nic dodać, gdyż żona pokiwała na niego już od progu.

- Chodź, bo wystygnie - rzuciła.

Boże mój, a więc dwa dni wystarczyły, pomyślał Amalryk Dymała. Co ona wymyśli za tydzień czy miesiąc? Co oprócz makijażu, manikiuru, nowych strojów, pani do gotowania?

Poszedł jednak posłusznie do obiadowego pokoju, bo był głodny, a dochodzące stamtąd zapachy były całkiem kuszące. Na stole nakrytym białym obrusem stała już waza z zupą i dwa głębokie talerze. Obok sztuce, na środku blatu wazonik z kwiatkiem i serwetnik pełen bladnoróżowych serwetek.

- A dzieci? - burknął Amalryk Dymała.

- One będą jadać na górze.

One będą jadać na górze, kurwa mać. Jadać. Jadać, mój Boże. Niech cię szlag trafi, kobieto. Do piekła albo na Śląsk nas zaprowadzisz. Z ponurym wyrazem twarzy zabeltał łyżką w pomidorowej z kluskami, starając się ominąć zielone liście pietruszki, których nie znosił.

- W imię Ojca i Syna. - przeżegnał się niedbale i zaczął jeść.

Zupa była naprawdę dobra, pewnie z importowanych pomidorów, bo miała taki oryginalny smak, wcale nie gorzkawy, tylko wręcz słodko-kwaśny. Zjadł porcję do końca i wytarł usta krawędzią dłoni. Wysoka starsza kobieta w fartuszku weszła do pokoju.

- Dzień dobry panu. - Uśmiechnęła się grzecznie i zabrała puste talerze.

Amalryk Dymała patrzył na nią spode łba, kiedy odwrócona zniknęła za progiem. Oparł pięści o blat.

- Jutro ma jej tu nie być - zawarczał.

- A to jak chcesz. Ale sam sobie gotuj i zajmuj się bachorami - powiedziała żona głosem na pozór obojętnym, ale widać było, iż jest zła.

- Zaraz dostaniesz wpierdol, kurwo! Przyjrzała mu się chłodnym wzrokiem.

- Jeżeli awantury pomogą ci w karierze, to proszę bardzo. Nasi sąsiedzi zza ściany na pewno będą mieli co gadać...

Co za pierdolona dziwka, pomyślał Amalryk Dymała i zacisnął szczęki tak mocno, że zaboląły go zęby. Jak to się zmieniło, bydlę przekłete. Co ona sobie myśli, kurwa przebrzydła? Ale spokój, Boże mój, spokój, nie przy ludziach, nie w dzień. W razie czego w nocy szmatę w pysk i twardym pasem, złoić dupsko klamrą, aż krew tryśnie na pościel. Bić tak długo, aż zacznie po rękach całować, suka jebana.

- Co na drugie? - zapytał spokojnym na pozór głosem, bo wiedział, że nie może dać się ponieść emocjom.

Od czasów kiedy zaczął współpracować z Kościołem, przyzwyczał się, że jest „pierwsze” i „drugie”, a nie jedynie wodnista zupka z gorzkawymi ziemniakami.

- Gulasz z makaronem z chińskiej konserwy - odpowiedziała też spokojnie.

Najwyraźniej uznała, że właśnie wygrała pierwsze starcie, i nie wiedziała, jak bardzo, ale to bardzo się myliła, sądząc, że Amalryk Dymała, jej mąż i głowa rodziny, puści płazem to niewiarygodne zuchwalstwo.

Do gulaszu Amalryk Dymała zażyczył sobie łyżkę, bo niewygodnie było nawijać na widelec długie nitki makaronu. Mięso było niezłe, miękkie, w smacznym sosie. Rzecz jasna nie umywało się do tych potrawdziwów z Wilanowa, ale przynajmniej było to prawdziwe mięso i można jeść, ile się zechciało, choćby nawet do urzygu. A mało ludzi na nie stać, choć na czarnym rynku było pełno mięsa. Tylko Bóg wie z czego to mięso. Być może z kotów, szczurów, gołębi czy psów, niektórzy mówią, że jeszcze gorzej. Gadano, że niektórzy handlowali nawet ludzkim mięsem. W końcu mało to bezdomnych dzieci włóczy się po ruinach i wysypiskach? Co łatwiejszego niż zarzucić worek na łeb, potem pałką w głowę i obrządzić w jakiejś szopie? Ale ten gulasz był z chińskiej konserwy, więc zapewne wołowina. Dobra, zdrowa i smaczna wołowina z dobrych, zdrowych i smacznych chińskich krówek. Niewielu stać na taki luksus. Do popicia woda mineralna z niemieckiej butelki, więc nie trucizna, więc z pewnością nieskażona.

Amalryk Dymała wypił duszkiem zawartość szklanki i donośnie beknął. Takim dziarskim, głębokim i długim beknieniem, pochodzącym z samych trzewi. Potem przeciągnął się. Uznał, że warto się zdrzemnąć, bo o dziewiątej zaprosił go na kolację ksiądz proboszcz, a do tej kolacji trzeba przecież przygotować się zarówno fizycznie, jak i intelektualnie. A więc krótka drzemka będzie najlepszym początkiem tych przygotowań.

- Idę na górę - zapowiedział i ziewnął, gdyż chciało mu się spać na samą myśl o spaniu.



Pisarz Konrad Piotr przygotowywał się do wyjścia i jak zwykle starannie dobierał ubranie. Gołębia koszula, krawat w delikatne prążki, garnitur w kolorze kawy z mlekiem i o odcień tylko ciemniejsze półbuty. Skorzystał z sieciowego przyłącza tylko po to, by zamówić odzież. Przetrasował swoje dane i obejrzał kilka modeli na trójwymiarowym manekinie. Wybrał wreszcie ten zestaw, chociaż niezbyt zadowolony, gdyż ubrania wolał szyć w prawdziwych zakładach krawieckich z tradycjami, w takich, z których słynęły Londyn czy Tokio. Buty zakupione w sklepie również nie były tym samym, co finezyjna robota kaletników. Ale tu przynajmniej wiedział, że za godzinę pojawi się kurier z przesyłką.

Gdy dotarła i gdy już się przebrał ze szpitalnej piżamy, przejrzał się w lustrze, poprawiając niesforny kosmyk włosów. Nie widać po mnie szpitala, pomyślał z zadowoleniem. Wyglądam może nawet trochę lepiej niż przedtem. Ech, ta woda, ta woda, na chwilę człowiek przestanie chlać i od razu widać poprawę.

Był nie wiadomo z jakiego powodu podekscytowany i naładowany pozytywną energią. Wręcz chęcią dokonywania wiekopomnych czynów. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio jego umysł wydawał się tak świeży, a ciało przypominało maszynę doskonale przygotowaną do wszelkiej pracy. Zupełnie niczym ciało dwudziestoletniego sportowca. No, rzecz jasna nie wyczynowego sportowca, zastrzegł się w myślach, gdyż ci w wieku dwudziestu lat byli już tylko wykończonymi wrakami.

Pamiętał, jaki wybuchł skandal na ostatniej olimpiadzie, kiedy chiński sprinter narobił pod siebie w czasie otrzymywania srebrnego medalu i co gorsza, nie bardzo wiedział, gdzie jest i o co w ogóle w tym wszystkim chodzi. Uśmiechał się do publiczności uśmiechem życzliwie nastawionego do świata debila, a brązowy, rozrzedzony kał ściekał mu po spodenkach i wygolonych nogach. No ale cóż, skoro przekształca się ich genetycznie, a potem faszeruje farmakologią, to czemu się dziwić? Zaletą Przenajświętszej było przynajmniej to, że nie pozwalała oficjalnie na podobne eksperymenty, co zresztą powodowało, iż z olimpiad jej ekipy przywoziły zazwyczaj jedynie gorzkie wspomnienia. Wszystko to nie było ważne. Sport przecież już od dziesiątek lat stawał się oazą dla sztucznie hodowanych mutantów, którzy ku uciesze tłuszczy biegali coraz szybciej, skakali coraz wyżej i tłukli się coraz mocniej.

Ważne było tylko, że pisarz Konrad Piotr czuł, iż ma przed sobą długie, szczęśliwe lata. Kipiała w nim cicha, radosna euforia, związana z chęcią przeprowadzenia radykalnych zmian. Teraz zamierzał dopiero rozpocząć prawdziwe życie. Przeciągnął się, czując napinające materiały marynarki węzły mięśni. Wtedy rozległo się pukanie i do środka weszła uroczą Melissa Kacperek.

- Już pan gotów? - zapytała. - Samochód czeka przy bramie.
- Tak, jestem gotów - odpowiedział Konrad Piotr, podziwiając w lustrze swój orli profil.
- Trochę mnie martwi, że tak szybko zdecydował się pan wyjść...
- To nic, kochanie - przerwał jej, a w lustrze miał okazję zobaczyć swój śnieżnobiały, zniewalający uśmiech. - Świat na mnie czeka! Nie wolno całe wieki gnić w łóżku!

Melissa Kacperek pokiwała głową nieprzekonana. Ta niespodziewana poprawa zdrowia pacjenta, który przecież dopiero co przeszedł zapaść, bardzo ją zaniepokoiła. A jeżeli mu się pogorszy? Boże mój, wiadomo, kto za to odpowie.

- Proszę się nie martwić. - Pisarz Konrad Piotr odgadł jej myśli. - Jestem zdrow jak byk. Naprawdę!

Jak rozplodowy byk, dodał w myślach, bo ogromne seksualne napięcie drażyło go od czasu, kiedy uznał, że warto żyć.

Czuł w sobie istic młodzieńczą jurność, zadziwiającą i prawie już zapomnianą. Przyjrzał się z nieschodzącym z ust uśmiechem Melissie Kacperek. Zgrabna, jeszcze młoda, te głębokie fiołkowe oczy i biust chyba niezły, choć tajemniczo skryty pod obszernym białym kitlem. Włosy surowo zaczesane do tyłu... Lecz gdyby je rozpuściła, gdyby szybkim ruchem zerwała to, co zakrywa jej wdzięki, gdyby rozogniona i namiętna usiadła na jego twardej jak stal, byczojurnej pale i wila się tam, skręcała i cwałowała, ha! to mogłoby być bardzo, ale to bardzo miłe! Bo pisarz Konrad Piotr kochał galop, kiedy piersi podrygiwały w rytm uderzeń, zęby przygryzały wargi, z gardła wyrwał się szczęśliwy, namiętny jęk, a nogi zaciskały niczym żelazne obręcze. No, dość tego, zmitygował się i kazał wycofać nieprzyzwoitym myślom, choć opamiętanie przyszło mu z wielkim trudem i niełatwo było odpędzić sprzed oczu narzucające się podniecające obrazy. Podszedł więc tylko do Melissy Kacperek i pocałował ją mocno w miękkie, zdziwione usta.

- Dziękuję - powiedział.

Szybkim krokiem wyszedł na korytarz. Limuzyna czekała przed bramą. Ta sama co zwykle i ten sam co zwykle szofer o surowej twarzy zoranej dziobami po ospie.

- Dzień dobry - ukłonił się, a pisarz Konrad Piotr klepnął go przyjacielsko po ramieniu i zniknął w przytulnym klimatyzowanym wnętrzu.

- Do domu - rozkazał w mikrofon. - Wracamy do domu.

Do domu, domciu, domeczku... Do domu otoczonego murem, gdzie czuwają noktowizorooocy strażnicy i szablizozębne psiska. Do domu chronionego jak sejf zamkami, alarmami i elektroniką. Do domu, gdzie oczyszczacze tłoczą świeże powietrze, a filtry wytrwale filtrują wodę. Do domu, gdzie wolność i zapach oceanicznej bryzy. A na razie miękkie skórzane fotele i barek, gdzie mrozi się ulubiony „Absolut”, którego każda kropla leczy rany i raduje serce.

Gusta pisarza Konrada Piotra zmieniały się wraz z upływem czasu. Kiedy patrzył w przeszłość, widział, że młodość zaczęła się gdzieś pod szkolnym płotem, z butelką taniego owocowego wina, gulgotanego pospiesznie i przegryzanego papierosem. Wino to miało swój jedyny i niepowtarzalny smak, a smak ten spał jeszcze gdzieś pod językiem pisarza Konrada Piotra. Choć tak wiele minęło lat od czasu, kiedy ostatni raz pił wino zwane siarą, alpaga bądź pryta. Potem nadeszła kolej słodkich wódek i słodkiego chińskiego wina wiśniowego, które pachniało migdałami, jakby przyprawiono je cyjankiem potasu, i po którym następnego dnia głowa stawała się kopalnią zamieszkaną przez oszalałych górników. Następnie pojawiły się wina, czerwone, wytrawne, a po nich już nastąpił czas luksusowych trunków: koniaków i whisky.

W gardle pisarza Konrada Piotra zagościły również przeróżne eksperymenty, a to zwane „messerszmitem” bądź „jorszką” piwo zmieszane z wódką tak kunsztownie, aby w szklance stworzyć białobrazową flagę, a to szampan bełtany ze spirytusem, ochrzczony jako „biały miś”, bo ponoć

receptura pochodziła z niegdyś radosnej, gorzałodajnej syberyjskiej tajgi. A to „U-Boot” z kieliszkiem spirytusu zatopionym w szklanicy mocnego piwa, a to „wściekły pies”, czyli spirytusik z wiśniową wódką oraz tabasco. Tak właśnie pisarz Konrad Piotr poszukiwał tej jedynej, jak wybredny, acz złakniony kochanek. I wreszcie spotkał ją w osobie szwedzkiej wódki, która jako absolutna doskonałość słusznie nosiła nazwę „Absolutu”. Starał się być jej na tyle wierny, na ile może być wierny słynący z uprzednich podbojów

Casanovą. Jeszcze tylko kufel czarnego jak smoła Guinnessa potrafił w równej mierze rozradować jego przelyk, ale nie na próżno był ten napój najznamienitszym piwnym arystokratą, słynącym z tego, że jego zalety doceniali tylko ludzie głębokiego rozumu i wyrafinowanej estetyki.

Tak właśnie postępował twórczy rozwój pisarza Konrada Piotra i teraz mógł z lubością przechylać zimny jak kryształ lodu, grubo rżnięty kielich wypełniony przezroczystą ambrozją. Konrad Piotr tak się zapomniał, iż nie zauważył nawet, że limuzyna wjechała na wewnętrzną drogę prowadzącą w stronę pilnie strzeżonego osiedla drogocennych owieczek pańskich. Dopiero kiedy zdalnie sterowana brama zaprosiła w głąb królestwa prawowiernych, pisarz schował w barku butelkę i kieliszek. Uśmiechnął się do świata i do siebie samego z rozrzewnieniem, gdyż dawno dom nie budził w nim tylu pozytywnych emocji. Był przepelniony rozczulającą miłością do świata, rozkoszował się wolnością i świadomością rozkoszowania się wolnością. Był tak szczęśliwy, że wysiadając z samochodu, wręczył ospowatemu kierowcy spinkę do krawata, a spinka była złota z diamentowym łebkiem, a więc rzecz ze wszech miar godna pożądania.

Stał przed niewysokim murem otaczającym posesję i przyłożył opuszek kciuka do metalowej płytki elektronicznego klucza. Soczewka kamery drgnęła i skierowała swe plastikowe oczko wprost w źrenicę Konrada Piotra. Test sprawdzania siatkówki wypadł widać pomyślnie, gdyż brama bezszelestnie wsiąknęła w mur i pisarz przeszedł do samego domu wzdłuż świetnie utrzymanego angielskiego żywopłotu. Dom był niskim, zaledwie jednopiętrowym budynkiem wzniesionym na linii kwadratu, w środku którego mieściło się patio, gdzie pisarz Konrad Piotr od wielu lat z niezmienną cierpliwością i wiecznym niepowodzeniem próbował hodować japońskie drzewka bonsai.

Dom, mimo że jednopiętrowy, miał aż jedenaście pokoi, dwie kuchnie, dwie łazienki, basen w podziemiu, saunę, salę treningową i przepiękną piwnicę z czerwonej cegły, umeblowaną w dębie. Tam najlepiej obcowało się z „Absolutem”. Ale na razie pisarz Konrad Piotr wszedł do biblioteki pełnej dzieł wielce uczonych, mniej uczonych lub nieuczonych wcale i pełnej ksiąg własnych. Dzieł zebranych, wydanych w skórze i ze złoceniami, oraz zwykłych paperbacków, publikowanych po to, aby i zwykły, niemający obywatel Przenajświętszej mógł obcować ze słowem Mistrza. Tam też znajdowała się cała kolekcja minidysków z wszystkimi nagranyimi programami przygotowanymi przez Konrada Piotra.

Pod oknem wychodzącym na ogród stało szerokie, wieloszufladowe biurko z malgaskiego hebanu, a na nim tylko małe puzderko sieciowego przyłącza oraz sterownik ekranu zastępującego jedną ze ścian. Pisarz Konrad Piotr, wspinając się na palce, zwałił książki (lecz tylko swego autorstwa) na olbrzymią kupę pośrodku dywanu. Dołożył garść dysków z nagranyimi programami telewizyjnymi. Siadł na blacie, zmęczony, i z zadowoleniem przypatrywał się stosowi, który dorosłemu mężczyźnie sięgałby do ramion. Teraz uruchomił centralkę domowego komputera, kazał przygotować sobie kawę i tosty, po czym obchodząc blokady, wyłączył system ochronny. Następnie wyjął ze stosu na chybił trafił jedną z książek, wyrwał z niej stronicę i skręcił w tuleję. Zapalił rulonik za pomocą zapalniczki i podpalił stos w trzech miejscach.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego - wymruczał.

Oparł się o drzwi prowadzące do holu i z niepozobawionym dumy zadowoleniem obserwował, jak czerwony łakomczuch pochłania ze smakiem wszystko, co mu ofiarowano. Ogień strzelał wesolutko, sączył pod sufit kłęb dymu. W pokoju robiło się coraz cieplej. Ale czujniki antypożarowe zostały oślepię, więc nie rozległ się rozpaczliwy alarm, z sufitu nie lunęły potoki wody, na kontrolce przy biurku strażnika nie zamigotała czerwona lampka.

- *Sic transit gloria mundi* - skwitował Konrad Piotr dobitnie i zaśmiał się śmiechem pełnym ulgi.

Potem wstrzelił w pokój słuę piany z podręcznej gaśnicy, a ogień niemal momentalnie zgasł, pozostawiając na podłodze szerniałe szczątki, osmalone ściany i sufit. Dym piekł w oczy i dławiał. Konrad Piotr zamknął drzwi i odrzucił gaśnicę.

- Zrobione. - Uraczył się soczyście długim łykiem wódki. - Tak łatwo poszło - dodał i uraczył się drugim.

- Zrobione to mało powiedziane - usłyszał za sobą dziewczęcy głos. - Wyśmienicie zrobione, drogi panie.

Pisarz Konrad Piotr odwrócił się zdumiony i zastygł jak nieszczęsna żona Lota, zamieniona przez miłosiernego Boga w olbrzymi zapas przyprawy.

- Skąd... skąd...?

- Skąd się tu wzięłam, zapewne pan zapyta - zaśmiała się dziewczyna, która wyglądała jak ucieleśnienie męskich snów oraz marzeń.

- Tak - odrzekł Konrad Piotr, a serce zaczęło mu walić tak, jak gdyby chciało znów się znaleźć pod czułą opieką Melissy Kacperek.

- Czy to ważne? - spytała dziewczyna, której czarny, na wpół przezroczysty stanik odsłaniał piersi przypominające himalajskie szczyty. - Gdzie tu jest sypialnia? - Rozpuściła włosy, a te jak ruda mgła otuliły ją aż do pasa. - Chcę się z tobą kochać - stwierdziła uwodzicielskim szeptem i pogładziła palcami alabastrowe uda, a jej ogromne zielone oczy zaśniły niczym jeziora jadeitu.

- Cóż zrobić? - rozłożył ręce pisarz Konrad Piotr. - Szlachectwo zobowiązuje.

Po czym porwał ją w ramiona i poniósł w stronę sypialni. Droga szalenie mu się dłużyła, lecz nigdy jeszcze nie był tak silny, więc nawet nie oddychał szybciej, a jeżeli, to tylko z pożądania, a nie zmęczenia. Ona zaś szeptała mu w ucho nieprzyzwoite słowa, jakieś wyznania i obietnice, a każdy szept czynił Konrada Piotra silniejszym. Wreszcie rzucił ją na łóżę, cisnął niczym zdobyczną branęę, a wodny materac czule przytulił dziewczynę do siebie. Wszystko już później toczyło się według ogólnie znanych reguł, wszystko już według Owidiusza i Boccaccia, a może Fredry i Maupassanta, bo działały się w tym łóżę takie rzeczy, które mogłyby zainteresować nawet reżysera najostrzejszych filmów porno. A Konrad Piotr nigdy jeszcze nie czuł tak przerażająco radosnej jurności i nigdy jeszcze jego nasienie nie strzelało takimi strugami, i nigdy jeszcze ten dom nie słyszał tylu jęków, westchnień oraz krzyków rozkoszy. A gdy wszystko się skończyło (bo jak wszystkie rzeczy pod ludzkim niebem kiedyś skończyć się musiało), Konrad Piotr zasnął z głową ułożoną pomiędzy wżórzami jej piersi i z palcami prawej dłoni zaplątanymi w mroczny las, który krzewił się pod płaskowyżem jej brzucha. Pisarz Konrad Piotr, zasypiając, myślał o tym wydarzeniu takimi właśnie słowami, bolejąc jednocześnie nad tym, że pomimo całej swej prawdziwości zbyt trąciły grafomanią.

Ale w końcu czymże innym był, jak nie grafomanem, któremu niegdyś się poszczęściło?

Kiedy obudził się ze spokojnego snu bez snów, poszukał dłonią jej ciała, ale znalazł tylko zmierzwioną pościel. Wstał szczęśliwy i wycieńczony, chciał ją zawołać, ale nie wiedział nawet, jakim nazwać ją imieniem, bo ich konwersacja w łóżku była nader ograniczona i nie zostali sobie oficjalnie przedstawieni. Tak więc Konrad Piotr wybrał się na poszukiwania kochanki, a zważywszy na wielkość jego domu, potrwały one dość długo. Niezrażony obszedł wszystkie pokoje (nie wyłączając spalonego gabinetu), trzykrotnie odwiedził łazienkę, zajrzał nawet (nie wiadomo z jakich przyczyn) pod wannę oraz do kuchennych szafek. Spenetrował piwnicę i garaże, uważnie przyjrzał się basenowi. Nigdzie jednak nie znalazł ani kochanki, ani żadnego śladu jej obecności. Chociaż nie. Dostał jednak szansę, by umocnić się w wierze, że nie był to tylko sen. Na półce pod lustrem znalazł szminkę. Ciemnokarminową i błyszczącą. Tego samego koloru, co ślad na jasnym kołnierzyku koszuli. Szminkę tę schował do kieszeni marynarki. Potem włączył wideofon i skontaktował się z centralą. Na ekranie pojawiła się skupiona, uważna twarz szefa strażników.

- Dzień dobry panu. W czym mogę pomóc? - zapytał uprzejmie.

- Otóż, otóż... - Pisarz Konrad Piotr zastanawiał się przez długą, męczącą chwilę, jak najzgrabniej ująć problem. - Była u mnie pewna kobieta i... No cóż, i teraz jej nie ma...

- Czy coś zginęło? - czujnie przerwał strażnik.

- Nie, nie o to chodzi. Ona była, gdy przyjechałem...

- Czy zostawił pan jej kod wejściowy? - znów przerwał mężczyzna.

- Nie.

- Nie? - Strażnik zmarszczył brwi. Wiedział, że jeżeli ktoś przełamał kod, mogą z tego wyniknąć nieliczne kłopoty. - Kiedy wyszła?

- Godzinę, tak, godzinę temu.

- Musi być na terenie - uspokoił go strażnik. - Proszę się nie niepokoić, nikt nie opuszczał osiedla od przeszło dwóch godzin. Co pan chce, abyśmy zrobili?

- Odnajdźcie ją - zdecydował. - I przyprowadźcie do mnie.

- Oczywiście - zgodził się strażnik i postanowił, że będzie jej szukał, gdyż trzeba ustalić fakty. Wątpił jednak, aby dziewczyna mogła przełamać kod. Prędzej, myślał, ten pijaczyna dał kod jakiejś dziwce i zapomniał o tym.

- Jak wyglądała? - spytał.

- Wysoka, prawie mojego wzrostu - wyjaśnił pisarz, wydobywając z pamięci obraz kochanki. - Długie rude włosy, zielone oczy, tak na oko ze dwadzieścia dwa, trzy lata. Duży biust. - Uśmiechnął się, przypominając sobie, jakież to cuda wyprawiał z tym biustem jeszcze niedawno.

- To tylko kwestia czasu - rzeczowo oznajmił strażnik. - Musi być na terenie. Myślę, że za godzinę, góra dwie będzie pan ją miał z powrotem.

- Dziękuję - odparł z wdzięcznością Konrad Piotr i rozłączył się.

Wypadało mu tylko czekać. Nie interesowało go, kim jest ta dziewczyna, jak dostała się do środka i jak wyszła. Ciekaw był tylko tego, co będą robić dziś wieczorem, dziś w nocy, jutro rano,

jutro w południe, jutro wieczorem, jutro w nocy. Co będą robić na wodnym materacu, na dywanie, pod prysznicem, w basenie, na fotelu w salonie, na kuchennym stole i w saunie. Tak więc pisarz Konrad Piotr nalał sobie godziwą szklaneczkę szwedzkiego likworu, zapalił papierosa i przyjął niewielką daweczkę metakoksu. Ot, by zabić oczekiwanie na wiadomość od strażnika i podnieść sobie nastrój. Potem bawił się puszczaniem pod sufit kółek z dymu. Tak zszedł mu czas aż do chwili, kiedy z wideofonu dobiegła go melodyjka rapsodii węgierskiej Liszta.

- Słucham? - Konrad Piotr był przekonany, że szczęśliwe chwile są już blisko.

- Przykro mi, proszę pana - zameldował strażnik. - Nikogo nie znaleźliśmy. Tej kobiety nie ma na terenie osiedla, ale również nie opuszczała go ani, tak jak mówiłem wcześniej, nie zanotowaliśmy jej przybycia. Muszę zadać panu jedno pytanie.

- Tak? - Pisarz pohamował jeszcze złość. Ale wiedział, że nie pogodzi się z klęską.

- Czy jest pan pewien, że ta kobieta była u pana dzisiaj? Może była na przykład wczoraj?

- Czy jestem pewien? - wybuchnął pisarz Konrad Piotr. - Jestem tego pewien jak niczego innego na świecie! Wczoraj byłem jeszcze w szpitalu! Bierzcie się porządnie do roboty, gnojki, bo za to wam płacę!

- Właśnie to robimy - odparł strażnik, jego oczy pozostały fachowo spokojne i tylko szybki, niemal niezauważalny skurcz, jaki przemknął po jego twarzy, mógł sprowokować do myśli, że nie uznał słowa „gnojki” za komplement. - Jak pan wie, w każdym pomieszczeniu pańskiego domu zainstalowane są kamery. Stale, dwadzieścia cztery godziny na dobę, rejestrujące wszystko, co się dzieje. Materiał dźwiękowy oraz filmowy przekazywany jest do tak zwanej „czarnej skrzynki”, do której dostęp może mieć tylko właściciel danej posesji, bądź w sytuacji tego wymagającej wysoki oficer policji. Proponuję, aby przejrzał pan zapis z dzisiejszego dnia i przekazał nam wybrany materiał filmowy. Czy podać panu kod otwierający?

- Nie trzeba, mam go - mruknął Konrad Piotr i przypomniał sobie, jak dziwnie się czuł, kiedy wprowadził się wiele lat temu do tego domu i kiedy przez kilka dni czy nawet tygodni żył z niepokojącym uczuciem, że w każdej, nawet najbardziej intymnej sytuacji śledziło go niezawodne i niewidzialne oko kamery.

- Proszę się z nami skontaktować. Dziękuję za pomoc - skończył strażnik i ekran wideofonu ściemniał.

Pisarz Konrad Piotr wstał, trzymając w dłoni nieodłączną szklaneczkę, i poszedł w stronę centrali komputera. Wystukał na klawiaturze kod i rozkazał wyświetlać na ekranie zapis zarejestrowany przez kamerę w gabinecie.

Jeszcze raz podziwiał całą dobrą robotę, jaką wykonał. Ten stos papierzysek płonący niczym sobótkowe ognisko oraz skwierczące na szczycie minidyski, skazane jak czarownice wyrokiem dziejów. Potem zobaczył smugę piany z gaśnicy (czy ten trzymający gaśnicę facet o rozczochranych włosach, czerwonej twarzy i usmolonych dłoniach to ja? - zastanawiał się przez chwilę) i szkarłatne, rozigrane języki zmieniły się w kupę spalenizny.

Następnie pisarz Konrad Piotr kazał przełączyć obraz tak, aby przedstawił, co zarejestrowała kamera w korytarzu. Tu właśnie przecież nastąpiło pierwsze spotkanie, tu właśnie cudowna ruda zjawia powiedziała: „Zrobione to mało powiedziane. Wyśmienicie zrobione, drogi panie”. Ale film

ukazał tylko stojącego z radosną i nieco obłąkaną miną faceta, po czym facet ten odwrócił się i za skrzytem korytarza zginęły jego plecy. Konrad Piotr przełączył szybko program na obraz rejestrowany w sypialni. Do niej właśnie wszedł rozczochrany facet, odłożył pod ścianę gaśnicę, rozebrał się, rozrzucając ubranie dokoła, padł w pościel z wyraźnie zadowoloną miną, po czym oddał się zajadle czynności, za którą wedle ludowej tradycji Bóg pokarał Onana. A w chwilę po nader obfitej, poprzedzonej głośnym jękiem ejakulacji zapadł w mocny sen, kuląc się jak embrion i przytulając mocno do poduszki.

- Kurwa - wyszeptał Konrad Piotr obserwujący siebie samego sprzed kilku godzin. - Kurwa, kurwa, kurwa!

Jeszcze raz od początku obejrzał wszystko po kolei. Pożar, spacer korytarzem, sypialnia, onanizm i sen. Nic się nie zmieniło, bo i nic się zmienić nie mogło! Dyski nie kłamią!

Właśnie. Dyski nie kłamią. A jeśli? A jeśli dokonano manipulacji? Ale kto? Dlaczego? A jeśli to ja, mój umysł został zmanipulowany? - pomyślał. Jeżeli to choroba psychiczna? Albo przekodowanie? Tylko komu by, na Boga, zależało na czymś takim? A jeżeli wszystko było jedynie wytworem wyobraźni? Rzeczywiście, było zbyt wspaniale. Ale przecież mało piłem i mało brałem. Dlaczego miałbym wymyślać podobne rzeczy?

Pisarz Konrad Piotr usiadł na dywanie, krzyżując po turecku nogi, i bezmyślnie wpatrywał się w nieruchomy obraz śpiącego mężczyzny. Sięgnął machinalnie do kieszeni i wtedy palce natknęły się na chłodny owalny przedmiot. Wydobył na światło dzienne ciemnokarminową, błyszczącą szminkę. Przez długą chwilę obracał ją w palcach, a potem schował z powrotem do kieszeni. Ból głowy i suchość gardła stały się nie do wytrzymania. Ledwo co zebrał siły, by podejść do stolika i stukając szyjką butelki o szkło, nalać sobie wielką wódkę z meniskiem wypukłym. Wypił na raz. Potem z powrotem usiadł przed ekranem i czekał.

*

Amalryk Dymała dokonywał już ostatnich poprawek, przeglądał się w lustrze, strzepywał z ramion niewidoczne pyłki, przekręcał krawat to tak, to siak. Wiedział, że musi wyglądać godnie, kompetentnie (cokolwiek to słowo miałooby znaczyć) i skromnie. Łączyć w sobie dumę z faktu przynależności do Kościoła z pokorą. Od tej wizyty, od spotkania z proboszczem, zależało niemal wszystko. Bo tak już się działo, że zwykle nawet biskup nie był w stanie ocalić człowieka, jeśli ksiądz proboszcz uznał go za wroga. Chyba że...

Zerknął na zegarek. Za piętnaście dziewiąta. Czas wychodzić, tak aby zdążyć pięć przed dziewiątą na miejsce. Punktualność przede wszystkim, bo punktualność jest świadectwem szacunku. Amalryk Dymała zszedł na parter, gdzie żona badawczo mu się przyjrzała i kazała mu okręcić się na pięcie. Coś tam jeszcze poprawiła w ramionach marynarki, coś strzepnęła z kłapy.

- Może być - stwierdziła.

- Może być? - nadał się Amalryk Dymała. Wiedział, że prezentuje się bosko, tylko to stare kurwiszcze nie chce zaakceptować jego nowego wyglądu.

Samochód czekał na dole, więc Amalryk Dymała popędził do niego, osłaniając się parasolem. W środku, za kierownicą, siedział starszy z policjantów.

- No i jak? - spytał. - Wszystko w porządku?

- Możemy jechać - dziarsko odpowiedział Amalryk Dymała.

Wóz wolno ruszył.

- Nie bój biedy - powiedział kierowca. - Proboszcz jest możliwy. Dobremu człowiekowi krzywdy nie zrobi.

A czy ja jestem dobrym człowiekiem? - pomyślał z nagłym strachem Amalryk Dymała. I co to w ogóle znaczy być dobrym człowiekiem?

- Znaście księdza proboszcza? - zagadnął.

- Co mam nie znać, tyle lat już tutaj jestem. Myślący człowiek, nie powiem.

Amalrykowi Dymale ta opinia wydała się zbyt bezpośrednia, jakaś taka familiarna i pozbawiona odpowiedniej dozy szacunku. Ale czy właściwie, zważywszy na bieg wypadków, proboszcz zasługuje na szacunek? Tak czy inaczej, wizyta była szalenie ważna. Cokolwiek się stanie, to nie proboszcz ma wykonać pierwszy ruch. Cokolwiek się stanie, pomyślał Amalryk Dymała i włos zjeżył mu się na głowie, a zimne ciarki przebiegły przez plecy. A stać się może wiele, bo gra toczy się o cholernie dużą stawkę. A może nie ryzykować? - Amalryka Dymała ogarnęły nagłe wątpliwości. Dać spokój, udać, że nic się nie wydarzyło? Nie, nie - odpowiedział sam sobie, pieszcząc jednocześnie maleńki magnetofon przyklejony plastrem pod zegarkiem. Trzeba grać, bo kto nie gra, ten, kurwa, nie wygrywa.

Oderwał się od tych myśli, kiedy zobaczył proboszcza stojącego na progu w blasku lamp. Wyglądał w tym oświetleniu jak dobrotliwy stary archanioł.

- Witam, całym sercem witam - serdecznie pozdrowił ksiądz proboszcz. - Zapraszam do środka.

Tam, w środku, Amalryk Dymała mógł już uklęknąć, zastygając na moment z pierścieniem proboszcza przy ustach, w pozie, którą sam nazwał „wierna owieczka wielbi swego pasterza”.

- No, no, dajże spokój. - Ksiądz podjął go pod ramiona.

Amalryk Dymała zauważył, że proboszcz ma silne dłonie, ogorzałą twarz i przenikliwe, oceniające spojrzenie. Serce znowu zabiło mu szybciej.

Tymczasem ksiądz poprowadził Amalryka Dymała do pokoju, gdzie na stole czekał już skromny posiłek. A to krwista kaszaneczka, a to grube plastry tłustego boczku, a to zielony, kiszony ogórasek. A cóż tam parowało w wazie? Cóż by innego, jak nie gorące, tłuste i pieprzne flaki, sownicie przystrojone majerankiem. A obok pyszniła się ciemnoczerwona butla, Amalryk Dymała głowę by dał, że to wyśmienita księża wiśnióweczka, co wchodzi w gardło jak miód, a potem człowiek nie może już wstać z krzesła.

Zasiedli przy stole. Amalryk Dymała poczekał grzecznie, aż proboszcz usadowi się pierwszy, odmówili szczerą, krótką modlitwę i zabrali się do jedzenia. Ksiądz nakładał hojnie na talerze, hojnie też polewał do kielonków, a Amalryk Dymała czuł się, jakby jadł i pił od zawsze z tym dobrym kompanem. I nie zauważył, że mimo opowiadanych anegdotek, wybuchów szczerego śmiechu

oraz serdecznego poklepywania po ramieniu oczy księdza pozostały stalowe, przenikliwe i oceniające. Amalryk Dymała zatracił instynkt samozachowawczy; niedostrzeżenie tego było błędem, który w przyszłości mógł się zemścić. Zresztą ksiądz proboszcz zawsze był wybornym graczem, chociaż nikt niewtajemniczony nie wiedział, że swoją parafię wygrał kareta waleatów przeciw fulowi maksowi, co było dużym osiągnięciem, gdyż grał z samym biskupem-sekretarzem prymasa, słynącym z mocnej głowy, zręcznych dłoni i wybiórczego podejścia do kwestii uczciwości.

- No jak ci tam? - zapytał serdecznie proboszcz. - Zdrówenko! - Przechylił kieliszek.

- W ręce księdza proboszcza - chlupnął do dna Amalryk Dymała. - Z pomocą boską dam radę.

- Daj, synu, daj, bo ciężkie to żniwo, zdrówenko, ale plon bogaty, bo z niebieskich pól pochodzi.

- W ręce księdza proboszcza, spróbuję, tak mi dopomóżcie Boże i Święta Panienko.

- Nie daj się zwieść złym ludziom, zdrówenko, i pamiętaj, że kto przestrzega dziesięciorga przykazań oraz nauk Kościoła, ten zachowuje siłę do walki z bestią, która szczyrzy na nas kły z każdego mrocznego zakątka. No to chlup na drugą nóżkę!

Amalryk Dymała podejrzliwie powiódł wzrokiem po pokoju, jakby szukał tych szczyrzących się kłów, ale zaraz posłusznie uniósł kieliszek.

- Staram się, w ręce księdza proboszcza.

Czuł już, że mu się trochę we łbie kolebie, ale to po prostu uśpione promile obudziły się, gdy je lekko zwiśnióweczowano. No i złośliwe bestie zaczęły hulać, krew mącić i przerabiać na alkohol. Pogryzł więc tłustego boczek, bo dobre i stare przysłowie mówiło, że „kto tłusto jada, pod stół nie wpada”. A nie wypadaloby przecież w taki właśnie sposób zakończyć wizyty u samego księdza proboszcza.

- Jedz, synu, jedz. Dobry boczek, teksański, ekologiczny. Zdrówenko.

Amalryk Dymała zmartwiał i zastanowił się, czy ten przymiotnik na „e”, ostatni użyty przez księdza proboszcza, był na zakazanym indeksie, czy też nie był. A chyba znalazł się na nim w tym samym czasie, kiedy różne mąciwody, łachudry i spokoniedaje (co łazili i krzyczeli, że to niezdrowe, a tamto zatrute, a tu pyły) zostały przez błogosławioną dłoń Przenajświętszej wypchnięte na Śląsk. Aby tam właśnie porównały swe obawy z rzeczywistością i dały spokojnie żyć dobrym ludziom. Ale czy boczek był na „e” czy nie, to Amalryk Dymała jadł go ze smakiem, gdyż tłuste mięcho uśmierzało gniew promili.

- Opowiedz mi, synu, o swoich problemach. - Ksiądz proboszcz wygodnie rozparł się na krześle i wytarł palce w białą serwetę. Bardzo dokładnie i powoli. - To jeszcze po jednym.

- Z boską pomocą, nie mam problemów, proszę księdza proboszcza.

- Każdy ma problemy, mój synu - łagodnie sprostował gospodarz. - Każdy. A ty, jako człowiek młody i niedoświadczony, masz pełne prawo je mieć. Po małym, byle po całym.

- Jemieć - posmakował to słowo Amalryk Dymała, zastanawiając się, cóż by mogło oznaczać.

- A ja jestem po to, by w miarę mych skromnych sił i możliwości pomóc ci je przezwyciężyć. Tak więc zwierz się, moje dziecko. Szczerze, jak na świętej spowiedzi. Chciałbym poznać myśli, z którymi się zmagasz. No, nie bądźmy jak te zwierzęta i pijmy wódkę...

- Smagasz? - zdziwił się Amalryk Dymała i wyobraźnia podsunęła mu obraz biczowników katujących plecy kolczastymi różgami. Nie chciałby się znaleźć w ich gronie. Chociaż czy życie nie smaga mnie gorzej niż batogi? - pomyślał, wzruszając się samym sobą.

Przez te myśli zapomniał, że należy odpowiedzieć księdzu, i długo zastanawiał się, co by tu z siebie mądrego wydusić, bo stalowe oczy księdza proboszcza przewiercały mu duszę na wylot. Próbował się skupić, ale myśli biegały niesfornie jak klerycy po burdelu.

- Sądzę, że - zaczął, zastanawiając się, do którego z dwóch siedzących naprzeciw księży proboszczów kierować wypowiedź - że trzeba po prostu, no bo jak inaczej... - dokończył i bez zachęty nalał sobie następny kieliszek wiśniówki.

- Posłuchaj mnie bardzo uważnie - rzekł z naciskiem ksiądz proboszcz i nachylił się głęboko, tak głęboko, że Amalryk Dymała widział przed sobą tylko dwa jeziora o stalowej toni. - I sprawdź, czy włączyłeś magnetofon, gdybyś jutro chciał wysłuchać tego, czego dziś zapomnisz.

Amalryka Dymałę otrzeźwił strach.

- Jaki tam magnetofon... - starał się zbagatelizować sprawę i roześmiał się, by wszystko obrócić w żart. - Słucham księdza proboszcza - dodał pokornie.

Domyślał się już, że wszystko poszło nie tak, jak trzeba i jak to zaplanował. Ale czemu? Bóg i promile jedynie wiedzą.

- Nie pojmujesz, w środku czego się znalazłeś - tłumaczył wolno i spokojnie gospodarz. - Nie jesteś w stanie ogarnąć tego, co cię otacza. Ale musisz zrozumieć jedno: tylko posłuszeństwo może cię ocalić. Nie próbuj sięgać za wysoko ani myśleć zbyt wiele. Błogosławieni ubodzy duchem, bo ich jest Królestwo Boże, czyż nie tak mówi Pismo?

Amalryk Dymała pokiwał gorliwie głową.

- Nigdy nie przeprowadzaj niespodziewanych kontroli. Zawsze w przeddzień zapowiadaj je policjantom. Nie życzę sobie, aby twoja głupota wyeliminowała moich informatorów, albo chociaż ich przestraszyła, rozumiesz?

- Rozumiem, ale to nie jest powód... - odważnie, choć z trudem artykułując słowa, wydukał Amalryk Dymała. Z sekundy na sekundę coraz trzeźwiejszy.

- Tak, to nie jest jedyny powód - kiwnął głową ksiądz proboszcz. - I mimo że tak sądzisz, nie jest powodem również to, że jestem skorumpowany. - Zobaczył niezrozumienie w oczach Amalryka Dymały. - Że płacą mi łapówki - dodał wyjaśniającym tonem. - Oczywiście, biorę je - ciągnął - ale jest to element polityki, obyczajów, tradycji, naszej polskiej tradycji. Prawda jest taka, że człowiek, który nie bierze, staje się automatycznie podejrzany i można dojść do wniosku, że coś knuje. Poza tym, gdybym ja nie brał, braliby inni. Rozumiesz?

Spytał „rozumiesz?“, ale zobaczył tylko absolutną pustkę w oczach Amalryka Dymały.

- Przemyśl to - westchnął. - I bądź grzecznym chłopcem.

- Ksiądz pomaga mordercom - walnął prosto z beczki Amalryk Dymała, bo wiedział, że teraz już tylko można iść na ostro.

- Pomaga mordercom - powtórzył proboszcz nad wyraz spokojnie. - Nie, mój drogi, ja tylko

kontroluję. Choćbym miał milion donosicieli i policjantów, nie wyegzekwuję przestrzegania prawa. Zresztą *quis custodiet ipsos custodes*, czyli ktoś dopilnuje strażników, mówiąc po prostu. Wolę, aby zabiegi przeprowadzał lekarz Paździerkiewicz, bo wtedy wiem: kto, jak często i za ile, niż ktokolwiek mi nieznany. Zresztą u niego kobiety przynajmniej nie umierają jak u różnych szydełkowych babek. Wiem też, kto sprzedaje killery, a kto je kupuje. Dbam, żeby killery, skoro już są na rynku, zabijały tylko płody, a nie razem z nimi same matki. Tak, tak, wiem wszystko, mój synu, i czuwam nad wszystkim. Nie pozwolę, by to się wymknęło spod kontroli. Nie pozwolę, abyś narobił mi brudu.

- Bzdury! - wydarł się Amalryk Dymała, niepomny już nawet, na kogo krzyczy i jakie to może mieć konsekwencje. - Zło jest zło, a dobro jest dobro, czarne jest czarne, a białe jest białe. I tak ma właśnie, kurwa, być!

- Ty to mówisz? - Ksiądz proboszcz zaśmiał się śmiechem, który zachrzącał jak ołowiane kulki w zębach glebogryzarki. - Idź, synu, z Bogiem do domu, bo jesteś bardzo pijany! Idź i nie grzesz więcej! Wynoś się, do kurwy nędzy!

Amalryk Dymała posłusznie wstał od stołu i odszedł. Zachwiał się tylko raz, przy samych drzwiach, a magnetofonowy dysk posłusznie zarejestrował szurgot krzesła, ciężkie kroki i potem trzask zamykanych drzwi.

Chłód wieczoru otrzeźwił go jeszcze bardziej. Serce łomotało jak oszalałe, a kiedy wyciągnął przed siebie dłonie, zobaczył, że drżą, jak gdyby był chory na papuzią drgawicę. Tyle że w przypadku papuziej drgawicy tydzień po zaobserwowaniu drżenia dłoni człowiek umierał, a Amalryk Dymała nie zamierzał umierać ani teraz, ani za tydzień. Miał niezbite dowody. Nagrane wyznanie proboszcza o braniu łapówek. To nie znaczyło nic. Tu brali wszyscy i biskup, do którego dotarłoby takie oskarżenie, najwyżej zdumiałby się, iż ktoś jest aż tak wielkim idiotą, by uważać łapówki za powód awantury. Ale proboszcz przyznał się do tolerowania, a nawet sprzyjania aborcji. Oficjalnie. Otwarcie. W rozmowie ze społecznym pomocnikiem Kościoła. A to było niedopuszczalne. I Amalryk Dymała wiedział, że ze swoimi informacjami musi pójść wyżej. Chociaż na samą myśl o rozpoczęciu wojny z proboszczem robiło mu się zimno, jakby skąpano go w lodowatej wodzie.



Pisarz Konrad Piotr przestał wreszcie czekać. Wiedział, że to już koniec. Nigdy więcej nie zobaczy rudowłosej dziewczyny o szmaragdowych oczach. Czuł się wyprany, przeżuty, wypluty. Pusty jak leżąca na dywanie butla po „Absolucie”. Zawiedziony jak sir Parsifal, kiedy utracił świętego Graala. Archanioł Michał bez ognistego miecza, piwo bez gazu, skutek bez przyczyny. Ale ten smutek i tęsknota sprowokowały Konrada Piotra do działania. Zdał sobie sprawę, że zakończył właśnie pewien etap życia. Niemal sześćdziesięcioletni etap. Ale lepiej późno niż wcale. W tamtej chwili pisarz Konrad Piotr wiedział już, co zamierza zrobić w najbliższej przyszłości. Wystukał numer człowieka, od którego kupił dom, i człowiek ten na szczęście był w biurze.

- Dzień dobry. Czym mogę służyć? - Poznał natychmiast twarz pisarza Konrada Piotra, tak jak powinien szanujący się biznesmen poznawać twarze dobrych klientów.

- Chcę sprzedać dom - oznajmił Konrad Piotr. - Pomoże mi pan?

- Czy coś się stało? - uprzejmie zapytał człowiek na ekranie wideofonu. - Jest pan niezadowolony? Mogę w czymś pomóc?

Zbyt dużo pytań, aby na nie odpowiadać. Choć odpowiedź brzmiałaby trzy razy „nie”, a być może trzy razy „tak”.

- Wyjeżdżam na długo - wytłumaczył spokojnie.

- Proszę mi dać tydzień. Zobaczę, co się da zrobić.

- Jeszcze dziś.

- Dziś? - Oczy biznesmena rozszerzyły się. - To niemożliwe.

- Dlaczego?

- To nie jest takie łatwe, proszę pana. Aby osiągnąć odpowiednią cenę...

- Ile dostanę dziś? - przerwał mu pisarz. Wartość tego domu to tylko ułamek wartości jego całego majątku, a jemu nie zależało na pieniądzach.

- Zaskakuje mnie pan. - Biznesmen był lekko zmieszany, a być może i zde gustowany takim sposobem załatwiania interesów. - Powiedzmy pięć milionów - zdecydował w końcu. - Lecz lojalnie pana ostrzegam, że dom jest w tej chwili wart jakieś pięć dziewięćset, może nawet sześć.

- Dwieście pięćdziesiąt lat - mruknął pisarz Konrad Piotr, bo jego umysł pracował jak komputer.

- Słucham? - nie zrozumiał biznesmen.

- Dwieście pięćdziesiąt lat pracy przeciętnego Polaka - wyjaśnił. - No dobrze, kiedy?

- Przepraszam, co kiedy?

- Kiedy dostanę pieniądze?

- Zaraz do pana przyjdę i podpiszemy umowę. Potem przeleję całą sumę na podane przez pana konto.

- Interesuje mnie gotówka.

- Słucham?

- Interesuje mnie gotówka - powtórzył pisarz Konrad Piotr. - Tylko i wyłącznie gotówka. Proszę ją zabrać ze sobą w pakietach po dwadzieścia cztery tysiące złotych.

- Zaraz, zaraz, banki są już zamknięte, jak pan to sobie wyobraża? Jutro owszem, ale... - Biznesmen wyraźnie był zarówno rozgorączkowany, jak i skonfundowany, i zdumiony.

- Proszę słuchać - ostudził go pisarz Konrad Piotr. - Zarobi pan na tym kilkaset tysięcy, więc niech pan uważa. Jutro sprawa będzie nieaktualna.

- Jestem za dwie godziny - odpowiedział po chwili zastanowienia biznesmen i ekran zgasł.

I rzeczywiście, pojawił się po dwóch godzinach. No, może dwóch godzinach z niewielkim kwadransem. Z dużym neseserem w ręku i w towarzystwie sześciu buldogopodobnych osobników, którzy zostali przed bramą. Podpisanie umowy trwało zaledwie kilka minut, a biznesmen na wszelki

wypadek zażądał identyfikacji soczewki i opuszków pisarza.

- Wie pan, nie o takich rzeczach się słyszało - wyjaśnił potem lekko zmieszany, ale Konrad Piotr pokiwał tylko głową.

- Tak jak pan sobie życzył - oznajmił biznesmen. - Dwieście osiem pakietów po dwadzieścia cztery tysiące złotych plus osiem tysięcy luzem. - Otworzył neseser. - Proszę przeliczyć.

- Wierzę panu - rzekł Konrad Piotr. - Czy mogę tu jeszcze dziś przenocować?

- Słucham? Ależ tak, oczywiście. Co pan sobie tylko życzy. Przecież nie ma pośpiechu. A co z tym wszystkim? - Zatoczył szeroki krąg dłonią.

- Proszę zrobić, co pan uzna za stosowne. Mam tylko jedną prośbę.

- Tak?

- Niech pan odda moje drzewka komuś, kto potrafi o nie zadbać. Zrobi pan to?

- Przysięgam - obiecał szczerze biznesmen, bo zarobił właśnie milion złotych i przychyliłby temu klientowi nieba, gdyby mógł.

- Dziękuję. - Pisarz Konrad Piotr miał już zmęczony głos. - Jutro mnie tu nie będzie. Do widzenia.

- Do widzenia. - Biznesmen podniósł się z fotela, zatrzymał na moment, jakby chciał zadać jakieś pytanie, ale po chwili zastanowienia ruszył dalej i zniknął za drzwiami.

- I jak wam się to podoba? - zapytał pisarz Konrad Piotr w pustkę, po czym nalał do szklanki wódki na trzy palce i wypił. - Bo mnie się podoba - dodał, przechylając butelkę.

Rozdział czwarty

Pobity facet leżał nieruchomo na ziemi, twarz miał obróconą w stronę podłogi. Karciarze znów zajęli się rozgrywką i nie zwracali na niego uwagi. Żółwiowa babina i młoda dziewczyna o wyglądzie kurewki odsunęły nogi, aby być jak najdalej od ciała popstrzonego plamami krwi. Elwira nachyliła się nad facetem, delikatnie ujęła go pod ramiona i odwróciła na plecy. Zobaczyła opuchniętą, czerwoną twarz, usta jak rozgniecione truskawki.

- Daj wodę - rozkazała poecie Atlasowi Symbolowi, a ten posłusznie sięgnął po plastikową butelkę.

Sięgnął posłusznie, ale był wściekły i przestraszony, bo zupełnie to niepotrzebne koncentrować na sobie uwagę obecnych. Może nie spodoba im się, że ktoś poświęca czas pobitemu? A Atlas Symbol nie miał ochoty być następnym w kolejce. Jednak podał butelkę, by w oczach Elwiry nie wyjść na pełnego tchórza. Ona się odważyła, a raczej chyba nie myślała o tym w kategoriach odwagi, lecz traktowała jako zupełnie naturalny odruch. Opiekę jednego człowieka nad drugim człowiekiem. Cholerna samarytanka.

Elwira wyjęła z torebki czystą jasnożółtą chusteczkę, nasączyła ją wodą i zaczęła ostrożnie przemywać poranioną twarz leżącego. Facet zajęczał cicho, a to dobry znak, bo widać, że nie było z

nim aż tak źle, skoro jeszcze miał siłę, żeby jęczeć.

- Słabo go jebnałem - skomentował spod okna przegrany i westchnął.

Popatrzył na swoje pięści z lekko startą skórą na kostkach i znowu westchnął, jakby chciał powiedzieć: „ech, lata już nie te i nie ta para”. Ale na zabiegi Elwiry patrzył tylko z ciekawością, bez agresji. W końcu dostał, co chciał, a o słabym ciosie swojej ofiary dawno zapomniał, mimo że jeden wąż miał cały czas lekko uróżowiony krwią.

Elwira lewą dłoń trzymała pod głową faceta, a prawą ciągle przemywała krew i wyciskała ją z chusteczki. Jej ruchy były tak delikatne, że poeta Atlas Symbol przyglądał się temu z podziwem. Ciekawe, czy potrafi tak subtelnie i z taką uwagą wymasować człona? - pomyślał zupełnie niestosownie, zważywszy na chwilę. Tymczasem twarz faceta przestała już przypominać krwawą maskę, ale nadal nie wyglądała najlepiej. Miał szeroko rozklapany nos i Atlas Symbol mógł dać głowę, że chrząstki poszły w drzazgi. Lewe oko prawie zupełnie już zapuchło, a pod prawym formowała się żółta gula. Nie było widać, co z zębami, ale patrząc na zmiażdżoną górną wargę, można się było spodziewać, że jedyńki nie przetrzymały ciosów, które może nawet sięgnęły dwójek, a kto wie czy nie zębów trzonowych.

Elwira szybko rozwiązała ten problem, wyjmując ostrożnie z ust faceta sztuczną szczękę, teraz w trzech kawałkach, i trzymała ją zaślinioną i pokrwawioną w dłoniach nieco bezradnie, bo naprawdę nie wiedziała, co z tym fantem zrobić.

- Weź to wyrzuć - powiedział Atlas Symbol z obrzydzeniem.

- Nie przyda mu się? - zapytała Elwira. - A jakby skleić? Tam przecież na pewno...

- Faktycznie, no, ale ja wiem, cholera...

- Schowam - zdecydowała Elwira i oczyściła kawałki sztucznej szczęki z krwi i śliny, a potem włożyła je do torebki.

- Jasne. Sam coś zrobi. Siadaj już.

- Zostawimy go tak?

- No, niech leży. - Poeta rozejrzał się po współpasażerach.

Wiedział dobrze, że przecież nikt nie ustąpi miejsca, aby położyć delikwenta na siedzeniach. Zresztą sam by nie ustąpił.

Elwira zdjęła sweter, podłożyła pobitemu pod głowę i zaczęła grzebać w torebce, szukając papierosów. Co prawda w przedziale i tak było sino od dymu, aż kłuło w oczy.

- I co? Żyje lebiega, nie? - odezwał się przegrany.

- Jest pan podły - stwierdziła głośno Elwira i mocno ścisnęła w palcach papierosa.

- Pierdol się - mruknął bez gniewu.

- Jak można zrobić coś takiego człowiekowi? Jak bestia, jak bestia...

Młody bysiorek w błyszczącej plastikowej kurtce obrzucił ją badawczym spojrzeniem i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Wyjebać cię, kurwo? Co? Masz ochotę na cztery zdrowe chuje?

Atlas Symbol zdrętwiał. Co robi, kiedy podejda do niej, chwycą za ręce i za nogi i zaciągną tam do siebie pod okno, i będą ruszać na niej tyłkami, a ona będzie jęczeć, albo i nie, jeśli zatkają jej usta? Co robi, na Boga, by ją obronić? I czy w ogóle coś robi, czy też uda, że nic się nie stało, że jest to tylko element nowego świata, w który weszli. Ale czy wtedy będzie potrafił spojrzeć jej w oczy, gdy wróci na swoje miejsce? Gdy wróci w porwanej bluzce, bez spódnicy, bez majtek, gdy jej tyłek, uda, a może i usta będą pokryte lepką skorupą spermy? Co jej wtedy powie? Nie martw się, w końcu nic się nie stało? Ta rzecz nie jest z mydła i się nie wymyśli? To jej powie?

A bysiorek już wstał, nadal z tym złym, obleśnym uśmieszkiem. Ale nagle przegrany złapał go za rękę.

- Odpierdol się - powiedział spokojnie i przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, aż wreszcie bysiorek opadł z powrotem na siedzenie i tylko zamruczał coś gniewnie pod nosem.

Atlas Symbol odetchnął z ulgą i położył dłoń na ramieniu Elwiry. Uśmiechnął się do niej, lecz doskonale wiedział, że ten uśmiech jest nieszczerzy i głupawy. Elwira nie odpowiedziała uśmiechem, a nawet jakby lekko się odsunęła, tak że w pewnym momencie, przy szarpnięciu pociągu, ręka poety Atlasa Symbola spadła z jej ramienia i wylądowała na siedzeniu pomiędzy jej i jego udem.

- Nie martw się - powiedział cicho. - W końcu nic się nie stało, prawda? Poradzimy sobie.

- O, tak - odparła, nie patrząc na niego. - Z pewnością sobie poradzisz. Zasada mimikry zapewnia bezpieczeństwo prawie absolutne. Ale co zrobisz, gdy zechcą właśnie ciebie obrabować albo wyjebać? Będziesz ruszał dupą do taktu?

- Nie tak głośno! - zasyczał pisarz Atlas Symbol, bo wydawało mu się, że ktoś pod oknem mógł usłyszeć słowa Elwiry.

- A po co cwelować takich buraków, jak na Śląsku jest w pizdę chętnych kurew? - Bysiorek jednak usłyszał, co powiedziała dziewczyna. - Zobaczysz, suko, trochę czasu minie, a sama przyjdiesz się jebać za kilka szługów.

Ona wybuchnęła śmiechem, a bysiorek przez chwilę patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami, co nadawało mu nieco komiczny, a nieco przerażający wygląd zamyślonego neandertalczyka. Wreszcie jednak odpowiedział uśmiechem, obnażając połamane żółte łopaty jedynek.

- Fajna z ciebie dupa - burknął. - Jak cię przypili, to suń do tatusia...

Poeta Atlas Symbol był bezradny wobec tego śmiechu i tego dziwnego porozumienia, a jednocześnie wściekły, zażenowany i zmartwiony. Bo co ma zrobić człowiek kulturalny postawiony wobec aktu bezpośredniej i bezwzględnej przemocy? Czy ma, do cholery, rzucić się na bandę doświadczonych w biciu, a może nawet zabijaniu, mętów? Czy też powinien odczekać i przeczekać, rezygnując z części godności w zamian za spokój? Ale z jakiej części godności można zrezygnować bez szwanku dla samego poczucia człowieczeństwa? Kiedy przekracza się nieuchwytną granicę pomiędzy byciem ostrożnym człowiekiem a byciem szmatą?

- Przepraszam - zwrócił się bezradnie do Elwiry. - Co ja mogę. Co ja, kurwa, mogę?



Amalryk Dymała zwał się na wyro z poczuciem przeraźliwej pustki i ze strachem, który bulgotał mu wściekle w gardle niczym z trudem powstrzymywane wymioty. Zresztą wymiotować też mu się chciało i siłą zatrzymywał rosnący w przełyku gorzko piekący bąbel oraz starał się zsiąść z szaleńczo wirującej karuzeli. Od dziecka nienawidził jednak rzygania i serdecznie zazdrościł kolegom, którzy potrafili zwymiotować zaraz po włożeniu w gardło dwóch palców. Bardzo to ułatwiało kulturę picia... Ale Amalryk Dymała tego nie potrafił, więc i teraz męczył się, przełykając raz po raz gęstą ślinę i powstrzymując falowanie ścian. W końcu jednak udało mu się zasnąć, lecz był to sen przerywany, ciężki i wypełniony koszmarami, których treści nie umiał zapamiętać, a o których wiedział tylko, że napawały go bezbrzeżnym, wręcz paraliżującym strachem.

Kiedy rano otworzył oczy, nawet nie zerkając na budzik, zorientował się, że musi być jeszcze bardzo wcześnie. Ale nie mógł ponownie zasnąć, bo porwał go wstrętny, mdlący dygot. Wstał więc cicho, by nie obudzić żony, gdyż czuł, że wyrwana tak wcześnie ze snu mogłaby wybuchnąć wściekłym jazgotem, a tego przecież by nie wytrzymał. Tak więc przemknął przez pokój, korytarz i do łazienki. Pstryknął zapalniczką, knot lampki rozjarzył się i przy tym żółtym, migoczącym świetle Amalryk Dymała zaczął studiować w lustrze swoją twarz. Szarą i zmiętą, włosy zlepione potem, oczy zapuchnięte, pod nimi szare wory.

Przekręcił kran, rury warknęły wściekle, jakby złoszcząc się, że ktokolwiek śmiał wstać tak rano, i wypuściły mętnorudą struzkę wody. Przemysł czoło, oczy i usta. Znow popatrzył w lustro, ale nic się nie zmieniło. Nadal straszyla stamtąd twarz przypominająca brudne prześcieradło, zapuchnięte, zmętniałe oczy i bulwowy nos poznaczony czerwonymi żyłkami. Amalryk Dymała wydusił syfa, który załagał mu się w kąciku ust, i sycząc wściekle, wyrwał z nozdrzy kępkę niechlujnie sterczących kłaczków. Popatrzył raz jeszcze w lustrzaną taflę, ale znowu nie zmieniło się nic, poza tym że miał teraz zaczerwienioną i napuchniętą górną wargę. Zgasił więc lampkę i cichaczem wrócił do sypialni, a potem położył się obok ciężko posapującej żony.

Znow zaczął dygotać i nie wiedział już, czy dygocze z powodu kacowych pozostałości, czy też takie obrzydzenie wywołuje w nim leżące obok posapujące i pochrapujące ciało. Dygotał wściekłym, strachliwym dygotem pełnym żalu niespełnienia, świadomości, że gdzieś coś uciekło i nie wraca, i nie wróci, choćby się jak najusilniej, jak najmocniej chciało. Że życie przecież nie miało być takie, że na świecie są ludzie, którzy właśnie teraz opalają się na złotych plażach Pernambuco i popijają kolorowe drinki w towarzystwie swych ukochanych.

Otulił się dokładnie kocem i przesunął na sam skraj łóżka, tak aby znaleźć się jak najdalej od rozlanego obok szarego cielska. Przysnął na chwilę i znow się obudził, ale tym razem lodowaty dygot już gdzieś zniknął, a pozostał tylko stłumiony żal. Leżał, patrząc nieruchomo w biały sufit, i zastanawiał się, jak by to było, gdyby mógł leżeć na gorącym piasku i wpatrywać się w rozgwieżdżone niebo nad południowym Atlantykiem. Wiedział, że tam lśni Krzyż Południa, którego on sam nigdy nie zobaczy. Marzenia były jedynym, co mu pozostało, gdyż ludzi takich jak on skazano na to, by zawsze i do końca życia babrać się w gnojówce.

Wreszcie nadeszła siódma trzydzieści. „Czas wstawać, czas wstawać! Do pracy na Bożą chwałę!” - zaśpiewał budzik. I rzeczywiście, czas już wstawać, bo mszę o szóstej znow, po raz

kolejny, szlag trafił. Czas wstawać, chociaż Amalryk Dymała najchętniej zasnąłby długim snem bez snów. Tak długim, by obudzić się nawet nie za rok czy dwa, czy pięć, ale za lat dwieście lub tysiąc. Dokładnie wtedy, kiedy nadejdą czasy wstawania bez lęku i życia bez lęku. Kiedy lęku nie trzeba będzie już przewycięzać i walczyć z nim każdego dnia, lecz po prostu zapomnieć o tym, iż w ogóle mógł istnieć. Jednocześnie doskonale zdawał sobie sprawę, że lęk był, jest i będzie. I nie tylko z tego powodu, że tu, w Przenajświętszej, każde drgnienie serca wyznaczał huk z kościelnych dzwonnicy, ale dlatego, że ludzie nie zasługiwali na nic innego poza strachem, gdyż sami upodlili się i zniszczyli.

Żonę również obudził śpiew budzika i wstała, jakaś taka cicha i skupiona. Być może wyczytała z błyszczących oczu i zaciśniętych ust Amalryka Dymały, że jak warknie, jak zajazgocze, to może się to źle skończyć. Być może odczytała, rozszyfrowała tę wiadomość, zinterpretowała ją, trafnie wyciągnęła jedynie słuszne wnioski. Nie posługując się mądrością, inteligencją czy doświadczeniem, lecz prostym, zwierzęcym instynktem przetrwania. No, i tak trzymać!

Amalryk Dymała zjadł talerz jajecznicy. Tłustej i dobrej, na mocno przyrumienionym boczku. Luksus, który teraz stał się codziennością. Chociaż właściwie jej nie zjadł, a tylko podziabiał to tu, to tam widelcem, wziął do ust kilka kęsów i z trudem je przełknął, a większość zostawił na talerzu. Wypił szklankę czarnej jak smoła kawy, a usta nadal drażnił ten niespotykany smak, bo kawa, Boże mój, była przecież prawdziwa, z czarnych, intensywnie pachnących ziarenek, a nie szarego zbożowego proszku. Postarała się jednak suka, widać wie już dobrze co, gdzie i jak, aby tylko pieniędzy nie roztrwonila za dużo.

Potem wstał, w milczeniu kiwnął głową dzieciom na do widzenia i również w milczeniu wyszedł. Samochód powinien już stać przed domem. I stał. Policjanci ci sami co zwykle. Ten młody, cwaniacko uśmiechnięty, i starszy, też cwaniacko uśmiechnięty. Amalryk Dymała nie wiedział, czy zostali już poinformowani, jak zakończyła się wizyta u proboszcza. Być może, bo byli zdumiewająco pewni siebie i pogardliwi. Ale może tylko strach miał wielkie oczy. Jechali, nie zamieniając ze sobą ani słowa, i jedynie głośniki na tylnej półce ryczały ulubioną piosenkę kierowcy: „fak mi bejbe, fak mi bejbe”. Nagle samochód prychnął, zarzęził, kichnął i stanął.

- Co jest? - zawołał Amalryk Dymała, starając się przekrzyczeć fakmibejbeczącego jegomościa.

- Chuj wie - zdawkowo, acz treściwie odparł starszy policjant, wysiadł i uniósł pokrywę silnika. Po chwili wrócił.

- Chuj bombki strzelił, choinki nie będzie - oznajmił. - Trzeba czekać, aż nas ściągną.

- Kiedy to może być? - Amalryk Dymała nerwowo spojrzął na zegarek. Jezus z cyferblatu zdawał się patrzeć na niego z gorzkim rozczarowaniem w oczach.

- Za godzinę, a może wieczorem - wzruszył ramionami kierowca i przypalił sobie papierosa. - Chuja tam z nimi wiadomo.

Zaciągnął się głęboko, ze smakiem, po czym kaszlnął, odcharknął i zręcznie puścił pod oponę gęstą zielonkawą plwocinę.

- A co ja mam robić? - dość bezradnie zapytał Amalryk Dymała.

- Dziesięć minut pieszkom. Brat się przejdzie. - Kierowca popatrzył na niego bezczelnie i jakby z rozbawieniem.

To swołocz, pomyślał nienawistnie Amalryk Dymała i znów spojrzął na zegarek. Przecież nie

mógł tu czekać do usranej śmierci, bo rzeczywiście do biura było dziesięć, najwyżej piętnaście minut drogi. Ale iść przez osiedle w ciemnym garniturze, białej koszuli i pod krawatem? Ze złotym szamerowaniem urzędnika państwowo-kościelnego? A jak człowiekowi z dziesiątego piętra przypierdolą butelką, to co będzie? Ech, trudno, może uda się przemknąć - bił się z myślami i nagle wyraźnie poczuł, jak bardzo jest nikim, skoro bez policyjnej obstawy boi się ruszyć nawet na krok. A przecież powinni nas kochać, pomyślał bezsensownie.

- Dobra, idę - oznajmił dziarskim głosem, ale jeszcze czekał moment, a nuż któryś z policjantów zaproponuje, iż będzie mu towarzyszył.

Ale gdzie tam! Oni rozciągnęli się już wygodnie w fotelach. Wsłuchani w ten fakujący łomot i nawet pewnie niesłyszący, co się do nich mówi.

- No to idę - dodał głośniejszym głosem Amalryk Dymała i rzeczywiście poszedł, ale wolnym krokiem, jakby czekając, że ktoś go jednak zawoła.

Przeszedł przez ulicę Sobieskiego, pod betonową kładką dla pieszych, której część od strony Sadyby zawałiła się, a część od strony Stegien jeszcze stała, wyciągając się prawie nad połowę jezdni. Teraz ta kładka wyglądała jak kawałek mostu zwodzonego albo niczym wielka zebrząca łapa. Wszedł między bloki i pierwsze, co zobaczył, to śmietnik zasypany odpadami po sam dach. Wszystko tam aż drgało od szczurów, więc przezornie okrążył budynek szerokim łukiem, bo widać było na pierwszy rzut oka, że to tęgie i wypasione szczury. Co prawda mówiło się, że na razie jeszcze ponoć nie atakowały ludzi, ale psy i koty nie miały szans w wojnie ze stadem potężnych gryzoni. Zresztą małym dzieckiem czy niemowlakiem z wózeczka też podobno nie gardziły i potrafiły ciało oczyścić do samych kosteczek. I nic im, cholerom, nie przeszkadzało, nawet trutki, które wszędzie rozsypywano nakładem wielkich kosztów.

Ludzi na razie jakoś nie było widać. Ci nieliczni, co jeszcze mieli pracę, to do niej poszli, a kto inny dobrowolnie wyłaziłby na dwór i po co? Chyba tylko po to, żeby szybciej zdechnąć. Nagle pod pniakiem zobaczył dwóch dziadków podających sobie z rąk do rąk zielonkawą butelczynę i ze smakiem z niej pociągających. Jeden z dziadków zaczął przyglądać się uważnie Amalrykowi Dymale. Ten wyraźnie czuł jego skupione, badawcze spojrzenie.

- Cho no tu - zakrzyknął nagle dziadek głosem nad podziw czystym, pozbawionym nawet grama chrypki.

I Amalryk Dymała poszedł. Zamiast splunąć z pogardą, albo i rzucić cięższym słowem, to on poszedł! Jakby wbrew sobie samemu, wbrew logice oraz doświadczeniu. Tak jakby w głosie dziadka było coś zmuszającego do posłuszeństwa. Wreszcie znalazł się tuż przy pijących. Jeden z nich, sinonosy, kołysał się na piętach i bełkotał coś z cicha, zawodząc co chwila ochryplym głosem. Drugi wyglądał zupełnie inaczej. Miał twarz pobrużdżoną zmarszczkami, lecz czerstwą i rumianą, bladoniebieskie oczy i mądre, przenikliwe spojrzenie, a raczej coś, co Amalrykowi Dymale kojarzyło się ze spojrzeniem mądrym oraz przenikliwym.

- Ty jesteś ten nowy czarniak? - zapytał.

- Ja - odpowiedział Amalryk Dymała, sam się sobie dziwiąc, czemu bezczelnego dziadka nie kopnie w tę głupią gębę, ale miał też głębokie przekonanie, że taki czyn mógłby nie doprowadzić do niczego dobrego.

- No, no - mruknął dziadek i zaprosił gestem, by siadł obok niego, a Amalryk Dymała posłusznie

usiadł, nie zważając na to, że utapla sobie w błocie czarne, biurowe, urzędowe spodnie.

- Łyka chcesz? - zagadnął dziadek, podając butelkę.

Amalryk Dymała ujął ją ostrożnie i wpiersw lekko potrząsnął. Zabułgotało dobrze. No to niucha. Zapachniało też pysznie. Spirytym, jak żywym. Poczekał chwilę, co powie na ten zapach jego organizm, ale organizm pogodził się z losem i nawet poprosił o łyeczka. Więc dać mu, skubanemu! Przechylił wprawnie szyjkę i złapał dwa gulgoty. Uff, mocne! Otrząsnął się i wciągnął głęboko powietrze, czując, że żołądek płonie miłym ogniem.

- Dobry metyl, nie? - zapytał dziadek.

Wtedy dopiero Amalryk Dymała spostrzegł na jego piersiach stalowy łańcuch. Jak mógł go wcześniej nie dostrzec? A na łańcuchu medalion z wygrawerowanym rysunkiem przechylonej flaszki. Boże drogi! Boże ty mój! Przecież to był znak Bractwa Metylowego... A przynajmniej tak mówiły legendy.

- Chryste Panie - zaszeptał Amalryk Dymała.

- Nie bój bida, łyk nie zaszkodzi, nawet jak żeś niewprawiony - pocieszył go dziadek i zdrowo pociągnął. Potem oderwał usta od butelki i oblizał się.

Amalryk Dymała miał ochotę uciec. Zawsze mówiono, że zwykłemu człowiekowi niebezpiecznie jest się zadać z kimś z Bractwa. Jego członkowie byli kapryśni i żądni wrażeń, a ich władza sięgała ponoć tak daleko i tak wysoko, że nawet księża czy sami biskupi nie mogli sobie z nimi poradzić. No, ale mówiło się też, że czasami, kiedy są w dobrym humorze, pomagają prostym ludziom. Oczywiście wszystkie te bajdy, legendy i kłamstwa były jak najusilniej zwalczane. Przez wykpiwające je Sieć, telewizję, prasę i radio, a nawet przez księży, którzy grzmieli z ambony, potępiając przesady panujące wśród prostego ludu.

A może teraz, pomyślał Amalryk Dymała, on jest właśnie w dobrym humorze?

- Co, łapserdaku? - Dziadek dobrodusznie poklepał go po ramieniu. - Tak tu sobie siedzę i czekam na ciebie. Powiedz ty mi, czego dobrych ludzi dręczysz, skurwielku? Co?

- Boże broń, ja nigdy! - zarzekł się rozpaczliwie Amalryk Dymała.

- No, może, może - wymamrotał dziadek. - Zobaczymy, pożyjemy, sprawdzimy, popatrzymy, zajebimy ewentualnie, nie? - Spojrzał uważnie. - Nie, pytam?

- Tak jest - wykrztusił Dymała.

Dziadek tymczasem świdrował go wzrokiem.

- Nie nasz jesteś - powiedział wreszcie z namysłem. - Jakiś taki...

- Jak to: nie nasz? - Amalryk zdrętwiał.

- Tak, tak. Ty sam nie wiesz. Nie widzę cię za dobrze, człowieku, nie widzę cię, ech - westchnął w końcu i machnął dłonią. - Nieważne, pewnie za mało ostatnio piję... No dobra, skoro już żeś się przypałętał, to miej coś z tego. Spełnię twoje jedno życzenie. Tylko szybko!

- Każde? - zapytał po długiej chwili lekko ogłupiały Amalryk Dymała.

- Oczywiście, że nie każde, idioto - warknął niecierpliwie dziadek. - No prędzej, bo muszę się

przejsć po następną flachę.

Tysiące myśli przebiegło przez głowę Amalryka Dymały. Przypomniały mu się tysiące historii i tysiące kawałów. Tysiące zaprzepaszczonej okazji. Żeby ta rzeka była z wódki, żeby to jezioro było z wódki. A trzecie? No to jeszcze pół litra. Żeby miał dużo wody, był biały i miał dużo dup. OK - powiedział dżin i zmienił Murzyna w sedes. Pęto kiełbasy, niech ci ta kiełbasa do nosa przyrośnie. Boże, Boże, co tu powiedzieć, gorączkowo myślał, nie zastanawiając się nawet, że jego postępowanie wcale nie jest racjonalne.

- No! - warknął znowu metylowy dziadek. - Myśl szybciej, chujku! Co ty myślisz, że się z tobą będę brandzlował resztę dnia?

Szczęście, milion dolarów, zostać senatorem, no nie, to kłopoty, same kłopoty, kurwa! - Amalryk Dymała myślał rozpaczliwie, ale jak na złość nic nie przychodziło mu do głowy.

- Kłopoty - wymamlał cicho do siebie.

- W porządku - radośnie odpowiedział metylowy dziadek. - Dawno nie słyszałem o tak prostym zleceniu.

- Niiieeee! - Dymała rozpaczliwie zawrzęszczał, kiedy już zrozumiał.

Ale nie mógł wstać. Mógł tylko bezradnie patrzeć, jak dziadek trzęsącym kłusem odchodzi w stronę najbliższego bloku. Potem odrętwienie minęło i Amalryk podniósł się, czując lekki ucisk w skroniach. Otrząsnął się i nacisnął powieki opuszkami palców, aż przed oczyma pojawiły się złote kręgi.

- Bzdury - powiedział do siebie wyraźnie i głośno. - Co za brednie, a ja to głupi jestem...

Pokręcił głową w podziwieniu dla własnej łatwowierności i starał się zetrzeć z tyłka błotne plamy, ale rozmazał je tylko i dodatkowo ubrudził białe mankiety koszuli.

- W kurwę żesz - zdenerwował się i odszedł szybkim krokiem od pnia.

Bo nagle, nie wiedząc kiedy i jak, zrobiło się dziesięć po dziewiątej! Szedł więc, co chwila nawet podbiegając, choć wiedział, że musiało to wyglądać bardzo śmiesznie. I biegnąc, obiecywał sobie, że odtąd będzie sumiennym pracownikiem. Bo co to się, Boże mój, nawyrabiało. Na mszy świętej ani razu. Fakt, że tylko niedzielną jest obowiązkowa, ale przecież trzeba wykazać trochę własnej inicjatywy. Kompromitujące zdjęcia zrobione i w czyich są teraz rękach - Bóg tylko wie i ten, co je ma. U proboszcza to już lepiej nie mówić. No, niezły bilans, żesz mać, niezły bilans jak na kilka dni pracy. Pograżony w tych niewesołych myślach dobiegł w końcu do ulicy Portofino i oparł się o kratę przy drzwiach. Starał się uspokoić oddech.

- Ty Żydzie, ty kurwo obrzezana! - usłyszał nagle wrzask obok siebie i przerażony aż podskoczył.

Zobaczył stojącego nieopodal baryłkowatego jegomościa o puciołowatej twarzy. Jegomość na prawym policzku miał wytatuowanego orła w koronie, na lewym krzyż, a spod rozchełstanej koszuli wyłaniała się twarz Matki Boskiej, wypisz, wymaluj taka sama jak na cudownym obrazie jasnogórskim.

- Też jesteś Żydem, świni! - krzyk zdawał się uderzać pod dachy wieżowców. - Nie zamachałeś chusteczką, jebany gnoju!

Amalryk Dymała nerwowo nacisnął przycisk domofonu. Raz po raz, chcąc jak najszybciej uciec od tego wrzasku i od oskarżycielsko wyciągniętego palucha.

- Słucham? - krótkie szczeknięcie w głośniku.

- Ty Żydie, swołoczno pierdolona, sprzedawczyku! Zakradłeś się tu, żeby niszczyć Polaków i Matkę Boską obrażać!

- Słucham? - głos stał się lodowaty.

- To ja, proszę mnie wpuścić - błagał Amalryk Dymała i napał na drzwi.

Odezwał się brzęczyk, bo - Bogu dziękować - sekretarka rozpoznała swego szefa. Amalryk Dymała wpadł więc do środka, zatrzasnął za sobą wzmocnione kraty drzwi. Przez szybę zobaczył jeszcze tylko, jak krzyżoorłomatkoboski facet pogroził mu grubym paluchem.

- Na Śląsk, Żydku! - przebił się przez drzwi krzyk.

Amalryk Dymała wlaźł po schodach krokiem stuletniego staruszka i otarł pot z czoła. Kiedy był już w biurze, zauważył, że sekretarka przygląda mu się badawczym wzrokiem.

- Co się bratu stało? - zapytała. Spróbował wziąć się w garść.

- Jakiś szaleniec - odpowiedział, łapiąc dech pomiędzy pierwszym a drugim słowem. - Wóz się zepsuł i na piechotę, Boże, niech siostra tego, herbaty, a ja...

Zamknął się w gabinecie i ciężko opadł na fotel. Już wiem, czego pragnę najbardziej, pomyślał. Spokoju. Spokoju, kurwa, świętego spokoju.

*

Słowa, które padały w tej sali, tezy pełne żarliwej nienawiści, teorie druzgocące porządek moralny, kwalifikowały wszystkich uczestników spotkania co najmniej do obozów reedukacyjnych. Ale poseł Lepki doskonale wiedział, że nie będzie żadnego nalotu, żadnych aresztowań i żadnych szykan. Konspira Siwego Pana była wentylem bezpieczeństwa, przez który Przenajświętsza pozwalała wydobywać się zgniłym gazom opozycji.

Operetkowi spiskowcy spotykali się co dwa tygodnie, czasem co miesiąc w coraz to innych, tajnych, jak im się wydawało, miejscach. Mylili ślady deptających im po piętach agentów, ukrywali nagrania spotkań, traktując je jak święte relikwie, przechwalali się sposobami, na jakie udało im się wykiwać i oszukać pracowników służb bezpieczeństwa. Tyle że poseł Lepki wiedział, iż po każdym takim spotkaniu na biurka kilku ważnych osobistości trafiają dokładne cyfrowe zapisy każdej dyskusji. A Siwy Pan znany był również z reżyserowania filmów pokazywanych na zagranicznych festiwalach, które miały dobitnie ukazywać, jak wielka wolność twórcza panuje w Rzeczypospolitej. Z kolei inny ze spiskowców, zabawnie jękający się młodzieniec, nie miał nigdy kłopotów z uzyskaniem wizy wyjazdowej i podróżował po całej Europie, składając następnie służbom odpowiednie raporty na temat swych zagranicznych kontaktów.

Spiskowcy nie wykraczali poza ramy niepisanej umowy pomiędzy nimi a Przenajświętszą. Nie

drukowali ulotek, nie włamywali się na rządowe serwery, nie próbowali nadawać nielegalnych programów telewizyjnych czy radiowych ani przełamywać zabezpieczeń Sieci. Nie starali się również organizować manifestacji, nie próbowali wchodzić do zakładów pracy, nie podburzali do czynnego oporu. Nazywali sami siebie klubem dyskusyjnym, opozycją intelektualną, alternatywnym stowarzyszeniem. Byli wzruszająco bezbronni i uroczo naiwni. Niektórzy, oczywiście. Inni bowiem, tak jak Siwy Pan czy jękający się młodzieniec, rozgrywali swoją gierkę, licząc na to, że jeśli dojdzie kiedyś do zmiany władz, to oni pokażą się w roli niezłomnej opozycji i być może ustawią na czele kolejki prowadzącej do słoika z konfiturami.

Bo przecież chodziło tylko o to, by stare świny podzieliły się korytem z młodymi. Nigdy nie chodziło o nic więcej, a dla niektórych nawet więzienie czy obóz były ceną, którą warto zapłacić za jawiące się na horyzoncie miraż bogactwa oraz władzy. Tyle że w Rzeczypospolitej coraz mniej już było bogactw do rozgrabienia. Ale można było jeszcze rządzić tłumem przerażonych, ogłupiałych i ogłupianych biedaków. A zawsze lepiej batożyć nędzarzy niż samemu pozostać nędzarzem.

Posel Lepki użył swych wpływów, aby zostać zaproszonym na jedno ze spotkań. Dla konspiratorów było to niewątpliwe wydarzenie. Oto otrzymali szansę, by dyskutować z jednym z członków ścisłego establishmentu. Oto młody, liberalny, żądny zmian i pozbawiony przesądów polityk uszlachetnił obecnością opozycję.

Posel Lepki doskonale zdawał sobie sprawę, że przyjmując zaproszenie, zadarł z ortodoksami, wiedział, że najprawdopodobniej zaczną oni bezpardonową i bezwzględną walkę. Ale czuł się już wystarczająco silny, by tę walkę przyjąć. Bowiem poseł Lepki świetnie wiedział, że system musi upaść. Zaczną się reformy, liberalizacja przepisów, złagodzenie represji. Wtedy na szczycie władz Przenajświętszej staną politycy, którzy dadzą opozycji rękojmię zmian, którzy szumnie zaproponują reformy i którzy nie będą mieli zbyt wiele na sumieniu. A poseł Lepki pragnął znaleźć się wśród tych polityków. No, ale do tego była jeszcze daleka droga.

Ktoś z sali, młody chłopak o oczach Loyoli, perorował zawzięcie, zerkając od czasu do czasu do nailtopa, i strzelał skomplikowanymi kombinacjami liczb, starając się udowodnić, że podawane oficjalnie dane statystyczne są notorycznie fałszowane. Tak jakby posłowi Lepkiemu trzeba było takie rzeczy wyjaśniać! Skończył i spojrzał triumfująco na posła Lepkiego, jakby mówił: „tu cię mam, kolego”. Ale Lepki skwitował jego zadowolenie uśmiechem i lekkim wzruszeniem ramion. Bo i cóż z tego, że w ubiegłym roku śmiertelność niemowląt wyniosła prawie sto na dziesięć tysięcy ludności, a nie niecałe dwadzieścia, jak podaje się oficjalnie? Cóż z tego, że skazanych na karę więzienia lub obozu reedukacyjnego (tak zwane „Ośrodki Odnowy Moralnej”) było blisko milion osób? Cóż z tego? Nie w tym tkwił problem tego kraju.

Posel Lepki wiedział, że prawdziwym problemem jest niemożność określenia ośrodka władzy. Belweder? Blisko stuletni, dziecięnniały prezydent napędzany chińskimi mikroprocesorami? Jego doradcy kupieni już dawno przez zagraniczne koncerny? Rząd, który zmieniał się w ciągłych roszadach, tak że już prawie wszyscy posłowie i senatorowie pobierali ministerialną pensję albo odprawę, a kto choć raz nie był ministrem, uważał to za krzyżącą niesprawiedliwość? A sam Sejm i Senat? Śmiechu warte.

Kościół? Tak, oczywiście, Kościół. On miał publikatory, pieniądze, policję, rząd dusz, zastraszonych czy nawet tych, co służyli mu z fanatycznym przekonaniem. Ale Kościół był podzielony, skłócony i rozdarty. W Episkopacie trwała śmiertelna walka w jedwabnych

rękawiczkach. Ortodoksi, liberałowie, chadecy, narodowcy, socjalchadecy - wszyscy oni raz zyskiwali, raz tracili, zjednoczeni tylko myślą, że Kościół musi utrzymać władzę. Kardynałowie i biskupi, dawni oficerowie komunistycznych służb specjalnych, kłócili się z tymi, którzy ze służbami nie mieli nic wspólnego. Zwolenników Kościoła służebnego, Kościoła ubogiego, Kościoła wiary i przebaczenia, dawno już zamknięto w klasztorach albo szpitalach psychiatrycznych. A co bardziej niebezpiecznych pozbawiono święceń i wrzucono w śmiertelny kocioł Śląska.

Poseł Lepki oczywiście wiedział o tym wszystkim i znał trybiki władzy, które w niezwykle skomplikowany sposób napędzały maszynę Rzeczypospolitej. Jasne, mógł zgrywać idiotę, mógł nie mieć wykształcenia, mógł nie znać języków, ale miał pewną cwaniacką życiową mądrość, która pozwoliła mu nie tylko przeżyć, ale stopniowo piąć się po ogniwach łańcucha pokarmowego. Co prawda mimo tylu aktywnych lat, ośmiu w Sejmie i teki ministra kultury oraz ministra przemysłu (króciutko to, niestety, trwało, a szkoda, gdyż ministrowie przemysłu zwykle zdążali chociaż zarobić na solidny dom w jakimś miłym odległym kraju), jeszcze nie do końca orientował się w misternej, codziennie tkanej na nowo siatce władzy.

Zależności pomiędzy Belwederem, Parlamentem, Kościołem, rządem, nuncjaturą, tajnymi służbami, zachodnimi koncernami, bankami i funduszami walutowymi były splecione w jakimś niewiarygodnie spotęgowanym węzle gordyjskim, niemającym ani końca, ani początku. W Rzeczypospolitej ciągi wydarzeń wydawały się nie mieć ani skutku, ani przyczyny i poseł Lepki był pewien, że nikt w Polsce, na Zachodzie czy też na

Wschodzie do końca nie panuje nad tym, co się dzieje. A teraz? Co teraz, kiedy odkryto te niezmiernie pokłady ropy kotłujące się pod pełną suchych lasów ziemią Suwalszczyzny?

Walka, która się zacznie, będzie największą od czasów, kiedy runął (czy raczej chytrze się przekształcił) komunizm. Większą nawet od cwane go neokolonialnego planu sprzed niemal trzydziestu lat (udał się on, nawiasem mówiąc, znamienicie) pod nazwą: zapraszamy Polskę do Unii Europejskiej. Niemcy, Amerykanie, Japończycy - każdy zechce położyć łapę na obszarze, przy którym Kuwejt był tylko wyschniętą studnią. A Rzeczypospolitej nie było stać na to, by obejść się bez pomocy. Badania i budowa infrastruktury pożrą miliardy dolarów. Wiadomo więc było, że Suwałki trzeba oddać. Pytanie tylko brzmiało: komu i za ile? I kto na tym oddaniu skorzysta?

Jedno było pewne. Rzeczpospolita stanie się bogata, niewiarygodnie bogata. Będziemy pluć wam w pyski, wy francuskie i niemieckie świnię, pomyślał poseł Lepki. A wy będziecie zlizywać tę plwocinę i chwalić jej smak. Wiedział jednak, że trzeba stanąć po właściwej stronie. A właściwą wcale nie jest strona, która da więcej (choć krótkowzrocznym hienom, takim jak senator Kardupell, mogło się tak wydawać). Właściwą jest ta, która wygra. Gdyż dla pokonanych nie będzie tym razem litości.

Poseł Lepki tak pogrążył się w myślach, że zgubił kilka minut ożywionej dyskusji. Otrząsnął się i zaczął przysłuchiwać głupawym komunałom wypowiedzianym przez operetkowych opozycjonistów. Powinni zacząć śpiewać i ubierać się w czarne maseczki z wycięciami na oczy, pomyślał. Zaśmiał się w duchu, ale na zewnątrz pozostał całkowicie poważny.

Wybrał kilka zręcznych odpowiedzi, tak by zadowolić pytających, a jednocześnie nie pozwolić, aby w raporcie ze spotkania znalazły się rzeczy jawnie obciążające. Mówił więc o sukcesach politycznych Przenajświętszej Rzeczypospolitej: o uchronieniu kraju przed wschodnią zawieruchą, która spustoszyła ziemię od Bugu po Ural (co akurat było najprawdziwszą prawdą), o dobrze

funkcjonującym wojsku i policji (co było, mówiąc łagodnie, półprawdą), o powrocie na łono Macierzy skruszonej Litwy, o tym, że przecież działają szkoły, szpitale, uczelnie, komunikacja, fabryki, Sieć, prasa, telewizja, że żyjemy w normalnym, choć, niestety, nie da się ukryć, biednym kraju (co już było naciąganiem rzeczywistości do granic).

Nie zamierzał mówić o Śląsku, o kwaśnych deszczach, o tysiącach hektarów uschniętych lasów, o ziemi, która nie rodzi nic, a jeśli coś urodzi, to niejadalne zmutowane zboża, o rzekach, w których kąpiel równa się ciężkiej chorobie albo bolesnej śmierci, o więzieniach, o obozach reedukacji, o torturach, o wszechogarniającym systemie inwigilacji, o prasie, radiu i telewizji zdominowanych przez amen, pater noster, gracia plena i propagandę sukcesu... Nie zamierzał mówić o miastach takich jak Breslau, Posen, Stettin i Danzig, gdyż była to już stara historia, której nie tykała nawet opozycja. Zresztą inkorporacja nastąpiła zgodnie z unijnym prawem i nie było powodów, aby ją podważyć.

Oczywiście nie zadowolili ich. Ale czego oczekiwali? Że wygłosi przemówienie potępiające system, któremu wszystko zawdzięczał? Że zrezygnuje z willi, służbowego samochodu, wysokiej pensji, możliwości zagranicznych wyjazdów, wejść do Strefy? I z najważniejszego: ze świadomości, że jest się na szczycie (może był to marny szczyt, ale jednak szczyt, i najmilej było patrzeć na tłum beznadziejnie kłębiący się w dole)? Jeśli oczekiwali tego wszystkiego, musieli być jeszcze większymi idiotami, niż na to wyglądali.

Po dwóch godzinach spędzonych w tej małej, dusznej sali posłowi Lepkiemu chciało się już rzygać od kłębow dymu z krajowych papierosów, od odoru spoconych, rzadko mytych ciał, od blasku żółto migoczących żarówek, od skrzekliwych, napastliwych głosów. Wreszcie spotkanie się skończyło i posła Lepkiego pożegnała cisza, mimo że Siwy Pan oraz jękający się młodzieniec grzecznie zaczęli klaskać. Przynajmniej nie wygwizdali, pomyślał poseł Lepki, gotów uznać spotkanie za swój sukces.

Czarna limuzyna ze znużonym kierowcą czekała za rogiem. Ulica była ciemna i pusta. W oknach lśniło tylko sine światło bijące z ekranów telewizyjnych, gdyż na czas wieczornej modlitwy oraz wiadomości zazwyczaj elektrownie włączały fazę. W końcu ważne było, aby społeczeństwo mogło godnie podziękować Bogu za kolejny szczęśliwie przeżyty dzień oraz poznało, co ma myśleć, kogo kochać, a kogo nienawidzić. Wśród domów szedł monotony, miarowy pogłos i wyraźnie przebijał się głos prowadzącego mszę biskupa, który dziękował Bogu za opiekę nad Rzeczpospolitą.

- Jakby dozorca w zoo tak się opiekował zwierzętami, to wypierdoliliby go w pierwszym tygodniu pracy - zamruczał do siebie poseł Lepki, lecz zamruczał bardzo, ale to bardzo cichutko.

Wyciągnięty jak struna kierowca otworzył drzwi i poseł Lepki utonął w miękkich poduchach siedzeń. Limuzyna bezgłośnie popłynęła przez ulice, a poseł Lepki starał się zapomnieć o opozycyjnym spotkaniu i o wszystkich innych problemach. Marzył już jedynie o tym, aby ułożyć skołatana głowę na wielkich buforach Sonii, poddać się zręcznym zabiegom jej palców, a potem leniwie wytrysnąć prosto na jej twarz.

Chcąc nie chcąc skulił się jak embrion w chłodnym, klimatyzowanym łonie samochodu i zasnął, śniąc gorący sen o wąskich palcach Sonii i jej zawsze gotowych ustach.



Cieżko im było odezwać się do siebie, choć niby siedzieli obok, ramię przy ramieniu. A kiedy pociąg zarzucił, poeta Atlas Symbol czuł ją wyraźnie, taką kruchą i jednocześnie mocną, czuł napór jej ramienia, a później niechętnie odsunięcie się. A przecież czym zawinił prócz słabości mięśni? Strachem? Czy strach jest aż tak okropnym grzechem? Czy tak bardzo zmieniłoby sytuację, gdyby był bokserem lub karateką i celnym ciosem pozbawił napastnika przytomności? Czy wtedy byłby już osobą godną szacunku, osobą, od której nie trzeba się odwracać?

Zresztą ja chcę przeżyć, pomyślał słusznie i podle. Przeżyć mimo wszystko i za wszelką cenę, bo lepiej być żywym tchórzem niż martwym bohaterem. Ominęło mnie to, co mogło mnie spotkać w laboratorium, coś, czego grozy nie próbuję sobie nawet wyobrazić, więc nie zmarnuję tego wszystkiego, bo nie dostaje się dwa razy podobnej szansy. I będę żył, żył mimo wszystko i mimo wszystkich, a potem wyjdę stamtąd, bo wyjdę, bo trzeba wierzyć, że wyjdę, bo bez tej wiary mógłbym spokojnie dać się zabić. A ja przeżyję. Nie mogę umrzeć, gdyż mój czas jeszcze nie nadszedł. Niech umierają i wariują inni, ja przeżyję... I nie po to, by dać świadectwo prawdzie czy mścić się. Przeżyję z czysto zwierzęcej, prymitywnej chęci przetrwania i nie wiem, czy są takie rzeczy, których nie zrobiłbym, żeby żyć. Prawdopodobnie zrobiłbym wszystko, bo o każdym upodleniu można zapomnieć, a życie jest tylko jedno.

I kiedy poeta Atlas Symbol zmierzył się już z własnymi myślami oraz oczekiwaniami, to przestał bać się Elwiry i nie było mu nawet przed nią wstyd. Gdyż nie wolno się wstydzić tego, iż chce się zachować życie. I tak naprawdę tylko to się liczy, a wskazania moralistów wsadźcie sobie w dupę i dajcie któregoś na Śląsk, albo dajcie go chociaż tutaj, do tego przedziału, i niech sobie troszeczkę pomoralizuje. A wtedy zobaczymy, po ilu ciosach przestanie moralizować. Albo nie dajcie mu jeść i zobaczymy, kiedy zacznie błagać o jedzenie, i zobaczymy, co zrobi za jedzenie.

Tak więc, pomyślał Atlas Symbol, dajcie mi tu moralistę i niech to przetrzyma, i niech postępuje zgodnie z głoszonymi wcześniej zasadami, a jak przetrzyma, to czapki z głów. Tylko chyba już nad grobem te czapki z głów. A ja wolę, żeby pluli na mnie żywego, niż zdejmowali czapki przed grobem.

Leżący na podłodze mężczyzna poruszył nogą i zajęczał. Karciarze już się nim nie interesowali, ale umalowana dziewczyna patrzyła na rannego ze strachliwą ciekawością, jak patrzy się na egzotyczne zwierzę, raczej niegroźne, ale nieco obrzydliwe. Elwira, miłosierna samarytanka, pochyliła się nad nim. Facet obrócił w jej stronę zmaltretowaną twarz.

- Nic panu nie jest? - zapytała głupio.

On próbował się podnieść i w końcu udało mu się z jej pomocą. Z trudem wcisnął się pomiędzy Elwirę a Atlasa Symbola. Jego głowa chwiała się w rytm podskoków wagonu, tak jakby jej ruchy nie zależały od mięśni karku. Wyciągnął przed siebie dłonie i wpatrzył się w nie martwym wzrokiem. Poeta zastanawiał się, czy widzi, że zdjęto mu zegarek oraz obrączkę. Nie współczuł i nie mógł współczuć temu człowiekowi, raczej winił go za sprowokowanie niebezpiecznej sytuacji, winił go też za swe nieporozumienia z Elwirą. Zresztą skoro chciał być taki prawomyślny i nie rzucać się w oczy, to spotkała go cenna nauczka. Dostał lekcję, w której wyraźnie mu wytłumaczono, że tu i teraz prawomyślność nie załatwia niczego.

- Dziękuję pani - wydukał, choć widać było, że mówienie sprawiło mu ból. Wargi przecież miał

rozharatane i spuchnięte.

- Niech pan nic nie mówi, wszystko się ułoży.

- A mówiłem? - wesoło zagadał bysiorek. - Jeszcze pół drogi nie minęło, a ty już, siostrze, mówisz o układaniu...

Żółwia babina z siedzenia naprzeciwko wybuchnęła cichym, nieprzyjemnym, szeleszczącym śmiechem.

Poeta Atlas Symbol przyjrzał się jej zaskoczony i zdziwiony, bo była to pierwsza tak raptowna oznaka życia z jej strony. Ale Elwira zlekceważyła ten śmiech i nawet nie odwróciła głowy.

- Co, kurwa, do ciebie mówię, że drzesz japę? - Bysiorowi śmiech najwyraźniej się nie spodobał, a żółwia babina zamilkła momentalnie i zastygła w bezruchu. I tylko poeta Atlas Symbol ku swemu zadowoleniu dojrzał, że w jej gadzich oczach pojawił się strach.

- No! - Bysiorek pogroził wskazującym palcem i obrócił wzrok z powrotem na karty.

- Co my tam zrobimy? - zaszeptał pobity. - Przecież my nie powinniśmy tam trafić.

Nagle zaczął bezgłośnie płakać i tylko łzy ciekły mu po policzkach, a twarz wykrzywiła się jak u małego, skrzywdzonego i nadmiernie pomarszczonego dziecka. Ten widok był tak dalece niesmaczny, że Atlas Symbol odwrócił wzrok, wstydząc się nie tylko za niego, ale i za siebie, że siedzi właśnie tuż obok.

- Niech się pan zachowuje - powiedział w końcu, patrząc gdzieś na bok. - Jak tak można?

- Zamknij się - uciszyła go Elwira, a jej głos był pełen nieukrywanej niechęci.

Atlas Symbol wzruszył w odpowiedzi ramionami i postanowił więcej się nie odzywać. Niech tam sobie robią, łachmaniarze, co chcą, nic go to nie będzie obchodzić, aby tylko znowu nie narobili kłopotów. Przegrany, który teraz zresztą był już wygrany, zerknął na ukradziony zegarek.

- Niedługo Śląsk! - zakomunikował z radością godną lepszej sprawy.

- Niedługo Śląsk - pobity facet zmiędlił te słowa w zmiażdżonych ustach.

- Niedługo Śląsk... - powtórzyła głucho Elwira.

- Niedługo? - mocno umalowana dziewczyna zdziwiła się głupawo.

- Niedłuuugo - przeciągnął się i pokiwał głową stary o zażółconych wąsiskach.

- Byłam tam kiedyś - odezwała się niespodziewanie żółwia babina.

Wszyscy spojrzeli na nią w milczeniu. Przecież ze Śląska mało kto wraca.

- Trzydzieści już lat, a jak dziś pamiętam - pochwaliła się żółwia babina.

- Ech, spierdalaj! - machnął dłonią młody bysiorek, gdyż spodziewał się jakiejś ciekawej historii, a gównie wyszło.

Trzydzieści lat temu Śląsk nie był jeszcze tym Śląskiem, w który go zamienili władcy Rzeczypospolitej, i nikt nawet nie przypuszczał, iż na całym jego obszarze powstanie strefa obozów koncentracyjnych, dla niepoznaki nazywanych ośrodkami społecznej reedukacji.

Żółwia babina skarcona surowym słowem zastygła w milczeniu i znów wgapiła się przed siebie, tym razem koncentrując wzrok na pobitym.



Posesja była rzęsiście oświetlona, czarne limuzyny zajeżdżały na dziedziniec z tłumionym pomrukiem. Salony i ogród rozbrzmiewały setkami głosów, dźwięczały kieliszkami szampana. Wokół przemykali usłużni kelnerzy, bezszelestnie niczym czarne ćmy krążące wokół światła. Gromadzący się gdzieś na krawędzi ciemności i gotowi (na razie) służyć swym panom. Kto wie jednak kiedy biedni zorientują się, że jest ich tak wielu, iż zamiast służyć bogatym, mogą zacząć ich konsumować? Historia każdej rewolucji jest historią powolnego procesu myślenia hołoty. Kiedy hołota w końcu dowiaduje się, jak jest liczna, wtedy zaczyna się zastanawiać, co z tym fantem zrobić. Ci, którzy w tej chwili na posesji senatora usługiwali potentatom, nie zaczęli nawet myśleć o myśleniu.

Córki senatora Kardupella również nie interesowały społeczne rozważania. Oparła się o balustradę i obojętnie spoglądała na korowód twarzy. Dziś wieczorem zjawili się tu władcy. Ci z pierwszych stron gazet, telewizyjnych, sieciowych i kinowych ekranów oraz ci, o których władzy mieli pojęcie jedynie nieliczni. Tu dziś wieczorem będą pić, jeść, ćpać, rzygać i kopulować zarządcy podupadłego folwarku, na mapach określanego jako Przenajświętsza Rzeczpospolita. Tu dziś wieczorem odpoczną po tygodniowym trudzie, tu choć na chwilę przestaną drzeć czerwone sukno. Córka senatora Kardupella знаła wielu z nich od lat.

Niekiedy pojawiał się ktoś nowy, czasem zostawał, czasem spadał w otchłanie gorsze od piekielnych, w otchłanie towarzyskiego zapomnienia. Córka senatora Kardupella widziała już szalone wzloty i widziała ludzi, do których przestawano podchodzić i których obecność ignorowano, tak jakby nie byli nawet cieniami czy mglistymi zarysami niegdyś żyjących postaci, ale jakby po prostu nigdy nie istnieli. Wiedziała, że kiedyś może spotkać to również jej ojca. Ale na razie, on brylował wśród gości roześmiany i zadowolony, syty pieniędzy, zaszczytów, pławiący się wśród zazdrosnych spojrzeń tych, którym spieszo było zająć jego pozycję.

Córka senatora Kardupella już chciała się odwrócić, kiedy nagle zobaczyła parę wysiadającą z czarnej limuzyny. Kobieta była ubrana w szmaragdową suknię z niewiarygodnie głębokim dekoltem. Spięte według ostatniego krzyku mody włosy mieniły się kolorami tęczy, szyję ozdobił naszyjnik z krwawo lśniącymi rubinami oprawionymi w platynę. Trzymała pod rękę barczystego młodzieńca o krótko, na jeża, obciętych jasnych włosach, w białego w rozepchany potężnymi ramionami garnitur.

- Oto następny ogierek naszej słodkiej Kasieńki - córka senatora Kardupella usłyszała głos przy uchu i odwróciła się, o mało nie potracając smukłego kieliszka.

Obok niej stanął, paląc długie, wąskie cygaro, mężczyzna z haczykowatym nosem i zniszczoną twarzą. Córka senatora Kardupella go uwielbiała. Uwielbiała nawet te obcisłe srebrne spodnie, mieniającą się różnymi odcieniami czerwieni jedwabną marynarkę, wściekle zieloną apaszkę i wąskie palce pełne pierścionków. Być może uwielbiała go za to, że jest zdeklarowanym pedałem i w związku z tym nigdy nie usiłował jej podrywać ani się z nią przespać. Oficjalnie pokazywał się z roslymi blond bestiami o posturze gladiatorów. Poza tym był wrzodem na dupie Przenajświętszej

Rzeczpospolitej.

Nie krył się ze swoimi upodobaniami, a władcy nienawidzili odstępców, nie znosili tych, którzy nadszarpują morale narodu. Narodu od wieków czujnie stojącego na straży chrześcijańskiego świata i własną piersią osłaniającego przedmurze jedynej przodującej cywilizacji. Przynajmniej oficjalnie ich nienawidzili. Pod maską siermiężnej cnoty zachowywali się tak, jak to robili władcy od wieków, poprzez wszystkie imperia i reżimy. Oczywiście istniała różnica między Rzymem, Rzeszą, Ugandą, Moskwą czy Cesarstwem Bokassy a Przenajświętszą Rzeczpospolitą. Lecz ludzie byli tacy sami. Ciągła gra pozorów, ciągłe szermowanie słowami Bóg, Honor, Ojczyzna, a pod spodem - ruja, poróbstwo, korupcja. Dlatego tak nienawidzili Atanazego Szwarcgluta - Żyda, pedała i narkomana, który żył tak szczerze i prostolinijnie, jakby obok niego nie istniał na świecie żaden inny człowiek.

Samo istnienie Szwarcgluta było dla nich zniewagą i wyzwaniem. A jednocześnie nie wolno było tego okazać, gdyż Atanazy Szwarcglut należał do szanowanej i wielce bogatej rodziny szwajcarskich bankierów. I z niewiadomych przyczyn tak ukochał sobie Polskę, że ruszał się z niej tylko wtedy, kiedy wymagały tego najpilniejsze biznesowe potrzeby. Rozpostarł sieć misternie tkanych interesów, był właścicielem lub współwłaścicielem szeregu spółek, najczęściej służących jedynie do prania płynących z całego świata pieniędzy. Teraz również, tak jak wszyscy, był podekscytowany wizją roponośnych pól Suwalszczyzny (ten temat zdominował zresztą większość rozmów na przyjęciu). Ale wiedział, że z Ligią Kardupell nie powinno się poruszać podobnych tematów.

- Jak wypoczęłaś na wakacjach, piękna pani? - zagadnął uprzejmie.

- Nudy. - Wzruszyła ramionami. - Nudy, nudy, nudy i jeszcze raz nudy - dodała poirytowana.

- Ha! - skwitował tylko. - Za to w Polsce robi się interesująco. Co za kraj - westchnął z rozmarzeniem.

Spojrzała na niego i pokręciła głową.

- Nigdy nie wiedziałam, co ci się tu podoba - powiedziała. - Przecież to wysypisko śmieci.

- Ale to twój kraj, a ja swojego już nie mam - przez chwilę w jego głosie zabrzmiała nuta goryczy.

- No tak... - Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Widziała kiedyś film o spustoszonej wojną Izraelu, widziała wielkie ognisko z ludzi rozpalone na stadionie w Hajfie, widziała małe (bo filmowane z lecącego bezpiecznie wysoko helikoptera) postaci rzucające się do morza w stronę odpływających statków. Dawno temu, ale trudno było o tym zapomnieć. - No tak - powtórzyła. - Co za okropna fryzura! - Obróciła wzrok na Katarzynę Bernard.

- Cóż chcesz, moda - powiedział, nawet nie patrząc w stronę, gdzie dopiero co przybyła kobieta rozdawała na prawo i lewo nieszczerze uśmiechy. - Powiedz mi: po co właściwie wróciłaś?

Ligia Kardupell sama zadawała sobie podobne pytanie. Prawie dwa miesiące spędziła w Australii, Nowej Zelandii, na Fidzi i Palau, by tournée zakończyć w hawajskich nocnych klubach. Dawno się tak potwornie nie wynudziła. Jedynie zaliczenie wążącego niemal dwieście kilogramów hawajskiego mistrza sumo wydało jej się zabawnym doświadczeniem. Jasne, mogła pojechać do Tokio czy Szanghaju, żeby łyknąć trochę cywilizowanego świata, ale jakoś ją to wszystko mierziło.

Wreszcie z nudów i nie mając co ze sobą zrobić, wróciła do Warszawy. Tutaj, oczywiście, było jej jeszcze gorzej niż na pacyficznych wyspach.

- Wyjedź gdzieś - poradził, zniżając głos. - I najlepiej nikomu nie mów dokąd.

- Co takiego? - zapytała zdumiona i przez moment myślała, że się przesłyszała. - A czemuż to?

Podrapał się pierścionkiem po nosie. Najwyraźniej tylko, by zyskać na czasie.

- Tu się teraz dzieją różne rzeczy... - wyjaśnił, nic nie wyjaśniając, i widząc jej wzrok, zdecydował się kontynuować. - Twój ojciec zaangażował się w przedsięwzięcie, które nie podoba się bardzo wielu wpływowym ludziom - westchnął. - Bardzo, bardzo wpływowym - dodał po namyśle.

- I? - spytała Ligia Kardupell bez specjalnego zainteresowania.

- Będą chcieli, żeby zrezygnował z tego, co robi, i kto wie czy nie wpadnie im do głowy wyrzucić na niego wpływu za twoim pośrednictwem...

- Ależ ja się nie znam na polityce! - przerwała mu rozbawiona. - A poza tym papcio i tak by nie posłuchał. Zresztą czym tu się martwić, pan senator jak zwykle wszystkich wydyma i zgarnie całą śmietankę. - Roześmiała się i odgarnęła kosmyk włosów z czoła.

Atanazy Szwarcglut nie zawtórował jej.

- Pewnie będzie, jak mówisz - przyznał głosem bez wyrazu.

Okręciła się na wysokim obcasie, a jej sukienka na króciusieńki moment stała się całkowicie przezroczysta. Ligia jak zwykle nie nosiła stanika i Szwarcglut zobaczył jej piersi w pełnej krasie. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia poza estetycznym, ale cmoknął, by sprawić jej przyjemność.

- Nauka w służbie ludzkości - powiedział, myśląc o materiale, z którego uszyto sukienkę.

- Jak myślisz, poderwę go? - Spojrzała na faceta Katarzyny Bernard.

- Sam bym go poderwał.

- Założę się, że wolałby dymnąć mnie niż ciebie - zaśmiała się.

- I pewnie byś wygrała. - Pokiwał głową, bo sam doskonale wiedział, że jego atrakcyjność była tylko wprost proporcjonalna do zawartości portfela.

- Spróbuję - zdecydowała. - Ale się zgnilica wścieknie.



Pisarz Konrad Piotr ocknął się o zachodzie słońca, a raczej o porze, którą zwykło nazywać się zachodem słońca, aby upamiętnić te czasy, gdy słońce wychodziło jeszcze zza chmur smogu. Zbudził się z jakimś irracjonalnym, podniosłym uczuciem radości. Wziął po raz ostatni kąpiel w ulubionej wannie zbudowanej na kształt konchy muszli, a potem poddał się delikatnym zabiegom aparatu do masażu. Jeszcze chwila i był gotowy. Ubrał się w popielaty garnitur, narzucił na ramiona prochowiec i ujął w dłoń masywną rączkę ciężkiego, wypełnionego pieniędzmi nesesera. Po raz ostatni przejrzał się w lustrze. Zostawił dom wraz z kosztownymi meblami, długowłosymi dywanami, szafami pełnymi ubrań, kolekcją wschodnich mieczy i drzewkami bonsai. Wyszedł, zamykając elektroniczny zamek, i

wiedział, że już nigdy tu nie wróci.

Oto pewien zakończony etap, oto dociągnięta do końca kreska figury Gestalt. Przeszłość została (a raczej zostanie, bo jeszcze należy wykonać sporo pracy) wymazana i uznana za nieważną. Jeżeli zabierze się przeszłości materialne dowody istnienia, pozostanie tylko pamięć o niej, a pamięć istnieje jedynie w ludzkich umysłach, z których każdy inaczej interpretuje fakty. Zwłaszcza umysł pisarza Konrada Piotra, który - o czym sam jego posiadacz na razie nie wiedział - funkcjonował już w sposób odmienny od umysłów większości ludzi. Bowiem Konrad Piotr nie zorientował się jeszcze, że jest szalony. Najprościej mówiąc, w ważącym blisko dwa kilogramy (paręset gramów w tę czy w tamtą, nieistotne) i porytym licznymi bruzdami (co ponoć jest oznaką wysokiej inteligencji) mózgu pisarza zaszły drastyczne oraz nieodwracalne zmiany. Być może spowodowane częstymi kąpielami w czterdziestoprocentowym roztworze C_2H_5OH , a być może czymś zupełnie innym.

Konrad Piotr, nawet gdyby wiedział o tych zniszczeniach, nie musiałby się nimi specjalnie martwić, bowiem podobne kłopoty stały się, lata temu już, udziałem większości obywateli Rzeczypospolitej. Lecz u niego jako u jednostki szczególnej również te zmiany będą miały szczególny przebieg. Na razie jednak pisarz Konrad Piotr nie zawracał sobie głowy podobnymi przemyśleniami, gdyż nie zdawał sobie sprawy z własnej kondycji fizycznej i psychicznej.

Kiedy wyszedł z domu, ruszył wyżwirowanymi, eleganckimi alejkami, słysząc bębnienie deszczu o przezroczysty dach kopuły okrywającej osiedle. Oddychał z przyjemnością powietrzem o zapachu morskich fal i dużej zawartości tlenu. Na zewnątrz osiedla powietrze nie pachniało jednak plażą ani oceanem, a zawartość tlenu była dużo niższa, co jednak rekompensowała zwiększona ilość pierwiastków o dźwięcznych, przyjemnych w brzmieniu nazwach. Pisarz Konrad Piotr nie wezwał limuzyny, więc mimo zdziwionego spojrzenia strażników wyszedł przez uniesioną bramę wprost w strugi czerwonego deszczu. Jego elegancki garnitur błyskawicznie pokryły rude kropeczki, rude kropki, rude plamy, aż w końcu cały materiał przybrał rudą barwę i pisarz Konrad Piotr przestał wyglądać dystygowanie.

Szedł poboczem drogi, przejeżdżające samochody mijały go z głośnym szyderczym chlupotem. Pisarz znosił jednak te niewygodności ze spokojem, a raczej spokojną, radosną rezygnacją. Wreszcie skończyły się mury osiedla, w obrębie których mieszkał tak długo. Minął jeszcze magazyny, oczyszczalnie powietrza i wody, stanął na pasie ziemi niczyjej, pozostawionym po to, aby osiedle dobrych ludzi nie stykało się bezpośrednio z osiedlem ludzi złych. Ale Konrad Piotr, idący dziarskim, równym krokiem, w końcu znalazł się na terenach należących do podniebnych wieżowców. Była to dzielnica zbudowana w systemie oszczędnościowym, a wieżowce pozbawiono dostępu do bieżącej wody, gazu oraz elektryczności. Stąd też mieszkańcy nie psioczyli na przerwy w dostawach tych luksusowych artykułów.

Korzystali z ujęć wodnych w tak zwanych studniach artezyjskich i zupełnie wystarczało im to do życia. Pisarz Konrad Piotr wiedział jednak, że w piwnicach znajdowała się akumulatorownia zasilająca telewizory oraz łącza płytkiej sieci, tak by mieszkańcy mogli korzystać z dobrodziejstw kultury oraz zawsze wiedzieli, co dobrego dzieje się w Przenajświętszej.

Osiedle wyglądało jak wymarłe. Smutne, puste, ciche i ciemne. Jedynie zza brudnych szyb dobiegał słaby siny poblask, może od telewizyjnych ekranów, a może od świeczek lub lamp olejowych. Okazało się jednak, że nie wszyscy siedzą spokojnie w domach. Pisarz Konrad Piotr spotkał na swej drodze czterech osobników rozdrażnionych faktem braku jakichkolwiek środków

odurzających oraz brakiem zasobów finansowych, które mogłyby posłużyć do zakupu tychże środków. Osobnicy ci otoczyli pisarza Konrada Piotra, gdyż bez trudu poznali w nim przedstawiciela klasy obcej i wrogiej. Człowieka, który opuścił własne terytorium i znalazł się tam, gdzie oni czuli się bezkarnymi łowcami. Mieli się jednak pomylić. W ich małych i nie za bardzo pobrużdżonych mózgach zostały jednak pewne ślady inteligencji, gdyż obecność Konrada Piotra nieodparcie skojarzyła im się z możliwością zaspokojenia głodu.

- Iskaj się, chuju - zawarczał jeden z osobników, a w jego głosie czaiła się smutna nadzieja, że pisarz będzie się miał z czego wyiskać.

Konrad Piotr postawił neseser na ziemi i otworzył zamki. Osłaniając wnętrze przed deszczem, wyjął cztery pakiety po dwadzieścia cztery tysiące złotych i podał je nagabującym go osobnikom. Oni wzięli je tak, jakby miały ich za chwilę ugryźć, a potem zaczęli łapczywie przeliczać nieoczekiwanie zdobytą fortunę. Ponieważ jednak zachłanność ludzka nie zna granic, natychmiast zaczęli czuć się zawiedzeni oraz oszukani. Przecież widzieli, że neseser był jeszcze pełen pieniędzy, a oni otrzymali tylko drobną cząstkę całego tego bogactwa. Teraz banknoty, które dostali, wydały im się niewarte choćby spojrzenia.

- Och ty, kurwa twoja - powiedział ten sam, co odezwał się na początku.

- No, pizdolcu - dodał drugi.

- Przykro mi, ale nie mogę wam dać więcej - wytłumaczył łagodnym tonem pisarz Konrad Piotr i ujął rączkę neseseru, aby odejść.

Oni jednak postanowili, że mu odejść nie pozwolą. Rzucili się na niego z krzykiem, przekleństwami i zatykającą dech nadzieją w sercach. Pisarz Konrad Piotr miał jednak zadanie do wypełnienia i dlatego czas posłusznie się zatrzymał, aby mu pomóc. Mógł więc spokojnie, aż do zasapania, tłuc napastników po szczękach, a oni, kiedy czas znów zaczął płynąć, bezwładnie zwalili się na ziemię. A gdy się już ocknęli, rozpoczęli rozpaczliwe poszukiwania pisarza Konrada Piotra, aby przekazać mu swoje wyrazy podziwu oraz szacunku.

Deszcz przestał padać, gdyż przeszkadzał pisarzowi Konradowi Piotrowi, zalewał mu oczy i zostawiał żelazisty posmak na ustach. I tak szedł, już w rudym garniturze, rudych butach, rudowłosy i rudoskóry, z rudym neseserem w dłoni. Dotarł do następnego rzędu blokowisk i przystanął, ponieważ poznał to miejsce.

Miejsce pozostało to samo, choć scenografia z biegiem lat zmieniła się diametralnie. Nie było już rzeczki łagodnie toczącej wody w stronę Wilanowa, nie było krzaków i betonowego mostka, nie było trawy ani pustych butelek po piwie. Nie pozostało nic prócz ginących w smogu obojętnych kolosów i rudej ziemi. Wydawać by się mogło, że nie pozostało nic z dawnych czasów, a jednak to miejsce wciąż żyło, chociaż oddychało z trudem niczym konający człowiek. Żyło, bo nie miało umrzeć, dopóki ktoś o nim pamiętał. A pisarz Konrad Piotr pamiętał, gdyż udało mu się wskrzesić wizję dawnych lat. I wizja ta dawała zarówno spokój, jak i nadzieję.

Przymknął oczy i oto zobaczył kulę zachodzącego słońca nad oddalonymi drzewami, wsłuchał się w ciszę, a zaraz potem usłyszał delikatny szum wody i powarkiwanie psa, wciągnął w nozdrza powietrze i oto poczuł zapach trawy, zapach ziemi i zapach rzeki. Otworzył oczy, a obraz nie zniknął. Śmierdzianka płynęła. Majestatyczna i spokojna, zarośnięta krzewami, do upojenia wspaniała, bo pamięć o niej pochodziła z młodszych lat.

I oto pojawił się również mężczyzna w beżowym dresie, ze smyczą w lewej i kijem w prawej dłoni. Kilka metrów od niego buszował w trawie nieduży biały pies i widać było tylko zawinięty w rogalik ogon, bo pies ukrył pysk głęboko przy ziemi. Posapywał i parskął, szukając jakiegoś nadzwyczaj interesującego zapachu. Mężczyzna w dresie przystanął i zdumiony przetarł oczy, gdyż właśnie zobaczył pisarza Konrada Piotra, otaczające go betonowe domy oraz ciężki smog wiszący nad głową.

- Kim ty jesteś? - zapytali obaj równocześnie i obaj zaraz z jednakowym przejęciem zaczęli szukać właściwej odpowiedzi.

- Nazywam się Konrad Piotr - odparł pisarz Konrad Piotr po chwili.

- Nie - zaśmiał się mężczyzna w dresie. - To ja się nazywam Konrad Piotr, przyjacielu.

Ale śmiech się urwał, gdyż cała ta sytuacja: człowiek, co wyrósł jak spod ziemi, i zjawy potężnych bloków, gdzie powinny przecież znajdować się pola, nie była wcale śmieszna.

Pisarz Konrad Piotr przyglądał się uważnie człowiekowi w dresie i jego twarz wydała mu się zarówno znajoma, jak i obca. Może gdyby nie łysina na czole, krótko przycięte włosy, szczoteczka wąsów pod nosem, rogowe okulary, może wtedy potrafiłby rozpoznać tego mężczyznę.

- Ciebie nie ma - stwierdził w końcu. - Jesteś tylko moim snem, przywidzeniem, fantasmagorią. Rozpłyniesz się i szejniesz w nicości.

- Cóż za bogactwo wyrażeń - Zaśmiał się znowu mężczyzna w dresie i cicho zagwizdał na psa, a ten przestał sapać w trawie, podniósł łeb i spojrzał na swego pana. Miał orzechowe oczy. - Ale to ciebie nie ma. I nie ma również tych strasznych bloków ani rudych oparów, z których się wynurzasz. Tutaj są pola i rzeka, a w oddali słońce zachodzi nad lasem. Powiedz więc, z jakiego piekła przybywasz?

- Cóż za bogactwo wyrażeń - skwitował bez uśmiechu pisarz Konrad Piotr. - Ale to mój świat jest prawdziwy, człowieku. Czuję jego zapach, mam jego smak na języku, wdycham jego esencję. To jest mój świat brudnego nieba i rudego deszczu, świat betonu i stali. Tu nie mogą rosnąć trawy i drzewa, tu nie może płynąć rzeka, tu nigdy nie widać zachodzącego słońca.

- Nieprawda. - Mężczyzna w dresie zerwał źdźbło trawy i rozgniół je w zębach. - Patrz, czuję jego smak, gorycz na języku. Za chwilę wrócę do domu, dam psu kolację, pójdę na przyjęcie i wrócę równo ze świtem, patrząc, jak słońce wstaje nad Warszawą. A ciebie już nie będzie.

Pisarz Konrad Piotr podniósł ziarno żwiru i rzucił nim w mężczyznę w dresie. Ten spróbował się odsunąć, ale nie zdążył. Grudka przeleciała jednak przez jego ciało, jakby zostało ono utkane z mgły.

- Nie ma cię - stwierdził pisarz Konrad Piotr. Mężczyzna w dresie przyglądał mu się uważnie, po czym schylił się po kamyczek i rzucił nim w Konrada Piotra. Ten poczekał, aż okruch przeleci przez niego i upadnie na ziemię.

- To ciebie nie ma - odparował mężczyzna w dresie.

- Natknęliśmy się na siebie nad brzegiem Śmierdzianki. - Pisarz Konrad Piotr podniósł wzrok. - I twój świat jest tak samo realny, a raczej nierealny dla mnie, jak mój dla ciebie. Skąd jesteśmy? Kto dał nam moc spotkania na granicy światów?

Mężczyzna w dresie łagodnie się uśmiechnął, a potem wzruszył ramionami.

- Muszę już iść - powiedział przepaszającym tonem. - Wybacz, ale dziś mam przyjęcie u przyjaciół. Będę pić wino, tańczyć i śmiać się. Być może będę się dzisiaj kochać. Żegnaj więc, kimkolwiek jesteś.

- Żegnaj - odparł pisarz Konrad Piotr i było mu smutno.

Zbliżyli się do siebie, a ich wyciągnięte dłonie się przeniknęły. Pisarz Konrad Piotr poczuł przez chwilę chłód na palcach, jakby zamoczył je w rosie. Potem odwrócili się i odeszli każdy w swoją stronę. Kiedy Konrad Piotr obrócił głowę, nie zobaczył już ani rzeki, ani pól, ani lasu. Ani dziwnie znajomego człowieka ze śmiesznym psem.

Pisarz wykasował z pamięci spotkanie na brzegu Śmierdzianki prawie natychmiast, ponieważ było ono dla niego ważne i wzruszające. Na tyle ważne i wzruszające, że zapomniał, iż deszcz miał przestać padać, i ruda ulewa znowu moczyła mu włosy i twarz. Wiedział, że jedyne, co się teraz liczyło, to dotarcie do rezydencji pana Światłoniesienia. Ale po drodze musiał się pozbyć reszty gotówki. Zostały mu jeszcze dwieście cztery pakiety i dodatkowe osiem tysięcy złotych. Zamierzał rozdać je napotkanym przechodniom i miał nadzieję, że obędzie się bez scen przemocy jak ta, kiedy musiał poradzić sobie z nazbyt natarczywymi osobnikami. Dotarł jednak aż do ulicy Dolnej, nie spotykając nikogo po drodze, i zaczął piąć się w górę. Wreszcie natknął się na ludzi, których nie przestraszył deszcz i którzy mimo ulewy pchali zdezelowany, przeżarty przez rdzę samochód z urwanym błotnikiem i potrzaskanymi reflektorami.

- Te, weź pchnij z nami - zawołał mężczyzna z głową opatuloną szalikiem.

Samochód mimo wysiłków pasażerów właściwie stał w miejscu, a trzy osoby potrzebne były tylko do tego, by nie stoczył się w dół ulicy. Prawdopodobieństwo wtoczenia go na górę było z pewnością zerowe. Tak więc pisarz Konrad Piotr podszedł do tych sapiących z wysiłku ludzi, położył neseser na dachu samochodu, otworzył zamek i wyciągnął trzy paczki banknotów.

- Dajcie sobie spokój - powiedział. - Kupcie inny. Oni zastygli w miejscu z pieniędzmi w dłoniach i chyba nie zauważyli nawet, jak wrak powoli stoczył się, aż zahaczył tyłem o kamienny słupek i zatrzymał ze zgrzytem pękającego zderzaka.

- Rany Boga - przełknął ślinę facet w szaliku. - Kim ty jesteś, koleś? Złotą rybką?

Będące z nim kobiety - bo to były kobiety, jak zauważył Konrad Piotr, milczały i patrzyły jakby trochę nieufnie. Nie do końca jeszcze przekonane o realności zdarzenia, które właśnie nastąpiło.

- Chodźmy gdzieś, no kurwa, nie będziemy tak stali - zdecydował mężczyzna i nagle, zaraz, po chwili, wszyscy we czwórkę stoczyli się w bramie.

Pisarz Konrad Piotr miał teraz czas, aby przyjrzeć się tej trójce. Mężczyźnie szalik zsunął się z głowy i widać było ciemne, przerzedzone włosy, bladą twarz ze szramą na lewym policzku i długi nos. Mógł mieć czterdzieści lat, może trochę więcej. Kobiety wyglądały na matkę i córkę, gdyż były tak podobne do siebie. Obie niezbyt ładne, z nosami jak stopa małego Cygana i z zanadto wystającymi kośćmi policzków. Starsza była przysadzista i Konrad Piotr zobaczył odznaczający się pod kurtką duży biust, młodsza zachowała jeszcze figurę nastolatki. Schronili się więc w tej bramie ściśnięci i stłoczeni, nie za bardzo wiedząc, co powiedzieć lub zrobić.

- Kim pan jest? - zapytała w końcu kobieta i Konrad Piotr usłyszał w jej głosie więcej podejrzliwości niż ciekawości.

- Ja wiem, kim pan jest - odezwała się cichutko dziewczyna. - Ja pamiętam pana twarz i nigdy jej nie zapomnę. To z pana programów i artykułów należało robić streszczenia w Lidze. To pan niszczył i zatruwał nas przez lata. To pan kazał nam wierzyć, że posłuszeństwo i bezmyślenie są największymi cnotami. Jak się pan tutaj znalazł? Co pana wyгнаło ze strzeżonego osiedla, z limuzyny, ze Śródmieścia? Czy przyszedł pan złożyć akt skruchy? Ale po co i przed kim? Czy myśli pan, że cokolwiek może być wybaczone, że cokolwiek może być zapomniane?

Wokół pisarza zrobiło się nagle miejsce. Oni cofnęli się i przywarli do ścian. Zbyt dużo pytań, pomyślał Konrad Piotr, zbyt dużo do tłumaczenia. Czy jest więc sens odpowiadać, kiedy z góry wiadomo, że odpowiedź nie będzie satysfakcjonująca? Kiedy z góry wiadomo, że nie spełni oczekiwań ani pytającego, ani odpowiadającego?

- Mnie już nie ma - westchnął. - Nie ma mnie takiego, jakim byłem, albo i nawet nie ma mnie w ogóle.

- Następna ofiara nowej roszady na wyżynach władzy? Następny upadły anioł? - zadrwiła dziewczyna.

- Daj spokój, daj spokój - gorączkowo wyszeptał mężczyzna, upychając banknoty pod płaszczem. Najwyraźniej cały w strachu, że ktoś mógłby mu je odebrać. Chciałby już odejść i zapomnieć o tym spotkaniu, a pamiętać tylko o pieniądzach, co spłynęły jak boży dar.

- Nie - odpowiedział Konrad Piotr i niezręcznie się uśmiechnął. - Na szczęście dokonałem wyboru sam, bez pomocy przyjaciół czy wrogów.

- A więc nawrócony grzesznik - nie przestawała szydzić dziewczyna.

- Raczej nie. - Pisarz Konrad Piotr czuł, że już musi odejść, ale chciałby przekonać do siebie tę dziewczynę, sprawić, by choć troszeczkę uwierzyła w jego dobre intencje. - Nie zależy mi na was ani na nich, ale na samym sobie. Odchodzę do nowego świata, bo być może to mnie ocali. Nie jestem po niczyjej stronie i nie chcę, aby ktokolwiek był po mojej. Do widzenia.

- Zaraz! Niech pan czeka! - Mocny uchwyt nie pozwolił mu odejść.

Dziewczyna przypatrywała się uważnie pisarzowi Konradowi Piotrowi, jej rodzice speszeni i przestraszeni stanęli najdalej jak tylko się dało, a mężczyzna wyglądał co chwila na ulicę, by zobaczyć, czy ktoś przypadkiem nie idzie.

- Nie można nie być po żadnej stronie - stwierdziła dziewczyna surowym tonem, a pisarz Konrad Piotr chciał, żeby już umilkła. - Szedł pan drogą nienawiści i strachu, niech pan teraz wkroczy na drogę miłości.

- Aniu! - krzyknęła kobieta. - Aniu, na Boga, przestań!

- Spokojnie, mamó. - Dziewczyna nawet nie spojrzała w jej stronę. - Niech pan pójdzie z nami. Zaprowadzimy pana tam, gdzie odnajdzie pan Boga.

- Nie, panienko. - Pisarz Konrad Piotr pokręcił głową. - Nie, moja biedna egzaltowana dziewczynko. Odnajdziesz Śląsk, a nie Boga. Nie bądźcie głupi, ludzie - podniósł głos. - Żyćcie tu, żyćcie dniem dzisiejszym i nie myślćcie o jutrze.

- Wszystko w rękach Pana - przerwał mu nagle mężczyzna, już nie tak przerażony jak jeszcze przed chwilą. - Możesz pójść z nami. Zapraszamy.

- Moja droga prowadzi gdzie indziej. - Pisarz Konrad Piotr delikatnie, ale stanowczo uwolnił rękaw. - Ale żyć i walczyć, choć przegracie, bo nie da się wygrać. Ja mam jeszcze coś do... zrobienia. Żegnajcie.

Odszedł w deszcz spokojnym krokiem i teraz już nikt go nie zatrzymywał. Zresztą to wszystko farsa. Heretycy spotkani w bramie, próbujący nawrócić zbłąkaną owieczkę. Farsa, Boże mój. Że też jeszcze komuś w dzisiejszych czasach chce się być heretykiem, że też ludzie zamiast zająć się poważnymi sprawami (na przykład problemem, jak przeżyć do jutra), myślą o głupstwach. Komu jeszcze chce się ślęczeć nad Biblią i odczytywać ją na nowo, skoro oficjalna wykładnia jest tak jasna i prosta? Ale heretycy jednak byli. I Kościół panicznie się ich bał. Bał się ich zawsze, przykładem tu Luter, Kalwin, Hus, nieszczęśni naiwni arianie, pobożni gnostycy. Czy kiedykolwiek wymordowano, zamęczono i zniewolono więcej ludzi niż w imię chrześcijańskiego Boga? A machina, choć zgrzytała i jęczała, to dalej kręciła trybami i mielila grzeszników na pył. Bo tak być powinno. Niech sobie nie myślą, że wolno wierzyć inaczej, niż nasza Matka-Kościół nakazuje. Niech sobie nie myślą, że wolno postępować inaczej, niż nauczają bogobojni pasterze.

Pisarz Konrad Piotr szedł wśród wciąż padającego deszczu, minął skrzyżowanie Dolnej i Puławskiej, skręcił w Puławską na prawo, tam niedawno otworzono sklep z wódką, widać było niewyraźnie, bo przez rude szyby, tłumek ludzi w środku. Stali w żółtym, migoczącym świetle, czekając na należną im codzienną porcję szczęścia.

Pisarz Konrad Piotr postanowił wejść tam, aby pozbyć się następnych pakietów z dwustu jeden, które jeszcze pozostały.

Przez moment zastanawiał się, czy właśnie ten sklep jest właściwym miejscem, aby szukać ludzi potrzebujących, ale doszedł do wniosku, że każde miejsce jest równie właściwe lub równie niewłaściwe. A więc chyba lepiej pozostawić wybór w rękach Boga, czy może w rękach losu, i nie myśląc i nie decydując, poddać się fali, która niesie tam, gdzie niesie, i zanieś tam, gdzie zanieś.

Nikt bowiem nie dał pisarzowi Konradowi Piotrowi prawa, aby decydować o tym, kogo uszczęśliwić, a kogo nie. Zresztą czyż pieniądze nie mogą przynieść również nieszczęścia i kłopotów? Dlatego nie wolno decydować i wybierać, gdyż każdy wybór i każda decyzja jest braniem odpowiedzialności. Oczywiście rozdawanie pieniędzy wszystkim po drodze też jest wyborem i decyzją. Bo gdyby, dajmy na to, poszedł nie Puławską w prawo, a Puławską w lewo? A gdyby poszedł do Torunia? A gdyby wyszedł z domu pół godziny wcześniej albo pół godziny później? Albo jutro?

Jednak tkwię w bezlitosnej pułapce determinizmu, pomyślał.

Zastanowił się, czy wie, co te słowa oznaczają, bo w jego głowie słowa teraz oznaczały rzeczy, których nigdy nie oznaczały, i nie oznaczały rzeczy, które oznaczały zawsze. Ha! Zgubił się we własnych myślach, więc pchnął drzwi prowadzące do sklepu, a one ciężko się otworzyły z rozpaczliwym zgrzytem nigdy nieoliwionych zawiasów.

Stojąca w środku kolejka była zawinięta w potrójny ogonek, może nawet poczwórny, gdyż ciężko zorientować się w poplątanych zwojach. Pod samym sufitem migotało żółtawe światelko i w tym szarozółtym świetle wszystko zdawało się brudne i ohydne. Poza tym ludzie z kolejki śmierdzieli, a to nie była już wina światła, lecz wyczulonego powonienia pisarza Konrada Piotra, który rzadko zadawał się z ludźmi niemyjącymi się przez tydzień, dwa lub trzy. Zresztą być może w tym sklepie

przede wszystkim śmierdziało biedą. A smród biedy jest smrodem najstraszliwszym z możliwych i smrodu, który bije od człowieka biednego, nie sposób, po prostu nie sposób wytrzymać.

O ile prostszy, piękniejszy i bardziej cywilizowany byłby świat, gdyby zlikwidować ludzi biednych! Oczywiście uczynić to w sposób humanitarny i łagodny. Uśpić zastrzykami, udusić w komorach gazowych, w najgorszym wypadku potopić jak kocięta lub odparować w wybuchu jądrowym. Wydaje się bowiem, że pożałowania godne istnienie ludzi biednych służy tylko temu, by sprawiać kłopoty ludziom bogatym, a u słabszych spośród nich budzić nierozumne i nieuzasadnione wyrzuty sumienia.

Tymczasem bogactwa wstydzic się nie należy. Bogactwo pochodzi od Boga, dane zostało z Jego wyroków. Wstydzanie się więc darów otrzymanych od Pana zakrawałoby na bluźnierstwo. Oczywiście można czuć dyskomfort psychiczny, oglądając brzuchate dzieci z Afryki i Azji, ale to chyba nie powód, aby odmówić sobie następnej porcji kawioru?

Czy bowiem istnieje związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy kawiosem pisarza Konrada Piotra lub innych bogatych ludzi i nadmuchanym brzuchem dziecka z Somalii? O ile ten kraj w ogóle istnieje, co wcale nie jest pewne, gdyż być może został tylko wymyślony, aby obłupić bogatych ze skóry i wzbudzać w nich ciągłe wyrzuty sumienia oraz rozterki moralne.

Tak więc pisarz Konrad Piotr zaczął rozdawać pakiety z pieniędzmi, ale czynił to z niejakim obrzydzeniem, bo wyprowadziła go z równowagi reakcja tłumu. To ciśnienie się i skowyty, i jęczenie. I „nie dostałem jeszcze, jak Boga...”, i „gdzie, gdzie drugi raz, ty kurwo?”, i „łó Jezu, zgniotą!”, i „panie, panie on już wziął!”, i to ohydne ślinienie się oraz chytra wdzięczność w oczach. Człowiek normalny nie zniósłby tego tak łatwo, ale pisarz Konrad Piotr nie był już przecież normalnym człowiekiem.

Na szczęście te pożałowania godne sceny zostały przerwane przez policję, którą zawiadomił jakiś lojalny obywatel, słusznie rozumując, że rozdawanie pieniędzy nie jest rzeczą normalną, a więc prawdopodobnie działaniem antypaństwowym. Zresztą wykładnia tego, co jest antypaństwowe, a co nie, należała do załogi wozu patrolowego numer siedemnaście, która to załoga weszła do sklepu, torując sobie drogę celnymi uderzeniami i dźgnięciami elektrycznych pałek. Jednak tłum, rozumiejąc, że to zapewne ostatnie chwile rozdawnictwa, ani myślał ustąpić.

O, tak, biedni są rzeczywiście obrzydliwi, pomyślał pisarz Konrad Piotr.

W tym czasie on sam został otoczony, wyniesiony ze sklepu i wniesiony do metalowej budy starego i nieco zdezelowanego wozu policyjnego.

- Co je, kurwa? - zapytał oficer, gdyż był zaskoczony i tak naprawdę nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi.

Konrad Piotr bez słowa podał mu paszport i już był to gest wymowny, gdyż tylko wybrani mogli dysponować stałymi paszportami. Wtedy oficer spokorniał, widząc, że nie ma do czynienia z byle gnojkiem. A kiedy zajrzał do środka i odczytał nazwisko, zaczął dziękować Bogu, iż jego podwładni nie poturbowali tego człowieka ani nie przyszła im chętka, by wypróbować na nim działanie nowych pałek, świeżutko z japońskiego transportu. Dlatego też pisarz rychło opuścił metalową budę wozu patrolowego numer siedemnaście żegnany uniżeniem i z wdzięcznością, bo, rzecz jasna, rozdał pieniądze również policjantom. W końcu to też byli ludzie i tylko trochę inni niż reszta.

Po wizycie w sklepie zostały mu sto czterdzieści dwa pakiety, ale droga do rezydencji pana

Światłونيسienia była jeszcze długa, więc wiedział, że z pewnością nadarzy się okazja, aby pozbyć się reszty gotówki. Wydawałoby się to tak proste: rozdać majątek wśród biednego ludu. Ale pod koniec wędrówki Konrad Piotr został postawiony wobec nierozwiązanego i zapewne nierozwiązywalnego dylematu. W obliczu podobnego dylematu postawiono niegdyś, dawno temu, innego pisarza, może nieco mniej zdolnego i sławnego, choć to akurat nie gra tu żadnej roli. Pisarz ten w dobroci serca przywrócił właściwą pozycję pewnemu nieszczęsnemu żuczkwowi przewróconemu na grzbiet, gmerającemu bezsilnie nóżkami i skazanemu na zagładę, powolną śmierć w palących promieniach słońca. Szczęśliwy żuczek odmaszerował i wtedy pisarz spostrzegł następnego żuczka, również zagrożonego upieczeniem. Kiedy pomógł i jemu, zobaczył następnego i następnego, i jeszcze następnego, aż wreszcie zrozumiał, że cała plaża pełna jest przewróconych żuczków i nie wystarczyłoby życia, aby wszystkie uratować...

Ha, czyż to nie alegoria ludzkiej egzystencji? - pomyślał Konrad Piotr z właściwą sobie błyskotliwością. A teraz sam stanął przed wyborem, komu oddać ostatnie pakiety, gdyż potrzebujących, obrzydliwie skamłających i chciwie wpatrzonych było więcej niż gotówki. Potem, po dokonaniu złego wyboru, bo innych wyborów przecież nie ma, pisarz Konrad Piotr uciekł przed wściekłością i nienawiścią tłumu, ścigany przekleństwami oraz wyzwiskami.

Na szczęście znalazł się już blisko wzgórza, na szczycie którego wznosiła się okazała willa pana Światłونيسienia, a raczej zamek pana Światłونيسienia, strzeżony przez kamery, detektory ruchu, pola energetyczne i przez strażników z noktowizyjnymi, zintegrowanymi z karabinami wszczepami zamiast oczu.

- Pan Światłونيسień czeka - oznajmił barczysty mężczyzna w czarnym garniturze, który wyłonił się bezszelestnie z ciemności. - Proszę za mną.

Pisarz Konrad Piotr posłuchał bez słowa, nie zdziwiony nawet, że pan Światłونيسień czeka, choć nie byli przecież umówieni i nie miał powodu, by czekać.

Pokój, w którym zastali pana Światłونيسienia, był bardziej niż skromnie urządzone. Stało w nim jedynie ogromne wiśniowe biurko z lśniącym blatem, a na ścianie wisiała makatka przedstawiająca świętego Jerzego nakłuwającego smoka na długi szpikulec. Pod spodem ktoś flamastrem namazał niewyraźny gryzmoł, w którym pisarz Konrad Piotr rozpoznał słowa: „ha! ha!”. Pan Światłونيسień pracował, a do pracy nie potrzebował mu być niczego poza niewielką metaliczną przystawką przylepioną do skroni. Widząc gościa, uśmiechnął się pozbawionym uśmiechu uśmiechem i zdjął przystawkę.

- Witaj - powiedział serdecznym tonem. - Jakże się miewasz?
- Dziękuję - odparł Konrad Piotr. - Tak sobie.
- Kobieta, co? - Pan Światłونيسień mrugnął porozumiewawczo. - Ech, świat z nimi jest trudny do wytrzymania, ale jakież byłby bez nich?
- Coś o tym wiem - westchnął pisarz.
- Zniknęła... - raczej stwierdził, niż spytał, gospodarz. - Znajdzie się, znajdzie, spokojna głowa...
- Myśli pan? - Konrad Piotr podniósł wzrok z nadzieją. - Ja nie wiem... To chyba tylko było przywidzenie, ja sprawdzałem...

Pan Światłونيسień przerwał uniesieniem dłoni jego bezładne wyjaśnienia.

- Skoro pamiętasz, że była, to była - stwierdził stanowczo. - A skoro nadal jej chcesz, to wróci. Zresztą wiara przenosi góry, żeby użyć tego oklepanego zwrotu. Cóż innego, jak nie ona kształtuje świat? Wiara w lepsze jutro...

- Chciwość? - poddał Konrad Piotr. - Egoizm? Zawiść? Nienawiść? Pragnienie upokorzenia innych?

Pan Światłoniesień roześmiał się serdecznie.

- Oczywiście - rzekł. - Ale „wiara” brzmi lepiej. „Miłość” to też niezłe słowo. W końcu iluż ludzi wymordowano z powodu uczucia bezbrzeżnej oraz gorącej miłości do całego społeczeństwa?

*

Ścigały ich spojrzenia gości. Nie zdumione, rzecz jasna, ale rozbawione. Nawet ojciec się śmieje, pomyślała Ligia Kardupell, jednocześnie gorączkowo się zastanawiając, jak dać znak, że została porwana. Że oto na oczach setki gości, pod czujnym spojrzeniem kilkunastu ochroniarzy oraz kamer, szła, czując wciskającą się w bok lufę pistoletu. „Nie chciałabyś mieć w sobie setek plastikowych igiełek, prawda?“, „Nie będziesz starała się być sprytna, prawda?“ - w głowie łomotały słowa wypowiedziane przed momentem tym niesamowitym, zimnym, spokojnym głosem. Nie, nie chce mieć w środku igiełek; nie, nie będzie usiłowała być sprytna. Boże, żeby tylko chodziło o okup, chyba nie chcą zrobić jej krzywdy? Chyba nie chcą, chyba nie... Jasnowłosy gladiator lekko pogładził ją po ramieniu, jakby domyślając się jej niepokoju.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział niespodziewanie ciepłym głosem, a Ligia Kardupell kiwnęła głową, gdyż bardzo, ale to bardzo chciała mu wierzyć.

Chłopak w liberii podprowadził zgrabną białą limuzynę o ściętym dziobie i niewiarygodnie olbrzymiej rufie. Ligia Kardupell знаła ten model i wiedziała, że pod maską buzuje prawie tysiąc koni. Blondwłosa bestia uprzejmie otworzył drzwi i dziewczyna usiadła na skórzanym, mlecznobiałym siedzeniu. Przez chwilę kusiło ją, by szybkim ruchem przesiąść się na fotel kierowcy, ale nim zdążyła wykonać choć gest, gladiator znalazł się tuż przy niej, opierając jedną dłoń na kierownicy, a drugą trzymając nadal pod marynarką. Nacisnął pedał gazu i limuzyna z rykiem silnika wystrzeliła do przodu. Rezydencja zniknęła z lusterka niczym urwana klatka filmu. Ligia Kardupell oparła się wygodnie i poczuła, jak oparcie miękko dostosowuje się do kształtu jej ciała. Obciągnęła sukienkę na kolanach.

- Dokąd jedziemy? - zapytała, patrząc w okno.

- Do Warszawy - odpowiedział uprzejmie porywacz i odłożył pistolet na półeczkę.

Wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę, otworzył ją zgrabnym ruchem lewej dłoni i poczęstował pasażerkę. Ona z pewnym wahaniem wzięła w palce długiego, wąskiego papierosa ze złotym monogramem. Gladiator zaczął szukać zapalniczki, w końcu znalazł ją pod siedzeniem i błysnął ogniem. Ligię Kardupell uderzyła niestosowność tego taniutkiego chińskiego, koreańskiego czy tajlandzkiego urządzenia. Zapalniczka pochodziła z innej bajki, z innego świata, niż cudowny samochód, którym jechali. I nie wiedzieć czemu ten drobiazg rozdrażnił ją, a jednocześnie obudził irracjonalny, pierwotny lęk.

- Co ze mną zrobisz? - zapytała, zaciskając wargi.

- A co chcesz, żebym zrobił? - odpowiedział pytaniem, kierując w jej stronę spojrzenie bladoniebieskich oczu.

Ligia Kardupell odwróciła wzrok. Gdyby sytuacja była inna, dokładnie odpowiedziałaby, czego chce. A potem to zrobiła. Nie raz, z pewnością...

- Nie martw się - uśmiechnął się porywacz. - Jeszcze o tym nie wiesz i może trudno ci w to uwierzyć, ale zostaniemy przyjaciółmi. Bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Samochód nagle zwolnił i zatrzymał się na poboczu.

- Co się dzieje? - Ligia Kardupell wiedziała, że w jej głosie, mimo że starała się być opanowana, zawibrował strach.

Gładiator otworzył drzwi, wyszedł w noc, po czym uprzejmie wypuścił dziewczynę i podał jej dłoń. Odeszli od samochodu, zostawiając go w głębokiej ciemności. Po minucie, może dwóch stanęli przed wysłużonym, wyglądającym na co najmniej dwudziestoletni volkswagenem. Porywacz otworzył drzwi kluczykiem, sięgnął pod siedzenie i wyjął dużą plastikową torbę. Wyciągnął z niej poplamione dzinsy, wściekle zieloną bluzkę z bufiastymi rękawami i zniszczone sznurowane półbuty.

- Zakładaj - rozkazał.

Ligia Kardupell wzięła ubranie z jego rąk z trudnym do opanowania uczuciem obrzydzenia, ale wiedziała, że musi być posłuszna. Stawianie oporu może tylko rozdrażnić porywacza, a przecież zamierzała dojechać w jednym kawałku. Gdziekolwiek by jechali. Zauważyła, że przynajmniej nie patrzył, kiedy się przebierała, choć sam też był zajęty, gdyż pozbywał się kosztownego garnituru i miękkich jak marzenie półbutów, a wkładał staromodną, przetartą na rękawach marynarkę, szare bawełniane spodnie i szare adidas o rozkładanych podeszwach. Potem, kiedy Ligia Kardupell była już gotowa, zbliżył się i paroma ruchami dłoni zniszczył jej wypięszczoną fryzurę, mierzwiąc włosy w kołtun. Na początku sądziła, że chce ją uderzyć, więc zasłoniła się jak dziecko i krzyknęła. Ale gładiator poklepał ją uspokajająco po ramieniu.

- Bądź grzeczna, panienko - powiedział - a nie masz się czego obawiać. Nie zamierzam cię bić...

Delikatnie wyjął kolczyki z jej uszu i odpiął naszyjnik. Potem podał jej watkę i pudełko kremu.

- Zmyj makijaż - polecił, a sam spryskał ją jakimś ohydnie śmierdzącym dezodorantem, który dokładnie zabił wschodni, kadzidlany zapach kosztownych perfum.

Teraz dopiero Ligia Kardupell poczuła się naprawdę splugawiona. Już chyba wolałaby, żeby ją zgwałcił, z czego najprawdopodobniej udałoby się wycisnąć chociaż odrobinę ekscytującej zakazanej przyjemności. A on po prostu ubrał ją jak jakąś łachmaniarę!

Gładiator tymczasem obejrzał dokładnie Ligię w żółtym świetle samochodowej lampki.

- Teraz wyglądasz jak prawdziwa Polka - stwierdził, śmiejąc się, i popchnął ją lekko, aby wsiadła do wozu.

Ligia Kardupell posłusznie wślizgnęła się do środka. A tam było obrzydliwie. Z przepelnionej popielniczki wysypywały się pety, nasycając całe powietrze ohydny zapachem polskiego tytoniu. Na podłodze leżała brudna szmata z plamami po oleju i dwie czy trzy kule zmiętych papierów. Z tylnego siedzenia szczyrzyła się otwarta walizka pełna narzędzi. Wszędzie walały się butelki. Z szafki na radio zamiast radia wystawał rulon złożonych gazet.

Blond bestia usiadł i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik odpowiedział kilkoma gniewnymi pierdnięciami, lecz wreszcie zaskoczył. Volkswagen ruszył z donośnym zgrzytem skrzyni biegów. Jechali powoli, a Ligia Kardupell nie zobaczyła już na poboczu białej limuzyny. Do tej pory łudziła się jeszcze, że porwanie było spontanicznym wykorzystaniem nadarzającej się okazji. Teraz wiedziała jednak, że to ściśle zaplanowana robota.

- Kim ty właściwie jesteś? - spytała łagodnym tonem, bo pamiętała z filmów, że z porywaczem należy nawiązać jak najbardziej intymny kontakt psychiczny. Tak, by zaczął widzieć w ofercie drugiego człowieka, a nie tylko środek realizacji własnych celów. - Masz jakieś imię?

- Jakie imiona lubisz? Wybierz sobie któreś.

- Wstydzisz się? - Uśmiechnęła się najpiękniejszym uśmiechem, jaki mogła z siebie wykrzesać, i wiedziała, że on to zauważył.

- Ajaks - odparł po chwili. - Mam na imię Ajaks.

- Ładnie - powiedziała. - Ale czy musiałeś mnie porywać, chcąc być ze mną sam na sam? Nie wystarczyłoby zaproszenie na drinka? Czyżbyś - obniżyła głos zalotnie - był nieśmiały?

On przez chwilę nie odpowiadał, siłując się z opornym drażkiem zmiany biegów. Wreszcie piątka weszła z potępieńczym zgrzytem.

- Jestem twoją nadzieją na zrobienie czegoś dobrego dla tego kraju. - Uśmiechnął się jednym kącikiem ust. - Przejdziesz do historii, maleńka. Twoje imię będzie wspomniane przez przyszłe pokolenia. Staniesz się symbolem. Jak Joanna d'Arc na przykład...

- Oszalałeś! - Ligia Kardupell nie wytrzymała w postanowieniu bycia miłą, uległą i grzeczną. Wbiła w dzinsy długie, wściekle czerwone paznokcie. - Co ty, kurwa, knujesz, u diabła?!

Pogłaskał ją po włosach ruchem szybkim jak uderzenie kociej łapy.

- Czekają cię wielkie rzeczy - obiecał, a w jego głosie zabrzmiało coś na kształt ojcowskiej dumy. - Naprawdę wielkie.

Ligia Kardupell umilkła i odwróciła twarz w stronę szyby. Wiedziała już, że ma do czynienia z szaleńcem. Z bardzo dobrze zorganizowanym szaleńcem, trzeba przyznać. Zaczęła się zastanawiać, co w tym momencie na jej miejscu zrobiłaby bohaterka filmów akcji. Tak, przypominała sobie teraz, jak w „Szaleństwie” porwana przez dwóch muslimów Katarzyna Bernard zabiła bardziej zawziętego zręcznym dźgnięciem długiej szpilki do włosów, której ostrze poprzez źrenicę dotarło do mózgu. Drugiego z porywaczy nawróciła natomiast na wiarę Chrystusową. Film kończył się olśniewającą sceną ślubu i łzami w oczach arcybiskupa. Boże mój, ale to nie jest niestety film, pomyślała. Nie będzie ani dźgnięcia szpilką do włosów, ani księżych łez.

- Jeżeli mnie skrzywdzisz - ostrzegła złym głosem - mój ojciec znajdzie cię na końcu świata.

Gladiator zapalił papierosa, tym razem nie częstując Ligii. Po chwili, gdy śmierdzący dym wypełnił wnętrze, dziewczyna wiedziała, dlaczego tego nie zrobił. I chcąc nie chcąc była pod wrażeniem tej delikatności. Chociaż, szczerze mówiąc, sam mógłby również nie zapalać tego syfu.

- My przecież żyjemy na końcu świata - powiedział z jakimś nieoczekiwanym smutkiem w głosie i zaciągnął się głęboko.

Potem włączył wycieraczki, bo właśnie zaczął padać drobny, rzadki i jak zwykle rudy deszcz.

Rozdział piąty

To piękne - Ligia Kardupell patrzyła z podziwem i rozmarzeniem na swe odbicie w lustrze. Była ubrana w różową, cienką jak mgła sukienkę i pantofle na niewiarygodnie wręcz wysokich obcasach. Przegub prawej dłoni oplatała masywna różowo-jasnoniebieska bransoletka, w uszach wisały długie kolczyki tego samego koloru.

- Piękne - powtórzyła i okręciła się jak modelka, z zachwytem obserwując różową mgłę unoszącą się wokół szczupłych nóg.

- Czuję się zaszczycony - odparł blond bestia, leniwie popijając szampana.

Oparty na poduchach w łóżku wielkim niczym masyw lodowca uważnie obserwował dziewczynę. Ligia Kardupell lekkim ruchem uwolniła uszy z kolczyków, ściągnęła przez głowę sukienkę, a pod spodem była cudownie, smagle, polinezyjsko naga, po czym w samych butach wskoczyła do łóżka, wpadła w objęcia gladiatora, rozlewając przy tym szampana.

- Podoba ci się? - wyszeptał i pogładził ją delikatnie koniuszkami palców po wewnętrznej stronie ud.

- Ty mi się podobasz. - Ligia Kardupell wtuliła się w jego ramię. - Skąd zdobyłeś tę suknię?

- Wczorajszy pokaz u Pierrontiego - odpowiedział Ajaks. - Wczoraj w Rzymie, dzisiaj w Warszawie. Żyjemy w Europie bez granic, nieprawdaż?

Wczoraj rzeczywiście był pokaz u mistrza Pierrontiego. I rzeczywiście prezentowano na nim taką suknię, pantofle, kolczyki, bransolety. Jednak ta konkretna sukienka, te kolczyki i bransoletka, które leżały pod lustrem, oraz pantofle, których obcasy wbijały się w tym momencie w jedwabistą skórę Ajaksa, zostawiając na ciele dwa odciski, te właśnie nigdy nie widziały Pierrontiego oraz jego modelek. Widziały natomiast wiele innych ciekawych rzeczy, przy których łózkowe przewalanki-przepychanki i wsadzanki-wyjmowanki były tak niewiarygodnie trywialne, że obojętne szpilki zsunęły się ze stóp Ligii i ukryły w rozbebeszonej pościeli. One wiedziały, że przyjdzie ich czas. Czas szpilek. Czas bransolety. Czas kolczyków. Aha, czas naszyjnika również. Ale nad nim pracowali jeszcze mistrzowie od biżuterii.

Na razie był czas Ligii Kardupell i jej niekończących się głośnych orgazmów. Jej zasnuwającej świadomość rozkoszy wznoszącej się niczym szczyty Himalajów, a potem wyżej i wyżej, w niebo i przez chmury, przez słońce i próżnię, i gwiazdy. Ligia Kardupell leciała bez tchu w upojną, uroczną ciemność, tam, gdzie zza mgławic uśmiechał się dobrotliwy Bóg. A kiedy dostrzegła twarz Boga zza srebrnej mgły, wybuchła krzykiem, takim jak nigdy dotąd, gdyż wydawało jej się, że za chwilę umrze z rozkoszy. Wiedziała, że raz jeden w życiu zdarza się taki krzyk, i rozumiała jednocześnie, że umrze, jeśli znów za chwilę nie wzniesie się do samego słońca. Potem opadała w ciepłe głębiny szmaragdowych mórz, dawała się nieść falom, rodziła się z piany, smakowała cierpki jabłkowy miąższ, a wreszcie roztopiała się, ginęła, wpadała w niosący ukojenie ogień. I zaraz sama stawała się ogniem, wtulając się w drugi płomień, co buchał żarem ze środka ziemi tuż obok niej...

Kiedy już skończyli, otarła pot z jego czoła, otarła pot ze swojego czoła i zaczęła palcami wodzić po jego kręgosłupie.

- O kurwa! - westchnęła. - W życiu nikt mnie tak nie wyjebał. Chyba się w tobie zakocham...

- Chyba? - zapytał Ajaks ze śmiechem.

Ligia Kardupell nagle spoważniała. Wulgarnymi słowami chciała przecież odsunąć od siebie te niezwykle myśli, które oplątały ją i opętały, kiedy wznosiła się do nieba pod ciałem blond gladiatora. Ale tych myśli nie dało się odepchnąć.

- Kocham cię - powiedziała po raz pierwszy w życiu, a tak naturalnie, jakby znali się od dawna, od pokoleń, wieków, eonów.

- Ja też cię kocham - odparł Ajaks. - Zawsze będę cię kochał.

Ligia Kardupell poczuła przejmującą, lękliwą słodycz pod sercem i już znowu była gotowa, otwarta niczym koncha pacyficznej muszli, i on też był gotowy. Najpierw palce pianisty zagrały nieziemską melodię jej krzyku, a potem usta, które zamiast pić, napełniły ją i nasączyły słodkim eliksirem aż do granic bólu i rozkoszy.

- Kocham cię - powtórzyła i przymknęła oczy.

Dzięki temu nie mogła dostrzec jego oczu, zimnych jak arktyczne śniegi, czujnych, uważnych i oceniających. Nie mogła też dostrzec ludzi, którzy zza lustra przyglądali się całej scenie z pobłażliwymi uśmiechami na ustach.

*

Senator Kardupell obudził się świeży, wypoczęty i niewiarygodnie szczęśliwy. Ale tak było zawsze po transfuzji, wspomaganium farmaceutycznym i subtelnej dawce metakokainy z hydrostaminą. Kiedy pożegnał już gości, lekarze delikatnie go uspili i ohydną krew, na wskroś przesiąkniętą cząsteczkami C_2H_5OH , zamienili na nową, świeżuteńką *aqua vitae*, życiodajną, krążącą sobie teraz wesolutko w żyłach. Przepłukali też do czysta żołądek i podali niewielkie, ale dające się odczuć dawki narkotyków.

Ach, kurwa, dobrze być bogatym, pomyślał senator Kardupell i poderwał się z łóżka radośnie i dziarsko niczym gotowy do śpiewu skowronek.

Wczorajsze przyjęcie się udało. Zresztą udać się musiało i byli wszyscy. Wszyscy, którzy się liczyli. No, oprócz tego biednego Konrada Piotra. A propos, pomyślał senator, trzeba odwiedzić nieszczęsnego zawałowca, pocieszyć jakąś butelczyną złocistego, zdębubeczkirodzonego starego koniaczku, bo znając klinikę, nie dadzą mu nawet kropelki błogosławionego eliksiru. Aha, nie było też Lepkiego. Ten rozgrywa swoją grę z opozycją. Niech próbuje, prawdopodobnie gównu mu z tego wyjdzie. Czy nie rozumie, że Suwałki zmieniają wszystko? Że ejakulacja ropy zapłodni Przenajświętszą na wiele dziesiątków lat? Kto stanie przeciw rządzącym, kiedy sypną wokół złotem? Zapewnią wszystkim dobrobyt?

Senator Kardupell nie pamiętał tych czasów, jednak wiedział, jak wyglądały Kuwejt czy Arabia Saudyjska, nim odkryto w nich ropę. Biedne pasterskie państewka, pełne jakichś pieprzonych książątek, których cały majątek składał się z kilku wielbłądów (traktowanych zamiennie z żonami) i niezmiernych mórz piachu. A za całą radość życia pieprzenie śmierdzących wielbłądzą skórą i nigdy niemyjących się niewolnic oraz ciągłe walki klanowe. A teraz? No, teraz może było gorzej, bo kranik już tylko ciurkał, a nie jak dotąd tryskał obfitą strugą.

Teraz pierwsza będzie Przenajświętsza. I za ten sukces społeczeństwo wybaczy wszystko choćby samemu diabłu. Lecz jeżeli Lepki tego nie rozumiał, był sam sobie winien i senator Kardupell nie zamierzał prostować jego dróg. Zwłaszcza że Lepki, dotąd niedoceniony, wyśmiewany z powodu swojego szybkiego spustu, niewiedzący, że wszyscy znają jego kłopoty z kutasem, ten właśnie Lepki rośnie, urósł już może na przywódcę reformatorów. Oczywiście, to tylko tacy malowani, pozał się

Boże reformatorzy. Jednak wystarczy tupnąć nogą, a zmienia się w ortodoksów. Ale na razie nikt nie tupnie. Na razie. Lecz jeżeli nadejdzie czas tupania, senator Kardupell tupnie pierwszy. I wtedy, Boże, miej w opiece posła Lepkiego.

Oczywiście wszystko będzie wyglądać inaczej, jeśli władzę nad Suwalszczyzną przejmą teksańskie spółki i powstanie tam strefa ekologiczna. Ale w tym wypadku senator Kardupell również był lepiej niż zabezpieczony. I coraz bardziej przychylił się do myśli, by zagrać właśnie teksańską kartą.

Nieładnie wczoraj zachowała się Ligia, senator Kardupell pomyślał o córce z lekką niechęcią. Niezłe ziółko, pieprzy się lepiej niż jej matka za młodych lat. Nie należało publicznie kompromitować Kasi Bernard, chociaż Szwarcglut znalazł jej pocieszyciela.

Senator Kardupell nie miał żadnych ciągót do przedstawicieli swojej płci, ale musiał przyznać, że niektórzy chłopcy Szwarcgluta byli po prostu niesamowici. Te bicepsy, płaskie brzuchy, bary, jędrne pośladki, twarze jakby rzeźbione w antycznej Grecji. Senator Kardupell jako esteta nie mógł po prostu nie podziwiać (w dodatku z zazdrością) tych niewiarygodnych ciał. Zawsze wtedy z niesmakiem, żalem i wyrzutem myślał o swoim pofałdowanym brzuchu, za krótkich nogach, wielu podbródkach i oczach przypominających obrane ze skorupki jajka. Jasne, można było udać się do Szanghaju czy Tokio i skorzystać z usług którejś z sympatycznych klinik, jednak senator Kardupell żywił nieuzasadnioną niczym, lecz silną niechęć do głębokiej narkozy oraz chirurgicznych ingerencji. Nawet przy wysokim poziomie japońskiej, chińskiej czy teksańskiej medycyny takie zabiegi niosły ze sobą pewne niebezpieczeństwo.

Zresztą mimo swego wyglądu mógł przecież mieć każdą kobietę, którą zechciał. Dokładnie każdą. Taka jest siła pieniędzy oraz władzy. Myślał tylko z niepokojem, co będzie, gdy posłuszny dotąd, oddany i pełen inicjatywy podbrzuszy sługa odmówi w końcu pacierz i przyjmie ostatnie namaszczenie. Trzeba przyznać, że wtedy świat straci wiele ze swego uroku...

Rozległo się pukanie i uchyliły się drzwi. Stała w nich ulubienica senatora Kardupella. Jak zwykle była ubrana w nienaganny granatowy mundurek pokojówki. Blond włosy skromnie zgarnięte pod czepeczek. Miły, figlarny, ale jednocześnie pełen szacunku uśmiech, te białe zębki jak perełki, usteczka jak maliny, policzki niczym krew i mleko. Senator Kardupell nie mógł powstrzymać się od mlaśnięcia.

- Kąpiel gotowa, panie senatorze - powiedziała i wysunęła koniuszek różowego języczka, oblizując powolnym, wystudiowanym ruchem nieskażone szminką usta.

- Świetnie! - Uśmiechnął się szeroko. - Zawołaj jeszcze, kotku, Małgosię i Bożenkę, pofiglujemy w baseniku.

- Oczywiście, panie senatorze - odparła z entuzjazmem godnym wysokości jej pensji. - Podziwiam, skąd pan senator bierze na to wszystko siły...

Senator Kardupell roześmiał się radośnie. Przypomniawszy sobie, że wieczorem jest zaproszony na bankiet w ministerstwie. To zresztą było tylko preludium przed wielkim przyjęciem w Pałacu Prezydenckim, które miało się odbyć za dwa dni. Wielkie przyjęcie okaże się na pewno jak zwykle sztywną oficjalną imprezką, na której jednak trzeba być, gdyż obecni będą wszyscy ważniejsi rodzimi notable oraz przedstawiciele dyplomatyczni. No, może lepiej powiedzieć: prawie wszyscy notable, gdyż ambasada japońska w tym samym czasie organizowała uroczystą kolację, na którą senator

również otrzymał zaproszenie. Wyznaczenie terminu kolacji tak, by zbiegał się z terminem prezydenckiego bankietu, było wielką i niezwykłą dla Japończyków gafą. Kardupell wiedział jednak, że pewni ludzie się tam pojawią - ci, którzy związali swoją przyszłość z japońskim rządem i japońskimi koncernami lub też byli zdecydowani na to, by podobny krok uczynić. Westchnął głęboko i pomyślał, że figlowanie w basenie ograniczy do jakiejś godziny, góra dwóch. Trzeba dobrze wyglądać na wieczór, a potem seans będzie można powtórzyć. Bo Kasia, Małgosia i Bożenka nigdzie przecież nie uciekną...

Amalryk Dymała siedział głęboko wstrząśnięty. Co za dni, co za dni, jak ze złego snu, Boże ty mój, w dupę. Położył dłonie na blacie i zobaczył, że drżą mu palce. Co teraz należy zrobić? Zlekceważyć ten wybryk? Wezwać policję? A niech to jasny szlag!

- Kawę - zawołał w interkom. - I papierosa - dodał zaraz, bo poczuł, że po raz pierwszy od wielu lat musi się sztachnąć.

Nic, nic, nic, trzeba skupić się na tym, co tu i teraz. Trzeba coś zacząć robić. Coś ważnego. Spróbuje połączyć się z kancelarią księdza biskupa, chociaż wiedział, że nie jest to rzecz prosta. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ksiądz biskup nie miał czasu dla byle kogo i niełatwo przedrzeć się przez grono cerberów pilnujących dniem i nocą spokoju Jego Ekscelencji. Lecz sprawy zaszły zbyt daleko, aby Amalryk Dymała mógł pozwolić sobie na beczynne oczekiwanie. Teraz zwycięstwo mógł osiągnąć tylko poprzez działanie. Działanie bezwzględne, bezkompromisowe, ale również ostrożne.

Mój Boże, pomyślał, jak daleko zaszły sprawy, jak nieodwołalnie pewne rzeczy nastąpiły, jak nie da się już niczego cofnąć, a tylko można coraz głębiej i dalej brnąć, licząc naiwnie, że bagno cię nie wciągnie. Choć to wiara bez uzasadnienia. Czy trybik może wygrać z machiną? A raczej czy jest w stanie się nią posłużyć? I jeszcze ten dzisiejszy poranek. Jakże pechowo i niefortunnie się zaczął. Czy traktować to jako zły omen? Czy wszystkie te niefortunne zajścia, począwszy od awarii samochodu, poprzez spotkanie człowieka z Bractwa Metylowego, a skończywszy na żydożernym szaleńcu, nie są ostrzeżeniem i przestrogą? Co robić w takim razie? Czekać beczynnie i naiwnie, licząc na to, że nie zostanie się zaatakowanym, że proboszcz zapomni lub okaże litość? O, nie, trzeba rozpocząć walkę! Nie wolno się poddać bez chociażby próby ocalenia skóry. A może wszystko obróci się jeszcze we właściwym kierunku?

A więc niech się stanie, co się ma stać! Amalryk Dymała odetchnął głęboko i przymrużył oczy, modląc się przez chwilę. Modlił się, sam nie wiedząc do kogo, bo z pewnością nie do tego Boga, który mieszkał w kościele u proboszcza i miał się tam dobrze. Potem wystukał numer, numer szacowny i czcigodny, rzadko przez małuczki używany, a jeśli już używany, to z drżeniem serca i bojaźnią, z jaką wszak należy podchodzić do numeru, który łączy z ludźmi szczególnie bliskimi Panu Bogu. Tak więc wystukał ten numer i posłusznie czekał, aż ktoś po drugiej stronie podniesie słuchawkę. No i wreszcie ktoś podniósł.

- Kancelaria - dobiegł ze słuchawki kobiecy głos.

Głos władczy i pewny siebie. Nie musiał ten głos zawiadamiać, jaka to kancelaria, ani informować, że słucha. Skoro ktoś tu się już dodzwonił, powinien wiedzieć, z jaką to kancelarią ma do czynienia. I mieć nadzieję, że zostanie wysłuchany. Albo i nie.

- Amalryk Dymała, ochotniczy pomocnik Kościoła, osiedle Stegny...

- Co wy tam mruczycie? Głośniej, głośniej! Wcale nie mruczałem, pomyślał spanikowany Amalryk Dymała.

- Amalryk Dymała, ochotniczy pomocnik Kościoła, osiedle Stegny, z prośbą o posłuchanie u Jego Ekscelencji księdza biskupa - niemal wykrzyczał.

- Czy wyście tam poszaleli na tych Stegnach? - nieprzyjemnie zdziwił się głos w słuchawce. - Biskup zajęty. Zapiszcie się normalnie, bracie, do kolejki, a za trzy miesiące dostaniecie odpowiedź. I jak prośba okaże się uzasadniona, to biskup was przyjmie najdalej za pół roku.

- To sprawa niezwyklej wagi - żarliwie zapewnił. - Proszę mi wierzyć: moja parafia jest zagrożona...

- Dajcież wy mi święty spokój! Wiecie, ile ja takich telefonów mam codziennie? No a co to za sprawa?

- Proszę wybaczyć, ale nie przez telefon i tylko Jego Ekscelencja może...

- No to zapiszcie się jak inni, jak się tam nazywacie, mówiliście?

Amalryk Dymała wiedział, że musi sforsować ten mur. Sforsować za wszelką cenę, bo już niedługo może być po wszystkim i za pół roku audiencja będzie mu potrzebna jak umarłemu kadzidło.

- Dobrze, siostró - powiedział, starając się, by głos jego miał brzmienie poważne, a może nawet groźne. - Ale jak się coś stanie, to będę pamiętał, aby przypomnieć biskupowi, kto mnie do niego nie dopuścił. Wiecie przecież, że ta rozmowa jest rejestrowana?

Kobiecie po drugiej stronie najwyraźniej odebrało głos. Cisza w słuchawce przedłużała się. Amalryk Dymała był pewien, iż siostra asystentka nerwowo zastanawiała się, czy to aby nie jakiś test, a jeśli tak, to gdzie ukryto prawidłowe rozwiązanie. Jak dobrze, że ci na górze również się boją.

- Skoro tak stawiacie sprawę, bracie - ze słuchawki zawiało arktycznym chłodem - to dobrze: bądźcie jutro o jedenastej. Ale radzę wam, żeby sprawa była naprawdę ważna. Będziecie mieli dziesięć minut, żeby wytłumaczyć Jego Ekscelencji swoje zachowanie.

- Dziękuję, siostró, bardzo dziękuję. Ksiądz biskup z pewnością siostry nie zgani.

- Mnie nie - mocno zaakcentowała kobieta z kancelarii i rozłączyła się.

Amalryk Dymała powoli odłożył słuchawkę i odetchnął z ulgą. Choć zbyt wczesna to ulga, jednak pierwszy krok został zrobiony. Na drodze, co poprowadzi na dobre lub złe. Znowu przypomniał mu się metylowy dziadek i jego słowa: „dawno już nie słyszałem o tak prostym zleceniu”.

Kłopoty, kłopoty... Boże mój, to wszystko mistyka, wszystko zabobony, bajdy rozsiewane przez ciemny lud, plotki i wroga propaganda. Komu bowiem może zależeć na stworzeniu historii mówiącej o Bractwie Metylowym, o ludziach, co widzą, a nawet tworzą przyszłość, o ludziach, co potrafią czynić takie cuda, że sam Episkopat drży przed ich mocą? Głupstwa! Kretynstwa! Idiotyzmy! Kogo się tu bać? Proboszcza należy się bać, biskupa należy się bać, policji należy się bać, a nie jakiegoś szmatławego dziadygi, który plecie trzy po trzy, bo alkohol wypalił mu już mózg.

Amalryk Dymała tak właśnie pasował się ze swoimi strachem i słabością, tak próbował przekonać sam siebie i natchnąć odwagą. Ale mimo wszystko ciągle doskonale pamiętał wzrok metylowego dziadka, spojrzenie jasne, surowe i przewiercające duszę. Pamiętał też własne strach

oraz słabość, a ich wspomnienie tylko pogłębiało obawy. I kiedy tak siedział pogrążony w smutnych i lękliwych rozważaniach, drzwi się otworzyły i do pokoju weszła sekretarka, chyba jeszcze mniej atrakcyjnie wyglądająca niż zwykle.

- Kawa i papieros, jak brat sobie życzył.

- Ach, tak - przypomniał sobie Amalryk Dymała i wciągnął w nozdrza miły, aromatyczny zapach. Od pierwszego niucha czuć, że to prawdziwa kawa, chińska czy teksańska, czy gdzie się tam jeszcze uprawia kawę. - Nie spieszyła się siostra - dodał z naganą w głosie, bo niech podwładna zna mores. A poza tym brzydka jest jak sen jehowity i nie ma co jej oszczędzać. - I niech siostra tego papierosa zabierze - rozkazał, bo odechciało mu się palić.

- Myślałam, że brat...

- To niech siostra tyle nie myśli - przerwał jej ostro. - Coś jeszcze? - zapytał, gdyż nie odchodziła.

- Czekają w korytarzu. Czy mam zacząć wpuszczać?

- Niech oni przejmą. - Mówiąc „oni”, miał na myśli swoich zastępców.

- Oczywiście, bracie. Tylko tam jedna taka koniecznie chce do brata. - Amalryk Dymała usłyszał w głosie sekretarki wyraźną niechęć. - Rzeczywiście zapisana wcześniej na wizytę.

Ta niechęć pobudziła ciekawość Amalryka Dymały.

- Dawać ją tu - zdecydował.

Sekretarka wyszła i po chwili wprowadziła do pokoju młodą kobietę.

- Liliana Maier - przedstawiła.

Amalryk Dymała domyślił się już, czemu można zawdzięczać niechęć wyraźnie przebijającą przez ton głosu sekretarki. To normalne uczucie u kobiety starej i brzydkiej, kiedy widzi kobietę piękną i młodą. A Liliana Maier była naprawdę piękna. Stokroć ładniejsza niż zabronione dziewczęta z bezwstydnymi kolorowymi pism, stokroć ładniejsza niż dziewczęta z rozjęczanych filmów. Była tak piękna, że dopiero patrząc na nią, można było najwyraźniej na świetle dostrzec brzydotę lub zwyczajność innych ludzi.

Oto kobieta, za którą warto dać duszę, pomyślał zauroczony Amalryk Dymała, wpatrując się w jej oczy. Szkoda tylko, że minęły czasy, kiedy diabeł przychodził do ludzi z propozycją podpisania cyrografu. Zwłaszcza że najczęściej zdobywa te dusze i tak, bez zbędnych korowodów oraz ceregieli. A już na pewno nie zechciałby towaru tak lichego jak dusza Amalryka Dymały w zamian za dziewczynę mogącą być natchnieniem poetów.

Zamyślenie-zauroczenie Amalryka Dymały trwało chyba dość długo, ale Liliana stała przed biurkiem spokojnie i uśmiechała się łagodnym uśmiechem Madonny.

- Proszę, niech pani siada. - Amalryk Dymała zbudził się w końcu ze snu o diable, miłości i lichym towarze.

Wstał, uprzejmym gestem wskazał krzesło, a wewnątrz coś skowyczało w nim z rozpaczą i zazdrością.

- Dziękuję bardzo. - Głos też miała piękny, a uśmiech porywający.

- W czym mogę pani pomóc? - Amalrykowi Dymale jego własny głos wydał się chropawy, prymitywny i prostacki, a każde wypowiedane słowo tak wulgarnie zwyczajne.

I przypomniał sobie nazwisko oraz twarz kobiety. Ależ tak, to ona! Ona, której numer identyfikacyjny wstukał na chybił trafił w komputerze, kiedy pierwszy raz zasiadł w nowym gabinecie. Zdjęcie nie oddawało nawet ułamka jej rzeczywistego wdzięku. Na nim była, owszem, piękna, ale poważna. Tu i teraz była królową lata i wiosny. Perłą, przez którą przebłyskiwały promienie wschodzącego słońca.

Amalryk Dymała zapamiętał świetnie, co o niej przeczytał. Że ma dwadzieścia parę lat, męża i trójkę dzieci, że należy do zarządu Służebnic Słowa Bożego, że jest członkinią Zgromadzenia Samarytanek, że nie opuściła żadnej mszy ani pielgrzymki. oraz że ceniono ją na tyle, iż otrzymała własne dwupokojowe mieszkanie, a to było wszak zdumiewające w tych ciężkich czasach. Tak, było naprawdę zdumiewające i aż niepokojące. Czyżby tę piękną dziewczynę chędożył jakiś stary, tłusty ksiądz albo radny? Ale czy w takim razie w ogóle przychodziłaby tutaj i czekała w kolejce jak setki innych, jak cała ta spragniona posłuchania hołota? Nie, z pewnością nie!

Amalryk Dymała poczuł bezrozumne i irracjonalne ukłucie zazdrości. Nie chciałby, aby ktoś dotykał tę dziewczynę, aby ktoś ją obejmował czy całował, a broń Boże, by był to naładowany szmałem, spuchnięty od władzy dostojnik. Co prawda i Samarytanki, i Służebnice były poddawane cokuwartalnej ścisłej kontroli dziewictwa, ale jeśli się miało układy, wiadomo, że wszystko było do przeskoczenia. Zresztą Liliana wedle zapisów była mężatką, a więc trudno było od niej oczekiwać zachowania dziewictwa.

- Tak, tak, więc w czym mogę pani pomóc? - zapytał raz jeszcze.

Kiedy się zbliżyła i nachyliła nad biurkiem, nozdrzy Amalryka Dymały dobiegł słodki, upajający zapach. Tak musiało pachnieć w raju.

- Mam kłopoty, bracie - powiedziała.

- Jestem tu, by pomagać ludziom w kłopotach - ucieszył się nieszczerze, bo zaczął węszyć kłopoty dla samego siebie.

Liliana Maier otworzyła torebkę, wyjęła z niej srebrnego koloru papierośnicę (być może srebrną, któż to wie?), a z papierośnicy długiego, cienkiego papierosa. Spokojnie czekała z papierosem w palcach, aż Amalryk Dymała odnajdzie po gorączkowych poszukiwaniach zapalniczkę. Potem zaciągnęła się głęboko i wydmuchnęła dym pod sufit.

- Będę bardzo szczerą, bracie - stwierdziła, a Amalryk Dymała teraz dopiero zauważył, że jej oczy są zimne, spokojne i taksujące. - Miałam kogoś bliskiego, a raczej mam kogoś bliskiego, kogoś postawionego nie najniżej w hierarchii władzy. Ten ktoś przeżywa w tej chwili drobne kłopoty spowodowane pewnymi zawirowaniami na najwyższych szczeblach. Moi wrogowie próbują to wykorzystać i sądzę, że pomogą mi rozstać się z mieszkaniem, może nawet spowodują eksmisję, kto wie czy nie w okolicy powszechnie nie lubiane. - Uśmiechnęła się lekko i Amalryk Dymała wiedział, że mówiła o Śląsku. - Mój bliski z pewnością odzyska niebawem dawną pozycję, ale teraz nie jest w stanie mi pomóc, a później może być za późno dla mnie samej. Potrzebuję parasola i jeśli brat go nade mną roztoczy, to może się spodziewać nieliczej nagrody.

A jak wszystko potoczy się nie po jej myśli, to nieliczych problemów - dopowiedział sobie w myślach Amalryk Dymała. Przede wszystkim jednak zastanawiał się, co tu jest naprawdę grane. Czy

to aby nie prowokacja? Czy ktoś z władz nie przysłał tej ślicznej, uroczej dziewczyny, żeby sprawdzić jego wierność oraz lojalność? Ale mimo strachu wiedział, że postara się zrobić wszystko, by jej pomóc.

- Kim są, khem - odchrząknął, bo zaschło mu w gardle - pani wrogowie?

- Czytał brat moje dossier?

- Słucham? - Przez chwilę czuł się zagubiony. - A, tak, tak, czytałem.

- Nigdy nie byłam na żadnym spotkaniu Służebnic, nigdy nie byłam na żadnym spotkaniu Samarytanek. Nie mam ani męża, ani tym bardziej trójki dzieci. To wszystko bujda, no i teraz one chcą wykorzystać sytuację. Dać moje mieszkanie jednej ze swoich siostrzyczek.

- A więc to tak - stwierdził głucho Amalryk Dymała, wiedząc już, że człowiek, który zmusił Samarytanki do złożenia fałszywych oświadczeń i przez to dokonania fałszywych wpisów w centralnej kartotece, nie mógł być byle kim.

- Właśnie tak. - Liliana założyła nogę na nogę i zmiażdżyła w popielniczce wypalonego do połowy papierosa.

- Co ja mogę? - Amalryk Dymała chyba jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie żałował, że nie jest kimś potężnym. - Dlaczego nie poszła pani wyżej? Może miasto, czy ja wiem... - Popatrzył na nią i nagle domyślił się, że ona była zapewne wszędzie, gdzie mogła, i najprawdopodobniej nie wpuszczono jej nawet do gabinetów.

Wiedział również, że właśnie popełnił przestępstwo, nie wzywając policji po pierwszych jej słowach. Dyskretnie przekazana propozycja łąpówki to małe piwo. Stał się w tej chwili współnikiem przestępstwa polegającego na sfałszowaniu danych w centralnej kartotece, a to nie jest jakieś pokątne pierdolenie na melinie, na które można machnąć ręką i które można wybaczyć. To zbrodnia przeciw Kościołowi i państwu.

Kłopoty, pomyślał Amalryk Dymała, oto są właśnie kłopoty.

Wiedział, że nie znajdzie w sobie siły, by wezwać policję, choć przecież może to być prowokacja, bo dziewczyna nadaje się na prowokatorkę jak mało kto. Ale, zaraz, zaraz, zawsze może się tłumaczyć, iż nie chciał spłoszyć kryminalistki i udając dobrego wujka, zdecydował się wyciągnąć od niej jak najwięcej informacji. O, właśnie, ucieszył się w myślach, w razie czego tej wersji będę się trzymał!

- Znam siostrę przełożoną Służebnic - powiedział wolno. - I znam również przewodniczącą osiedlowego koła Samarytanek. Zobaczę, co się da zrobić, no spróbuję, ale wie pani, nic nie wiadomo. Z osiedlem może sobie poradzę, jeśli jednak to jest gdzieś wyżej... - Wzruszył bezradnie ramionami.

- Dasz sobie radę - stwierdziła z jakąś dziecięcą ufnością, a w jej przejściu na „ty” była doza nieoczekiwanej czułości.

Zresztą być może tak się tylko wydawało Amalrykowi Dymale, może chciał po prostu wierzyć w czyjaś czułość i w świat, gdzie słowa takie jak przyjaźń, wierność i zaufanie nie utraciły znaczenia lub nie zostały definitywnie zapomniane. W Przenajświętszej odrzucono je jako zbędny balast. Bez nich łatwiej egzystować. Tak już po prostu być musi. Czym rozsierdził się Pana aż tak bardzo, że

zabrał nam nawet najpiękniejsze słowa? - zadał sobie w myślach pytanie Amalryk Dymała. A może nigdy nam ich nie zabierał? Może po prostu nigdy ich nie miał w swoim słowniku? Może całe nasze życie jest tylko zakładem Boga z Tym Drugim? A zakłady Pana są kosztowne, najlepiej przekonał się o tym nieszczęsny Hiob. Tak jak i poczucie humoru Pana, o czym zaświadczyć może Izaak, który zapewne nigdy nie zapomniał widoku swego tatusia Abrahama pragnącego złożyć go w ofierze. I w zasadzie nic się nie stało poza tym, że Izaak zawsze się już jąkał, a kiedy widział Abrahama, moczył się ze strachu.

A może Bóg już po prostu nic nie jest w stanie zdziałać? Może patrzy na nas jak zrozpaczony strażak oglądający dopalające się zgliszczą domu? Pozbawiony gaśnicy, cysterny z wodą i odważnych pomocników? A może go wcale nie ma? Może umarł tam, na krzyżu, wyszydzony i storturowany, a zmartwychwstanie było jedną wielką bujdą? I teraz, kto chce, ten może mówić w Jego imieniu, gdyż nie da się tego w żaden sposób skontrolować ani sprawdzić.

- Prawda, że dasz sobie radę? - Głos Liliany wytrącił Amalryka Dymała z rozmyślań.

Z rozmyślań, które przepłynęły przez umysł jak wartki strumień, nie wiadomo skąd i nie wiadomo dokąd płynący. Przeraził się niewypowiedzianych myśli, które przed chwilą kotłowały się w jego głowie. Nie do końca je nawet rozumiał. Może ona, Liliana, jest prowokatką? A może nie jest? To w sumie nie grało tak wielkiej roli. Istotny był sam akt zawierzenia drugiej osobie, bo czy ważne, czy człowiek skończy na Śląsku za rok, za dwa, za dziesięć lub teraz?

W tym momencie Amalryk Dymała zdał sobie sprawę z przerażającą jasnością, że nie uniknie złapania oraz kary. Że nie uniknie wygnania. Że to się już kiedyś zdarzyło... Że był kimś lub czymś... Otrząsnął się. Powrócił do świata gabinetu, biurka i siedzącej na krześle Liliany. Był blisko, o krok, od... czegoś. Wiedział jednak, że jeszcze nadejdzie czas, kiedy wszystko się wyjaśni.

- Tak, dam sobie radę - obiecał trochę zmęczony i trochę smutny. - Zacznę od zaraz.

Liliana wstała z uśmiechem i Amalryk znowu poczuł niepokojący gorzkawy zapach jej perfum. Podniósł się z fotela.

- Będę czekała na wiadomość od ciebie. Odłączyli mi Sieć, telefon, wszystko... Mógłbyś przyjść do mnie osobiście i powiedzieć? Niezależnie, jak dobre czy złe będą te wiadomości.

- Mógłbym - odparł, pograżając się jeszcze bardziej. - Tak, tak, przyjdę, oczywiście. Jak najszybciej, ja...

I oto już jej nie było, zostawiła po sobie cień i smutek, wszystko zblakło, zszarzało i tylko Amalrykowi Dymale wydawało się, że słyszy jeszcze stukot obcasów na ulicy, ale to tylko złudzenie, gdyż żaden dźwięk z zewnątrz nie przeniknie przez grube szyby, może najwyżej gdyby był to strzał armatni, bo tu nawet nie dochodził dźwięk Wielkiego Dzwonu, choć on dochodził wszędzie.

Amalryk Dymała znalazł prywatny telefon siostry przełożonej Służebnic, która była ważniejsza od Samarytanek, zdecydowanie ważniejsza. Taka nieprzyjemna kobieta o twarzy jak wiór, obwisłych, zeschłych policzkach i oczach przypominających główki czarnych szpilek. Trzymała cały rejon mocno w garści, mówiono też, że miała spore wpływy na mieście. Ale nie zajmowała się nikim i niczym poza swoimi Służebnicami, choć gdyby chciała, pewnie mogłaby wiele.

- Tak. - Także ten głos był taki, jak Amalryk Dymała zapamiętał: ostry niczym rozcinający powietrze knut.

W słowie „tak” nie było pytania. Była komenda, która miała na celu spowodować natychmiastowy i karny odzew.

- Amalryk Dymała, ochotniczy pomocnik - przedstawił się Amalryk Dymała, wściekły na siebie, bo zabrzmiało to, jakby się meldował.

- Pochwalony, bracie. - Był pewien, że celowo użyła skróconej wersji powitania, piętnowanej przez Kościół. Miało to zapewne oznaczać: „jestem tak zapracowana, że nie mam nawet czasu godnie pochwalić Pana, nie licząc więc, iż poświęcę czas tobie”. Bardzo przekonujące, choć na pograniczu wykroczenia, rzecz jasna.

- Na wieki wieków, amen - odpowiedział. - Ja, widzi siostra, nie jestem pewien, czy dobrze robię, ale ta sprawa, no są takie właśnie sprawy, sam nie wiem... - mówił trochę szybciej niż zwykle, przyciszonym, niepewnym głosem. Ot, teatr.

- Zaraz, zaraz, bracie - głos się nieco ożywił, a więc teatralne zagranie przyniosło efekt. - Może troszkę spokojniej, a może wolelibyście osobiście?

Połknęłaś haczyk, stara wiedźmo! Bardzo dobrze!

- Nie, nie trzeba, ja, widzi siostra, siostra zawsze była taka miła dla mnie, no więc... - Wziął głęboki wdech, wóz albo przewóz. - Ta kobieta, o nią chodzi, raczej nie należy, no cóż, na razie... z pewnych względów. Tak mi poradzono... wysoko.

- Ach tak - odparła siostra po dłuższym zastanowieniu, a Amalryk Dymała, czekając na jej słowa, mógł przysłuchiwać się wściekłemu łomotowi własnego serca. - Chyba wiem, o kim brat mówi. Pani elem, nieprawdaż?

Amalryk Dymała był tak zdenerwowany, że nie od razu zorientował się, iż „elem” ma oznaczać tak naprawdę LM, czyli inicjały imienia i nazwiska Liliany Maier.

- Tak, oczywiście. Lepiej poczekać... Klaruje się i nie wiadomo, jak...

- Rozumiem. Nie należy podejmować pochopnych decyzji, prawda?

Dla Amalryka Dymały te słowa zabrzmiały przerażająco dwuznacznie, ale niemal z całą pewnością ich dwuznaczność jest tylko urojeniem. Na złodzieju czapka gore...

- Właśnie - zgodził się.

- Dziękuję, bracie. Zostańcie z Bogiem.

I już tylko ciągły sygnał w słuchawce. To pewne, że siostra Służebnica nie lubiła nadużywać słów. W końcu nie była głupia. A zresztą może była, skoro dała się nabrać na tak prymitywną bajeczkę? Zakładając oczywiście, że faktycznie nabrać się dała i nie doniesie o rozmowie komuś wyżej. Zresztą teraz już, po wszystkim, Amalryk Dymała wcale nie czuł strachu. Wiedział tylko jedno: chciał znowu zobaczyć Lilianę i chciał przekazać jej dobrą wiadomość. Złapał się na myśli, iż nie będzie oczekiwał podziękowań, jakich w normalnej sytuacji mężczyzna spodziewałby się od tak pięknej kobiety. Z Lilianą sama wizja prymitywnych wsadzanek-wyjmowanek i zapasów na materacu wydawała się jakaś paskudna. Niska. Odrażająca. Starzeję się czy co? - pomyślał.

Otarł pot z czoła, bo spocił się nie wiadomo kiedy, chociaż wiadomo czemu. Wstał od biurka i szybkim krokiem przemierzył gabinet po przekątnej, raz w jedną, raz w drugą stronę. Na kalendarzu

widniała wczorajsza data, więc zerwał kartę, a z kolejnej wyłonił się obrazek przedstawiający świętego Jana spoglądającego smutnym wzrokiem z kociołka pełnego wrzącego oleju. - O mój Boże - westchnął Amalryk Dymała w stronę kalendarza i było mu żal siebie aż tak bardzo, że w tym żalu zmieściła się nawet odrobina współczucia dla świętego Jana. Chociaż przecież sam sobie winien i głupi był, bo gdyby nie był głupi, to on stałby obok kociołka, a w kociołku gotowałby się ktoś zupełnie inny.

*

Zaraz za Będzinem rozpoczynała się strefa obozowa. Na północnym zachodzie sięgała po Tarnowskie Góry, potem zagarniała Gliwice i Rybnik, dalej ciągnąc się pod Tychy i Trzebinę. Włodarze Przenajświętszej poświęcili sporo wysiłku, aby odgrodzić krainę wyklętych od krainy prawowiernych. Całą strefę obozową otaczały wysokie ogrodzenia z drutu kolczastego, naszpikowane wieżyczkami uzbrojonymi w radarowe czujniki. Granice patrolowane były przez oddziały poruszające się terenowymi samochodami i motocyklami, a zasada była taka, iż od chwili alarmu o przekroczeniu granicy nie mogło upłynąć więcej niż pięć minut do czasu interwencji. Jednak poza tym zabezpieczeniem, dającym zajęcie licznym służbom porządkowym, było też inne, może nawet bardziej skuteczne. Sami więźniowie zobligowani zostali do pilnowania granicy po swojej stronie drutów, gdyż każdą próbę ucieczki karano według zasad odpowiedzialności zbiorowej, a ofiary w tym wypadku wybierano na chybił trafił.

Atlas Symbol wiedział o tym wszystkim, gdyż wiedza ta nie była szczególnie strzeżonym sekretem. Przecież zdarzało się, że więźniowie byli zwalniani, a choć podpisywali oświadczenia o dochowaniu tajemnicy, to rzecz jasna informacje, tak czy inaczej, rozchodziły się pośród rodziny, przyjaciół, bliższych znajomych, dalszych znajomych i tak dalej.

Śląsk nie był obozem koncentracyjnym w znaczeniu przyjętym po II wojnie światowej. Nazywano go również obozem zagłady czy Strefą Śmierci, ale oficjalna nazwa brzmiała: „obszar wydzielony” i to sformułowanie było najbliższe prawdy. Więźniów bowiem w zasadzie nie pilnowano (posterunki wewnątrz strefy miały tylko czuwać, by nie doszło do zamieszek na dużą skalę) ani nie kazano im pracować. Nie dostarczano również żywności. Jeśli chcieli jeść, musieli albo sami zakładać farmy czy hodowle, albo pracować w kopalniach i zamieniać węgiel na dobra tak luksusowe, jak żywność pochodzącą ze świata na zewnątrz. I, jak twierdzili ci, co mieli okazję ze Śląska się wydostać, cały system działał całkiem sprawnie, a rządząca obszarem wydzielonym mafia, którą kierowali zwykle więźniowie kryminalni, dbała o efektywność produkcji. Podobno byli więźniowie, którzy na Śląsku urządzili się tak znakomicie, że nawet do głowy by im nie przyszło, żeby próbować się stamtąd wyrwać, a amnestię potraktowaliby jak dopust boży. Niektórzy widzieli w Śląsku wręcz autonomiczne państewko, rządzone podobnie jak liczne twory powstałe po rozpadzie Rosji. Faktem jest, że istniała tu władza (sprawowana, jak mówiono, z bezlitosnym, ale skutecznym okrucieństwem) i istniały podległe jej uzbrojone służby porządkowe. A wszystko to w zasadzie niezależne od rządu w Warszawie, który od czasu do czasu urządzał tylko spektakularne kontrole, zwykle prowadzone przez uzbrojone po zęby oddziały wojska.

Atlas Symbol naczytał się wiele literatury obozowej i gułagowej, więc pełen był jak najgorszych

przeczuć. Na razie jednak wszystko jeszcze pozostawało pod kontrolą władz więziennych. Pasażerom pociągu kazano wysiąść na niewielkiej, otoczonej murem stacji. Z wieżyczek szczerzyły się stanowiska karabinów maszynowych, poeta dostrzegł również kilka czołgów stojących tuż przy solidnej stalowej bramie.

- Raz, raz, raz! - rozkazał człowiek w mundurze. - Do rejestracji, szybko!

- Będzie znakowanie bydła - mruknęła Elwira.

- He? - Poeta Atlas Symbol przypomniał sobie nagle, co było charakterystyczne dla więźniów Śląska. Wszyscy mieli wytatuowane na policzku znaki z wielką literą „S”. To w razie czego też miało ułatwić rozpoznanie i poszukiwanie zbiegów. Próba zatarcia tego znaku, jeśli wykryto ją w czasie kontroli, była karana z całą surowością. Winnych publicznie batożono i podobno rzadko się zdarzało, by udało im się zachować zdrowie, a nawet życie po takim seansie.

- Ponoć nie boli - powiedziała Elwira, jakby zapewniając samą siebie.

- Ech tam, jak robienie tatuażu bez znieczulenia - zbagatelizował sprawę Atlas Symbol. - Jak stąd wyjdziemy, to usunie się raz-dwa, bez śladu, i po wszystkim.

W skierowanym na tę stację transporcie przybyło zaledwie około dwustu osób, więc wszystko miało pójść sprawnie i szybko. Atlasowi Symbolowi udało się wcisnąć zaraz za plecy Elwiry, która nieoczekiwanie znalazła miejsce z przodu kolejki. A to dlatego, że młody bysiorek w błyszczącej plastikowej kurtce zagarnął ją ramieniem.

- Chodź tu, siostró, co będziesz stała z tymi cwelami.

Przy biurku siedział urzędnik o posiwiałych skroniach, a jego pokój wyglądałby jak kolejne zwykłe biuro, gdyby nie fakt, że przed biurkiem była gruba stalowa bariera, a przy ścianach stało trzech żołnierzy uzbrojonych w automatyczne pistolety.

- Nazwisko? - Urzędnik spojrzał na jednego z karciarzy jadących wcześniej w przedziale z Atlasem Symbolem, stojącego teraz jako pierwszy w kolejce.

- Johnny Howard - powiedział ten pełnym głosem, a poeta Atlas Symbol zdumiał się. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że John Howard był niepokonanym od wielu lat mistrzem świata wagi ciężkiej w formule FTD, zakazanej na niemal całym świecie, a przez to niezwykle popularnej.

Kumple zapytanego zarechotali.

- Dowcipniś - stwierdził urzędnik głosem pozbawionym emocji. - Ręce na barierkę.

Na barierce był czytnik linii papilarnych i na ekranie monitora musiały się wyświetlić dane więźnia. Urzędnik cmoknął z uznaniem.

- Kategoria SP - powiedział. - Twój numer to 10172390. Zapamiętać i przejść dalej!

W końcu przed barierką stanęła Elwira, która przedstawiła się imieniem i nazwiskiem.

- Zawód?

- Pisałam poradniki kulinarne...

- Kucharka? - Urzędnik podniósł wzrok. - To się zawsze przyda. Kategoria OP. Twój numer 10172394. Zapamiętać i przejść dalej.

Elwira odeszła w stronę następnego pokoju, zdaje się tego, w którym wykonywano tatuaże. Atlas Symbol postąpił krok i znalazł się przed barierką. Przedstawił się.

- Zawód?
- Poeta - odparł z dumą w głosie.
- Taaa. - Urzędnik spojrzał w jego stronę. - Kategoria OZ. Twój numer 10172395. Zapamiętać i przejść dalej.
- Co to jest OZ? - Atlas Symbol nie ruszył się z miejsca.
- Przejść dalej - powtórzył urzędnik, ignorując pytanie. Najbliżej stojący żołnierz przesunął lufę pistoletu w stronę więźnia.
- Już, już - spłoszył się Atlas Symbol i pomknął w stronę kolejnego pokoju.
- OZ. Osoba zbędna - powiedział urzędnik tak samo wypranym z emocji głosem jak poprzednio. - Następny!

*

Amalryk Dymała był na nogach od czwartej rano. Nie można po prostu spać, kiedy zaczyna się taki dzień. Dzień o życiowym znaczeniu. Wóz albo, kurwa, przewóz, pomyślał, czując się jak święty Michał, a co najmniej już jak święty Jerzy. Przemierzał od tej nieszczęsnej czwartej trasę sypialnia - korytarz - łazienka, przemierzał i zaciskał pięści.

Chodził i pod nosem wymrukiwał przemowę, która musi, zesz mać, musi! zachwycić, przekonać i pokonać biskupa. Cyzelował zdania, budował piętra metafor, składał figury retoryczne, a przez cały czas bał się i drżał, choć gwoli oddania sprawiedliwości trzeba przyznać, że duch walki wrzał w nim na potęgę. I chyba Amalryk Dymała nie cofnąłby się, nawet gdyby mógł. A cofnąć się nie mógł.

Od czasu do czasu tylko słabe ciało dawało znać o sobie i wtedy zatrzymywał się na przystanku łazienka, srając tam bez opamiętania. A raczej nie srając, bo srać już nie miał czym, tylko wydalając z siebie niewielkie ilości cuchnącego brązowego płynu, tak żrącego, że odbył wydawał się być jedną wielką raną. Mdlilo go też przeokropnie. Pod językiem wciąż zbierała się gęsta ślina i co chwila musiał odpluwać. A ta cholerna ślina nie dawała się odpluwać normalnie, tylko ciężko spływała z warg długimi, lepкими wąsami. Bez przerwy też trzymał go uporczywy dygot, przenikający, wydawałoby się, każdą komórkę ciała, a strumyczki zimnego potu wciąż rodziły się w okolicach kręgosłupa. Amalryk Dymała ufał jednak, że wygra, a w Bogu i dobrym humorze księdza biskupa spoczywała cała jego nadzieja.

Spacerował jeszcze w pizamie i szlafroku zarzuconym na ramiona. Ale czarny jak smoła garnitur i śnieżnobiała koszula od wczorajszego wieczora leżały przygotowane, wyczyszczone na błysk i wyprasowane tak, że nie można byłoby znaleźć na nich najmniejszej fałdki. Buty też czyściutkie, świeciły jak papież przykładem czy jak psu jaja, co kto woli. Zagonił wczoraj do roboty tę raszplę przekłętą, swą ślubną niby, bo jak już kupiła jakieś cholerne żelazko z pierdolonym wodotryskiem, to niech go chociaż używa, skoro mieli przez większą część dnia elektryczność.

Na żonę niemal nie mógł patrzeć. Przez całe poprzednie popołudnie traktował ją gorzej niż psa, a ona, chytra swolocz, wyczuła pismo nosem i chodziła jak w szwajcarskim zegarku. W nocy nasza ją ochota na małżeńskie czułości, ale Amalryk Dymała warknął tylko krótko, żeby się odpiardoliła, i dla poparcia swoich słów stuknął solidnym kułakiem w ten łeb z wyliniałymi włoskami. No i się odpiardoliła, chociaż Amalryk słyszał potem jakieś obrzydliwe ni to łkanie, ni to smarkanie, jednak nie zwracał na nie uwagi pogrążony w myślach o pięknej Lilianie.

Bo jak mógłby spoglądać pożądliwie na inną kobietę, kiedy w jego życiu pojawiła się przepiękna, precudowna, upajająca i jedyna panna Maier? Jak można w ogóle myśleć o ciele innej kobiety? Zwłaszcza o ciele tak zwiędniętym i odstręczającym, jak ciało żony Amalryka Dymały? O ciele z cyckami, które można przerzucić za ramię, z tłustymi, wałkowatymi udami i z worami pod oczami. Aha, i również z wątrobianymi plamami na policzkach i dłoniach. Jak więc można nawet myśleć o takim ciele, kiedy widziało się Lilianę Maier?

Zmarnowałem życie, pomyślał z rozpaczą i nienawiścią do świata, do samego siebie, do wszystkiego, do Boga może najbardziej. Przepierdoliłem nie ze swojej winy, a z winy przekłętego losu wszystko, co mogłoby być piękne i upojne, wzniosłe i dobre. Dlaczego mi, ty w kurwę przekłętą, nie pozwoliłeś żyć dobrze? Ale zrobię to dla niej! Będę kimś, jeszcze będę kimś, a jak nie, to diabli mnie i Śląsk!

Potem znowu pobiegł do kibla i poddał torturom swój nieszczęsny odbył. Wydzwoniła dopiero siódma godzina i jak tu wytrzymać do jedenastej, jak tu normalnie pójść do pracy, wiedząc, że zbliża się dziejowa chwila? Jak wykonywać codzienne, zwykłe czynności, gdy serce już się rwie, aby olśnić biskupa słońcem wymowy, zalać oceanem potoczystych słów. Wtem w bólu i męce rodzenia brązowej mazi olśniła go pewna myśl. Myśl mówiąca o tak diametralnie innym ułożeniu rozmowy z biskupem, że aż przerażająca. Lecz czy tak nie byłoby mądrzej, rozważniej? Ależ na pewno, niewątpliwie i niezaprzeczalnie! Teraz wiem, co będę robił przez najbliższe kilka godzin, pomyślał. I wiedział również, że będzie to robił z pasją, jakby od tego miało zależeć jego życie. No i zresztą najprawdopodobniej zależało.

W końcu żona podniosła się z łóżka, obudziła dzieci, dzisiaj cholery tak rozwrzeszczane, że tylko podusić bądź potopić. I te zwykłe, codzienne czynności, tak obmierzłe, odrażające, płytkie. Jak cudownie i wspaniale byłoby, gdyby kto inny chodził teraz po tym domu, gdyby była to Liliana z rozpuszczonymi na ramiona włosami i ubrana w półprzezroczystą koszulkę. Przechodząc, uśmiechałyby się, może podeszła na moment i przytuliła, otarła jak kot, pocałowała w policzek. Może też zapragnęłyby odrobiny rozpusty, a on wtedy radośnie wzięłyby ją w łazience lub w kuchni, lub w przedpokoju, wzięłyby ją pospiesznie, mocno i głęboko, aż do jęku i krzyku, a potem po wszystkim ona miałyby rozmarzoną, szczęśliwą twarz.

- Chuj, chuj, chuj! - Amalryk Dymała powtarzał te wulgarne słowa i nienawidził wszystkiego, gdyż konfrontacja marzeń i rzeczywistości była zbyt bolesna. Miał łzy w oczach.

Wreszcie naprędce zjadł co nieco, nie wiedząc nawet, co je. Zaraz potem pobiegł znowu do łazienki i nagle zdał sobie sprawę, że musi przecież opanować to nieszczęsne sranie, bo jak w czasie audjencji u biskupa wyjść w pół słowa albo smrodliwie zesrać się w spodnie? Przecież całe zabiegi wtedy na nic i bardzo wątpliwe, czy biskup zrozumie, że duch jest silny, a tylko ciało mdłe. Amalryk Dymała aż spocił się ze strachu od tych myśli i kiedy założył koszulkę, po chwili materiał był już mokry i obrzydliwie lepił się do pleców.

Otworzył drzwi i zobaczył czekający na podjeździe samochód, który przecież niby zepsuł się wczoraj. Jak widać, zdumiewająco szybko został naprawiony.

- O wpół do jedenastej będziecie mi potrzebni - zapowiedział bez powitania.

- Nie da się zrobić - beczelnie odparł kierowca.

- Nie da się? - złowróbnym tonem zapytał Dymała. - Spróbuj tylko, w dupę jebany cwelu, nie przyjechać! Niech ci się tylko samochód zepsuje, kondomiarzu, to sam zobaczysz...

- No co? Co jest, no... - Policjant wyraźnie stracił język w gębie.

- Chujów sto - odpowiedział Amalryk i zobaczył, jak policjant mięknie. - A teraz jedziemy.

Jakież to łatwe, pomyślał, moszcząc się na tylnym siedzeniu. Wystarczyło mieć jedynie odrobinę niezbędnej odwagi. A ta gnida na pewno w tej chwili zastanawia się, co się wydarzyło, że tak zhardziałem. I oczywiście zaczyna się bać. Bardzo dobrze, niech się boją, gnoje. Jeżeli audyencja u biskupa przyniesie efekty, o Boże, jeżeli ona się uda, będą się bać tysiąc razy bardziej. A jeżeli nie wyjdzie, to i mnie już tu nie będzie.

Kiedy wysiadł z auta, nachylił się jeszcze do kierowcy.

- O wpół do - przypomniał z naciskiem.

- Się robi - niedbale, ale jednak karnie odpowiedział policjant.

Amalryk Dymała tylko na moment wpadł do gabinetu, wypadł stamtąd równie szybko, aby znów złożyć ofiarę z brązowej mazi na białym, lśniącym ołtarzu muszli klozetowej. Zdążył tylko rozkazać sekretarce, aby zaparzyła herbatę. Mocną - zaznaczył. Wrócił do gabinetu wycieńczony, ale mimo wszystko pełen radosnego zapachu.

- Proszę odwołać spotkania na dzisiaj - polecił w interkom, zasiadł do pracy i pracował naprawdę ciężko.

Z tego wszystkiego zapomniał o sraczce, a sraczka była tak miła, że zapomniała o nim. Przynajmniej na razie.

Czas do dziesiątej trzydzieści przemknął momentalnie, oczywiście zdecydowanie zbyt szybko. Bo wiadomo, jak to jest. Zawsze człowiekowi się wydaje, że warto by pewne zdania wygładzić, poprawić, coś zmienić, inaczej rozłożyć akcenty, rozwinąć myśli, wprowadzić ozdobniki wysławiające nasz święty i jedyny Kościół. Ale nie było na to wszystko czasu.

Samochód posłusznie czekał przed wejściem, widać było, że Amalryk Dymała użył właściwych słów-wytrychów i umiejętnie otworzył przed sobą skarbiec policyjnej duszy. Siadł na tylnym siedzeniu, a przy tym ruchu coś zapiekło go w odbycie. O mało nie syknął, powstrzymał się jednak. Nie chciał, by policjanci opowiadali sobie później anegdotki o czarniaku, który jęczy, gdy musi sięść na dupie. I kto by tam chciał słuchać, że ten ból powstał od wyteżonego srania, a nie od obrzydłej sodomii?

- Dokąd jedziemy?- spytał kierowca i nie musiał jak zwykle przekrzykiwać muzyki, bo ta grała wyjątkowo cicho.

- Pod Pałac. Do skrzydła Kurii. - Amalryk zastanawiał się, jakie wrażenie wywrą te słowa na policjantach. Wywarły duże.

- No, no, do skrzydła Kurii - z respektem powtórzył starszy i ruszyli.

Jakoś nie przyjęła się i nie zadomowiła nowa nazwa Pałacu. Pałac został Pałacem, tak jak był nim od wielu lat, od czasu kiedy wielki przywódca narodu radzieckiego (pamiętał ktoś teraz, że był taki naród?) ofiarował go tym Polakom, których z przyczyn niejasnych i niezrozumiałych nie zdążył wymordować. Stał sobie ten Pałac od lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku - budowla na wskroś dziwaczna: szara wieżyca otoczona pomnikami. Kiedyś wyobrażały one przodowników pracy, teraz natomiast świętych pańskich i podobno ich nie zmieniono, tylko zręcznie przekuto nowe wizerunki. Kościół w swej mądrości nie nakazał zniszczenia budowli symbolizującej komunizm. Zresztą dlaczego miałyby się tak stać, skoro najbardziej gorliwe z owieczek pańskich były swojego czasu żarliwymi komunistami i poddały się tylko kameleonicznej zmianie, która tak ułatwiła im wejście na salony władzy?

Wiele lat temu rozpoczęto prace nad wprowadzeniem zasadniczych zmian architektonicznych. Wyburzono cały środek trzydziestotrzypiętrowego Pałacu, a potem u szczytu zawieszono ogromny dzwon. Na dwudziestym piątym poziomie zbudowano rozległą ambonę, mogącą pomieścić stu czterdziestu księży, i nie było piękniejszego widoku, niż kiedy księża ci chórem odprawiali mszę świętą otoczeni przez dwustu osiemdziesięciu ministrantów ucharakteryzowanych na małe aniołki. I nie było też piękniejszego dźwięku niż ten, gdy dzwonił zawieszony u szczytu dzwon, którego jasny głos docierał ponoć aż do Częstochowy.

Boczne skrzydła Pałacu również pełniły ważną rolę, kto wie, może nawet ważniejszą, gdyż tam właśnie nad szczęściem Polski, ba, ludzkości!, całymi dniami pracowali świątobliwi mężowie. I jeden z nich właśnie za kilka minut miał przyjąć Amalryka Dymałę.

Trochę trwało, zanim z parkingu przecisnął się przez kilka kordonów strażników, zanim obwąchały go pyszczki detektorów, zanim prześwieciły go ekrany, zanim sprawdzono linie papilarne, soczewkę oka oraz rozkład fal głosowych, zanim połączono się z kancelarią biskupa i potwierdzono, że faktycznie czeka na petenta o imieniu Amalryk, nazwisku Dymała i funkcji społecznego pomocnika Kościoła.

W końcu jednak Amalryk Dymała stanął przed drzwiami do biskupiego sekretariatu, przygryzł nerwowo wargi i boleśnie zacisnął pośladki. Bo znowu potrafił myśleć niemal tylko o tym, że pół życia oddałby za jedno krótkie posiedzenie w kiblu. Ale nie było już czasu i nie było odwrotu! Trzeba zastukać do drzwi i wejść. Naprzód, w imię Boże!

W sekretariacie stało kilka biurków, przy nich siedziały kobiety o zeschniętych twarzach i sztywni mężczyźni z koloratkami pod szyją. Amalryk na drżących nogach zbliżył się do kobiety o twarzy przypominającej stary pomidor.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - przemówił cichutko.

Cichutko z dwóch powodów. Raz, że się przeraźliwie bał, a dwa, iż każde gwałtowniejsze zachowanie mogłoby zamienić jego odbyt w eksplodujący wulkan.

- Na wieki - niedbale odpowiedziała kobieta i szybko zlustrowała wzrokiem petenta, z góry na dół, z dołu do góry i jeszcze raz z góry na dół.

- Wy jesteście, bracie, ten pieniacz, co?

- Ja-ja-ja-ja?

- Przecież nie ja. Idźcie, biskup czeka.

Dymała stał przez chwilę, nie wiedząc, co robić ani gdzie iść, ani jak iść, aż w końcu dostrzegł olbrzymie drzwi obite ciemnowiśniową skórą. Podszedł do nich, a każdy jego krok był odmierzany szaleńczym biciem serca. Przełknął ślinę i chyba popuścił trochę w spodnie, bo zrobiło mu się mokro i ciepło między pośladkami. Ból przeszywający żołądek trochę zelżał. Stanął przed drzwiami, lecz podniesiona do pukania dłoń zastygła w powietrzu. No bo jak tu stukać, skoro grube skórzane obicie zagłuszyłoby i wchłonęło nie tylko pełne szacunku i oddania pukanie, ale zapewne też cios pięścią lub silny kopniak. Jeśli oczywiście trafiłby się zwyrodnialec chcący kopać w szacowne biskupie drzwi.

- No co tam? Modlić się będziecie? - usłyszał nieprzyjazny głos sekretarki.

Pognany tym głosem Amalryk Dymała śmiało uderzył kostkami dłoni w obicie, ale nawet on sam nie usłyszał tego stuknięcia. Gruba skóra wytłumiła każdy dźwięk. Tak więc rad nierad bohaterko nacisnął klamkę, uchylił drzwi i wsunął się do gabinetu biskupa. Nie taki duży był ten gabinet. Pod oknem stało czarne, lśniące biurko z przystawką sieciową na blacie i ekranem. W przeciwległym kącie pokoju Amalryk Dymała dostrzegł natomiast stolik na trzech krzywych łapach, otoczony czterema krzesłami. Na blacie stały dwie filiżanki po kawie, obie z mazią fusów na dnie. I popielniczka z jednym, długim niedopałkiem papierosa, wykręconym jak noga paralityka szukającego pomocy na Jasnej Górze.

Biskup siedział przy biurku, a nad nim pochylał się młody człowiek o twardej, kanciastej twarzy i czarnych włosach przyprószonych niepasującą do jego wieku siwizną.

- Kiedy to zrozumiecie - mówił młody człowiek podniesionym głosem - że jesteście sto lat za Murzynami, że nie jesteście w stanie poradzić sobie nie tylko z obróbką informacji, ale nawet z samym jej zbieraniem. Przecież najzwyczajniej w świecie realizujecie paradoks Mereditha! Czy ty tego nie widzisz?

Biskup odgonił go zmęczonym gestem, w tym geście była bezradność wstrząsającego grzywą konia, który i tak doskonale wie, że dręczący go giez za chwilę pojawi się z powrotem.

- Daj spokój, daj spokój - powiedział. - Muszę się teraz zająć - skierował wzrok w stronę Amalryka Dymały - tym tutaj bratem. A, to ty, synu, jesteś ten, co groził wczoraj siostrze Marii... - przypomniał sobie.

- Groził siostrze Marii? - przerwał biskupowi z rozbawieniem młody człowiek i uniósł głowę, przyglądając się Dymale jak jakiemuś dziwowisku. - Nieźle. Wyrazy uznania, panie kolego.

- Daj spokój, daj spokój - powtórzył biskup. - Może zostawiłbyś mnie wreszcie samego?

- Pozwolisz, że posłucham tylko, co ma do powiedzenia facet, który postraszył Krwawą Mary? - Młody człowiek, nie czekając na odpowiedź, siadł obok biskupa. - Chyba musiała być nie w sosie, że go nie pognała jak wszystkich innych.

- O Boże - wezwał imię Pańskie nadaremno biskup. - Kiedy ty wreszcie wracasz do Rzymu?

- Za tydzień.

- Dopiero... - westchnął eksceleńcja. - No dobrze, siadaj, mój synu - obrócił wzrok na Amalryka - i mów, z czym przychodzisz.

Amalryk Dymała posłusznie usiadł na samym brzeżku krzesła, bardzo ostrożnie, gdyż ból znowu się odezwał, i to tak silny, że wydawałoby się paraliżujący. Ale jednak dał radę wyjąć z teczki cienki plik zapisanych z mozołem kartek i z szacunkiem położyć go przed biskupem.

- Jeżeli Wasza Ekscelencja raczyłby się zapoznać z tymi dokumentami - poprosił cichutko.

Biskup podniósł kartki, potrząsnął nimi i odłożył je z rezygnacją z powrotem na blat.

- Może opowiesz własnymi słowami, synu - zaproponował.

- Daj spokój, widzisz, że człowiek siedzi jak na szpilkach, ja lepiej sam przeczytam. - Gość biskupa zabrał dokumenty ze stołu.

Amalryk Dymała spojrział na niego z wdzięcznością. Dziwny był przebieg tej wizyty, ale obecność kogoś, kto tak śmiało odzywał się do Jego Ekscelencji, okazała się błogosławieństwem. Amalryk wyraźnie czuł, że ten człowiek mu sprzyja. Z nieznanых powodów, ale jednak sprzyja. Kiedy tamten szybko wertował kartki, Dymała walczył z pokusą zrobienia w spodnie, bał się, że mogłyby go wydać smród lub wstydlive dźwięki. Ból od dawna stał się nie do wytrzymania. Ale, jak widać, nawet ból nie do wytrzymania da się wytrzymać.

- No i bardzo ładnie - rzekł w końcu młody człowiek, odkładając papiery na stół. - Brat klarownie i rozumnie zaproponował wprowadzenie systemu ustalającego dopuszczalne wzorce sakralne - tłumaczył biskupowi. - A zważywszy na to, ile artystycznych koszmarków powstaje za przyzwoleniem władz lokalnych, taki pomysł nie jest zły.

- I to miało być pilne? - Biskup wzruszył ramionami i widać było, że jest już zniecierpliwiony audiencją.

- Ksiądz biskup nie docenia naszego gościa - zaśmiał się młody człowiek. - To dopiero prelude, sprawa zasadnicza zaraz zostanie nam przedstawiona. Nieprawdaż? - zwrócił się do Amalryka Dymały.

Ten zaskoczony, a nade wszystko obolały, nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Cała wspaniała, kwiecista i wzruszająca przemowa zagubiła się w nieposkromionym pragnieniu zrobienia kupy. Podał więc tylko w milczeniu minidysk, na którym nagrał sławetny bankiet u proboszcza.

- Co to jest? - Biskup wziął przedmiot w dwa palce, jakby ten mógł go pobrudzić.

- Będiesz wiedział, jak przesłuchasz. - Gość znowu pomógł Amalrykowi.

- No dobrze. - Ekscelencja podał mu minidysk. Młody człowiek wstał, wyjął portfel z wewnętrznej

kieszki marynarki i włożył minidysk do ulokowanego w nim czytnika. Potem słuchali w milczeniu nagrania. W pewnej chwili biskup zrobił gest, jakby chciał nakazać wyłączenie odtwarzania, ale młody człowiek chwycił go za przegub ręki i powoli pokręcił głową. W kącikach ust błąkał mu się lekki uśmiech. Wreszcie nagranie się skończyło. Dymała nie wiedział nawet dokładnie kiedy, gdyż pogrążył się w odmętach bólu. Cierpienie trwało już tak długo, że jego smakowanie sprawiało mu jakąś perwersyjną przyjemność.

- No i pięknie - skwitował nagranie młody człowiek. - Nieprawdaż? - Obrócił głowę w stronę biskupa. Ekscelencja z zakłopotaniem potarł jedną dłoń o drugą-

- Zostaw nas teraz samych, synu - nakazał Amalrykowi Dymale. - Zaczekaj w sekretariacie, niech ci dadzą jakąś kawę czy herbatę, czy co tam chcesz...

Do Amalryka Dymały to zdanie dopłynęło przez mgłę cierpienia. Nie za bardzo rozumiał znaczenie poszczególnych słów, ale pojął, że właśnie każą mu wyjść. Wstał więc sztywno, uklonił się i na sztywnych nogach sztywnym krokiem opuścił gabinet. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, biskup surowo spojrzał na swego gościa.

- To nie jest powód do śmiechu - powiedział, widząc wyraz jego twarzy. - Co ja mam z tym zrobić?

- A co chcesz zrobić?

- Ja cię bardzo proszę - odparł biskup i znów miał zmęczony głos. - To ja się pytam.

- Facet wykazał dużą odwagę, przychodząc z tym do ciebie... Czy ja wiem? Mnie się spodobał. Wiesz, typ twardziela, żadnych zbędnych słów, kwiecistych przemów, grania na uczuciach. Po prostu surowo podane fakty. Zobaczysz, on wyjdzie na ludzi, wie, czego chce.

- Masz dziwne gusta. A zresztą nie moja sprawa, odeślę go do wydewu, niech oni tym się zajmą.

- Załatwią go tam - wzruszył ramionami młody człowiek. - Wydaje ci się, że to dobre rozwiązanie?

- Czasami mówisz jak heretyk - wykrzesał z siebie oburzenie biskup, bez specjalnego jednak przekonania. - Co za: załatwią? Przesłuchają, rozpoczną śledztwo, jeśli uznają to za stosowne...

- Nie czarujmy się, staruszk. Obaj wiemy, co się dzieje w wydewie, i wiemy, że należałoby tę hołotę rozpedzić na cztery wiatry. Jeśli Kościół ginie, to przez takich skurwysynów jak oni.

- Jasna cholera! - Młodemu człowiekowi udało się wreszcie rozzłościć Jego Ekszelencję. - Zamknijesz się wreszcie. W końcu i tobie dobiorą się do tyłka, a byłoby za co...

- Spróbowaliby tylko. - Gość ekszelencji się nie przejął. - Caraveggia dałby im tak popalić, że hej.

- Caraveggia nie jest wieczny. Nie chciałbym być w twojej skórze, kiedy go zabraknie.

- No dobrze, dobrze, a co z tym, jak mu tam, Dymałą?

- A co ty byś zrobił?

- Wrzuciłbym go wysoko, na miasto, powiedzmy.

- Wiesz co? - Biskup spojrzał uważnie na swego rozmówcę. - Ty widzisz życie jako teatr i bardzo podoba ci się rola reżysera. Obsadzić miernotę w roli gwiazdy i obserwować, co z tego wyniknie. Fascynujące - dodał z przekąsem.

- Cóż za przenikliwość myśli, księżę biskupie. Ale ta miernota może cię jeszcze zadziwić. Ja czuję, że coś w tym facecie jest. Lepiej się zastanów, jak rozwiązać sprawę proboszcza. Bo widzisz, on ze swojego działania uczynił filozofię życiową. Ja rozumiem, gdyby tak robił dla korzyści finansowych. Wtedy w porządku, takie sprawy są nagminne. Ale on wyraźnie ma swoją ideę, i to ideę niezgodną z linią Kościoła. A poza wszystkim dość mam już tych panoszących się proboszczów, co myślą, że są jak dziedzic na folwarku. Niech zobaczą on i jemu podobni, że na górze jest jeszcze biskup, który wszystko obserwuje czujnym wzrokiem. I jeszcze jedna rzecz: ten pomysł z

kontrolowaniem wzorców sakralnych. Sam wiesz, jak to wygląda w tej chwili. Byle proboszcz wydaje zezwolenie na obrazy, rzeźby, wizerunki na tysiącach różnych gadżetów, od breloczków po kalendarze, billboardy, malunki na samochodach itepe itede. A jeśli powołano by komisję, aby rozstrzygała te kwestie? I jeśli ty byś stanął na jej czele? Czy zdajesz sobie sprawę, jaka to władza? Jakie pieniądze? Jakie możliwości?

- A więc... - poddał biskup.

- Proboszcza do wydewu z solidnym aktem oskarżenia, a tego Dymałę na miasto.

- Przecież to zupełnie świeży człowiek - próbował jeszcze protestować ekscelencja. - Dopiero niedawno dostał awans na osiedle.

- Każdy jest kiedyś zupełnie świeży - zauważył sentencjonalnie młody człowiek. - Dawaj go tu.

- I tak na mieście go zjedzą. - Biskup machnął w końcu ręką i kazał zawołać Dymałę do gabinetu.

W czasie kiedy ekscelencja konferował ze swym gościem, Amalryk zdecydował się wpaść do łazienki i za cenę dotkliwego, lecz chwilowego bólu pozbył się bólu ustawicznego. Dlatego też przywołanie przez biskupa powitał z w miarę jasnym umysłem. Zresztą spodziewając się wszystkiego najgorszego. Dlatego słowa dostojnika wprawiły go w osłupienie. Najpierw myślał, że to okrutny żart, ale jednocześnie dobrze wiedział, że zbyt mało znaczy, by komukolwiek, a zwłaszcza ekscelencji, chciało się tak okrutnie z niego żartować. Został pouczony, że ma spokojnie czekać na nominację, pochwalono jego postawę godną prawdziwego Polaka katolika (nie ma rzeczy cenniejszej nad obywatelskie doniesienie - stwierdził z namaszczeniem biskup, unosząc palec) i pozwolono mu wyjść. Więc wyszedł tak zdumiony, że nie miał nawet siły się cieszyć.

Przystanął na korytarzu, przed drzwiami do sekretariatu, i oparł się o ścianę pogrążony w bezmyśleniu, a może raczej przytłoczony takim natłokiem myśli, że zamieniały się w jeden wielki bezrozumny galimatias.

- No i jak tam, kolego? - Nie usłyszał ani otwierania drzwi, ani kroków, a oto pojawił się przed nim młody człowiek z gabinetu biskupa. I uśmiechał się przyjaźnie.

- Kim brat jest? - zapytał Amalryk Dymała, a zaraz potem przestraszył się własnej obcesowości.

- Kim jestem, tak? - Młody człowiek nadal uśmiechał się przyjaźnie. - Asterix Bellagrande, gwoli ścisłości: ekscelencja biskup Asterix Bellagrande. Ale biskup bez diecezji, czyli jak generał bez wojska albo jak burdel bez dziwek.

Amalryk Dymała nie wiedział, czy traktować tę wypowiedź jak żart, czy też wziąć słowa młodego człowieka na poważnie. Zwłaszcza że oczy Asteriksa Bellagrande tchnęły kpiącą, drwiącą wesołością.

- Mój ojciec był Włochem i stąd to nazwisko, a matka Francuzką, zakochaną po pierwsze we francuskiej historii, a po drugie we francuskich komiksach. Stąd i nieszczęsne imię - westchnął biskup Bellagrande w teatralny sposób i widać było, że tak naprawdę nie przejmuje się swoim imieniem.

- Jednak wychowałem się w Polsce, bo druga żona ojca była Polką. Stąd jako tako znam wasz język.

- Wasza Ekscelencja mówi wspaniałą polszczyzną - wydukał Amalryk Dymała, nadal

nieprzekonany, czy nie robi się z niego idiota. - Bez śladu obcego akcentu.

- Zresztą mniejsza o mnie. - Bellagrande machnął dłonią. - Powiedz lepiej, kolego, jakie masz plany na wieczór. Trzeba by cię poznać z kilkoma osobami, a dzisiaj jest przyjęcie u prezydenta Warszawy. Pewnie nudne, jednak warto być. Zwłaszcza że później imprezka może się rozwinie w mniej oficjalnej atmosferze. Chcesz wpaść?

Boże mój, pyta mnie, czy chcę wpaść na przyjęcie dla dostojników! - pomyślał Amalryk Dymała, nie wierząc własnym uszom i nie wierząc własnemu szczęściu.

- Oczywiście, Ekscelencjo. Z największą przyjemnością, Ekscelencjo.

Asterix Bellagrande skrzywił się.

- Nie, no bez tego, mów do mnie po prostu jak przyjaciele: profesorze.

- Tak jest, profesorze - powtórzył posłusznie Amalryk i czuł się zupełnie tak, jakby oglądał kalejdoskop na chybotliwej łodzi.

- Bo ja naprawdę jestem profesorem - wyjaśnił Bellagrande. - Habilitowałem się z historii dzieciństwa waszego Wielkiego Rodaka Papieża Polaka. Wracając do dzisiejszego wieczoru... - Zlustrował uważnie od stóp do głów swego rozmówcę. - Coś z tobą trzeba zrobić, kolego. Wybierzemy się na małe zakupy.

- Zakupy? - Dymała zdawał sobie sprawę, że powtarzanie ostatnich słów rozmówcy brzmi wyjątkowo bezmyślnie, nie mógł się jednak powstrzymać.

- Oczywiście, że zakupy - tłumaczył cierpliwie Asterix Bellagrande. - Należy wprowadzić cię na salony jako młodego, pewnego siebie kandydata do elity, a nie w charakterze przypadkowego przybłądy. Nikt nie lubi szybko wzbogaconych fernali. Właściwy strój, właściwe uczesanie i właściwy sposób wysławiania decydują o wszystkim, przynajmniej na początku. No to jak, jedziemy?

Amalryk Dymała nagle zdał sobie sprawę, że nic nie ma za darmo. Atrybuty przynależności do elity muszą przecież zostać opłacone.

- Nie martw się o pieniądze - odgadł jego myśli biskup. - Ja nie potrzebuję tu pieniędzy, bądź więc moim gościem. No, chodźmy wreszcie.

A jeśli to pedał? - pomyślał nagle Amalryk Dymała, ale już po chwili podejrzenie wydało mu się więcej niż absurdalne. Bo czyż właśnie on, Amalryk Dymała, byłby cennym obiektem polowania dla tak ważnej osoby jak Asterix Bellagrande, biskup i przyjaciel biskupów?

Poszli długimi, krętymi korytarzami prowadzącymi do podziemnych parkingów. Kilkakrotnie ich legitymowano (policyjny kraj, jak Boga kocham - stwierdził w pewnym momencie Bellagrande, nie przejmując się, że słyszą go strażnicy), kilkakrotnie sprawdzono detektorami. Jego Ekscelencja co chwila niecierpliwie zerkał na zegarek.

- O cholera, szybciej, zaraz zaczniesz bić ten gówniany dzwon. A to mnie kiedyś zabije.

Przyspieszyli więc kroku i zeszli na parking. A tam, wśród wielu innych samochodów, stał lśniący i przypominający raketę czerwony potwór należący do Asteriksa Bellagrande.

- Witam księdza biskupa - powiedział samochód, kiedy znaleźli się już blisko. - Czy wybierzemy

się na przejażdżkę?

- Tak - odparł Asterix Bellagrande i drzwi się otworzyły.

- Chciałbym już wrócić do Rzymu. Tutejsze drogi mnie deprymują - poskarżył się samochód.

- Szczyt wszystkiego! - burknął Bellagrande. - Zawsze się zastanawiam, kto programował tego bydlaka. Poza tym nie pozwala mi palić.

- Dym źle działa na tapicerkę - wyjaśnił samochód. - Zresztą palenie jest w złym stylu. I niezdrowe.

- Ano właśnie. I tak jest zawsze. Dobrze, jedź już. Najpierw do fryzjera.

- Tego co zwykle, Ekscelencjo?

- Tego co zwykle.

Już po kilku minutach Amalryk Dymała zorientował się, dokąd jadą.

- Strefa - właściwie nie zapytał, a stwierdził z zachwytem w głosie. - O mój Boże, nigdy nie przypuszczałem, że się tu znajdę.

Asterix Bellagrande roześmiał się szczerze.

- To tylko następna polska dziura, trochę wypindrzona, ale nadal dziura. Powinieneś zobaczyć Tokio albo Szanghaj, albo chociaż Los Angeles. No, może jeszcze Rzym. Kiedyś jeździło się też do Paryża, a teraz... - Machnął dłonią ze zniechęceniem.

- Co teraz z Paryżem, profesorze? - ośmielił się zapytać Dymała.

- Jak to co? - zdumiał się Bellagrande. - Przecież proklamowano francuską Dżamahiriję, wprowadzono szariat. A takie to było kiedyś wesołe miasto...

- Co takiego wprowadzili? Co takiego proklamowali? - zapytał samochód i dobrze, że zapytał, gdyż Amalryk Dymała również nie wiedział, co oznaczają te słowa.

- Szariat to prawo muzułmańskie objawione prorokom islamu - wyjaśnił biskup. - Nie wolno pić, nie ma burdeli, kobiety muszą chodzić z zasłoniętymi twarzami, a Moulin Rouge zrównali z ziemią. Barbarzyństwo.

- Szariat. Wprowadzam do pamięci - zakomunikowało auto.

- To był jakiś kościół? - tym razem zapytał Amalryk Dymała, myśląc o Moulin Rouge.

- Wyznawców pięknej wiary - zaśmiał się biskup. - Z naszej katedry Notre Dame zrobili meczet. Tyle że cieszyli się nim tylko dopóty, dopóki Teksasńczycy im go nie wysadzili w powietrze. Razem z wielkim imamem Paryża. - Zatarł dłonie z zadowoleniem. - Ci chłopcy z Teksasu wiedzą, jak i co trzeba robić...

- Jesteśmy na miejscu - obwieścił samochód. Amalryk Dymała słuchał biskupa na tyle pilnie, że przegapił wjazd tunelem, i teraz, kiedy znalazł się już w Strefie, rozejrzał się zachwyconym wzrokiem.

- Zawsze pragnąłem trzech rzeczy: zobaczyć Strefę, nauczyć się jeździć na nartach i pojechać do Pernambuco - wyjął swe najskrytsze marzenia. Nie wiedząc, czemu tak się obnaża, i bojąc się

śmiechu.

Ale Asterix Bellagrande się nie roześmiał.

- Z wyjątkiem pierwszego to piękne marzenia. Dużo jeździłem na nartach w Alpach, teraz tam już coraz ciężiej o śnieg. A Pernambuco? Dlaczego Pernambuco? Ja chyba nawet nie wiem, gdzie leży Pernambuco.

- Pernambuco, stan w Brazylii, stolica Recife - poinformował samochód.

- No to już wiemy. Ale dlaczego Pernambuco?

- Nazwa? - zastanowił się Amalryk Dymała. - Może to właśnie ona pobudza nieuświadomioną tęsknotę za lepszym życiem. Tak jakby w słowie Pernambuco zawarto nadzieję zmian, a może nawet nadzieję na odejście od zwierzęcej egzystencji w stronę egzystencji w pełni ludzkiej.

- Co takiego? - zapytali jednocześnie samochód i Asterix Bellagrande.

- Słucham?

- Co powiedziałeś?

- Co powiedziałem?

- Tak, co powiedziałeś!

- Co powiedziałem? Ja chyba... Ja nie wiem - odparł niepewnie Amalryk Dymała.

Asterix Bellagrande przyglądał mu się chwilę w milczeniu, a potem wzruszył ramionami.

- Nieważne, chodźmy już.

Fryzjer wyglądał tak, jak powinien wyglądać fryzjer. Był czystutki, wypielęgnowany, w białym kitlu, miał miękki głos i był pedałem.

- Jak dawno pana nie widziałem, Ekscelencjo - ucieszył się. - Czym mogę służyć?

- Zapewne przyszedłem po świeże bułeczki - odpowiedział Asterix Bellagrande.

Mistrz zaśmiał się szczerze i perliście.

- Ach, pan zawsze taki dowcipny, Ekscelencjo.

- Należy doprowadzić do stanu używalności tego oto dżentelmena - wyjaśnił biskup, wskazując podbródkiem Amalryka Dymałę.

Fryzjer pierwszy raz spojrział w stronę Amalryka Dymały i załamał ręce.

- Boże mój, gdzie się taki uchował? Co ja mam z tym zrobić, Święta Panienko z Częstochowy?!

- No już - rozkazał Asterix Bellagrande. - Zabieraj się za niego i nie marudź. Wpisz to na mój rachunek.

- Pan mnie zrukuje, Ekscelencjo - zajęczał barber. - Jeśli zostanie zapłacony tak jak poprzednie.

- Co za bałwan z ciebie - dobrodusznie odparł biskup. - Przecież przyrzekłem, że jak zostanę papieżem, to mianuję cię głównym fryzjerem Watykanu. A poza tym przysłałem ci wszystkich moich przyjaciół...

- ...którzy płacą taką samą walutą jak pan, Ekscelencjo. Czyli obietnicami - dokończył płacząco mistrz.

- Przyjdź potem do Maxima, zaczekam tam na ciebie - Bellagrande zignorował te narzekania i zwrócił się do Dymały.

- Gdzie, gdzie? - nie zrozumiał Amalryk.

- Już ja się zaopiekuję tym chłopcem - obiecał fryzjer. - Proszę się nie martwić, Ekscelencjo, przyślę go prosto na miejsce.

- Tylko bez sztuczek - pogroził mu palcem Asterix Bellagrande i wyszedł.

Amalryk Dymała dał się skierować w stronę fotela. Fryzjer przewiązał mu pod szyją białą chustę.

- Wszystko podług starych, dobrych zasad - zamruczał. - Żadnych maszyn do strzyżenia, żadnego, nie daj Boże, genetycznego modelowania. Mistrzowi powinny wystarczyć grzebień oraz nożyczki. Główkę trochę proszę w lewo. Dziękuję. I co tu z tobą zrobić, kochany? Łeb jak dżungla, takiego łupieżu nie widziałem od lat... Rączkę poproszę. Dziękuję.

Amalryk Dymała poczuł chłodny dotyk na nadgarstku. Trwało to tylko moment i zaraz fryzjer odczytał wynik na ekranie.

- Proszę wybaczyć, wszystkich muszę sprawdzać, sam pan wie, jak to jest w dzisiejszych czasach. Tyłu chorych, żeby pan wiedział, ilu ludziom to ja właśnie jako pierwszy musiałem ogłosić tragiczną nowinę. Bardzo przykre, proszę mi wierzyć. No co ja z tobą zrobię? - Amalryk Dymała widział w lustrze szczerze zafrasowaną twarz. - Może francuski żigolo? Nie, to nie to, a! - Z rozmachem klepnął się w czoło. - Supersamiec, to jest to i pasuje, szczeka jak być powinna, oczy doskonale, tylko zmienimy kolor, troszkę syntolu pod kości policzkowe, tak jest, tak jest, może być, prawda? - zapytał i nawet nie słuchał odpowiedzi, bo już postanowił i żeby go mieli zarznąć, nie zmieni zdania.



Asterix Bellagrande sączył powolutku piwo, czarnego jak smoła, gorzkiego i zimniusieńkiego Guinnessa. Było to jego ulubione piwo i przypominał w tym pisarza Konrada Piotra, którego zresztą spotkał kilka razy na jakimś przyjęciu i zapamiętał, bo pisarz Konrad Piotr pił dużo, ale wydawało się, że picie nie sprawia mu wcale przyjemności. W dodatku się nie upijał w odróżnieniu od znakomitej większości obecnych. Biskup sączył piwo powoli, bo na razie również nie chciał się upijać, nie chciał nawet poczuć w głowie tego pierwszego szmeru, który zwiastuje przejście w stan błogosławiony przez Dionizosa.

Siedział w Maximie nieco nachmurzony, gdyż fryzjer przypomniawszy mu o długach. Te u fryzjera to oczywiście żart, gorzej, że Asterix Bellagrande zadłużył się u ludzi, którzy nie znali się na żartach i nie tolerowali opóźnień w wypłacie. Ludzie ci odznaczał się swoistym poczuciem humoru i nie przebierali w środkach, aby udowodnić wszem i wobec, że są bezwzględni, bezlitośni oraz zdecydowani na wszystko. Asterix Bellagrande znał dłużnika, którego kazali zamknąć w pozorkach pochodzących z podświadomości wielokrotnego mordercy i gwałciciela. A przy dobrze wybranym i

opracowanym programie pozorków cały repertuar wschodnich tortur mógł się wydawać niewinną rozrywką. No i poza tym takie seanse nie zostawiały żadnych fizycznych śladów, chociaż biskup słyszał o człowieku, który chytrze popełnił samobójstwo, połykając własny język, aby tylko nie poddać się zabiegom w pozorkach.

Asterix Bellagrande nie chciał się znaleźć w świecie pozorków, wołał już ten rzeczywisty świat, choć nie należał on przecież do najsympatyczniejszych. Teraz już nawet pomysł żartu z tym śmiesznym czarniakiem o zabawnym nazwisku nie wydawał się tak atrakcyjny jak rano.

Dziwny facet, pomyślał Asterix Bellagrande i przypomniał sobie zdanie, które Amalryk Dymała wypowiedział w samochodzie.

- Coś w nim jest - zamruczał do siebie. - Coś w nim jest z całą pewnością.

I wtedy obiekt jego rozmyślań stanął tuż obok przy stoliku. Asterix Bellagrande spojrzał na niego i nie poznał, któż to taki.

- Tak? - zapytał niechętnie, niezadowolony z narzuconego towarzystwa. - O Boże - dodał po chwili, już wiedząc, z kim ma do czynienia. - O Boże, człowieku...

Bo oto stał przed nim przystojny, a może więcej niż przystojny mężczyzna o jasnych, krótkich włosach i mocno zarysowanej szczęce. Mężczyzna o twarzy twardziela i zdobywcy, twarzy, o jakiej Asterix Bellagrande marzył przez całe życie i gdyby nie był biskupem, to być może właśnie taką twarz kazałby sobie przeszczepić. A gdyby był pedałem, właśnie w takim facecie by się zakochał. A gdyby był kobietą, zamknąłby go w klatce i nie pozwolił nawet nikomu oglądać.

- Boże Wszechmogący - powtórzył. Zakłopotany Amalryk Dymała siadł niepewnie obok niego.

- Może być? - zapytał nieśmiało.

- Sam wiesz, że może być - odparł Bellagrande.

I była to prawda, gdyż Amalryk Dymała, kiedy tylko pierwszy raz spojrzał w lustro, uzmysłowił sobie, że nadszedł czas nowego, innego życia. Zdumiewające, że czas nowego, innego życia może nadejść w konsekwencji zaledwie drobnej przeróbki kosmetycznej. Ale Amalryk czuł się jak odrodzony, czy nawet nowo narodzony, i już na ulicach Strefy zauważył po drodze do Maxima, że rozbierają go spojrzenia kobiet i co poniektórych mężczyzn. Nie mówiąc już o reakcji samego mistrza i twórcy, który zachowywał się niczym Pigmalion lub profesor Higgins. Ponieważ Dymała nie wiedział, oczywiście, kim byli Pigmalion czy profesor Higgins, więc dla niego fryzjer zachowywał się po prostu jak zauroczony i zakochany pedał. Co w samym obiekcie pedalskich westchnień wzbudziło obrzydzenie, ale i zarazem sprawiło dziwną, niepokojącą satysfakcję. Było coś podniecającego w odbieraniu hołdów, choćby były to hołdy stworzenia tak marnego i podłego jak dupolubny sodomita.

- Zrobisz furorę na przyjęciu - uśmiechnął się biskup i trochę poprawił mu się humor, chociaż spodziewał się, że przyjęcie będzie nudne jak flaki z olejem i nie wydarzy się na nim nic godnego uwagi. Ot, taka zabawa średnio znaczących notabli, niemająca w sobie nic z luzu i swobody zabaw ludzi naprawdę ważnych. - I zabierz żonę, oczywiście.

- Żonę? - spochmurniał Amalryk Dymała.

- Przyjęcia dzielą się na takie, gdzie chodzi się z żonami, i takie, gdzie przyjście z żoną byłoby

wielkim nietaktem.

- Tak - przyjął do wiadomości Amalryk i zaświtał mu w głowie szaleńczy pomysł.

Myśl była tak kusząca, iż wiedział już, że nie pozwoli, by pozostała jedynie w sferze marzeń i imaginacji. W końcu jeśli czegoś pragniemy, musimy się o to postarać, gdyż inaczej będziemy umierać z poczuciem utraconej szansy. Amalryk Dymała zrozumiał to w tej chwili tak jasno, jak nigdy przedtem.

- Oczywiście będę z żoną - powiedział spokojnie.

- Nastąpiły bardzo duże zmiany - rzekł pan Światłونيسień, rozpierając się wygodnie w fotelu i odchylając głowę do tyłu. - Częściowo tylko spodziewane. Proszę siadać.

Pisarz Konrad Piotr z wdzięcznością osunął się w głęboki fotel.

- Zmiany, które jednocześnie mnie cieszą, ale też niepokoją ze względu na swą nieoczekiwaną gwałtowność. Nie do końca rozumiem, jaki jest cel tych zmian i do czego zmierzają, a ja nie lubię nie rozumieć. I rzadko mi się to przydarza.

- Proszę mi powiedzieć, czy wie pan coś o kobiecie, która mnie odwiedziła? I która zniknęła. Czy była tylko wytworem mojej fantazji? Ech - westchnął pisarz Konrad Piotr - tak chciałbym, aby istniała naprawdę.

- Skoro ją pamiętasz, zapewne istniała. W każdym razie w tamtym momencie twojej historii. - Pan Światłونيسień przeciągnął się leniwie i pisarz Konrad Piotr zdziwił się, że ten człowiek mógł mu się kiedyś wydać przerażający. Teraz wydawał się tylko przyjacielski.

- Och, to ty się zmieniłeś, nie ja - powiedział pan Światłونيسień. - Mam nadzieję, że przyszedłeś, aby udać się wraz ze mną na małą wyprawę, czyż nie?

- Chyba tak... - Konrad Piotr nie wiedział, o jakiej wyprawie mowa, ale co miał robić innego?

- Jednak nie wszystko jeszcze zostało zakończone. Nie wszystkie więzy zerwane. Sprzedałeś dom, a co z kontami, co z papierami wartościowymi i skrytkami w szwajcarskich sejfach? No i wreszcie: co z twoją jakże mocną i przez lata ustaloną pozycją?

- A więc? - Konradowi Piotrowi zrobiło się trochę słabo.

- Przeczytaj. - Gospodarz wydobył nie wiedzieć skąd kartkę papieru i pisarz zaczął czytać.

Być może kiedyś czytałby ten tekst z przerażeniem, teraz została tylko fascynacja. Było to bowiem wyznanie wiary pisarza Konrada Piotra. Tej prawdziwej, czyli wiary w niegodziwość, podłość, zakłamanie. Była to również jego historia życia: historia niegodziwości, podłości oraz zakłamania. Bardzo interesująca, pełna nazwisk i faktów. Takich, o których nie wiedział nikt poza samym pisarzem i które nawet on starał się zepchnąć gdzieś głęboko, w niedostępne przepaście niepamięci.

- To najbardziej kompromitująca rzecz, jaką w życiu widziałem - stwierdził Konrad Piotr i nieoczekiwanie był trochę rozbawiony, ale też było mu trochę wstyd własnej przeszłości.

- A więc? - Pan Światłونيسień zamocował przystawkę na skroni. - Reuter, prawda? Stara, szacowna firma.

- Reuter - zgodził się Konrad Piotr i wiedział, że nawet superwyczuleni specjaliści poznają w tym tekście jego rękę. A analiza komputerowa bez żadnych zastrzeżeń da pozytywny wynik. Sam

zresztą uwierzyłby, że napisał te pełne goryczy słowa. A może zresztą napisał? Kiedyś? W myślach?

- A majątek? Co byś powiedział, aby twoje pieniądze scedować na jedną osobę, przypadkowo i losowo wybraną?

Pisarz Konrad Piotr uśmiechnął się, gdyż nie wierzył, że w tym wypadku pan Światłونيسień pozwoli na grę przypadku oraz losu.

- Proszę bardzo - odparł. - Zdajmy się na los i przypadek.

I nagle złapał go przeraźliwy lęk. Co będzie, kiedy spali już za sobą wszystkie mosty? Czy pan Światłونيسień zostawi go, uznając to za świetny żarcik? Czy rzeczywiście ma mu coś do zaoferowania?

- Kocham tych, którzy do mnie przychodzą z własnej woli. A właśnie dla ciebie, mój chłopcze, mam zadanie specjalne i właśnie przed tobą, mój chłopcze, zamierzam otworzyć naprawdę wyjątkowe perspektywy oraz poruczyć ci szczególne zadanie. Lecz o tym wszystkim pogadamy później. A potem, wierzę, rozpocznie się nasza długa oraz owocna współpraca.

Przez chwilę milczeli.

- Jutro wyruszamy - rzekł w końcu pan Światłونيسień. - Wolałbym co prawda, abyśmy nasz pakt zawarli tu i teraz, lecz podróż, w którą się udamy, jest częścią umowy i z niej muszę się wywiązać...

- Umowy?

- Och, nie zaprzataj sobie tym głowy. To moje sprawy. Dyplomacja na najwyższych szczeblach. - Uśmiechnął się, jednak Konrad Piotr jakoś się zorientował, że nie był z tego powodu szczególnie zadowolony.

Zaraz potem pożegnał pisarza skinieniem głowy i wydawał się pogrążony we własnych rozważaniach. Może myślał o czekającej ich podróży, a może o umowie, którą z kimś zawarł? Pisarz Konrad Piotr wyszedł i, o dziwo, doskonale wiedział, dokąd się skierować, by dojść do przeznaczonego mu apartamentu. Zabawne, gdyż nigdy przedtem nie odwiedził przecież rezydencji pana Światłونيسienia i skąd niby miał znać rozkład pokoi oraz korytarzy?

Sypialnia była już przygotowana, ogromne łóżko z pościelą tak miękką jak puch ze skrzydeł anioła. Jedyne, czego było brak w tym łóżku, to rudowłosej kobiety. Konrad Piotr miał nadzieję, że jeszcze kiedyś ją zobaczy. Zresztą, gdyby ona jakimś cudem pojawiła się w tym pokoju, nie zmieniłoby to faktu, iż pisarz czuł się w środku pusty. Pustką w pewien sposób przyjemną, tak jakby wyrzucono z niego zgniłą zawartość i zostawiono jedynie czystą i delikatną skorupkę wydmuszki.

Dlaczego zostaje nam tak mało, zapytał sam siebie. Dlaczego zrobiłem w swoim życiu tak niewiele rzeczy, których nie wstydzilibym się lub nie żałował? Przecież wiem, że byłem przeznaczony do spraw wielkich. Z moim intelektem, przebojowością, wiedzą, łatwością nawiązywania kontaktów z ludźmi, z umiejętnością trafiania do ich serc i umysłów. Tymczasem sprzedałem to wszystko za pieniądze, wygody władzy, złudne poczucie decydowania o losach bliźnich i wiarę, że kształtuję ich umysły. Byłem tak blisko elit, że sam trafiłem do ich grona. Tych samych elit, którymi z całego serca gardzę. I po co to wszystko? Czy pozwoliłem, aby ktoś mnie pokochał? Czy sprawiłem, by po wielu latach ludzie wspominali mnie z uznaniem i szacunkiem? Czy uratowałem komuś życie? Czy uczyniłem je lepszym? Ba, sam swojego ani nie potrafiłem uratować, ani polepszyć...

Mój Boże - powiedziałby pisarz Konrad Piotr, gdyby tu i teraz mógł to powiedzieć. I pewnie nawet chętnie by zapłakał, gdyby jeszcze mógł płakać, i wtuliłby się w kogoś, gdyby znalazł się ktoś, kto zaofiarowałby mu azyl własnych ramion. I w końcu zasnął pełen żalu i bólu niespełnienia.

Kiedy obudził się rano (podejrzewał, że noc już się skończyła, choć w pokoju nie było okien, a jego zegarek stanął i pokazywał minutę po północy) i kiedy tylko otworzył oczy, do pokoju weszła dziewczyna. Ładna, czysta i zadbana, w ładnym, czystym i zadbanym fartuszku. Niosła tacę, a na niej trzy grzanki, jajka na bekonie, szklankę soku pomarańczowego i dżem morelowy, czyli najbardziej standardowe śniadanie (prócz szklanki Absoluta i kufła Guinnessa), jakie tylko można sobie wyobrazić.

- Śniadanie, proszę pana - obwieściła, tak jakby Konrad Piotr sam nie mógł się domyślić, co przyniosła, i postawiła tacę na nocnym stoliku. - Czy mogę panu coś jeszcze podać?

Pisarz w milczeniu pokręcił głową i zabrał się za jedzenie, które wydało mu się całkowicie pozbawione smaku. A sama czynność spożywania posiłku pozbawiona wszelkiego sensu. Sądził, że mógłby doskonale funkcjonować bez tego ładunku węglowodanów, witamin i tłuszczów. Kiedy skończył, odstawił tacę z powrotem na nocny stolik i poszedł do wielkiej ognistoczerwonej łazienki, w której pyszniła się wanna, ogromna niczym basen i równie czerwona jak ściany.

Dość długo brał kąpiel, próbując odnaleźć przyjemność, jaką zawsze sprawiały mu długie sesje w łazience. To wylegiwanie się w ciepłej wodzie i delikatny hydromasaż orzeźwiający ciało i ujędrniający skórę. Mimo że wanna miała kształt konchy muszli i mimo że łagodnie masowała mu plecy, nie czuł tego, co kiedyś. Szczerze mówiąc, nie czuł nic. Cała radość kąpieli jak w złym śnie przemieniła się w trywialny obrzęd ablucji. Ot, wymyć się, by nie cuchnąć, i tyle... Spróbował jeszcze swojej ulubionej sztuczki, czyli schował się cały pod wodę i otworzył oczy. Widział jedynie połyskującą czerwonawą zasłonę i słyszał odległe, usypiające mruczenie rur.

Kiedy pisarz Konrad Piotr myślał jeszcze o samobójstwie (a niegdyś myślał o nim często i ze smakiem, precyzyjnie wyobrażając sobie każdy detal), zastanawiał się nad dwoma wariantami. Jeden z tych wariantów zakładał wyjście zimową nocą w góry i zakopanie się w miękkiej zaspie. Tam leniwie popijałby swą ulubioną szwedzką wódkę aż do czasu, kiedy nadszedłby sen. A zaraz po śnie byłaby już wiosna. Drugi wariant zakładał natomiast całkowite poddanie się pieszczocie wody i pomrukowi rur. Śmierć zawsze wydawała się Konradowi Piotrowi czymś szalenie ekscytującym i zupełnie nieprzerazającym. Może jedynie porażającym ostatecznością wyboru oraz niemożnością odwrotu. Tak, właśnie tak: porażające, ale nie przerażające.

Wreszcie wynurzył głowę nad powierzchnię, nieco znudzony, gdyż nie usłyszał nawet przyspieszonego bicia własnego serca ani nie zaczęło mu brakować tchu. Z pewną niechęcią myślał o opuszczeniu wanny, jednak niemal równą niechęć bydziła w nim myśl o pozostaniu w niej. Tak więc wreszcie wyszedł, owinał się w pasie zabójczo jaskrawym, czerwono-pomarańczowym ręcznikiem i przejrzał się w lustrze. Ze sporym zdziwieniem nie dostrzegł na brodzie i policzkach czarnej tarki zarostu. Starzeję się czy co? - pomyślał, ale w gruncie rzeczy był zadowolony, bo nie przepadał za goleniem.

Amalryk doskonale zapamiętał adres Liliany, ale co dziwne, nigdy nie był w tej części osiedla. Dlatego też zaskoczyło go, iż różniła się ona od reszty tego przerażającego szarego blokowiska. Tutaj cztery czteropiętrowe budynki tworzyły prostokąt, do którego wejście strzeżone było zamykaną bramą, a w obdrapanej budce czuwał smętny strażnik o czerwonym, pożyczkowym nosie

nałogowego alkoholika. Trudno było to miejsce nazwać osiedlem strzeżonym, ale na pewno ogrodzenie, strażnik i bramka miały dawać mieszkańcom jakąś namiastkę bezpieczeństwa.

Amalryk Dymała machnął strażnikowi przed nosem legitymacją w biało-żółtej oprawie, a mężczyzna na ten widok wyskoczył z budki i odprowadził gościa pod same drzwi bloku, zapewniając o swym oddaniu i o tym, że „natychmiast wszyściutko, czego sobie tylko brat życzy”. Amalryk Dymała zbył go wielkopańskim machnięciem dłoni, a wtedy strażnik zastygł w pół-ukłonie i trwał w nim tak długo, póki przełożony społecznych pomocników nie zniknął mu z oczu.

Amalryk wdrapał się na drugie piętro i stanął przed drzwiami obitymi czarną imitacją skóry. Złota blaszka umieszczona nieco tuż powyżej poziomu oczu informowała: „Liliana Maier”. Dymała wciągnął głęboko powietrze i nacisnął guzik dzwonka. Odczekał chwilę i zaklął pod nosem. Oczywiście elektrownia znowu wyłączyła fazę i nie było prądu. Zastukał więc mocno we framugę, mając nadzieję, że po pierwsze, dziewczyna jest w środku, a po drugie, że go usłyszy.

Co dziwne, pierwszym, co on sam usłyszał, był zgrzyt odsuwanej zasuwki. Niepoprzedzony stukiem obcasów, niepoprzedzony pytaniem „kto tam?”. Nawet wizjer w drzwiach pozostawał wciąż jasny, czyli nie wpadło jej do głowy, by spojrzeć, kto stoi na progu.

Uchyliła drzwi (przynajmniej zabezpieczyła je łańcuchem, pomyślał Amalryk Dymała) i wyjrzała, a na jej twarzy pojawiło się wyraźne zdziwienie.

- Tak? - spytała. - Pan na pewno do mnie?

Zdumiało go takie przyjęcie, nagle z ogromną satysfakcją zdał sobie sprawę, że po prostu nie poznała, z kim ma do czynienia! Zresztą czyż było to takie dziwne? Sam siebie nie mógł przecież poznać w lustrze. Tej nagle wyprzystojniałej, twardej i męskiej twarzy ze świetnie dobraną fryzurą i z niepokojąco zielonymi soczewkami szkieł kontaktowych.

- Amalryk Dymała - przypomniał. - Była pani u mnie w biurze.

- Mój Boże! - Patrzyła na niego i nagle poznała. - Mój Boże - powtórzyła, zwalniając łańcuch. - Proszę wejść...

W przedpokoju było dość ciemno, mrok rozganiał tylko dochodzący z pokoju żółty, drżący blask naftowej lampki. Ale nawet teraz było widać, jak piękna jest Liliana. Rude włosy opadały na ramiona w niesfornie układających się lokach, a żółte światło lampki łagodziło rysy twarzy i napełniało ją ciepłem.

- Proszę bardzo - powtórzyła i wskazała dłonią pokój. - Proszę siadać. Napije się pan czegoś?

- Chętnie - odparł, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Była ubrana w zieloną sukienkę z aż nadto śmiało wyciętym dekoltem. - Może herbaty?

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się, a ten uśmiech na sekundę zdawał się rozjaśniać wszystko we wnętrzu mieszkania. Mieszkania, jak zdołał zauważyć Amalryk Dymała, nad podziw pięknie utrzymanego. Wszystko tu było w głębokich czerwieniach i głębokich, mocnych zieleniach. Stare stylowe meble, ogromny okrągły stół z grubym na dwa palce blatem, obrazy w zdobionych ramach, obrazy, z których spoglądały twarze pięknych kobiet i mężczyzn o stalowym spojrzeniu. Dymała poczuł się przez chwilę jak w muzealnej sali. Ale jeśli mieszkanie Liliany przypominało muzeum, było to muzeum przyjazne zwiedzającemu. Budzące respekt i szacunek, a jednak przyjazne.

- Resztki dawnej chwały - powiedziała, widząc jego wzrok. - Tutaj też niedawno się przenieśli. Do tych okropnych, ciasnych dwóch pokoi...

Do jakich luksusów trzeba być przyzwyczajonym, aby mieszkanie w tak pięknym apartamencie uważać za dopust boży? - pomyślał Dymała.

Liliana podała mu herbatę w cieniutkiej porcelanowej filiżance, więc wziął ją delikatnie, gdyż bał się, że pęknie mu w palcach. Usiadła naprzeciwko niego, po drugiej stronie stołu.

- Udało mi się - powiedział. - Sądzę, że na razie nikt nie będzie się starał pani zaszkodzić.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się. - Bardzo dziękuję. Proszę mi wierzyć, że w stosownym czasie będę umiała się odwdzięczyć.

- Jednak to nie jedyna sprawa, z którą przychodzę - rzekł po chwili i zauważył, że jej wzrok nabrał czujności. - Dzisiaj wieczorem prezydent Warszawy wydaje przyjęcie i zaproszono mnie tam. Z żoną...

- I? - Najwyraźniej nie zrozumiała, ale widać było, że się uspokoiła.

- I chciałem zaprosić panią.

- Ach - roześmiała się. - Nie ma pan żony, prawda?

- Mam - odparł, choć łatwiej byłoby przecież skłamać. Ale on nie chciał kłamać.

- Więc... - Była zakłopotana. - Więc dlaczego?

- Dlatego, że jest pani najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. Dlatego, że kiedy patrzę na panią, mam ochotę być lepszym człowiekiem. Dlatego, że gdyby mężczyźni mieli takie żony czy takie narzeczone jak pani, to świat byłby cudownym miejscem... - odparł, sam nie wiedząc, skąd biorą się te zdumiewające słowa, które wypowiedział jednym tchem, chyba nie do końca pojmując ich znaczenie.

Liliana Maier dłuższą chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu, a potem szybkim ruchem odrzuciła kosmyk włosów z czoła.

- Chyba pójdziemy na to przyjęcie - powiedziała. - Ile mam czasu?

Amalryk Dymała zerknął na zegarek.

- Przyjadę za trzy godziny.

- Wystarczająco dużo, by zrobić się na bóstwo. - Zerknęła w stronę lustra w grubych złotych oprawach i skrzywiła się na widok własnego odbicia. - Ale musi mnie pan teraz zostawić. Pan... - Parsknęła śmiechem i przez moment wyglądała jak rozbawiona dziewczynka. - Skoro mamy być małżeństwem, chyba powinnam mówić do ciebie na ty, prawda? A może jakimś zdrobnieniem? Ale jak? Misiu? Słoneczko? Rybko? Piesku? Pysiu?

Amalryk Dymała roześmiał się głośno.

- Nikt tak do mnie nigdy nie mówił - przyznał. - Proszę coś wybrać.

- To smutne - powiedziała. - Ludzie powinni mówić do siebie miłe rzeczy, gdyż inaczej zapomną o tym, że są dobrzy.

- Chyba że nie są...

- Wtedy zawsze można trochę poudawać. Kochać zwierzątka, kiedy wysyła się do gazu ludzi, i tak dalej...

- Nie wysyłamy ludzi do gazu - obruszył się Amalryk Dymała.

- Och, nie wy! Mówiłam o tych, którzy byli tu wcześniej, przed wami. A może lepiej powinnam powiedzieć: przed nami? To co, dostanę te trzy godziny?

- Oczywiście. - Podniósł się z miejsca. - Dziękuję. - Spojrzał prosto w jej oczy. - Bardzo dziękuję, że zechciałaś przyjąć moją propozycję.

- Mam nadzieję, że zabawa będzie dobra. Nie martw się, nie przyniosę ci wstydu - obiecała. - Będę najbardziej uroczą i najbardziej kochającą żoną na całej sali. Słowo nazaretanki!

Amalryk Dymała znowu się roześmiał.

- Mam nadzieję, że nie nazaretanki - rzekł, kierując się do wyjścia.



Weszli na salę rozjarzoną światłem lampionów. Salę pełną kobiet w wieczorowych kreacjach, mężczyzn w czerni i dyskretnych niczym cienie kelnerów. Stoły uginały się pod ciężarem półmisek, mis, salater, talerzy i talerzyków. Z jednego stołu spoglądało dobrze wypieczone prosiątko niosące w pyszczku czerwone jabłuszko, z innego smutnym wzrokiem zerkały stłoczone krewetki, na kolejnym pyszniły się dumne jesiotry, szczupaczyska z rozwartymi paszczami i poważne, wąsate sumy. Różowe płyty łososia, soczyste wędzone szynki, półmiski pełne ostryg (Amalryk Dymała zastanawiał się, kto będzie jadł te podłużne kamyki), parujące kociołki z mięsiami, kurczaczki z chrupiącą skórą, kaczki w pomarańczach i miodzie... A do tego wszystkiego butelki, kielichy i kieliszeczki z wódkami, winami i miodami, puchary ze złocistym szampanem...

- Swojsko - mruknął Asterix Bellagrande, ogarniając wzrokiem salę, i chyba słowo to nie miało wyrażać szczególnego zachwyty.

Amalryk Dymała nic nie odpowiedział. Podziwiał i chłonał wszystko, ale najbardziej podziwiał kobietę, która trzymała go pod rękę. Tę zjawiskową piękność w czarno-srebrnej sukni, tak przylegającej do ciała, że zdawała się być drugą skórą. Zauważył już, że wiele kobiet patrzy w ich stronę z zazdrością, a wielu mężczyzn nie może oderwać wzroku od jego towarzyski.

- Wiesz, że jesteś idiotą - szepnął biskup z uśmiechem na ustach, jednak zabrzmiało to nieoczekiwanie czule, gdyż on również był pod urokiem Liliany.

- Jestem idiotą - posłusznie zgodził się Amalryk.

- Nie wolno robić takich rzeczy - westchnął Asterix Bellagrande. - A w każdym razie nie tobie, nie teraz i nie tutaj.

Liliana podniosła głowę i spojrzała na niego, a wtedy biskup odwrócił wzrok i westchnął znowu.

- Nie ja będę waszym Judaszem - rzekł. - Bawcie się dobrze, dopóki jeszcze możecie.

- Dlaczego? - zapytał Dymała.

- Dlaczego co? - odpowiedział pytaniem na pytanie Bellagrande.

- Jak pan to poznał, profesorze?

- Bo widziałem cię przed czasem transformacji - odparł biskup. - Nie ty, nie ona, a przynajmniej nie razem. Oni - machnął ręką - jednak nie wiedzą. A kto wie, może się w ogóle nie dowiedzą? Zresztą nasza rozmowa uwiarygodnia i uświęca wasz związek - dodał bez zbędnej skromności. - Może odsunie podejrzenia.

- Ach, dzięki ci, o, dzięki. - Liliana dygnęła ceremonialnie i ostentacyjnie, a jej srebrzyste kolczyki zamigotały jak diamentowe łzy. - Mogę ucałować biskupi pierścień?

Asterix Bellagrande wzruszył ramionami.

- Piękna i bezczelna - skwitował. - Tak jak lubię. Zatrzymał się przy nich kelner, wzięli ze złoconej tacki kieliszki z chłodnym szampanem.

- Wasze zdrowie - powiedział biskup i przechylił kieliszek do ust. - Kalifornijski - rzekł. - Najlepszy od czasu, kiedy zaorano winnice Szampanii. Ale ten to kiepski rocznik...

- Wierzmy w boską opiekę. - Liliana również uniosła kieliszek. - Jeśli Bóg z nami, któż przeciwko nam? - Dziwne, w jej ustach zabrzmiało to jakoś szyderczo i nieprzyzwoicie.

Asterix Bellagrande nie rozpoznał jednak drwiny.

- Bóg jest zawsze z silniejszymi, panienko - odparł poważnym tonem. - Bóg nienawidzi biednych i słabych. Sprzyja podkutym butom i stalowym pięściom - dodał, a Amalryk Dymała pomyślał, że zdumiewające to słowa jak na dostojnika Kościoła.

Ale Bellagrande zaraz uśmiechnął się z powrotem i jego twarz nabrała wyrazu chłopięcej figlarności.

- Przedstawię was kilku osobom. - Ujął Lilianę i Amalryka pod ramiona, po czym poprowadził przez tłum, który rozstępował się pokornie niczym fale przed dziobem sunącego statku.

- A jak na tak mierne przyjęcie sporo tu znanych osobistości - kontynuował. - Bo spójrzcie tylko...

Nie zdołał dokończyć, gdyż przerwał mu gruby mężczyzna na miękkich już nogach, o zamglonym wzroku i spoconej twarzy. Wyciągnął rękę w stronę Amalryka Dymały.

- Koleś! - zawołał.

Amalryk Dymała nie znał go, bo i skąd niby miał znać.

- Cześć, koleś - powiedział jednak, podtrzymując swobodny styl tamtego.

Mężczyzna przyglądał mu się przez chwilę, jakby nie rozumiejąc. Miał małe, zatopione w fałdach tłuszczu oczka.

- Ja jestem Koleś - wyjaśnił wreszcie lekko obrażony.

- Wiceprezydent miasta Warszawy Bonawenty Koleś - przedstawił Asterix Bellagrande.

Bonawenty Kolesi dopiero teraz dostrzegł biskupa i pochylił się do jego dłoni. Zamląskował ustami na pierścieniu.

- ...śmy zaszczytzeni obecnością Waszej Ekszelencji. Asterix Bellagrande wyrozumiale pozwolił mu obślinić pierścień, a lewą dłonią nakreślił znak krzyża nad pochyloną głową. Potem poszli dalej, zostawiając Bonawentego Kolesia w wiernopoddanym skłonie. Amalryk Dymała był mocno zmieszany swą nieumiejętnością zachowania się w towarzystwie, ale też zachwycony obecnością biskupa, z którym, jak widać, niegroźne były wszelkie rafy oraz mielizny.

- No i mówi nagle: patrz i podziwiaj, oto sokół stepowy, dzielny mały rycerz. - Słowa te dobiegły uszu Amalryka Dymały, choć z całą pewnością dobiec nie powinny, bowiem wypowiadająca je kobieta po pierwsze, stała daleko od nich, a po drugie, nachylała się do ucha swej przyjaciółki. W dodatku na sali panował głośny gwar.

- I co? - zaśmiała się ta druga. Obie miały drapieżne oczy harpii i wyschnięte twarze.

- No, mały to on był - odparła z zastanowieniem pierwsza, choć Amalryk Dymała wiedział doskonale, że specjalnie przygotowała tę historię i namysł jest tylko grą. - A rycerz? Może i tak, bo jak upadł, nie mógł się już podnieść.

- Słyszeliście? - zapytał Amalryk Dymała, ale Asterix Bellagrande i Liliana zwrócili na niego nierozumiejące spojrzenia.

- Co mieliśmy słyszeć? - zmarszczył brwi biskup.

- Nie, nie, nic - pospiesznie zrejterował Amalryk Dymała, zastanawiając się, jakież to cud spowodował, że właśnie on usłyszał tę wymianę zdań.

Podeszli w stronę barczystego mężczyzny ubranego w mundur koloru khaki. Mężczyzna miał smagłą, spaloną słońcem i wiatrem twarz, twarz znaną z Sieci, telewizji i pierwszych stron gazet. Był to generał Rambo Karabekian, dowódca ormiańskich fedainów strzegących wschodnich granic Rzeczypospolitej. Generał miał pusty wzrok i pełną szklanekę koniaku w dłoni. Jego oczy nie ożyły nawet wtedy, gdy przyglądał się Lilianie. Uścisnął dłoń biskupa, a jego towarzyszom tylko zdawkowo skinął głową.

- Kiedy był dzieckiem, Azerowie zgwałcili mu na śmierć ojca, a matkę przywiązali do lufy czołgu - wytłumaczył cicho Asterix Bellagrande, gdy już odeszli na wystarczającą odległość.

- Ojca? - zdumiał się Amalryk Dymała i omal nie splunął na podłogę, tak pełen był obrzydzenia.

- Muslimom wszystko jedno - wzruszył ramionami biskup. - Facet, kobieta, koza, niechlujny staruszek... Co za różnica?

Nagle wpadli na wysokiego, szczupłego mężczyznę z czarnymi kryształami wszczepów zamiast oczu. Wpadli, gdyż był on jedynym, który nie usunął się usłużnie z ich drogi.

- Cyfert - powiedział zaskoczony Asterix Bellagrande i twarz mu stężała. - Myślałem, że dawno gnijesz na Śląsku.

Mężczyzna z wszczepami zamiast oczu przyglądał mu się dłuższą chwilę.

- Masz chorą wątrobę - stwierdził odkształconym, mechanicznym głosem. - Powinieneś założyć sobie implant. I nie pij, i nie ćpaj tyle, bo się przekreścisz.

- Serdecznie dziękuję za radę - odparł Asterix Bellagrande bez cienia wdzięczności w głosie.

- A ta sztuka to... - Nieludzkie oczy spojrzały w stronę Liliany, zaraz potem Cyfert powoli odwrócił głowę. - Proszę wybaczyć - rzekł i rakiem wycofał się w tłum.

Biskup patrzył za nim z nieukrywanym zdziwieniem.

- Co mu się stało? Zwykle nie odmawia sobie przyjemności popsucia mi humoru. Cholerny złośliwy cyberman... Nikt nie wie, ile w nim zostało z człowieka.

- Przecież tak nie wolno... - Amalryk Dymała powiódł palcami po oczach. - Publicznie, przy wszystkich...

- Jemu wolno - westchnął Bellagrande. - Wydaje mi się, moja droga, że coś, co zobaczył w tobie, zaniepokoiło go na tyle, że odszedł... - zwrócił się w stronę Liliany. - Hm?

- A cóż by go mogło we mnie zaniepokoić? - roześmiała się dźwięcznym dziewczęcym śmiechem.

- No właśnie - mruknął biskup. - Swoją drogą, co go tu przywiało? Zwykle nie wychyla nosa z pozorków. Podobno pracuje nad takimi specjalnymi... - Asterix Bellagrande zmarszczył czoło - do przesłuchiwania i torturowania więźniów.

- Nie lepszy jest prąd elektryczny? - Liliana wzruszyła ramionami. - Pałka elektryczna włożona w odbyty skłoni każdego do zwierzeń. Nawet najbardziej opornego.

- Moje dziecko... - Bellagrande w teatralnym geście załamał dłonie - dlaczego musimy rozmawiać o takich okropnych rzeczach? A siła pozorków tkwi w tym - dodał już poważniejszym tonem - że nicują twój umysł i podają przesłuchującemu na tacy całego ciebie. Myśli, uczucia, wspomnienia... Wszystko. Nie mówiąc o tym, że to dość schludna metoda, nieobrażająca poczucia estetyki. Dość o tym. Spójrzcie tam. - Obrócił ich lekko i pokazał podbródkiem papuzio kolorową postać.

- Atanazy Szwarcglut - wyjaśnił.

Amalryk Dymała nie słuchał ich rozmowy, a raczej słuchał jej tylko częścią siebie i słowa przepływały przez niego bez śladu. Już wcześniej bowiem skoncentrował uwagę na tym barwnie ubranym człowieku o dziwnym nazwisku i wysokim głosie. I słyszał, tak, na Boga, słyszał! jego myśli, choć nie wiedział, a nawet nie próbował się zastanawiać, jak to jest możliwe. A myśli papuziej postaci koncentrowały się na wielkim krucyfiksie zawieszonym na ścianie sali.

Wzrok i myśli Atanazego Szwarcgluta prześlizgiwały się po umięśnionych udach i ramionach ukrzyżowanej postaci, koncentrowały na podbrzuszu osłoniętym płachtą materii, zahaczały o czerwień perlącą się na poranionych nadgarstkach i goleniach. Ach, mój słodki Jezusiku, myślał Atanazy Szwarcglut, jakżebym ja chętnie właśnie ciebie...

Amalryk Dymała uciekł z jego umysłu, nagle zemdlony, poraniony przez chaszczę, co kłębiły się w tym chorym mózgu na podobieństwo kolczastych, zatrutych wici.

- Przestań mówić do mnie „dziecko"! - Liliana wydawała się być naprawdę rozzłoszczona i Amalryka Dymałę po raz kolejny zdumiała nie tylko treść, ale i ton tej rozmowy. Przecież chyba nie mówi się w ten sposób do biskupa? Jednak Asterix Bellagrande nie był, o dziwo, ani zaskoczony, ani rozzłoszczony. Kiwnął spokojnie głową.

- Jak sobie życzysz - odpowiedział obojętnym tonem.

- No to teraz opowiedz Amalrykowi o tym pedalskim glucie - zaproponowała.

Nie, pomyślał Dymała z obrzydzeniem, nie chcę o nim wiedzieć nic więcej.

Ale nie zaprotestował na głos i słuchał, kiedy Bellagrande rozpoczął wyjaśnienia. Tonem uniwersyteckiego wykładowcy.

- Atanazy Szwarcglut jest jednym z członków niezwykle rozgałęzionej i ustosunkowanej rodziny Szwarcglutów. Gdyby policzyć ich wspólny majątek, zapewne okazałoby się, że są jedną z najbogatszych rodzin na świecie. Mają sieć banków, wytwórnię filmową, udziały w polach naftowych, sieć hurtowni spożywczych... Gdzie sięgniesz wzrokiem, tam prędzej czy później trafisz na jakiegoś Szwarcgluta. A Atanazy przyjechał kilkanaście lat temu do Polski i zakochał się w tym kraju. W jego historii, kulturze...

- Oraz w chętnych, zawsze rozwartych odbytach polskich chłopców - rzuciła scenicznym szeptem Liliana.

Biskup pozornie nie zwrócił uwagi na jej słowa, które nawet przy dużej dozie dobrej woli ciężko było nazwać uprzejmą dygresją.

- Kupił wszystkie obrazy Matejki i Kossaka, zaczytywał się w Sienkiewiczu, podobno ma największą na świecie kolekcję zdjęć oraz portretów naszego świętego Papieża Polaka...

- Biedny idiota. - Liliana znowu wpadła biskupowi w słowa, najwyraźniej chcąc wytrącić go z równowagi.

- Słyszałem też, że lubi przebierać się w półpancerz, wilczą skórę i husarskie skrzydła...

- I wtedy dosiada tych, których nazywa swoimi słodkimi konikami - roześmiała się Liliana.

Biskup rozłożył dłonie.

- Czy ty masz na nią jakiś wpływ, mój chłopcze? - zapytał Amalryka Dymałę.

- On? - Liliana spojrzała na Amalryka z czułością, ale też litością we wzroku. - On jest tylko biednym tworem nowożytnego Pigmaliona, mającym przed sobą perspektywy tak samo bogate jak śniegowy płatek w sierpniowe południe.

- Żebyś się nie dziwiła. On jest... inny. - Asterix Bellagrande taksującym wzrokiem przyjrzał się Dymale, który był nieco zmieszany tym, iż rozmawiają o nim w taki sposób, jakby go tu wcale nie było. - Jest w nim coś, czego nie rozgryzłem. Choćby wygląd, te zmiany to przecież nie tylko robota fryzjera i kosmetyczki, a jakaś głębsza przemiana. I słownictwo, którym się czasem bezwiednie posługuję... Tak, tak, gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, pomyślałbym, że jest budzącym się właśnie błędnie zaprogramowanym śpiochem. Mam nadzieję, że kiedy już będziesz sam wiedział, powiesz mi, kim jesteś - zwrócił się do Amalryka Dymały, a ten skonfundowany pokiwał głową, choć mało energicznie.

- A teraz pijmy! - rozkazał biskup i dla dobrego przykładu wlał w siebie kieliszek szampana. - A potem się kochajmy! - Zerknął na Lilianę, która w odpowiedzi uśmiechnęła się promiennie.

- Może Szwarcglut jest dzisiaj wolny - zauważyła słodko.

- Mam cię serdecznie dość, moje dziecko. - Biskup ugodził w nią wskazującym palcem,

zatrzymując paznokciec o cal od jej piersi. Potem machnął dłonią, jakby w geście rezygnacji.

- To może zatańczymy?

- Chyba oszalałaś! - wykrzyknął Bellagrande i posłusznie dał się poprowadzić na parkiet, gdzie kilka par leniwie kołysało się w rytm najnowszego folkdansowego przeboju.

Amalryk Dymała został sam i wolno sączył szampana. Trunek miał iście niebiański smak, choć rozwydrzony dobrobytem Asterix Bellagrande raczył nazwać go ohydnyimi pomyjami. „Cóż za ohydne pomyje” - tak dokładnie powiedział. Dymała dyskretnie obserwował stojących obok gości i zastanawiał się, czy poznają w nim cudem awansowanego parweniusza. I tak jak każdemu cudem awansowanemu parweniuszowi wydawało mu się, iż śledzą go liczne natarczywe i taksujące spojrzenia, co rzecz jasna było jedynie przywidzeniem, gdyż w jego nowym wcieleniu - eleganckiego, przystojnego mężczyzny - ścigać go mógł tylko wzrok kobiet, i to bynajmniej nie podejrzliwy.

Przez moment dostrzegł Lilianę kołyszącą się w ramionach biskupa, a raczej nie tyle ją dostrzegł, co na chwilę uderzył go w oczy rudy blask włosów, a jedynie jej włosy mogły tak błyszczeć i jedynie one mogły być tak rude.

Czyżbym się zakochał? - pomyślał, czując gdzieś pod sercem trochę strachu, trochę rozrzewnienia i trochę mdłości.

I dlatego kiedy Liliana wróciła, to pocałowała go mocno w usta, gdyż domyślała się wszystkiego. Biskup przyglądał im się, a potem ciężko westchnął.

- Jaka szkoda, moi drodzy, że nic nie będzie z tak pięknie zapowiadającego się romansu - skwitował.

- Owszem, będzie - odpowiedziała spokojnie Liliana i przytuliła się mocniej do Amalryka.

- Akurat - wzruszył ramionami Asterix Bellagrande. - Jesteś tylko interesującą zabawką w rękach pięknej, młodej damy, mój chłopcze. Za chwilę znudzi się tobą i rzuci cię w ką.

- Niech wtedy zazdroszczą mi ci, którzy nie mieli nawet szansy zostać jej zabawką - odpowiedział Dymała szybciej, niż zdążył pomyśleć. - Tylko ten, kto całe życie oddychał smogiem, doceni wartość świeżego powietrza. Niech to trwa choć mgnienie oka, choć chwilę, ale właśnie dla takiej chwili warto żyć.

- Mówiłem, że coś jest w tym chłopcu - zauważył po chwili biskup. - Z biegiem czasu coraz więcej tego czegoś i zaczyna mnie to z wolna niepokoić.

- Witamy na pokładzie, doktorze Frankenstein. - Liliana ironicznie skłoniła głowę i ujęła Amalryka Dymałę pod ramię. - Idziemy stąd - zdecydowała.

- A czemuż to? - Asterix Bellagrande zmrużył oczy.

- A co, dobrze się bawisz, mój biskupie? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Mówiłem przecież, że to będzie nudne przyjęcie, jednak wyjście teraz, zanim gospodarz wygłosi przemówienie, byłoby sporym nietaktem.

- Pieprzyć to.

- Niestety, nie podzielałam twojego uproszczonego spojrzenia na świat - odparł biskup zgryźliwym

tonem.

Wtem ktoś podszedł do Asteriksa Bellagrande i zaszeptał mu coś pospiesznie do ucha. Człowieczek był cały szary. Miał szary garnitur, szare buty, szarą twarz i włosy. Zdawał się wtapiać w otoczenie, tak jak krzesła czy stoły. Był, a jakby go nie było. Biskup zbladł, kiedy wysłuchał, co przybysz miał do powiedzenia. Potem szybko odszedł wraz z szarym człowieczkiem, rzucając tylko krótkie i suche „czekajcie tu”. Kiedy wrócił, a wrócił po upływie kilku minut, był blady jak śmierć.

- Chodźcie - nakazał i wręcz zaciągnął ich w odległy, pusty kąt.

- Co się stało? - zapytał Amalryk Dymała, choć może nie chciałby wcale znać odpowiedzi, gdyż sądził, że musiało stać się coś bardzo, bardzo złego. Poznał to po wyrazie twarzy Asteriksa Bellagrande i po tym, że biskupowi wyraźnie drżały dłonie.

- Wpakowałeś się w jakieś straszne gówno, człowieku. - Biskup spojrzał prosto w twarz Amalryka Dymały. - Skąd ty, na Boga Ojca, znasz Konrada Piotra?

- Kogo? - zdumiał się Dymała i nagle przypomniało mu się, bo nazwisko pisarza Konrada Piotra było przecież nazwiskiem wyjątkowo popularnym. - Jak to: skąd? Z telewizji, z Sieci...

- A osobiście?

- Osobiście? A niby skąd?

- Właśnie. Skąd on mógłby go znać? - wzruszyła ramionami Liliana, jednak widać było, że udzieliło jej się zaniepokojenie biskupa.

- Nad tym samym myśli teraz Centrum - stwierdził biskup i zobaczył, że go nie rozumieją. - Centrum Obrony Wiary - wyjaśnił, wyraźnie akcentując każde z trzech słów.

- Boże! - równocześnie wykrzyknęli Amalryk Dymała i Liliana, gdyż w tym momencie dotarło do nich z całą wyrazistością, o jakie „centrum” chodzi i jakie mogą być tego konsekwencje.

Amalryk wiedział o działaniach Centrum Obrony Wiary, widział też kilku jego funkcjonariuszy, a jeden nawet prowadził szkolenia dla ochotniczych pomocników Kościoła, w których Dymała uczestniczył. Centrum zajmowało się wszystkimi brudnymi, śmierdzącymi i wrednymi sprawami. Było czymś w rodzaju politycznego kontrwywiadu, pilnie obserwującego wszystkich i śledzącego najmniejsze oznaki nielojalności wobec Przenajświętszej. Znaleźć się pod lupą COW-u oznaczało same kłopoty. I nie wykluczało miłej wycieczki na Śląsk. Nikt nie wiedział, jakie są kompetencje Centrum, i nikt wolał o nie nie pytać.

- Jeśli to jakiś dowcip, biskupie... - powiedziała po chwili Liliana.

- Dowcip? - prychnął biskup. - Dobrze sobie! Mój Boże, jaki dowcip? Ten facet przepisał na jego konto niemal cały swój majątek. Kilkanaście milionów dolarów w gotówce, obligacjach, akcjach i nieruchomościach.

- Kto przepisał co na czyje konto? - Liliana zapytała tak powoli, jakby chciała zapytać o coś nierozgarnięte dziecko, które musi każde słowo usłyszeć oddzielnie.

- Pisarz Konrad Piotr, ostatnio oskarżony o działania na rzecz obcych wywiadów, obecnie jeden z najbardziej poszukiwanych ludzi w tym kraju, przepisał na tego tu oto - Bellagrande niemal oskarżycielskim gestem wycelował w pierś Dymały - cały swój majątek. No, niemal cały, bo, jak mi

doniesiono, część gotówki rozdał na ulicach.

- Konrad Piotr agentem? - Liliana potrząsnęła głową. - Czyś ty oszalał?

Asterix Bellagrande podał jej wąską wstęgę wydruku. Amalryk Dymała zerkał jej przez ramię. Kiedy skończyli czytać, Liliana zwinęła papier w kulę.

- Kurwa - powiedziała i było to w tym momencie jedyne słowo określające wydarzenia z tak idealną precyzją. Podniosła oczy na Asteriksa Bellagrande. - I co teraz?

- Mam pewien pomysł... - zaczął wolno biskup.

- Nie wątpię - przerwała mu. - Ta suma może u każdego pobudzić pracę szarych komórek.

Asterix Bellagrande wolno i spokojnie wytłumaczył im swój plan, a jego mózg pracował z obłąkaną precyzją. Oto wreszcie pojawiła się przed nim kładka prowadząca nad rwącą rzeką i biskup wiedział, że grzechem byłoby zmarnować taką szansę. Doskonale bowiem zdawał sobie sprawę, że ludzie, których jest dłużnikiem, zaczną się niedługo niepokoić, a zaniepokojenie tych ludzi bywało i bywa śmiertelnie niebezpieczne.

- Musimy zrobić to natychmiast, bo COW już tu jedzie - zakończył Bellagrande. - Choć szczerze mówię, że nawet przy tym planie szansa, abyś uratował skórę, jest nadal nikła, mój chłopcze.

Biskup doskonale wiedział, że przedstawiając czekające ich wszystkich trudności, wypadnie dużo bardziej przekonująco. A poza tym będzie miał mniejsze wyrzuty sumienia, kiedy Amalryk Dymała trafi do więzienia, bo że tam trafi, tego Bellagrande był stuprocentowo pewien. Może nie dziś, może nie jutro, ale trafi...

- A jak sobie z całym zamieszaniem poradzi biskup? - zapytała Liliana.

- Biskup sobie poradzi - odrzekł Asterix Bellagrande. - Póki jest obywatelem Watykanu, poty Centrum może mu nadmuchać. Chociaż zapewne zaczną na mnie polowanie. Jednak za granicami waszego kraju niewiele mogą.

- Czy dobrze podejrzewam, że trwa jakieś polowanie, którego biskup boi się jeszcze bardziej niż polowania Centrum?

- I owszem - postanowił postawić na szczerłość Asterix Bellagrande.

- Czy mamy inne wyjście? - pytanie, które zadała Liliana, było czysto retoryczne. - Więc? - zwróciła się do Amalryka.

- Zaczynamy - zdecydował Dymała. - Niech będzie tak, jak chce profesor.

Przeszli do pokoju udostępnionego przez urzędników prezydenta i tam Amalryk połączył się z rejestrem i oficjalnie zrzekł się całej ogromnej sumy (kiedy naciskał ostatni klawisz, zrobiło mu się słabo, gdyż nie wyobrażał sobie, że ktokolwiek może mieć tyle pieniędzy) na rzecz watykańskiej fundacji, której przewodniczył Asterix Bellagrande. A której konto, co stanowiło tajemnicę poliszynela, na dobrą sprawę było prywatnym kontem biskupa. Ledwo zdążył wypełnić wszelkie formalności, ledwo Asterix Bellagrande zdążył przeprowadzić krótką, lecz treściwą rozmowę z Watykanem (mówił oczywiście po włosku, lecz Liliana przysłuchiwała się jej z taką uwagą, jakby rozumiała sens wypowiedzianych słów), a już drzwi się otworzyły i do pokoju weszli trzej szarzy ludzie o szarych twarzach. Ludzie, którzy zawsze przychodzili we trzech, tak jakby trzy było w ich

wypadku liczbą magiczną lub szczęśliwą. Niestety, szczęścia nie przynosiła ona tym, po których przychodzili.

- Brat Amalryk Dymała? - zapytał pozbawionym emocji i jakby nieco znudzonym głosem jeden z trzech.

- Tak - odpowiedział Amalryk zdławionym głosem i złapał się na tym, że na początku chciał zaprotestować, że nie, on wcale nie jest Amalryk Dymała, że to wszystko jakaś okropna pomyłka i ha, ha, ha, wyjaśnijmy sobie wszystko, bo to musi być przecież jakiś żart...

- Brat pójdzie z nami. - Szary człowiek najpierw dotknął urękawiczoną dłońią palców Amalryka, a potem pewien już, kogo ma przed sobą, podjął decyzję.

- Suma, którą otrzymał brat Dymała, została właśnie przekazana na konto fundacji kardynała Caraveggia do Watykanu. Brat Dymała nie chciał mieć nic wspólnego z tym w tak dziwny sposób otrzymanym majątkiem i uznał, że najlepiej przekazać wszystkie fundusze na zbożny cel. Przed chwilą rozmawiałem z Jego Eminencją i raczył on przekazać nam swoje pasterskie błogosławieństwo.

Szary człowiek sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał słów Asteriksa Bellagrande, ale podszedł do konsoli i połączył wszczep z Siecią. Potem krótkim gestem nakazał wyjść swoim towarzyszom.

- Centrum przekazuje oficjalne podziękowanie Jego Eminencji kardynałowi Caraveggia oraz księdzu biskupowi. - Tu gest w stronę Asteriksa Bellagrande. - Brat Dymała zostaje natomiast zatrzymany w celu wyjaśnienia. Proszę za mną. - To już było do Amalryka.

Ten odwrócił głowę i rozpaczliwie szukał ratunku w oczach Asteriksa Bellagrande.

- Stanowczo się sprzeciwiam - rzekł twardym tonem biskup, choć wszystko wyło w nim: „daj spokój, daj spokój, ty idioto! Na co ci to, po co, masz przecież już swoje miliony, teraz oddaj im tego głupca”. - Biorę brata Dymałę pod moją opiekę.

Szary człowiek zastanawiał się przez moment.

- Centrum przyjmuje gwarancje księdza biskupa z wszelkimi wynikającymi z tego dla obu stron konsekwencjami. - Odwrócił się i wyszedł.

- Już? - zapytał z gigantyczną ulgą Amalryk.

- Tak, już - odpowiedział Asterix Bellagrande. - Już się zaczęło. - I w myślach przeklinał swoją głupotę.

- Bardzo pięknie się zachowałeś, biskupie. - Liliana uśmiechnęła się promiennie. - I nie wyrzucaj sobie teraz, że byłeś głupio szlachetny. Nie próbuj się przekonać, że lepiej było wykazać się mniejszą uczciwością, a większym sprytem. - Podeszła do niego i wyciągnęła dłoń przed samą jego twarz.

Biskup nie zrozumiał tego gestu. Zmrużył oczy i chciał się cofnąć.

- Środkowy palec - wyjaśniła słodkim głosem, a Bellagrande uważnie przyjrzał się jej długim, wąskim paznokciom pociągniętym perłowym lakierem. Paznokieć środkowego palca był nieco grubszy. O włos grubszy, dosłownie o włos, ale grubszy.

Asterix Bellagrande nieszczególnie interesował się nowinkami technicznymi, oglądał jednak filmy sensacyjne. Jako wysoki funkcjonariusz Kościoła przeszedł też specjalistyczne szkolenia i dlatego bez pudła poznał, czym jest naprawdę paznokieć Liliany. Zmyślnie wstawionym wszczepem

umożliwiającym wyrzucenie zatrutej mikroskopijnej igły. Zwykle kobiety używały igieł paraliżujących system nerwowy (obrona przed nazbyt natarczymi zalotnikami), ale w uśmiechu panny Maier coś mu podpowiedziało, że ta igła miała nie tylko paraliżować.

- A więc to nie była uczciwość i nagły poryw szlachetnych uczuć, lecz po prostu zwykły instynkt samozachowawczy - westchnął biskup. - Napętniasz mnie pokorą, moje dziecko.

- O czym, o czym właściwie... - zaczął Amalryk.

- Niech to zostanie naszą tajemnicą, dobrze, biskupie? - poprosiła Liliana. - Pamiętaj jednak o tym, kiedy płonący w twoim sercu ogień miłosierdzia zacznie przygasać...

Biskup skrzywił się, słysząc te słowa, później postanowił je wziąć za dobrą monetę.

- Marnujesz się, moje dziecko - znowu westchnął. - Czy jesteś pewna, że nie chciałabyś wyjechać ze mną do Watykanu?

- Na razie zostanę tutaj. - Liliana przytuliła się do boku Amalryka Dymały. - I zobaczymy, co z tego wszystkiego wyniknie. Ja lubię dreszczyk emocji... Zresztą zabierz i jego ze sobą, a wtedy możemy jechać...

- A co w zamian?

- Czy stan twojego konta nie jest wystarczającym „w zamian”?

- To, że chłopak pozbył się pieniędzy, uratowało go przed aresztowaniem. Ale oni go nie wypuszczą. - Wzruszył ramionami. - Muszą się dowiedzieć, dlaczego jeden z najbardziej znanych i wpływowych Polaków wybrał na powiernika swojego majątku kogoś takiego. I przyznam szczerze, że ja sam chciałbym to wiedzieć.

- Tu akurat się zgadzamy - kiwnęła głową Liliana i spojrzała na Amalryka. - Mój Boże, sama nie wiem, czy gdybym mogła cofnąć czas, przyszedłbym do twojego biura...

- Pojedziecie teraz do mnie - zdecydował Bellagrande. - Jeśli w ogóle można mówić o bezpieczeństwie, to będziecie w moim domu bezpieczniejsi niż gdziekolwiek indziej.

- A jego żona? - spytała panna Maier.

- Moja żona? - odezwał się Amalryk Dymała, który do tej pory przysłuchiwał się tej dyskusji tak spokojnie, jakby wcale nie rozmawiano o nim. - Moja żona jest mi tak doskonale obojętna, że mogłaby zniknąć z mojego życia raz na zawsze i nawet bym tego nie zauważył. A raczej poczułbym to jak wyciągnięcie bolesnej zadry z paznokcia. Nic nas nigdy nie łączyło, nic nas nie łączy. Myślę, że ona mnie nie znosi. I z wzajemnością.

- A twoje dzieci? - Asterix Bellagrande spojrzał uważnie na Dymałę.

Ten wzruszył ramionami.

- Nigdy nie miałem czasu z nimi porozmawiać. Nie wiem, kim są, czym się interesują, co ich bawi, a co ich smuci. Obce osoby, które mieszkają w moim domu.

- Jakże to smutne - powiedziała Liliana.

- Smutne by było, gdybym cię już nigdy nie mógł zobaczyć. - Amalryk ujął jej dłonie w swoje. - Bo kiedy patrzę w twoje oczy, myślę, że chciałbym w nich zobaczyć kogoś, kogo będziesz kiedyś

mogła polubić.

- Co za czarujący chłoptaş - burknął Bellagrande. - Dość tych romansów. Chodźmy, póki nie wpadną na pomysł, żeby zmienić decyzję.

- Tak chciałbym wiedzieć dlaczego... - powiedział Amalryk Dymała i gest jego ręki miał objąć może nie cały świat, ale na pewno wszystko to, co wydarzyło się dzisiejszego dnia.

- Ano właśnie - zgodził się z nim biskup.

- W każdym razie jesteřmy w grze - uśmiechnęła się Liliana.

Opuścili przyjęcie, zaniehbując nawet pożegnanie prezydenta, i zeszli do podziemnego garażu.

- Jest pani najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek miałem zaszczyt wieć - powiedział samochód. - I proszę w takim razie uważać na księdza biskupa.

Liliana roześmiała się, a Asterix Bellagrande zaklął pod nosem po włosku.

- Gdyby nie kosztował tak duzo, dawno kazałbym go zezłomować. Mogę znieść towarzystwo impertynenckich ludzi - to był wyraźny przytyk do panny Maier, przytyk zauważony zresztą - ale towarzystwo impertynenckiego samochodu wyprowadza mnie z równowagi.

- Czy jedziemy do domu? - auto postanowiło nie odpowiadać na zaczepkę.

- Tak, a potem przywieziesz mi tę samą dziewczynę co wczoraj.

- Cóż za niezwykła stałość uczuć - zadrwił samochód. - Pozwolę sobie zauważyć, że jej uroda ma się do urody obecnej tu pani jak świeczka do słońca.

- Jego programował jakiś poeta. - Liliana w geście wdzięczności pogłaskała tapicerkę.

- Marny poeta - dodał biskup.

Rychło zatrzymali się przed bramą prymasowskiej enklawy, gdzie Asterix Bellagrande miał swój apartament. Strażnik powitał ich ukłonem i już znaleźli się pośród starych, zacnych murów, nad którymi tak dziwnie wyglądały granat sztucznego nieba i srebro gwiazd. Biskup zauważył skierowany w górę wzrok Amalryka.

- Partanina. - Skrzywił się. - Gwiazdy są zawsze w jednej pozycji.

Ale Dymale ten widok się podobał, gdyż gwiazdy do tej pory widział tylko na filmach.

Wysiedli i biskup poinstruował strażnika, by wpuścił potem jego samochód, kiedy będzie już wracał wraz z zaproszoną damą. Weszli w bramę niewielkiego pałacyku, w którym biskup zajmował jeden z apartamentów. Czekał tam na nich podstarzały ksiądz, który zdjął im płaszcze z ramion, a Amalryk Dymała poczuł się jakoś tak dziwnie, gdyż nigdy jeszcze nie widział księdza w roli służącego.

- Kolacja czeka, Ekscelencjo - zameldował ksiądz.

- Zaopiekuj się moimi gośćmi i przygotuj im pokój - nakazał Asterix Bellagrande. - Dobranoc, moi drodzy - zwrócił się do Liliany i Amalryka. - Wyjdę jeszcze na spacer, a wy czujcie się jak u siebie w domu. Ksiądz Tadeusz zajmie się wami.

- Dobranoc, drogi biskupie - powiedziała Liliana i niespodziewanie pocałowała go w policzek.

Asterix Bellagrande wyszedł i głęboko odetchnął świeżym powietrzem, mającym zapach i smak nadmorskiej bryzy. Ruszył w dół spokojnej, ciemnej uliczki i czuł w sobie jakąś siłę oraz chęć życia. W końcu udało mu się rozwiązać finansowe kłopoty. Ba, po spłacie długów wraz z odsetkami zostanie i tak suma wręcz niewyobrażalna. W jaki sposób ten pijacek dorobił się tak ogromnego majątku? - zamyślił się przez chwilę i przypomniał sobie Konrada Piotra, człowieka, który sprawiał zwykle wrażenie skoncentrowanego jedynie na kontemplowaniu własnego kacowego bólu.

Biskup spojrział w sztuczne niebo i ze zdziwieniem zauważył, że tarcza księżycy i gwiazdy zostały przysłonięte ogromną ciemnoszarą chmurą skłębioną na kształt smoka o rozwartej paszczy i skrzydłach rozwiniętych do lotu.

- Tak ponurego dnia i tak pięknego, jak żyję, nigdy jeszcze nie widziałem - powiedział do siebie Bellagrande.

W pewnej chwili ku swojemu osłupieniu dostrzegł trzy postaci grzejące się przy rozpalonym koksowniku. Piec buchał iskrami, a postaci nie siedziały spokojnie, lecz snuły się w jakimś dziwnym ocieżalym tańcu, podnosząc wysoko obfite suknie, aby dotarło pod nie ciepło płomieni. I Asterix Bellagrande widział ich twarze, twarze zwiędłe i szpetne. I choć kobiece, to jakby cienie i bród się na nich kładły, a może tylko ogień igrał z ludzką wyobraźnią, kryjąc w mroku, co pragnął ukryć, a oświetlając i ukazując to, co pragnął oświetlić oraz ukazać.

- Jeżeli możecie mówić, mówcie, kim jesteście! - zawołał biskup, aby własnymi słowami zagłuszyć zarówno zdumienie, jak i strach, który podkradł się nieproszenie i niespodziewanie.

- Z jadu ropuchy...

- Ze skóry zaskrońca...

- Z oka nietoperza...

- Stworzone, a nie zrodzone - zaskrzeczały nagle razem, zamierając w tych pozach, w jakich je zastał krzyk. I zastygły w bezruchu, jedna z nogą uniesioną na wysokość głowy, druga z ramionami rozłożonymi szeroko, jakby chciała wzbić się w niebo, a trzecia zawieszona w powietrzu w pół skoku.

- Witamy cię, biskupie Bellagrande, witamy cię, arcybiskupie Parmy, witamy cię, Ojczy Świąty! - I nim ten krzyk przebrzmiał, już ich nie było i nie było nic poza ciemnym załomem ściany i swądem wypalonego węgla.

- Chryste Panie - zaszeptał biskup i przeżegnał się znakiem krzyża, wiedząc, jak puste i bezsensowne są gest i słowa.

Bowiem Asterix Bellagrande nie wierzył w Chrystusa ani nie wierzył w potęgę magicznych znaków. Kiedyś bardzo chciał uwierzyć, ale potem za dużo już wiedział i za dużo już widział, a wiedza i obserwacja nie zrodziły w nim nic oprócz zwątpienia.

- Nie mogło być tu przecież nikogo takiego - zapewnił się niespokojnie. Potem przetarł oczy wierzchem dłoni i splunął trzy razy przez lewe ramię.

- Co za noc, co za noc - powiedział jeszcze i odszedł szybkim krokiem w stronę rezydencji. Nie mógł się powstrzymać, aby raz, drugi i czwarty nie obejrzeć się za siebie. Nie dostrzegł jednak już nic niezwykłego.

Potem starał się nie myśleć o tym dziwnym incydencie, zapomnieć o nim. I pewnie nawet by mu się to udało, gdyby nad ranem nie wyrwał go z łóżka i sennych objęć kochanki pewien telefon. Stary kardynał Caraveggia gratulował protegowanemu, że właśnie został arcybiskupem Parmy. Wtedy Asterix Bellagrande usiadł nago na zimnych kamiennych schodach i myślał już tylko o tym, jakie przybierze w przyszłości imię. Nie mógł się zdecydować i dokonać wyboru pomiędzy Piusem Wiktorem a Innocentym Sykstusem, ale słusznie uznał, że do podjęcia ostatecznej decyzji zostało mu jeszcze sporo czasu.

Rozdział szósty

W wojskowej stacji wytatuowano im na lewym policzku wielką literę „S”, na prawym symbol przynależności do określonej kategorii więźniów. W wypadku Atlasa Symbola było to złowróżbne OZ, oznaczające, jak się przed chwilą dowiedział, „osobę zbędną”. Jednak co oznacza w praktyce? - zadawał sobie nerwowe pytanie. Czy będą chcieli mnie po prostu zabić?

Brama otworzyła się przed nimi i cała gromada posłusznie opuściła teren stacji. Kiedy drzwi zamknęły się z powrotem, poeta dobitnie poczuł, że oto zakończył się pewien etap jego życia. Teraz stał na rozmiękłym rudoburym polu, a gdzieś na horyzoncie, spoza tumanów brudnej mgły, widział korony uschniętych drzew oraz dachy domów. Stał w tłumie innych skazańców, ale nie można było chyba czuć się bardziej samotnym. Wtedy dopiero dostrzegł człowieka, który zmierzał do nich przez grząskie błoto pola. Człowiek ten jechał na wózku ciągniętym przez zaprzęg złożony z czterech mocno zbudowanych, niemal nagich mężczyzn. Byli brudni, spoceni, a na ramionach mieli krwawe odparzenia od uprzęży.

- Jezu - szepnęła Elwira.

- Jakie jajca! - krzyknął bysiorek w plastikowej kurtce. - Fajnie się powozi, brachu?

Człowiek na wozie strzelił radośnie z bata i stanął na ławeczce wozu. Wyciągnął megafon.

- Jestem więzień 900945 z komendantury obozu. Wy tam, nowi, zebrać mi się tu, ale migusiem! - zawołał rozkazującym tonem. - Wszyscy „espe” do mnie, „ope” na prawo, a „ozet” zostać tam, gdzie stoicie.

Atlas Symbol zauważył, że do kategorii SP zaliczono bandytów, z którymi jechał w jednym przedziale, oraz jeszcze sześciu mężczyzn, wyglądających co najmniej nieprzyjemnie. W OP znalazła się Elwira oraz kilkanaście innych osób, jednak znakomita większość skazanych wraz z poetą została na swoich miejscach. To, że tak wielu uznano za „osoby zbędne”, pocieszyło Atlasa Symbola.

- Skrót SP oznacza Służba Porządkowa - zakomunikował człowiek na wozie. - Pierwsze wasze zadanie, kamraci: zebrać mi to „ozetowe” bydło w dwuszereg, dać w lewo zwrot i idziemy do miasta. A wy, „ope” - zwrócił wzrok na prawo - idźcie grzecznie za nimi. W mieście dostaniecie przydział do pracy zgodnie z kwalifikacjami. Zrozumiano? - wrzasnął niespodziewanie. - No to już mi do roboty!

- Zaraz, zaraz. - Jakiś mężczyzna w średnim wieku, stojący niedaleko Atlasa Symbola, przepchnął się i wystąpił przed tłum. - Co tu pan w ogóle mówi? Co to ma niby być?

Człowiek, który wydawał im przed chwilą polecenia, zeskoczył z wozu, szybkim krokiem podszedł do protestującego mężczyzny i zawiązał batem. Trafił go prosto w twarz. Mężczyzna wrzasnął i zasłonił się rękoma. Spomiędzy palców pociekły strużki krwi. Więzień 900945 zamachnął się jeszcze raz i tym razem bat ugodził mężczyznę pod kolana. Ten wrzasnął po raz drugi i zwałił się w błotną breję.

- Polecen należy słuchać! - Więzień 900945 każde słowo mocno akcentował i przy każdym tłukł z całej siły batem w plecy mężczyzny.

Potem podszedł jeszcze bliżej i zaczął go kopać. Poeta Atlas Symbol zauważył, że ma solidne skórzane buty ze stalowymi wzmocnieniami. Przy każdym kopnięciu bity mężczyzna kwiczał przeraźliwie, aż w końcu rozsłochał się skulony jak embrion.

- Zawsze się taki mądrała trafi - powiedział lekko zadyszany 900945, obracając się w stronę grupki „espe”. - No, chłopaki, wasza kolej, tylko nie żałować obcasów! A wy, chuj, co mówiłem?! - Obrócił się do grupy Atlasa Symbola. - W dwuszeręgu zbiórka!

Droga do miasta nie była męcząca, ale poeta wiedział, że zapamięta ją jako jedno z najbardziej upokarzających, a może nawet najbardziej upokarzające zdarzenie w swoim życiu. Bo oto oni, nazwani „ozet”, musieli iść karnie i milcząco (kobiecie w średnim wieku, która zaczęła coś gadać, nadzorca wybił zęby) w dwóch rzędach, a obok nich roześmiani, zadowoleni, pokrzykujący i opowiadający dowcipy pełne wulgaryzmów szli sobie więźniowie zakwalifikowani jako „espe”, czyli Służba Porządkowa. Dwóch znalazło na polu uschnięte drzewko i złamali je, robiąc sobie coś w rodzaju kijków, którymi szturchali przechodzących obok nich ludzi.

- Dobry duch, kamraci - roześmiał się z wozu 900945. - W mieście dostaniecie coś lepszego. Jak sobie zasłużycie, nawet elektryczne pałki!

- Jakie jajca! - zawołał znowu bysiorek i szturchnął Atlasa Symbola pod zebro. Nie zauważył, że to jego współtowarzysz drogi na Śląsk, może i dobrze, bo jakby zauważył, mógłby szturchnąć boleśniej.

Poeta kątem oka przyglądał się mężczyznom z wysiłkiem ciągnącym wózek nadzorcy. Więzień 900945 nie bił ich ani nie poganiał w jakiś okrutny sposób, tylko od czasu do czasu trząsał z bata ponad ich głowami. Atlas Symbol domyślał się, że cała ta scena została wyreżyserowana na użytek nowo przybyłych. Oto pokazywano im, co ich czeka, jeśli będą nieposłuszni - że posłużą jako zaprzęg dla kryminalisty, który potraktuje ich jak robocze woły. Podobną lekcją dla wszystkich miało być skatowanie Bogu ducha winnego mężczyzny, który ośmielił się nawet nie zaprotestować, a po prostu zacząć mówić w tonie, który nadzorca uznał za obraźliwy. Ciało tego człowieka leżało teraz w mięsistym bloku. On sam chyba jeszcze żył, bo kiedy go mijali, słychać było coś w rodzaju bolesnego, zgłuszonego skamlenia. Co się z nim stanie później? Czy doczołga się jakoś do miasta, czy też był zbyt pobity i zostanie już na zawsze na pierwszych metrach Śląska?

- Niech zaśpiewają coś! - zawołał 900945 z wysokości swego siedziszca. - Tylko radośnie!

Ot i następna nauczka, pomyślał Atlas Symbol, tak jakby obserwował tę scenę z boku i jakby wcale go ona nie dotyczyła. Cóż może być bardziej obrzydliwego niż kazać radośnie śpiewać upokorzonym, przerażonym więźniom zmierzającym właśnie w stronę swej bardziej niż niepewnej przyszłości?

- Szła dziewczeczka do laseczka... - szybko zaintonował facet, którego pobito w przedziale

kolejowym.

Szedł o kilka metrów przed Atlasem Symbolem; teraz uniósł głowę i śpiewał, sepleniąc niewyraźnie i obryzgując wszystkich wokół śliną, ale za to z pełną zapału żarliwością człowieka, który pragnie zostać doceniony.

- Może być dziewczeczka! - krzyknął 900945. - A z dziewczeczkami jeszcze zabawimy się w mieście, kamraci!

O takiej chwili chyba marzył przez całe życie. O pięknej kobiecie rozczesującej włosy przy drewnianej toalecie z wielkim kryształowym lustrem. Wokół jarzyły się bladożółte płomyczki świec, a w tym blasku rude włosy Liliany zdawały się jaśnieć i migotać. Amalryk stał przy oknie, kilka kroków od niej, i przyglądał się zarówno jej samej, jak i odbiciu w lustrze.

- Jesteś taka piękna - powiedział w końcu. Odwróciła się i uśmiechnęła. Zastygła na moment z uniesioną dłonią i ze szczotką tuż przy włosach. Gdyby był malarzem, chciałby uwiecznić tę chwilę. Niepowtarzalny ułamek sekundy.

- Dziękuję - odparła.

- Dziękować można tylko za komplementy - rzekł. - Ja nie mówię komplementów. Wiesz przecież, prawda?

- Tak. - Znowu wróciła do czesania, tym razem obrócona półprofilem. - Wiem. Każda kobieta chciałaby widzieć to coś w oczach mężczyzny. Coś tak prawdziwego. A ja to widzę w twoim wzroku.

- Tak bardzo chciałbym być kimś - powiedział, podszedł do niej i zupełnie instynktownie, jakby robił tak już tysiąc razy wcześniej, położył dłonie na jej ramionach. - Żebyś nie musiała się bać tego, co kiedyś nastąpi, ani się mnie wstydzić...

- Jesteś kimś - odparła. - Czy wszystko, co dzieje się wokół nas, nie świadczy o tym?

- To tylko sen, moja droga - rzekł, wzdychając. - Sen, z którego się niedługo obudzę. Ale będę wiedział, że właśnie dla tego snu warto było żyć.

Podniósł ją, była zdumiewająco lekka, i zagarnął w objęcia.

- Nie wiem, czemu to robisz - powiedział, czując dotyk jej ciężkich piersi i czując, jak czule oplata go ramionami.

- Ja też nie - odszepnęła, tchnąc mu prosto w twarz. - Może się kiedyś dowiem...



Trzeba przyznać, że pech postanowił stać się nieodłącznym towarzyszem podróży Atlasa Symbola. Najpierw przez własną godną potępienia głupotę poeta znalazł się w instytucie doświadczalnym, potem wylądował w transporcie prowadzącym wprost na Śląsk. Jeszcze później jak idiota przyznał się, kim jest z zawodu.

A przecież należało powiedzieć, że pracował jako fryzjer, murarz, krawiec czy technik... Jako ktokolwiek użyteczny, a nie nieszczęsna ofiara, potrafiąca jedynie stukać na klawiaturze komputera i ewentualnie z patosem recytować własne utwory lub też zachwycać się dziełami wydanymi na użytek własny i nielicznych znajomych. Bo i co człowiekowi przyjdzie z tego, że potrafi znaleźć rym do każdego słowa na świecie i że umie tak kunsztownie opisać wschód słońca, iż nie wiadomo, czy to faktycznie słońce wstaje na błękitnym niebie, czy też kompot truskawkowy rozlał się na niebieską ceratę.

Te talenty - tu, w obszarze wydzielonym - nikomu nie były potrzebne. Nie były potrzebne wyrafinowane metafory, onomatopeje dźwięczące jak dzwony czy zręcznie złożone anafory. Ba, ty nieszczęsny Śląska mieszkańcu, nawet apostrof nie chciałbyś słuchać, a dwunożne postaci snujące się po obozach pragnęły czegoś innego niż celnie utrafionej synekdochy.

I na pewno nie było na tej śląskiej ziemi Śląska kogoś, kto chciałby wysłuchać wykładu o pleonazmach, a zimnego ognia płonącego w sercach więźniów nie rozgrzałyby opowieść o oksymoronach. Poeta Atlas Symbol sądził, że umarliby z nudów, gdyby próbował wytłumaczyć im znaczenie literackiej hiperboli. Tak więc był tu faktycznie kimś, kogo można oznaczyć literami OZ - osoba zbędna. I nie był to dobry początek, ani też dobry start do więziarskiej kariery.

Jednak Atlas Symbol największy błąd popełnił, kiedy więźniowie funkcyjni zaczęli segregować nowo przybyłych do pracy. Najpierw wybrali kilka co ładniejszych kobiet (one mogły mieć życie lekkie lub trudne, zależnie od łatwości rezygnacji z pewnych zasad). Jeden z nich pociągnął za rękę Elwirę. Atlas Symbol zamarł, ale tylko przełknął ślinę i odwrócił wzrok.

- To moja suka - warknął bysiorek w plastikowej kurtce i wystąpił krok do przodu. Zrzucił dłoń tamtego z łokcia kobiety.

- Dobra, dobra. - Funkcyjny cofnął się bez słowa sprzeciwu. Może dlatego, że zobaczył wytatuowane litery SP na policzku bysiorka, może dlatego, że widział jego trzech kolegów, a może po prostu niepisany kodeks zabraniał korzystać z kobiety należącej do innego kamrata.

- Dziękuję - wyszeptała ledwo słyszalnym głosem Elwira.

- Obiady - rzucił bysiorek. - Śniadania i kolacje - dodał. - I lepiej się postaraj, żeby były smaczne.

Poetę przydzielono do pracy w kopalni, a on jak idiota zaprotestował.

- Ja w życiu nie kopałem węgla - powiedział. - Nawet nie wiem, jak się trzyma łopatę...

- Łopatę to ja ci, kurwa, w dupę wsadzę - burknął funkcyjny. - Na trzy dni do karczeru - rozkazał komuś za swoimi plecami. - Nie dawać kurwie jeść i pić, a jak zmądrzeje, to na przodek. - Spojrzał z pewnym uznaniem we wzroku na bicepsy i klatę Atlasa Symbola. - Jeszcze się przyda, więc go nie

zajebcie. Jasne?

Poeta przy całym swoim pechu i tak mógł mówić o wyjątkowym szczęściu, że trafił na dobrodusznego i łagodnego funkcyjnego. W końcu mogli z nim zrobić to samo, co z mężczyzną, który leżał pobity gdzieś w bloku zaraz za wojskową strefą. Dlatego Atlas

Symbol w myślach przeklinał samego siebie najgorszymi słowami, ale jednocześnie odczuł ogromną ulgę. Trzy dni jakoś miną, a potem przecież muszą mu dawać jeść, żeby mógł pracować. Na razie jednak wypchnięto go z tłumu, a kilka ciosów pałą zważyło go na ziemię.

- Żabkami, chuju, do pierdła marsz! - zawołał inny funkcyjny i dla pewności, że został dobrze zrozumiany, smagnął jeszcze poetę pałą przez bark. - Raz, raz, raz! Ręce na kark.

Tak więc Atlas Symbol skakał żabkami w stronę obdrapanego kwadratowego budynku, odległego o dobre trzysta metrów. Nie raz i nie dwa zarył nosem w błoto, co nieodmiennie wywoływało śmiech konwojenta. Ale na szczęście bawił się on tak dobrze, że w czasie tej podróży tylko kilka razy przeciągnął pałą po plecach więźnia.

*

- O, bat'ka - powiedział serdecznie i z wyraźnym rosyjskim akcentem mężczyzna przypominający posturą niedźwiedzia. - Żdalim ciebia, bat'ka. - Uśmiechnął się szeroko i Konrad Piotr zauważył, że mężczyzna nie ma zębów, lecz wszczepioną jednolitą tkankę kostną. Wyglądało to przerażająco.

- I ja się cieszę. - Pan Światłونيسień uścisnął podaną dłoń, a potem przywitał się z dwoma towarzyszami Niedźwiedziowatego. - Eta moj drug sierdecznyj - przedstawił pisarza, wypychając go lekko do przodu.

Konrad Piotr przywitał się z nimi i wywołał nawet na twarz blady uśmiech, chociaż budzili w nim jednocześnie fascynację i obrzydzenie. Pierwszy z towarzyszy Niedźwiedziowatego miał twarz Lenina, w której uderzały tylko wszczepione czarne oczy bez źrenic i tęczówek. Jak guziki naszyte pluszowej zabawce, pomyślał pisarz. Drugi natomiast przypominał stojącego na dwóch łapach gada. Kiedy otwierał usta, można było dostrzec spiłowane w trójkąty zęby i rozwidlony język.

- Taka u nich moda - wyjaśnił potem pan Światłونيسień. - Bawią się, zmieniając własne ciała, eksperymentują z wszczepami. Kto bardziej zmieniony, to znaczy, że bardziej godny szacunku.

- A ten ich szef? - zapytał Konrad Piotr. - Po nim przecież nic nie widać.

- On już nie potrzebuje takich zewnętrznych oznak, aby wzbudzać szacunek. Rządzi Moskwą od lat i nic nie zapowiada, by cokolwiek miało się zmienić.

Pisarz Konrad Piotr wiedział oczywiście, że Republiką Moskiewską oficjalnie kierował generał Drużkow, premier rządu. Ale i tak wszyscy zdawali sobie sprawę, że prawdziwą władzę sprawowała mafia. To dzięki niej Moskwa jeszcze broniła się przed islamskimi mudżahedinami. Mafiosi prowadzili również rozległe i szeroko zakrojone interesy. Sprzedawali ludzi, ropę naftową, szlachetne kruszce, narkotyki produkowane w nowoczesnych fabrykach zatrudniających najbieglejszych chemików. A islamistom grozili, że w razie ataku wysadzą wszystko, razem ze sobą,

w jednym wielkim wybuchu nuklearnym. I tak właśnie od lat utrzymywali się na powierzchni.

- Pohulajem siewodnia, szto? - zagadnął Niedźwiedziowaty.

- Pewnie pohulamy - zgodził się pan Światłونيسień.

- Mamy jeńców złapanych na sabotażu. Dzisiaj budiet igra. Na pał, na stos, na piłowanie, ha, ha. - Zaklaskał w dłonie. - Ja ich nazywam swymi muzykantami najlepszymi. Bo jak krzyczą, to nogi same się rwą do tańca.

- Widzę, że upodobania ci się nie zmieniły - uśmiechnął się szczerze pan Światłونيسień. - Dobrze wiedzieć, że na tym szalonym świecie, podlegającym ciągłym przemianom, są pewne rzeczy stałe i niezmiennie.

Niedźwiedziowaty chyba nie do końca pojął pana Światłونيسienia, ale uśmiechnął się szeroko, słusznie rozumując, że gość zapewne wypowiedział serdeczne słowa.

Poeta Atlas Symbol nie był koneserem męskiej urody, ale musiał przyznać, że księdza, który dzielił z nim celę, trzeba zaliczyć do ludzi wyjątkowo przystojnych. Pomimo choroby i zabiedzenia widać było, że ten mężczyzna musiał kiedyś łamać serca niewieście. I pewnie w czasie płomiennych kazań niejedna starsza lub młodsza kobieta snuła dzikie marzenia, jak to przyjmuje komunię tryskającą z kutasa księdza dobrodzieja. Teraz jednak towarzysz niedoli Atlasa Symbola miał rozpalone czoło i rozognione oczy. Jego wzrok nerwowo błądził od jednego kąta pomieszczenia do drugiego, tak jakby ksiądz wciąż szukał ukrytych szpiegów.

- Chodź, odź, dź - zawołał do poety szeptem i wtulił się pomiędzy puste skrzynki. - Szszybko...

Poeta zastanawiał się przez chwilę, czy nie udać, że nic nie słyszy, gdyż obcowanie z ludźmi chorymi lub szalonymi zawsze budziło w nim głęboką niechęć, a wręcz obrzydzenie. W końcu przysunął się do księdza, jednak na taką odległość, by ten nie mógł go dotknąć.

- Musisz zrobić coś dla mnie i za mnie. - Rozpalony wzrok zdawał się przewiercać Atlasa Symbola na wylot. - Ja zawiodłem, ty poprowadzisz zbożne dzieło. Przysięgnij!

- Jakie dzieło? - zapytał poeta, zły już na siebie, że w ogóle dał się wciągnąć w to wariactwo.

Trzeba było udawać głuchego, pomyślał poniewczasie. Albo nawet głuchoniemego.

- Jest ktoś, od kogo pochodzi całe zło, którego doświadczamy. Całe nieszczęście naszej zrujnowanej ojczyzny. - Ksiądz tym razem wznosił oczy ku niebu, a raczej ku okopconemu sufitowi celi.

- Aha - powiedział Atlas Symbol, byle coś powiedzieć.

- To ja miałem go zabić - zaszlochał duchowny. - Szkolono mnie i przygotowywano. Zapewniono świętą broń o niezwykłej mocy. Lecz zawiodłem! Przeklęte niech będą moja dusza, ciało i umysł. Na wieki przeklęte! - tym razem nie szeptał, lecz krzyczał głosem załamującym się od poważnego barytonu aż do rozpaczliwie żalosego falsetu.

- Cisza tam! - usłyszeli wrzask zza drzwi.

- Dawaj tu czarnego, zabawimy się - powiedział ktoś drugi.

- O Jezu najśłodszy, kurwa żesz mać, znowu dupczyć będą - rzekł ksiądz z rezygnacją w głosie.

- Później, później, najpierw rozpijemy jedną i drugą - powstrzymał towarzysza ten, który przed chwilą wrzeszczał na więźniów.

- Ufff - odetchnął ksiądz. - Ja niby przyzwyczajony z seminarium, ale... - machnął ręką.

- Słuchaj więc, kochany bracie - teraz szeptał tak cichutko, że Atlas Symbol chcąc nie chcąc musiał się do niego przysunąć, by cokolwiek usłyszeć. - Weźmiesz broń, którą dla mnie przygotowano, powiem ci, gdzie jest ukryta. A potem zabijesz go!

- Kogo?

Duchowny rozejrzał się, tak gwałtownie kręcąc głową na boki, że poeta przez chwilę obawiał się, czy nie skręci sobie karku. Wężowym, błyskawicznym ruchem przybliżył się do Atlasa Symbola i chwycił go za ramiona. Poeta w pierwszym odruchu chciał go odepchnąć, ale potem zdał sobie sprawę, że współwięzień wcale nie chce go zaatakować, a jedynie wyszeptać coś na ucho w najgłębszej tajemnicy.

- Nazywa się Światłonesień. - Gorący, smrodliwy oddech księdza owiał policzek poety. - Znajdziesz go pewnie w Warszawie. Zawsze tam spędza kilka dni w miesiącu. Tylko szybko, bracie kochany, tylko szybko musisz to zrobić!

- A co mam takiego zrobić? - Atlas Symbol nie mógł uwolnić się od bliskości księdza, gdyż ramiona tamtego obejmowały go jak kleszcze. Pomyślał, że im szybciej nieszczęśnik powie, co ma do powiedzenia, tym szybciej da mu spokój.

- No jak to co? Zabić, zabić, zabić! Na śmierć! - Ksiądz mimo podniecenia nadal się pilnował i mówił rozgorączkowanym szeptem, wyraźnie starając się nie podnosić głosu.

- Dobra. Zabiję go - zgodził się bez najmniejszych problemów Atlas Symbol. - Będzie okej.

- Och! - Ksiądz ucałował go uroczyście w oba policzki. - Błogosławię ci, bracie. Z serca ci błogosławię. - Zamaszyście uczynił nad głową poety znak krzyża. - Ale zaraz, zaraz, powiedziałem już, gdzie jest broń? - zaniepokoił się nagle.

- Kupię jakiegoś gnata - obiecał Atlas Symbol.

- Nie, nieeeeeee, to nie wystarczy. - Współwięzień znowu znalazł się tuż przy poecie, a ten starał się wstrzymać oddech. - Tylko święta broń może pokonać tego demona! Najświętsza ze świętych relikwii.

- Dobra. Gdzie ją znajdę? - Poeta wypuścił powietrze nosem i wciągnął ustami.

- Wszystko dobrze ukryłem. Tu nie zawiodłem, na Sądzie Pańskim zaświadczysz, że tu nie zawiodłem!

- Ciiiiszej - syknął Atlas Symbol, gdyż ksiądz znowu niebezpiecznie podniósł głos.

- Tak, tak, ciszej, ciszej, ciszej - głos duchownego powoli schodził do szeptu. - Broń znajdziesz w moim mieszkaniu, pod podłogą w dużym pokoju. Rydzyka 5 mieszkania 6. Zapamiętaj.

- Zapamiętam - obiecał poeta.

- Użyj tylko tych pocisków, które są w magazynku. Odlano je, używając wody z Lourdes zmieszanej z prochami najświętszej relikwii.

- Jakiejż to relikwii? - Atlas Symbol znowu dał się wciągnąć w dyskusję, zanim pomyślał, by ugryźć się w język.

- Sproszkowane genitalia papieża. - Teraz ksiądz szeptał tak cicho, że niemal niedosłyszalnie. - Jak wielka moc tkwi w tych nigdy nie użytych organach!

- A kto go tam wie, czy nigdy nie użytych... - mruknął poeta.

- Bezbożniku! - Kościste palce księdza jak cęgi zacisnęły się na szyi Atlasa Symbola.

- Żartowałem - wychrypiał ten, próbując się uwolnić. Przed sobą widział tylko rozjarzone wściekłością oczy towarzysza niedoli. - Bo nigdzie nie pójdę! - zacharczał.

Ucisk zelżał i ksiądz, ciężko dysząc, odsunął się na bok.

- Żartowałem... - powtórzył duchowny z goryczą. - Jak możesz szydzić ze spraw świętych! Potępieni niech będą ci, co zgubną wesołość odnaleźli w drwieniu z sacrum!

Atlas Symbol chciał go uciszyć, ale ksiądz wyraźnie się rozkręcał. Poderwał się na równe nogi i stanął pośrodku celi.

- Ogień i potępienie dla bezbożników! Grzesznik tkwić będzie w ogniu jako ryba w wodzie. Ogień otoczy potępionych i wedrze się do ich trzewi, aby zadać im katusze. Ich ciała zamienią się w płomień, a trzewia zaczną w nich płonąć, serca w piersiach ich zaczną płonąć, mózgi w czaszkach zaczną płonąć, krew w żyłach, a nawet szpik w kościach. Każdy niegodziwiec sam stanie się gorejącym paleniskiem..

Zamek w drzwiach szcęknął głośno.

- Ksiądz, cho no tu! Dupczenie - odezwał się ktoś z progu. Sądząc po głosie, musiał już sobie sporo wypić.

- Tylko żebyś mi jęczał po łacinie - odezwał się drugi z mężczyzn. - Jakoś mi się fajniej wtedy rżnie - dodał wyjaśniającym tonem, zapewne nie na użytek księdza, lecz swego kompana.

Towarzysz Atlasa Symbola westchnął i powlókł się w stronę uchylonych drzwi. Poeta wcisnął się w najciemniejszy kąt, modląc się gorąco, aby strażnicy nie przypomnieli sobie o jego obecności w celi.

Duchowny wrócił po kilkunastu minutach, niosąc w jednym ręku na pół opróżnioną butelkę mętnego płynu, a w drugim metalową miskę z szarą breją.

- Dostałem - pochwalił się. - Bimberek i ziemniaki.

I faktycznie nozdrzy Atlasa Symbola doleciał charakterystyczny odór księżycówki. Ksiądz tymczasem łyknął potężnie i zagarnął palcami szarą breję. Zamlaskał ze smakiem.

- Dupa nie z mydła, nie wymydlili się - stwierdził sentencjonalnie. - A przynajmniej jeść dają. Nie takie złe chłopaki, nie biją... Na, masz. - Wyciągnął butelkę w stronę poety.

Atlas Symbol wziął ją z rąk księdza, ale nim się napił, uważnie powąchał szyjkę. Cuchnęło, jak trzeba. Przechylił do ust i posmakował.

- Żesz ty, mocne - odetchnął głęboko i przechylił już teraz na solidnego gula. Od razu zrobiło mu się cieplej i jakoś tak radośniej.

- Teraz przysięgnij, że go zabijesz - ksiądz wrócił do swej obsesji. - Jeszcze teraz, w tym miesiącu.

- Widzisz, ojcze, wyjawię ci pewną tajemnicę. Jestem więźniem i nie mogę uciec ze Śląska - zażartował Atlas Symbol.

- Ano tak - stropił się ksiądz. Ale tylko na chwilę. - Damy radę - dodał zaraz. - Wyjdiesz kanałami. Znam ludzi, którzy cię przeprowadzą.

- To czemu ksiądz sam nie ucieknie?

- Ja nie mogę - westchnął. - Niegodnym. Tu mi żyć i tu mi zdechnąć w poniżeniu. Ale ty - znowu miał rozjarzone oczy - ty jeszcze możesz. Niewielu wie o tej drodze, niewielu zna tajemnicę kanałów. A one prowadzą wszędzie, wszędzie tam, gdzie drogę wśród rzek gówna zna tylko Bóg i kanalarze, służki boże.

Amalryk Dymała wyszedł przed pałacyk, w którym Asterix Bellagrande miał swe apartamenty. Odetchnął rześkim porannym powietrzem i mrużąc oczy, spojrzał w kierunku słońca, które malowało różowe smugi na strzępiastych obłokach. Oczywiście ani słońce, ani bielusieńkie chmury nie były prawdziwe. Lecz znajomość faktu, że ma do czynienia jedynie ze zmieniającą się dekoracją, nie przeszkadzała Dymale chłonąć tego widoku z prawdziwym zadowoleniem. Przez chwilę nawet przestał się bać, choć zaraz potem strach wrócił. Po niezwyklej nocy spędzonej z Lilianą wiedział już, że warto żyć. A skoro warto żyć, to znaczy, że należy się również lękać. Tylko ludzie gardzący własnym życiem mogą zdobyć się na lekceważenie nieszczęścia lub śmierci. Im bardziej pragnie się żyć, tym bardziej boli wszystko, co życiu temu może zagrażać. I tym większy jest wtedy strach.

Na początku pomyślał, że to zły sen. Ale to nie był sen, tylko jasna i prosta konsekwencja wcześniejszych zdarzeń. Tak się po prostu stać musiało. A więc ujrzał ich trzech (a przecież trzy jest liczbą magiczną), jak wyłaniali się z szarego mroku, bo sami byli jedynie szarym mrokiem. I pierwszym odczuciem, jakiego doświadczył (oprócz strachu, rzecz jasna, gdyż obecność strachu była naturalna, kiedy się ich widziało), okazała się gigantyczna ulga. Być może było to doznanie typowe dla ściganej zwierzyny, w równej mierze pożądającej wolności, jak myśliwego. Bo najgorzej jest przecież uciekać, a strach towarzyszący ucieczce jest strachem najgorszym ze wszystkich strachów.

- Mój Boże - powiedział. - Taki jestem zmęczony.

I chyba w jego głosie zabrzmiała wdzięczność. Spięli mu dłonie na plecach kajdankami, ale bez zbędnej brutalności, gdyż ich celem nie było zadawanie bólu. Czas tych, którzy zadają ból, miał dopiero nadejść. Dla Amalryka Dymały było to tak oczywiste, jak fakt, że po nocy nadchodzi dzień, i nie zamierzał przeciwstawiać się prawom, które ustalono poza i ponad nim, a jego akceptacja czy sprzeciw nie miały żadnego znaczenia. W chwili, kiedy zaczęły się kręcić żarna sprawiedliwości, nic już nie miało żadnego znaczenia. Wiedział, co dalej nastąpi. Wiedział, że zejdą razem z nim po schodach i nie pozwolą mu zabrać nic ze sobą, nawet widoku współczującej twarzy stróża. To oni byli jedynymi stróżami, jedynymi strażnikami i jedynymi wykonawcami woli bożej.

Uratuj tylko ją, zaszeptał w myślach. Pozwól jej uciec.

Nie wiedział, do kogo kierował te błagania czy prośby. Bo przecież chyba nie do Boga, szalonego twórcy najobrzydliwszego ze światów. Ale może liczył na to, że nawet ta spotworniała kreatura nazywana Bogiem zachowała jakąś resztkę litości i potrafi wykrzesać choć iskrę miłosierdzia.

Wsiedli do czarnej limuzyny ze złotymi kluczami wymalowanymi na drzwiach. Jeden z szarych usiadł z przodu, obok kierowcy, dwaj pozostali zabrali Amalryka Dymałę na tylne siedzenie i nawet pomogli mu zmieścić się w drzwiach, uważając, aby nie uderzył głową w krawędź.

Gdzie ona jest? Tylko ta myśl bezustannie kołatała w głowie Amalryka Dymały i chciał wierzyć, że ukochana jest bezpieczna.

Chciał w to wierzyć, choć rozsądek podpowiadał mu co innego i kreślił przed nim posępne obrazy tortur oraz przesłuchań, którym zostanie poddana Liliana. Naprawdę trudno było wierzyć w cuda, bo cuda zdarzały się dawno temu, przed wiekami, a i tak zapewne były tylko dziełem zręcznych oszustów lub majaczeniem na jawie zidiociałych pastuszków, którzy za każdym tumanem mgły chcieli widzieć twarz Matki Boskiej. Tak, tak, minął już czas cudów i także Jezus, gdyby dzisiaj umierał (jeśli w ogóle kiedykolwiek istniał), nie zaznałby radości odkupienia i zmartwychwstania, a konałby z rozpaczą w martwiejących na zawsze żrenicach. Taki to był czas i taki to już był świat. Może nawet Bóg nie potrafiłby dzisiaj zmartwychwstać, a może zmartwychwstać by po prostu nie chciał. Bo jeśli prawdą było, co Biblia mówiła o poświęceniu i złożeniu ofiary, to czy ludzkość była godna, aby umierać za nią Bóg? Jej raczej należał się triumfalny ryk tych, co „imię moje Legion”, i wieczna rozpacz bez kropli nadziei. I popiół. I ogień. I niebo jak krwawa szmata.

Ale jeśli Pan zechce przybyć, pomyślał z nagłą pasją Amalryk Dymała, to niech nie będzie miłosierny i wybaczący. Niech ogień zalśni w oczach Pana i niech stanie na czele niebieskich hufców. Niech przybędzie surowy i w gniewie, niech przetną powietrze świetliste miecze archaniołów. I niech Pan nie ma litości, niech nie pojawia się, aby wybaczać, lecz by karać tych, co sprzeciwili się Jego słowu, tych, którzy nazwali się Jego kapłanami, tych, którzy co dzień Go krzyżowali, i tych również, co badali palcami Jego rany. Wszystkich, którzy chwając Wielką Nierządnicę z Watykanu, zapomnieli o tym, że Bóg jest ponad nią. Bo może On nas tylko sprawdza? Ocenia, co przez przeszło dwa tysiące lat uczyniliśmy z darem, który nam powierzył. I jak wróci na końcowy egzamin, to oceny kreślić będzie krwią tych, którzy ten dar splugawili.

- Zapalisz se, kurwa? - rzucił jeden z szarych i wetknął papierosa w usta Amalryka Dymały, nie czekając nawet na odpowiedź.

Dymała zaciągnął się chciwie i wypuścił dym nosem. Potem papieros trochę się przekrzywił i Amalryk przestraszył się, że zaraz spadnie mu na spodnie lub na podłogę. Konwojent zauważył to i poprawił papierosa w jego ustach. Aresztant poczuł nagle, że zaczynają mu drżeć kolana. Strasznie też chciało mu się sikać, ale jakoś nie mógł się zdobyć, by poprosić o postój. Zresztą oni i tak pewnie by się nie zatrzymali. Cóż to za powód do zatrzymania, że chce się szczać takiemu robakowi jak Amalryk Dymała? Cóż to za powód do zatrzymania wprawionej w ruch i rozpędzonej maszyny sprawiedliwości, która przecież zatrzymywania nie znosi, obawiając się, iż nawet chwilowa przerwa w pracy mogłaby wywołać jej destrukcję.

Nie wiedział, dokąd jada, gdyż szyby samochodu były smolisto czarne. Przez chwilę zastanawiał się, jak radzi sobie w tej sytuacji kierowca, zaraz potem zorientował się, że tamten musi mieć implanty. Kościół potępiał wszczepy oraz implanty, ale nie był to przecież powód, aby ich nie stosować, jeśli tylko były skuteczne. Kościół potępiał przecież również przemoc, co nikomu nie przeszkadzało wojować w imię Chrystusa.

Wreszcie samochód się zatrzymał i Amalryk Dymała zastanawiał się, czy będzie mógł wstać, tak drżały mu nogi. Jednak wstał, a szarzy pomogli mu wyjść na zewnątrz. Znaleźli się w punktowo

oświetlonym, sterylnie czysto białym garażu. Najpierw zaprowadzili go do windy, a potem, po wyjściu z windy, przeszli korytarzami o ścianach koloru jasnej szarawki, gdzie nerwowo mrugały światła jarzeniowych lamp. Wreszcie otworzyli któreś z kolei drzwi, weszli do środka i posadzili więźnia na metalowym fotelu, po czym jeden z nich wyszedł, a drugi stanął przy drzwiach.

Amalryk Dymała rozejrzał się wokół. Pokój był maleńki. Właściwie tylko białe plastikowe biurko z naciekiem, chyba po rozlanej kawie, białe plastikowe krzesło z wyszczerbionym oparciem, zupełnie jakby ktoś odgryzł jego kawałek. Tu zresztą mogło się i tak zdarzyć. No i ten metalowy fotel, na którym siedział. Fotel nieokreślonego koloru i niewygodny. Zresztą na pewno nikt go nie projektował w tym celu, aby był wygodny.

I kiedy już Amalryk Dymała rozejrzał się i przebadał wzrokiem każdy fragment pomieszczenia, drzwi się otworzyły. Zobaczył postać, która weszła do środka, i wiedział już, że jeszcze chwila, a zesra się ze strachu. I wiedział również, cholera, wiedział doskonale, choć, Boże mój, wolałby zapewne tej wiedzy nigdy nie osiąść, że w wyrażeniu „zesrać się ze strachu” nie ma nic wydumanego. Do środka wszedł bowiem Pan Kot. Pan Kot nie wyglądał wcale przerażająco. Miał bardzo bladą, prawie białą twarz i czarne okulary. Tak czarne, iż absolutnie niemożliwe było dostrzeżenie jego oczu. Podobno nikt nie widział oczu Pana Kota, a ci, co widzieli, nie mieli okazji nikomu się pochwalić swą wiedzą. O Panu Kocie krążyły legendy oraz opowieści, a Amalryk Dymała w najczarniejszych snach nie przypuszczał, że spotka się z nim kiedyś twarzą w twarz.

Pan Kot siadł na krześle i zaczął uważnie przyglądać się plamie po kawie. Przyglądał jej się tak długo, aż zaniepokojony wartownik podbiegł i starł ją mankietem marynarki. Amalryk Dymała dostrzegł, że twarz tego człowieka stała się nagle tak biała, prawie tak biała jak twarz samego Pana Kota. Tymczasem Pan Kot wyjął dwa papierosy. Wąskie, brązowe, ze złotym monogramem. Szary momentalnie błysnął zapalniczką, a Pan Kot jednego papierosa wsadził w usta Amalryka Dymały, a drugim sam się zaciągnął.

- Dlaczego ten człowiek jest skuty? - zapytał, a jego głos był miękki i głęboki, niczym pełny zadowolenia pomruk.

Wartownik zaczął pospiesznie rozkuwać Amalryka Dymałę, zanim jeszcze słowa Pana Kota zdołały przebrzmieć. Amalryk Dymała uwolnił dłonie i zaczął rozcierać zdrętwiałe nadgarstki. Nawet nie dlatego, że go bolały, ale po prostu, aby nie było widać drżenia palców. Tak jakby przed Panem Kotem dało się coś ukryć.

- Nie sądziłem, że kiedykolwiek się spotkamy - powiedział Pan Kot i krótkim ruchem podbródka dał znać strażnikowi, żeby opuścił pokój.

Położył dłonie na stole i wtedy Amalryk Dymała spostrzegł, że dłonie te przyobleczone są w czarne rękawiczki, tak cienkie, że mogłyby się wydać ludzką skórą.

- Ale... - Pan Kot zawiesił wzrok na twarzy więźnia - zaskoczyłeś mnie - dodał, a Amalryk Dymała zdziwił się, dlaczego nie powiedział „rozczarowałeś” lub „zawiodłeś”.

- Co z nią? - zapytał Amalryk Dymała, choć słowa z trudem przecisnęły mu się przez usta.

Wiedział, że nie powinien okazywać swojego zainteresowania i uczucia, gdyż oni dzięki temu zyskają następny sposób, by go torturować. Nie mógł się jednak powstrzymać.

- Co z Lilianą, tak?

- Właśnie, co z Lilianą? - ośmielił się odszepnąć Amalryk Dymała, a Pan Kot pokiwał głową.

- Tak, z Lilianą - powiedział. - A cóż mogłoby być? Wyjechała do Parmy razem z arcybiskupem.

- Przyglądał się uważnie łzom w oczach Amalryka Dymały. - To bardzo boli? - spytał. - Tak, bardzo - odpowiedział sam sobie z satysfakcją w głosie. - Czego mogłeś się spodziewać po kurwie i po złodzieju? Wydymali cię i okradli, tak jak było do przewidzenia. - Uśmiechnął się. - Twoją jedyną zaletą były pieniądze, a kiedy je straciłeś, okazałeś się całkowicie pozbawiony wartości.

- Nieprawda - zaprzeczył odruchowo Amalryk Dymała i sam zdumiał się tak bardzo własną śmiałością, że przyciął sobie język zębami. Poczul słodki smak krwi w ustach.

- Prawda, nieprawda... - Pan Kot zaplótł palce. - Prawda, nieprawda - powtórzył znowu, jakby zastanawiając się, które słowo lepiej pasuje. - Tego się już nie dowiesz, hm?

Amalryk Dymała odwrócił wzrok, gdyż nie mógł znieść spojrzenia Pana Kota, mimo że nie widział przecież jego oczu spoza smolisto czarnych szkieł.

- Zwykle nie kłopotają mnie takimi sprawami - rzekł Pan Kot, niemal jakby się usprawiedliwiał. - Ale wszystkich niezmiernie interesuje, dlaczego jeden z najbardziej znanych ludzi w naszym kraju oddał ci cały majątek i wyjechał za granicę. Może zechcesz mi to wyjaśnić?

- Nie mam pojęcia - odparł znużonym głosem Amalryk Dymała. - Ja nic nie wiem... Naprawdę nic nie wiem...

- Taaak. - Pan Kot rozplótł palce. - Będziemy więc musieli zobaczyć, co tam jest. - Wyciągnął urękawiczoną dłoń i lekkim ruchem stuknął więźnia w czoło. Amalryk nie zdołał nawet cofnąć głowy. - Niektórzy ludzie są jak bomby z opóźnionym zapłonem - kontynuował Pan Kot. - Kto wie czy ty nie jesteś taką bombą... A jeśli tak, to kto cię zaprogramował? I w jakim celu?

- Nie jestem bombą - wyjąkał Amalryk Dymała, chociaż język kołowaciał mu ze strachu.

- A myślisz, że gdybyś był, to byś wiedział? - odpowiedział pytaniem Pan Kot. - Wybierzemy się na wycieczkę w głąb twojego umysłu, a ja będę podróżnikiem. - Jego blade usta skrzywiły się w leciuteńkim uśmiechu. - Tylko widzisz, mój drogi, jestem podróżnikiem nieco swawolnym. Tu rzucę pustą puszkę, tam wyrysuję swoje inicjały na kamieniu, ówdzie podepczę krzaki. To może nieco zmienić teren, po którym będę stąpał, jeśli dobrze rozumiesz, co mam na myśli.

Amalryk Dymała nie był ani uczonym, ani technikiem, ale rozumiał doskonale. W dzisiejszych czasach mało kto wydobywał już zeznania głodem lub biciem. Owszem, postępowało się tak ze zwykłymi kryminalistami, w ważniejszych jednak sprawach inwigilowano świadomość oraz podświadomość więźnia. I takie spacerunki po mózgu faktycznie kończyły się bardzo różnie.

- Gdybym cokolwiek wiedział, powiedziałbym panu - szepnął. - Przysięgam na Boga, że bym powiedział.

Pan Kot prawdopodobnie wyczuł szczerą w jego głosie. Skinął głową.

- Być może nie wiesz, że wiesz - odrzekł, a Amalryk Dymała po chwili potrzebnej na zrozumienie tych słów, z przerażeniem pojął, że to może być prawda.

- Sam się więc przekonam - dodał Pan Kot i wcisnął przycisk na biurku.

Amalryk Dymała nie mógł dostrzec, co się dzieje za jego plecami, ale wyraźnie usłyszał odgłos

otwieranych drzwi, a potem czyjś oddech.

- Przygotujcie mi aresztowanego - rozkazał Pan Kot. - I niech lekarz cały czas monitoruje pracę mózgu. Na razie - niemal leciutko westchnął - nie chciałbym go za bardzo popsuć.

Potem już wstał i nie zwracając uwagi ani na Dymałę, ani na strażników, opuścił pokój.

- W kurwę, człowieku, powiedz mu lepiej wszystko, co wiesz - szepnął strażnik, zapinając z powrotem kajdanki na przegubach dłoni więźnia. - Ten facet wyjebie ci mózg w kosmos.

- Zamknąć mordę - rozkazał ktoś przy drzwiach. Amalryk Dymała przekręcił lekko głowę i dostrzegł stojącego na progu oficera.

- A nieprawda, panie poruczniku, jak Boga kocham? - zapytał strażnik.

- Prawda, prawda - mruknął ten. - Zabieraj go na oddział medyczny. I nie zapomnijcie potem o wózku.

- Jakim wózku? - odezwał się Amalryk.

- Myślisz, że wyjdiesz po wszystkich na własnych nogach? - W oczach oficera nie było nawet rozbawienia ani satysfakcji z zadawania bólu, tylko zmęczenie. - A nikt cię nie będzie taszczył do celi.

Amalrykowi Dymale chciało się wyć. Chciał się rzucić na strażników, uciec, kopać i gryźć, ale wiedział, że to bez sensu. Na całym świecie więźniowie skazani na śmierć często nie wytrzymywali nerwowo i próbowali się wyrwać strażnikom. Bez sensu, bo szanse powodzenia mieli równie duże jak karaluch pod prasą hydrauliczną. A jednak chęć przetrwania i instynkt samozachowawczy były tak obłądnie silne, że pokonywały jakąkolwiek logikę. I swe ostatnie chwile spędzali, wyjąc, szarpiąc się i kopiając, pozbawieni resztek ludzkiej godności. Dymała nie zamierzał tak postępować. Poza tym liczył na dar od losu. A nuż z jakichś powodów do przesłuchania nie dojdzie? A może nie będzie tak straszne, jak o tym mówią? Może Pan Kot zbada jego mózg, zobaczy, że nie ma w nim żadnych tajemnic, i puszcza go z powrotem do domu? Tak, tak, nawet stojąc nad rowem wypełnionym gaszonym wapnem, z lufą pistoletu przy skroni, należy szczerze liczyć na to, że zły los się odwróci.

Gabinet lekarski był mały, a za całe wyposażenie musiały wystarczyć dwa łóżka (do jednego przytroczono szerokie plastikowe pasy) oraz skomplikowana konsola z licznymi przyciskami i ekranem. W środku czekał już mężczyzna w białym kitlu.

- Podwinąć rękaw - powiedział na dzień dobry. - Nie szarpać się, nie wrywać, to tylko zastrzyk rozluźniający mięśnie.

Amalryk Dymała nie zamierzał się ani szarpać, ani wrywać. Spokojnie dał się ułożyć na łóżku, przywiązać do niego pasami i włożyć sobie na głowę głęboki hełm, który przesłonił mu oczy. Niedługo potem usłyszał szcęknięcie drzwi i domyślił się, że do gabinetu wszedł zapewne Pan Kot. Faktycznie, po chwili usłyszał jego głos.

- Proszę zaczynać, doktorze...

Amalryk Dymała usłyszał spokojne, miarowe i kojące buczenie. Przestał słyszeć cokolwiek poza nim i poczuł się nagle słaby jak nowo narodzone dziecko. A zaraz potem odleciał w całkowitą pustkę.

Rozdział siódmy

Atlasowi Symbolowi jakimś cudem udało się zachować analne dziewictwo. Strażnicy korzystali co prawda bez umiaru z wdzięków księdza, lecz nie przyszło im do głowy, by podobne figle uprawiać z poetą. Być może nie spełniał ich kryteriów urody, a może po prostu byli monogamicznie zaślepieni przez człowieka, który tak pięknie lamentował po łacinie.

W obozie panował bałagan i najwyraźniej nie wiedziała prawica, co czyni lewica. Atlas Symbol miał przecież zostać zamknięty w karczerze, a tutaj nie dość, że miał towarzystwo księdza, to jeszcze nieoczekiwanie do celi wrzucono faceta, którego chuligani pobili w przedziale kolejowym.

- O - powiedział poeta, jak tylko zobaczył, z kim ma do czynienia. - Śpiewanie nie pomogło?

Facet zaklął coś, ale niewyraźnie, bo brak sztucznej szczęki poważnie odbijał się na jakości jego wymowy.

- Wsadzili, znaczy mieli rację - rzekł w końcu na cały głos.

- Tu nikt nie słucha, daruj sobie. - Poeta machnął ręką.

- A ten? - wyszeptał nowo przybyły, krótkim ruchem podbródka wskazując siedzącego w kącie księdza.

- To nie kapucha, on jest w porządku. Trochę nie tego tu - Atlas Symbol obniżył głos - ale generalnie w porządku...

Siedzieli w niemal całkowitych ciemnościach (światelko wpadało tylko przez dość szeroką szparę między podłogą a drzwiami) i Atlasowi Symbolowi po kilku godzinach znudziło się milczenie.

- Powiedz o tym swoim opowiadaniu - zagadnął współwięźnia - co cię za nie wsadzili.

- Ach tam - zachnął się tamten.

- Syp, syp... - zachęcił go serdecznym tonem poeta.

- Eee, nie ma co gadać.

Atlas Symbol był jednak zbyt starym literackim wyjadaczem, by nie zorientować się, że tym razem jego towarzysz tylko się kryguje. Najwyraźniej miał ochotę opowiedzieć komuś o swym dziele i strach walczył o pierwszeństwo z poczuciem dumy.

- Panie kolego... - powiedział poeta przekonującym tonem.

- Taka amatorszczyzna. Naprawdę...

- Do pewnego momentu każdy z nas jest amatorem - stwierdził Atlas Symbol autorytatywnym tonem, wielkodusznie podciągając swego towarzysza do kategorii „my”. - Nie ma się czego wstydić. No, proszę bardzo...

- Głównym bohaterem był anioł - wyjaśnił wreszcie facet i spojrzał podejrzliwie spode łba, czy aby pomysł ten nie wzbudzi wesołości u słuchających.

Jednak ksiądz w ogóle nie zwracał na niego uwagi (może nawet nie słyszał wypowiedzianych słów), natomiast Atlas Symbol nie zamierzał kpić, a przynajmniej nie na samym początku historii, wychodząc ze słusznego założenia, że wtedy nie usłyszałby jej końca.

- I ten anioł został posłany przez Boga na ziemię, by na własnej skórze poczuć nędzę ludzkiego życia. Jednak Bóg zabrał mu całą wiedzę o tym, kim jest, oraz wszystkie zdolności.

- I co miał tu robić? Dano mu jakąś misję do spełnienia?

- Nie - wzruszył ramionami współwięzień. - Miał po prostu przeżyć życie zwykłego człowieka, nawet gorzej niż zwykłego, ot, takiej mendy. A po co to wszystko? Ano po to, by po pierwsze, docenić swoje własne istnienie jako anioła, a po drugie, by nie grzeszyć już pychą i litować się nad tymi, którzy są słabi oraz niezaradni i którym należy pomóc, a nie chełpić się swą wyższością nad nimi.

Poeta spojrział na opowiadającego i dostrzegł, że facet patrzy gdzieś w sufit celi. Atlasowi Symbolowi ten człowiek wydawał się ostatnim, który mógłby perorować na temat pomocy potrzebującym, ale było to tylko kolejne potwierdzenie tezy mówiącej, że nie należy szukać związków pomiędzy życiem autora a jego twórczością.

- I co się dalej z nim stało?

- Zakochał się - westchnął facet. - I na tym skończyłem - westchnął po raz drugi. - Ale chciałem, aby odmówił, kiedy przyjdzie pora powrotu do nieba.

- Bo?

- Bo znalazł tu, u nas, więcej, niż mógł znaleźć w niebie. Ból i rozkosz, śmierć i nadzieję, miłość i nienawiść, podłość i porywy szlachetnych uczuć. I nie zdążyłem zrobić nic prócz notatek. Aresztowali... - westchnął trzeci raz.

- Całkiem, całkiem. - Pokiwał głową Atlas Symbol.

Wcześniej sądził, że usłyszy jakąś totalnie idiotyczną historyjkę, a ta nawet mu się spodobała. Jasne, że właściwe jej opowiedzenie wymagałoby kunsztu literackiego, którego ten człowiek na pewno nie posiadał. Ale mogła stanowić podstawę całkiem niezgorszego utworu w rękach kogoś zdolniejszego. Tylko dlaczego za coś takiego wysłano go od razu na Śląsk?

Po opowiedzeniu swojej historii współtowarzysz niedoli umilkł i chociaż poeta starał się go jeszcze ciągnąć za język, to nie udało mu się nic z niego wydusić. Wreszcie więc dał spokój, a kiedy obudził się rano, zobaczył, że sepleniącego faceta nie ma już w celi.

- Długo se, kurwa, nie posiedział - mruknął z zazdrością.

Trzy dni spędzone w karczerze miały być karą osamotnienia, głodu i pragnienia, a okazały się tylko karą nadpobudliwego towarzystwa. Bowiem oszałały ksiądz solidarnie dzielił się z poetą zarobionymi w pocie dupy wiktualiami, ale za to bez przerwy zadręczał go wizjami przeszłości (tragicznej), teraźniejszości (złej) i przyszłości (świetlanej). Bez przerwy również kazał Atlasowi Symbolowi przysięgać, że wypełni wielką misję i zabije pana Światłoniesienia.

Adres Rydzika 5 mieszkania 6, gdzie miała być ukryta broń-relikwia, poeta znał na pamięć. Ten adres mógłby wyrecytować zaraz po obudzeniu albo spity do nieprzytomności. Towarzystwo księdza było tak męczące, że w pewnym momencie Atlas Symbol zaczął się zastanawiać, czy praca

przodkowego na kopalni faktycznie jest aż tak wyczerpująca i niebezpieczna, jak wszyscy twierdzą.

Wreszcie jednak nadszedł dzień zwolnienia, a zbieg okoliczności sprawił, że duchowny i poeta opuścili więzienie w tym samym czasie.

- Co tam? - zagadnął nadzorca. - Kopalnia czy wracasz do karceru?

- Kopalnia, proszę pana - grzecznie odpowiedział Atlas Symbol.

Jednak nie dane mu było pełnić odpowiedzialnej roli przodkowego. Szalony ksiądz dość serdecznie pożegnał się ze strażnikami, a potem zaciągnął poetę do kąta.

- Jesteś gotów? - spytał rozgorączkowanym szeptem. - Jeśli tak, to idziemy!

- Jestem gotów - mruknął Atlas Symbol, choć na dobrą sprawę powinien trzymać się jak najdalej od obłąkańca. Ale nie chciał, by ten wszczął jakąś awanturę przy strażnikach, co mogłoby się skończyć kolejnym uwięzieniem.

- Za mną w takim razie! - rozkazał ksiądz. Przemknęli przez zrujnowane osiedla, kryli się przed innymi więźniami i przed patrolami funkcyjnych. Atlas Symbol początkowo chciał zwiać przy pierwszej nadarżającej się okazji, lecz w pewnym momencie zorientował się, że bez pomocy nie trafi z powrotem. A to byłoby niebezpieczne, gdyż nadzorca wyraźnie kazał mu zgłosić się do rejestracji, z której miano skierować go do kopalni. Poeta postanowił więc odbyć tę pozbawioną sensu eskapadę, a potem namówić towarzysza, by odprowadził go na miejsce.

Wreszcie ksiądz wprowadził ich do ciemnego zaułka schowanego pomiędzy pokrytymi liszajami ścianami wieżowców. Nachylił się i prętem podważył ciężką żelazną płytę. Otworzyło się wejście do kanałów.

- Skacz - rozkazał. - Oni już czekają.

- No więc... - zaczął Atlas Symbol, ale nie zdążył dopowiedzieć zdania.

Ksiądz ruszył na niego z całym szaleńczym impetem i wepchnął go do studzienki. Poeta próbował jeszcze złapać się krawędzi, lecz szybki kopniak zbił mu palce ze stalowej obręczy.

- Niech ci Bóg błogosławi, mój synu - usłyszał, spadając. - Będę się za ciebie modlił z całego serca!

Atlas Symbol wpadł w rzadką, cuchnącą breję, a otaczający go smród był tak przeraźliwy, że musiał solidnie, raz i drugi, się wyrzygać. Kiedy nieco doszedł do siebie, spojrzął w górę i zobaczył szary okrąg dnia-na-zewnątrz-ścieków. Bardzo wysoko był zawieszony ten okrąg.

- Proszę księdza, niech ksiądz znajdzie jakiś sznur - krzyknął, starając się, by te słowa zabrzmiały rozsądnie oraz poważnie, lecz również ze stosowną nutą pokory.

W odpowiedzi usłyszał sapanie i zgrzyt stali ciągnionej po kamieniach. Okrąg powoli zamienił się w półokrąg, potem w sierp, a potem zapadła absolutna ciemność.

- O żesz kurwa - powiedział Atlas Symbol, choć można byłoby się w tym wypadku kłócić pomiędzy słowami „powiedział” a „zaszłochał”, i wyciągnął dłonie przed siebie. - I co ja mam teraz zrobić?

- Hej, hej, hej! - usłyszał z oddali, gdzieś z głębi kanałów. Słabo, ale wyraźnie.

- Tuuuu! - zakrzyczał z tak rozpaczliwą siłą, że aż sam się zdumiał, iż ma głos jak dzwon. - Pomocy! Ratunku!

Pomyślał, że to zapewne patrol funkcyjnych sprawdza kanały, lecz nawet wizja bicia i karceru była lepsza od wizji błąkania się w smrodliwej, ciemnej pustce.

- Tu, tu, tu, tu! - zawołał raz jeszcze i o mało nie rozplakał się ze szczęścia, kiedy zobaczył światełko.

Najpierw był to jedynie delikatny pobłysk, już i tak błogosławiony, gdyż poczynił wyłom w absolutnej czerni i poeta mógł dostrzec własne dłonie, kiedy podniósł je blisko oczu. Potem pobłysk zamienił się w światełko, wreszcie w światło, aż w końcu stał się silnym snopem jasności bijącym z reflektora.

- Dawaj, bracie, dawaj - Atlas Symbol usłyszał zdumiewająco serdeczny głos i pobrnął przez cuchnącą maź.

Ktoś podał mu rękę i wciągnął na pokład łódki. Poeta zobaczył ubranego w pomarańczowy kombinezon szpakowatego jegomościa o życzliwej twarzy.

- Od księdza Marka? - zagadnął kanalarz.

- Tak, tak, tak. - Atlas Symbol nie mógł się powstrzymać, by nie chwycić w objęcia swego wybawcy.

- No, no, no. - Ten wyzwolił się grzecznie, ale stanowczo. - Bez takich. Wy tam w seminariach czasami przeginacie...

- Ja nie jestem księdzem - zaprotestował poeta pełen oburzenia, że wyraz jego czysto ludzkiej radosnej wdzięczności można było wziąć za wstęp do homoseksualnych pieszczot.

- A, no dobra. - Kanalarz poklepał go po ramieniu. - Nie bój bidy, bracie, ze mną nie zginiesz. Do Warszawy, tak?

Atlas Symbol nie chciał wierzyć własnym uszom. Jak to do Warszawy? Jeszcze przed chwilą był więźniem najstraszniejszego obozu koncentracyjnego, a teraz proponują mu, że niedługo może być w domu? I w dodatku nie będzie się musiał niczego bać, gdyż nie został na Śląsk zesłany prawomocnym wyrokiem, a trafił tam jedynie jako ofiara porwania! Wróci więc do dawnego, spokojnego życia i tym razem będzie bardzo uważał. O, tak, na Boga! Będzie uważał bardziej niż bardzo na to, aby nigdy już nie wpaść w kłopoty i nie dać się wciągnąć w żadną aferę. Może tylko - tu zaświtała mu myśl na zrobienie kariery - napisze jakieś wielkie dzieło wspomnieniowe. Na przykład zatytułowane: „Śląsk - jak uciekłem z obozu zagłady” czy „Atlas Symbol - poeta, który dokonał niemożliwego” albo po prostu skromnie „Heros naszych czasów”. A książka składać się będzie ze wspomnień przetykanych wstrząsającą obozową poezją, wyrosłą na gruncie własnych jakże tragicznych doświadczeń. O, tak!

- Tysiąc dolców i lodzik. - Kanalarz klasnął w dłonie, wrywając poetę z zamyślenia. Potem, widząc wyraz twarzy swego pasażera, roześmiał się serdecznie. - Żartowałem, kurwa żesz - wyjaśnił.

- Zapierdalamy, brachu - dodał po chwili. - Tylko najpierw - jego głos spoważniał - muszę wiedzieć, czy aby na pewno dopełnisz złożonej obietnicy?

- Jak Bóg na niebie, dopełnię - z uczuciem powiedział Atlas Symbol, który w tym momencie

obiecałby wszystko i każdemu, gdyż marzył tylko o tym, by znaleźć się we własnym domu i położyć na kanapie z butlą zimnego piwa w dłoni.

- Może tak, może nie - powiedział kanalarz z namysłem w głosie. - Cho no tu! - zawołał nagle.

Atlas Symbol aż się wzdrygnął, tak raptowne było u jego wybawcy przejście ze spokojnego głosu na rozkazujący krzyk. Rychło się przekonał, że słowa „cho no tu!” nie były skierowane do niego. Bo oto w otwartych dłoniach kanalarza wylądował wielki, tłusty czarny szczur, posturą przypominający wypasionego kota. Szczur zachowywał się zdumiewająco spokojnie, jak wytresowane zwierzątko domowe. I tylko złe oczy błyskały spod skołtunionego futra, a nagi, obrzydliwy ogon wił się niczym długa brudnoszara glista. Poeta się wzdrygnął.

- Zamknij oczy, brachu - rozkazał kanalarz.

- No co ty, no co ty... - usiłował zaprotestować Atlas Symbol.

- Zamknij oczy albo wypierdalaj z łódki - rzekł twardo kanalarz.

Poeta zaskomlał cichutko i posłusznie zmrużył powieki. Czuł, jak mu drżą usta, i z wysiłkiem powstrzymał szczekanie zębów.

- Nie otwieraj, bo ci je wybiję - przykazał gospodarz tak surowym głosem, że poeta nie mógł znaleźć innej odpowiedzi niż następne ni to skomlenie, ni to pisk, które chcąc nie chcąc wydobyło się z jego gardła.

Poczuł silną dłoń opierającą mu się na potylicy, a potem coś załaskotało go po twarzy. Jak wąsiki?

- Właż! - usłyszał głos kanalarza.

I w tym momencie coś nagle rozepchało mu nozdrza, a potem poczuł oszałamiający, paraliżujący ból wędrujący od rozerwanych chrapek aż po zatoki. I ten ból równie szybko, jak się pojawił, tak zniknął.

- Możesz otworzyć oczy - zezwolił kanalarz, a Atlas Symbol ostrożnie uchylił powieki.

- Okej, okej - zakwilił cichutko.

- Masz w mózgu mojego szczura - wyjaśnił gospodarz. - Złam obietnicę, a Dziubdzius wyzre ci mózg jak złoto.

- Żże co?

- Mój szczur jest w twoim mózgu - powtórzył mężczyzna bardzo spokojnie, wyraźnie artykułując każde słowo. - Masz siedem dni na wypełnienie przyrzeczenia, które dałeś księdzu Markowi. Po siedmiu dniach szczur zacznie zreć. Bo to mały łasuch jest... - dodał głosem, w którym niemal było słyhać ojcowskie rozrzewnienie.

Atlas Symbol nie miał pojęcia, jak tak wielkie zwierzę mogło zmieścić się w jego głowie (ba, jak mogło się do niej przedrzeć, nie uszkadzając wewnętrznych organów!) i jak mogło tam żyć, nie dając odczuć swej obecności. Choć sceptyczna część jego natury chciała twierdzić, że wszystko jest tylko mającą zastraszyć go sztuczką, to jednocześnie gdzieś, w głębi duszy, czaił się lęk, że faktycznie wielkie, brudne i drapieżne zwierzę zamieszkało w jego mózgu. I kiedy przyjdzie czas, zacznie pożerać ten mózg, by wydostać się na wolność...



Kolacja u Rosjan miała się stać niezapomnianym widowiskiem i niezapomnianym przeżyciem. Tak pan Światłونيسień zapowiedział Konradowi Piotrowi. „Nigdy nie widziałeś czegoś podobnego i zapamiętasz to do końca życia” - obiecał. Pisarz siedział teraz przy ogromnym biesiadnym stole nakrytym śnieżnobiałym obrusem, spływającym niemal do samej ziemi. Na stole piętrzyły się sterty wszelkiego rodzaju przysmaków, a w butlach, karafkach, pucharach i dzbanach przygotowano dziesiątki napojów, głównie takich ze sporą zawartością alkoholu. To, rzecz jasna, nie zrobiło wrażenia na pisarzu, który w czasie wizyt w Szanghaju czy Tokio widział uczyty o wiele bardziej wystawne, gdzie w dodatku rosyjski brak estetyki i wycucia smaku zastąpiony był przez dalekowschodnią kulturę jedzenia i kulturę przygotowania stołu. Tu wszystko wydawało się spiętrzać w jednym wielkim bałaganie, a w Chinach i Japonii każda potrawa i każde naczynie zdawały się mieć sobie tylko przeznaczone miejsce, w którym to miejscu będąc, stawały się elementem wielkiej, skończonej kompozycji. Tak więc nie o urządzenie stołu i mnogość potraw oraz napitków tu chodziło, lecz o to, co otaczało biesiadujących.

Stół rozłożono na wolnym powietrzu (wysoko nad gośćmi zawieszono tylko baldachim na wypadek deszczu), a cały plac oświetlony był pochodniami płonącymi zielonym, czerwonym, żółtym i niebieskim ogniem.

I znowu nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że pochodnie zrobiono z żywych płonących ludzi. Ofiary miały tak kunsztownie zaszyte usta, aby głośnymi krzykami nie irytować gości, lecz by jednak słychać było pełne rozpaczliwego bólu jęki, które miały umilać kolację niczym delikatna muzyka. Przy każdej pochodni stał odpowiedzialny za nią Rosjanin, który pilnował, żeby ogień płonął wystarczająco jasno, ale jednocześnie, by ofiara nie umarła zbyt szybko.

- Eta kak u waszewo wielikowo pisatiela Sienkiewicza - Niedźwiedziowaty zatoczył łuk dłonią, ukazując żywe pochodnie - katoryj pisał o carie Neronie.

- „Quo vadis”, wypisz, wymaluj - zgodził się pan Światłونيسień.

- A pale już moi strugają i zasadzają - obwieścił Niedźwiedziowaty. - Na deser przejdziemy się przyjrzeć i sami zobaczycie, jakich mam fachowców. Potrafią tak zręcznie nawlec człowieka, że nie uszkodzą żadnych wewnętrznych narządów. Trzy dni tak można żyć! - Roześmiał się serdecznie i przepił do Konrada Piotra. - Wy w Polsce nie macie takiej kultury, co?

- Nie, nie mamy - przyznał pisarz, starając się nie patrzeć na ludzi płonących w nieludzkiej męce. Trudno było nie patrzeć, gdyż pochodnie otaczały stół z każdej strony.

- Ach, i mój nowy dzban wam pokażę - klasnął w dłonie Rosjanin. - Wyobraź sobie, bat'ka - spojrzal na pana Światłونيسienia - że jedna z moich zabaweczek, suka przekłeta, skumała się z jednym z moich oficerów. Ha! - Rąbnął pięścią w stół, aż zatrzęsły się naczynia. Najwyraźniej samo wspomnienie budziło w nim wściekłość. - Jak można tak zdradzić człowieka, który samo dobro im wyświadczał? - Niedźwiedziowaty przechylił szklankę gorzałki i wypił do dna.

Stojący za jego plecami służący natychmiast dolał do pełna, a przy tym na śnieżnobiały obrus

skapnęła pojedyncza, maleńka kropla. Twarz służącego stała się w jednym momencie niemal tak samo biała jak obrus. Niedźwiedziowaty spojrział na niego posepnie, po chwili tylko machnął dłonią.

- Każdemu może się zdarzyć - mruknął - ale poćwicz trochę nalewanie, chłopcze, bo wstyd przed gośćmi.

- No i co tam dla nich wykombinowałeś, Miszka? - zagadnął serdecznie pan Światłونيسień. - Bo fantazję to ty masz, wiemy nie od dzisiaj. - Z uśmiechem na ustach przepił do Niedźwiedziowatego.

- Ano kazałem wydmuchać w naszej hucie wielki szklany dzban, a tej suce i temu kundlowi moi chłopcy obcięli ręce i nogi, ale z takim talentem, by nie zabić, i do dzbana ich zapakowali. Chcieli żyć razem, to żyją. - Roześmiał się gromko. - W sypialni sobie ich ustawiłem - dodał - i karmię, żeby mi długo pożyli i długo radość sprawiali. Mikrofon im zamontowałem, żeby od czasu do czasu płaczom i błaganiom się poprzysłuchiwać. A nie błagają bynajmniej o życie, lecz żeby im umrzeć wreszcie pozwolił. Oj, poczekają, maleństwa...

- Oto człowiek pełen fantazji! W twoje ręce, Miszka. - Pan Światłونيسień najwyraźniej świetnie się bawił.

Pisarz spojrział na białą czarkę, którą miał przed sobą. Czarka była porcelanowo biała i wypełniona jakąś szarą masą. Konrada Piotra coś tknęło i zajrzał pod stół, nieco odsuwając ciężką połę nakrochmalonego obrusa. Teraz już wiedział, że naczynie nie jest porcelanową czarką. Pod stołem widział dyby, w których zamknięto żywe maleńkie dzieci. Tylko ich główki ze spiłowaną pokrywą czaszki wystawały ponad blat. Dzieci żyły (mózdzek należy przecież jeść świeży i ciepły), a w oczach miały sam ból. Maleńkie palce zaciskały się na kajdanach. Zaszyto im usta, by nie mogły krzyczeć. Pisarz wychylił się spod stołu tylko po to, by zobaczyć, jak Niedźwiedziowaty zakrapia swoją porcję mózdzku cytryną i ze smakiem pałaszuje, wybierając go z czarki złotą łyżeczką.

- Przejdę się - rzekł Konrad Piotr, zwracając się do pana Światłونيسienia. Ten obojętnie skinął głową.

- Ech, delikatnyj Paljacziszka - zakpił Niedźwiedziowaty, a potem pokręcił głową z rozczarowaniem. - Kogoś ty nam tu, bał'ka, sprowadził?

*

Z ciemności i ciszy, w której się znalazł, wyrwał go snop światła oraz pełen bólu krzyk. Na początku myślał, że może on sam tak krzyczy, ale nie... To krzyczał Pan Kot, który zrywał kable oplatające mu głowę. Amalryk Dymała otworzył oczy i zobaczył, że dwaj asystujący przy zabiegu lekarze stoją jak odrętwiali, w przerażeniu przypatrując się szalejącemu Panu Kotowi oraz zawodzącemu i błyskającemu czerwienią ekranowi komputera. Dymała spokojnie uwolnił się z więzów (pasy puściły, jakby zrobiono je z bibułki) i pogroził lekarzom palcem. Pan Kot w tym czasie stracił przytomność, a upadając, wylądował pod kozetką.

- Ccco... ccco... ccco... - chciał zapytać jeden z lekarzy, lecz Amalryk znowu pogroził mu palcem.

- Zajmijcie się nim. - Wskazał podbródkiem leżącego Pana Kota. - Nie sądzę, żeby to było coś poważnego, ale sprawdźcie.

Wypowiedziawszy te słowa, uznał, że nie ma już nic do roboty w sali zabiegowej. Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz, wiedząc, że nie ma zbyt dużo czasu, jeśli chce się wydostać z tego silnie strzeżonego budynku. Nie był jednak w stanie uniknąć spotkań na korytarzach. Spotkań, które byłyby jeszcze niedawno tak niebezpieczne, że najprawdopodobniej ostateczne i ostatnie. Lecz teraz Dymała gestem lub słowem paraliżował napotykanym strażników, a oni zastygali w przeróżnych, czasem przedziwnych pozach, z wykutym na twarzach zdumieniem lub przerażeniem.

Amalryk nie robił im krzywdy. Wiedział, że za minutę, dwie lub trzy odrętwienie ustąpi, lecz oni nie będą nawet pamiętali, co robili ani kogo widzieli. Mógłby zastosować zbędną przemoc, ale po pierwsze, nie miał na to ochoty, a po drugie, odnosił nieodparte wrażenie, że zbędna przemoc nie spodobałaby się temu komuś, kto obdarzył go mocą, gdyż była to moc bezpiecznej ucieczki, a nie karania bezbronnych. Oczywiście, że byli źli, tak jak zły był każdy, kto dawał się wykorzystywać systemowi i jednocześnie korzystał z tego systemu dobrodziejstw. Dymała jednak doskonale pojmował, iż nie on jest osobą, która miałaby moralne prawo karać kogokolwiek za to, iż pokornie służy silniejszym od siebie. W końcu sam przez te wszystkie lata marzył tylko o jednym: dojść do jak najwyższego stanowiska, zdobyć pieniądze i władzę. A czy i ilu złamie po drodze ludzi, nie obchodziło go w najmniejszym stopniu. Teraz, w momencie kiedy występował w roli łownej zwierzyny, pojmował wszystko w nieco inny sposób. I na pewno nauczył się jednej rzeczy: przemiana z kata w ofiarę wyostrza zmysły i czyni serce czulszym na nieszczęścia bliźnich.

Wreszcie dotarł do pulsującego czerwienią obszaru i zdeaktywował blokady z taką łatwością, jakby tym zajęciem zajmował się codziennie. Wyszedł na zewnątrz tylko po to, by usłyszeć salwę z karabinów i zobaczyć pociski leniwie przedzierające się przez gęste powietrze w stronę jego piersi i twarzy. Zamienił je więc w smugi pary, a w wypadku jednego pozwolił sobie na zamienienie go w gołębia o białych skrzydłach, gdyż wydawało mu się to zarówno zabawne, jak i symboliczne. A potem stanął już przed murem, drutami kolczastymi i nieruchomymi strażnikami na wieżyczkach, którzy w osłupieniu przypatrywali się szybującemu gołębiowi. Jeden nawet próbował ptaszka ustrzelić, ale pocisk zamienił się w malutką białą flagę z symbolem czerwonego serca, którą gołąb porwał w dziobek.

Amalryk przeskoczył przez mur najeżony drutem kolczastym, mimochodem bijąc rekord świata w skoku wzwyż. W dodatku dokonał tego w prymitywnym stylu naturalnym, co było epokowym osiągnięciem, godnym odnotowania we wszystkich encyklopediach sportowych. Zaraz za murem moc opuściła Dymałę równie niespodziewanie, jak przyszła. Znów stał się samotny i słaby, nie wiedział, co ze sobą zrobić, gdzie się skierować i gdzie uciekać. Poczul się strasznie, wiedząc, że nie może już zmieniać kul karabinowych w gołębie.

Ach, gdybym miał przyjaciół, pomyślał rozpaczliwie. Gdybym tylko miał drogich, oddanych i gotowych na wszystko przyjaciół!

Ale wiedział, że to jedynie naiwne marzenia, gdyż zbyt długo żył i zbyt wiele widział, by nie wiedzieć, że w potrzebie wszyscy zostajemy samotni, a drodzy i oddani przyjaciele towarzyszą nam tylko, kiedy jesteśmy silni. Bo i cóż to za interes być przyjacielem słabego? Tak sobie myślał Amalryk Dymała, pędząc przez bramy oraz ulice i charkotliwie zachłystując się zepsutym powietrzem. Bardzo pragnąłby stać się chociaż na chwilę niewidzialny. Słyszał już przeciągłe nawoływania policyjnych syren. I kto wie, może śledziły go nawet genetyczne detektory? Ale wiedział, że tego nie usłyszy i nie zobaczy, i nie dowie się o tym, zanim nie będzie za późno.

- Chcę być wolny, mój Boże, jak bardzo chcę być wolny - wydyszał do samego siebie.

Wpadł do jakiegoś rowu, wygrzebał się, przeskakując ceglany murek, zahaczył rękawem o przytwierdzone cementem szklane złomki butelek, rozerwał koszulę i poranił dłoń. Poczul ból, a potem zobaczył krew spływającą po palcach. Patrzył na dłoń i jednocześnie biegł, więc musiało się to źle skończyć. No i źle się skończyło, bo wpadł w dziurę otworu kanalizacyjnego. Próbował jeszcze zaczepić się palcami o krawędź, lecz paznokcie ześlizgnęły się po powierzchni pokrytej szarą, lepką masą i z krzykiem spadł w ciemną, śmierdzącą otchłań. Z wielkim pluskiem zanurzył się w rzece złożonej głównie z moczu i gówna, w rzece równej, braterskiej i sprawiedliwej, gdyż z jednakową obojętnością niosącej odchody bogaczy i biedaków, praworządnych i opozycjonistów.

Na szczęście sięgnął stopami dna i ciecz wypełniająca kanał podpływała mu tylko do brody, tak więc mógł mieć chwilową nadzieję, że jego życie nie zakończy się w grobowcu z płynnego gówna. Spojrzał w górę, aby zobaczyć, jak wysoko znajduje się otwór studzienki. Widniał co najmniej cztery metry nad wyciągniętymi rękoma i nie było nawet co marzyć o wyjściu tą drogą.

- A więc naprzód - zaszeptał Amalryk Dymała, który nie umiał już skakać wzwyż. - Śmiało, coraz śmielej...

I wtedy przypomniał sobie wszystkie zasłyszane historie o szczurach, o tym, jakie są wielkie, silne i zuchwałe, i o tym, co potrafią uczynić z samotnym, bezbronnym człowiekiem. Zrobiło mu się zimno ze strachu, lecz zaczął iść (a raczej brnąć, czasami podpływając) przed siebie, gdyż nie miał przecież innego wyboru. Chyba żeby zdecydował się czekać na boską lub szczurzą interwencję. Jasny punkt w górze zniknął mu z oczu i Amalryk wszedł w absolutną, beznadziejną ciemność. Tak absolutną i tak beznadziejną, że przez chwilę myślał, czy się nie cofnąć, bo tam chociaż widział okrągły kawałeczek świata, a tu pozostały tylko smród, macanie przed sobą przerażonymi dłońmi i wyęzanie słuchu, by na czas usłyszeć kwilenie szczurów (choć niewiele, co by mu to mogło dać, gdyż w paraliżującym mroku nie wiedziałaby, skąd nadchodzi niebezpieczeństwo i jak się przed nim obronić).

Szedł godzinę, może dwie, nie był pewien, gdyż stracił poczucie czasu. Kilkakrotnie skąpał się aż po czubek głowy, a raz zachłystnął śmierdzącą breją. Nagle spoza swego pełnego obrzydzenia kaszlu i charkotu usłyszał warkot. Przyjazny warkot silnika.

- Ajehaa, tu! - zawrzeszczał z nadzieją, pewien już, że nawet powtórne wpadnięcie w łapy Pana Kota będzie lepsze od marszu przez ciemność. - Tuuuuu! Ratuuuunku!

I nasłuchiwał uważnie, czy hałas zbliży się, czy też oddali i ucichnie, pozostawiając śmiertelną, śmierć wróżącą ciszę. Zbawienny warkot zaczął narastać i nagle Amalryka omiótł snop ostrego światła. Przymrużył oślepienie oczy, a jasność zarówno przyniosła ból źrenicom, jak i na nowo obudziła strach. Bo kim był ten, co ukrywał się poza reflektorem? Wrogiem czy przyjacielem? Jeśli w ogóle przyjaciele trafiają się na tym nie najlepszym ze światów? Ale na razie Dymała był uratowany. Spostrzegł bowiem znajomego. No, znajomego to za dużo powiedziane, gdyż dostrzegł po prostu człowieka, którego miał okazję wcześniej spotkać. I po pierwszej chwili radości, zastanowiwszy się krótko, doszedł do wniosku, że natknięcie się właśnie na niego może nie być wcale tak radosnym wydarzeniem, jak się na początku wydawało. Gdyż u steru kanałowej łódki siedział nie kto inny jak Onufry Faja. Amalrykowi Dymale oczywiście zaraz się przypomniało, jak podle zachował się wobec tego człowieka, i zastanawiał się, czy zażąda on teraz zemsty.

- Wybacz - wyjęczał, a usta miał zapchane gównem.

Stojący przy sterze Onufry Faja natychmiast go poznał, a później wyciągnął rękę i pomógł się wdrapać na pokład łódki.

- Bracie kochany - rzekł i nie wiadomo, czy wypowiedział te słowa szczerze czy też z ironią. - Gdzieżesz cię, w kurwę żesz, poniosło?

- Uciekam - odparł Dymała i machnął ręką. - Przed nimi...

- Straciłem dom, babę mi jebie jakiś gliniarz, a to wszystko przez ciebie, drogi bracie.

- Wybacz - zaskomlał Amalryk, bo nade wszystko bał się zostać znowu sam w tej strasznej ciemności.

- Co tu do wybaczenia? - zaśmiał się Onufry Faja. - Ta kurwa zawsze dawała komu popadnie, a dom miałem taki, że nie szło w nim wytrzymać. Teraz jestem wolnym człowiekiem, bracie! Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem... Tak więc - rozłożył dłonie teatralnym gestem - pomogę ci, jeśli tylko będę potrafił.

- Zabierz mnie stąd - poprosił Dymała płaczkliwie. Onufry Faja serdecznie przytulił go do piersi pachnącej gównem i benzyną.

- Zabiorę - obiecał.

- Na! - krzyknął na łódkę i ona zaczęła płynąć. - Zabiorę cię w bezpieczne miejsce.

- Gdzie?

- Na Suwałki - odpowiedział po chwili zastanowienia Onufry Faja. - Tam będziesz mógł się ukryć. A kto cię tak w ogóle ściga, bracie?

- Wszyscy - wyjaśnił z rezygnacją w głosie Amalryk Dymała.

- No, jak wszyscy, to nie najlepiej.

- Ale jak: na Suwałki? - Amalryk zaczął logicznie myśleć. - W jaki sposób? Bez paszportu, zezwolenia...

- Kanały sięgają wszędzie - przerwał mu Onufry Faja. - Kanały są poza wszelką wiedzą tamtych ludzi. Kanały to kanały i tylko Bóg je zna. No i my, kanalarze, służki boże - dodał, uśmiechając się nieskromnie.

- A detektory genetyczne? Czujniki ruchu? Patrole? Nikt nie monitoruje kanałów? To niemożliwe!

Onufry Faja wymamrotał coś pod nosem, a potem podniósł wzrok na Amalryka Dymałę.

- Jesteś tu bezpieczny, bracie - zapewnił. - Nikt nie przełamie magii kanałów, wierz mi! To nie jest ich świat. Nie znają go, ale lękają się i stronią od niego. Nikt tu nie zejdzie, by cię szukać. Tu rządzą tylko Bóg, smród i my.

Amalryk Dymała ze zdziwieniem zorientował się, że ten człowiek mówi zupełnie inaczej niż przy pierwszym spotkaniu. Nie tylko pełnymi, płynnymi zdaniami, ale nawet jakby bez charakterystycznego dla prostych ludzi gwarowego zaciągania.

- Kim ty właściwie, do cholery, jesteś? - zapytał.

- Kim jestem? - Kanalarz spojrział na niego ze zdumieniem. - Jestem Onufry Faja, nie pamiętasz?

- Dlaczego mi pomagasz?

- Bo oni cię ścigają. To wystarczy - westchnął Onufry Faja. - Nie pytam za co, po co, dlaczego. Nie interesuje mnie, co robiłeś wcześniej i co będziesz robił później. Los ustawił cię przeciwko nim i to tylko się liczy. Jeśli cię złapią, nie próbuj mnie nawet kryć. Powiedz wszystko, co ci się przytrafiło. Zapomną - roześmiał się na głos. - Zapomną, zanim jeszcze skończysz zdanie. - Jak to?

- Magia kanałów - rozłożył ręce Onufry Faja. - Bóg jeden wie jak działa, ale działa. Widzisz, bracie Amalryku - rzekł już poważnym tonem - my żyjemy tu i dajemy sobie jakoś radę, lecz kiedyś... kiedyś wyjdziemy z kanałów. Przegnani w ciemność i smród, w końcu wydostaniemy się, aby przypomnieć o naszych słusznym prawach. Aby rozliczyć winnych. Aby rozpruć tłuste kałduny i w pięściach zgnieść mózgi pełne zdrady. Kiedyś... Pewnie nie dziś i nie jutro. Wierz mi, że kiedy to się już stanie, gorzko zapłaczą ci, którzy chcieliby zapomnieć o tym, że wybuchali śmiechem, widząc krzywdę wyrządzaną prostym ludziom.

Amalryk Dymała nic nie odpowiedział. Milczał, bo niby co innego mógłby zrobić? Sam wiedział, jak bardzo jest winny krzywdzenia innych, więc nie był to temat, na który chciałby rozprawiać. Słowa kanalarza wydawały się szaleństwem, ale nie ulegało wątpliwości, iż miał on łódkę i znał mroczne labirynty, w których pracował. A było to coś, co mogło Dymale uratować życie. Zresztą kim był, aby zastanawiać się nad szaleństwem innych, skoro ostatnio jego życie było niczym innym jak pasmem szaleństw?

- Zostawię ci moją łódkę - obiecał Onufry Faja. - Zaprogramuję komputer na Suwałki, więc nie gmeraj przy konsoli, tylko daj się wieść. Rozumiesz?

- Rrozumiem - zająknął się Amalryk. - A ty? Jak ty wrócisz?

Onufry Faja uśmiechnął się.

- Temu, kto prawdziwie wierzy w magię, nie trzeba nic poza tą właśnie wiarą - odpowiedział i machnąwszy dłonią na pożegnanie, uleciał w ciemność.

*

Pokój pana Światłonesienia był mały i urządzone nad wyraz skromnie. Tylko wąskie łóżko przy zasłoniętym żaluzjami oknie i okrągły stolik z dwoma krzeselkami. Pan Światłonesień siedział na jednym z nich, a drugie wskazał zapraszającym gestem pisarzowi Konradowi Piotrowi.

- I jak ci się podoba to wszystko? - Zatoczył łuk dłonią, ale wiadomo, że nie miał na myśli swej kwatery, lecz wszystko, co ich otaczało tutaj, w dalekich, dzikich ostępach zrujnowanej Rosji.

- A jak pan myśli? - odparł pisarz Konrad Piotr zmęczonym głosem. - Zaczynam być im wdzięczny - wypowiadając słowo „im”, miał na myśli włodarzy Przenajświętszej - że uratowali nas od podobnego losu. Nie wiedziałem, że tu jest aż tak... - urwał, gdyż nie mógł znaleźć stosownych słów.

- Tak, tak. - Pan Światłonesień wyciągnął spod stolika pękata butlę oraz dwa kieliszki. W mdłym

świetle błysnęły złota nalepka oraz nieznana, choć francuska nazwa koniaku. Pan Światłونيسień nalał do pełna. Wypili jednym tchem, a pisarz Konrad Piotr wciągnął głęboko powietrze.

- Mocny, cholera - sapnął.

- Miejscowy - wyjaśnił pan Światłونيسień. - Po francusku nazwali go dla lepszej kultury...

Na otwartej dłoni podał pisarzowi Konradowi Piotrowi kromkę czarnego, gruboziarnistego chleba, a ten zaciągnął się głęboko, wdychając kojący chlebowy zapach.

- Czyli co? - zagadnął pan Światłونيسień. - Od tej pory będziesz dziękował Najświętszej Paniency za wielusetletnią opiekę nad twoim krajem?

Konrad Piotr roześmiał się chrapliwie, aż ten śmiech zapiekł go w gardle.

- Nie sędzę - rzekł. - Chociaż można zakładać istnienie różnych koncepcji...

- Na przykład? - zainteresował się pan Światłونيسień.

- Pierwsza - zagiął palec Konrad Piotr - jej po prostu nie ma, tak jak nie ma Boga czy Szatana. Druga: ona jest, ale nic nie może. To przecież tylko prosta Żydówka, niezorientowana w meandrach wielkiej polityki, socjotechniki i socjopolityki, w kreowaniu oraz zmianie skomplikowanych procesów społecznych. Może nam pomóc tyle, co małpa programiście komputerowemu.

- A to zabawne. - Pan Światłونيسień wcale się nie roześmiał, tylko znowu napełnił kieliszki po brzegi złocistym trunkiem.

- Trzecia koncepcja: istnieje, wiele może, ale nic jej się nie chce. Traktuje nas jak ptaki w zimie. Czasem sypnie ziarnem, jednak najczęściej zapomina o naszym istnieniu. I wreszcie numer cztery. - Pisarz zagiął palec serdeczny. - Ona bawi się naszym nieszczęściem.

Znajduje smutną satysfakcję w przypatrywaniu się udręce tych, którzy w nią wierzą i proszą ją o wsparcie.

- Zabawne - powtórzył pan Światłونيسień i znowu wypili do dna. Tym razem Konrad Piotr nie sięgnął już po chleb. - A jaka koncepcja jest ci najbliższa, mój chłopcze?

Pisarz wzruszył ramionami i westchnął. Nie wiedział, dlaczego dyskusja toczy się w tym kierunku, lecz nie chciało mu się tłumaczyć, że nie chce mu się tłumaczyć.

- Wolałbym wierzyć, że Bóg czy święci, czy kto tam inny, bardzo chcą nam pomóc, ale nie mogą. Są pełni dobrych intencji, podejmują próby, tyle że wszystko już dawno ich przerosło. Czasami są jeszcze w stanie powstrzymać zło, ale ono szerzy się jak pożar. A przecież strażacy potrzebują nie tylko zacnych chęci, lecz rąk do pracy, nowoczesnego sprzętu oraz pieczołowicie opracowanych taktyk. Szlachetne intencje nie wystarczają. Nigdy nie wystarczały.

- Być może jest ktoś inny, kto może wam pomóc - rzekł wolno pan Światłونيسień. - Tyle wieków zawieraliście niewłaściwym siłom, może nadszedł czas, by spojrzeć w drugą stronę?

- Światło i mrok, czyż nie tak? - zaśmiał się Konrad Piotr. - Oklepane schematy. W dzisiejszych czasach, nawet jak chciałoby się sprzedać duszę, to nie ma komu.

- Wolałbym to nazywać drugą stroną światła - grzeczenie sprostował gospodarz, ignorując ostatnią część wypowiedzi Konrada Piotra. - Którą czarny PR przeciwników przedstawiał wam dotąd w niewłaściwym, nomen omen, świetle. No co, jeszcze po maluchu? - Nie czekając na odpowiedź,

nalął znowu koniaku do kieliszków.

Dziwne, jednak trunku z butelki wydawało się nie ubywać. Pan Światłonesień dostrzegł spojrzenie Konrada Piotra.

- Ryby, chleb, komu to było potrzebne? - rzucił bez związku. - Szable w dłoń, mój chłopcze! - Wypił do dna, a potem potarł usta rogiem kremowej chusteczki z wyhaftowanym monogramem. Pisarz nie zauważył kształtu liter, chociaż się przyglądał.

- Ogromna siła tkwi w twoim narodzie, mój chłopcze - kontynuował pan Światłonesień. - Tyle klęsk, tyle tragedii, tyle krwi. I tyle bezsensownego honoru, nikomu niepotrzebnej odwagi, zbędnej godności. Tyle zdrady i tyle nigdy niewysłuchanych modlitw. Nawet nie wiesz, jak smacznym możecie stać się pożywieniem.

Alkohol był bardzo mocny i wypili go już całkiem sporo (po trzy naprawdę duże koniakówki), ale pisarz Konrad Piotr nie czuł się pijany. Tylko twarz pana Światłonesienia jakby rozmazywała mu się czasem przed oczyma.

- Tak, tak, mój chłopcze - dalej słyszał spokojny, uprzejmy głos. - Ja wam pokażę, jak wygląda prawdziwa opieka. Trzeba tylko mi zawierzyć, zaufać, pokochać mnie... Jesteś na to gotowy?

- Na co? - spytał Konrad Piotr i sięgnął po kieliszek, aby podać go panu Światłonesieniowi, jednak, o dziwo, naczynie było znowu pełne. Wypił więc, jak zwykle do dna.

- Ofiaruj mi Polskę - powiedział cicho pan Światłonesień, pochylając się głęboko nad stołem. - W imieniu swoim i wszystkich Polaków. Kobiet, mężczyzn, starców, dzieci, a nawet tych, którzy się jeszcze nie urodzili...

Konrad Piotr roześmiał się, jego śmiech zdusiło gorzko piekące koniakowe czknięcie.

- A jakie ja mam prawo dawać cokolwiek w imieniu wszystkich? - spytał, zbierając myśli.

- Powiedzmy, że taka jest umowa - machnął dłonią gospodarz. - Więc nie przejmuj się powyższym aspektem. Ja mam siłę, aby się wami zająć. Siłę, której brakuje tamtym, której zawsze im brakowało. I ochotę, co też nie było ich najmocniejszą stroną. Więc jak?

- Nie rozumiem...

- Ależ rozumiesz - pobłażliwie odparł pan Światłonesień. - Dawno zrozumiałeś, tylko nie chcesz tego przyjąć do wiadomości. A jak można wierzyć w Boga, nie wierząc we mnie, który jestem jego bratem bliźniakiem? Dodam, że zaledwie o dwie minuty młodszym...

- Jaja sobie pan ze mnie robi... - burknął Konrad Piotr.

- Zdziwiłbyś się. - Pan Światłonesień pokazał w uśmiechu równe, białe zęby. - Bardzo byś się zdziwił.

- Mnie to nie interesuje - mruknął pisarz. - Chcę żyć spokojnie.

- Ale przecież ty nie żyjesz, mój chłopcze - powiedział pan Światłonesień. - Co prawda psychicznie i umysłowo umarłeś całe lata temu, lecz fizyczna śmierć nastąpiła dopiero niedawno, w szpitalu. Przedawkowanie, przepicie, zrujnowany organizm... I fiuuut... Nie pomógł nawet doktor Tokugawa sprowadzony z Tokio.

Koniec. Nie dziwiło cię, że możesz funkcjonować pod wodą, nie oddychając? Próbowałeś

usłyszeć bicie własnego serca? A może chciałbyś przyłożyć sobie lusterko do ust?

- Jak to nie żyję? - Pisarz Konrad Piotr zdawał sobie sprawę, że musi wyglądać wyjątkowo głupio, bo chyba zrobił „karpia” w czasie przemowy pana Światłونيسienia.

Machinalnie położył prawą dłoń w tym miejscu na klatce piersiowej, gdzie powinno być serce, nic jednak nie poczuł. Szybko lewą dłonią objął prawy nadgarstek, nie wyczuł również tętna.

- Kurwa, osłabiony jakiś jestem... - powiedział niemal proszącym tonem.

- Osłabiony na śmierć, można by powiedzieć! - Pan Światłونيسień roześmiał się serdecznie i zaklaskał w dłonie z wielkiej uciechy.

- Bardzo zabawne.

Konrad Piotr zdawał sobie sprawę, że jest tak zdenerwowany, iż powinien nie tylko czuć bicie serca, ale zwyczajnie słyszeć jego łomot. Próbował sobie przypomnieć, jak to było po dużym wysiłku lub w czasie stresu. Huk serca, drgania w klatce piersiowej, napierające pulsowanie w skroniach. A teraz - nic. Jego ciało zachowywało się, jakby należało do katatonika albo do człowieka mar... Tfu, tfu! Pan Światłونيسień z rozbawieniem przypatrywał się zabiegom gościa.

- W razie czego służę lusterkiem - podpowiedział - i stetoskopem.

Konrad Piotr wysilił całą wolę i położył dłonie na stole. Nawet nie drżały.

- No i nie żyję. - Zdumiewająco łatwo przyszło mu to stwierdzenie. - Co dalej?

- Przecież możesz znowu żyć - powiedział pan Światłونيسień. - I to jak żyć. Z nią. - Klasnął w dłonie, a wtedy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła piękna kobieta, o której Konrad Piotr myślał już, że była tylko sennym majakiem.

Przycupnęła skromnie na łóżku, jej oczy wpatrywały się w nich, ale pisarz mógłby się założyć, że nie widzą nic poza pustką. Była ubrana w czarną sukienkę bez ramion, włosy miała spięte w klasyczny kok. Położyła dłonie na kolanach, a Konrad Piotr przypomniał sobie, jaką radość potrafiły mu dać te szczupłe palce. Przeniósł wzrok na jej usta i przełknął ślinę.

- Och - powiedział tylko.

- Och, och - przedrzeźnił go pan Światłونيسień. - Bierz ją, chłopcze, bierz swoje życie i bądź szczęśliwy. Nawet nie musisz całować mnie po tyłku, wystarczy tylko poprosić, abym się wami wszystkimi zaopiekował.

- Bardzo ci na tym zależy, co? - odparł po chwili zastanowienia Konrad Piotr, po raz pierwszy rezygnując z formy „pan”. Wydawało się jednak, że gospodarz tego nie zauważył.

- Jeśli chcę kupić towar, to znaczy, że jest coś dla mnie wart - przyznał pan Światłونيسień. - Na tym przecież polega handel. I zauważ również, że oni nic ci nie zaproponowali. - Słowo „oni” wymówił z ledwo skrywanym lekceważeniem.

Pisarz zabębnił palcami o blat stołu.

- I potem mój kraj będzie wyglądał jak ten tu? - Machnął dłonią, a to machnięcie miało oznaczać to, co pozostało z Rosji.

- Nie, chłopcze. Oni nie mają nic wspólnego ze światłem czy drugą stroną światła. On żyją sami

sobie, bez Boga, bez zasad, bez honoru i godności. Tak jak zawsze żył ten upodlony, zbydlęciały naród. Jasne, są moją zabawką i na ich podstawie badam, jak straszna może być ludzka natura. Ale nigdy nie staliby się przedmiotem zakładu. Są dla mnie bezwartościowi. Co mi po narodzie, który przez wieki składał się głównie z idiotów, degeneratów, obłąkańców, okrutników i złoczyńców? Gdzie ludzi zacnych oraz mądrych można było policzyć na palcach jednej ręki. I trzeba było liczyć szybko. - Roześmiał się. - Gdyż niemal natychmiast znikali za sprawą swych współbraci...

Konrad Piotr dłuższy czas zastanawiał się nad słowami, które usłyszał.

- Gdybyś był coś wart, dałbyś im szansę - rzekł w końcu. - Lecz taki model postępowania nie mieści się w twoim planie, nieprawdaż?

- Oni są tylko jak wściekłe głodne wieprze. Zzerają się nawzajem. Kogo to obchodzi?

- Nie zgadzam się na twoją propozycję - powiedział pisarz po kolejnej chwili milczenia. - A mówię „nie” nie dlatego, że kocham... tamtych czy w nich wierzę. Po prostu nie zamierzam podejmować decyzji i następnie obserwować jej skutków, a może nawet żałować podjętych zobowiązań? Jestem zmęczony wszystkim. Nie palę się wcale, by żyć. Może to i dobrze, że umarłem?

Nie masz mnie czym kupić, bo na niczym mi nie zależy. Trzeba było sobie wybrać kogoś innego.

- Patrzcie, patrzcie, filozof się znalazł - burknął pan Światłونيسień opryskliwie. - Wystarczy tylko, że pstryknę palcami, a zgaśniesz jak świeczka, w którą naszczano. Tego właśnie chcesz? A przecież - jego głos nagle i nieoczekiwanie złagodniał - możesz żyć pełnią życia. Mieć dom, kochającą kobietę, wychodzić na werandę ocienioną przez pnącza winogron i jeść śniadanie, słuchając ptaków. Kupisz sobie białego psa o orzechowych oczach, który stanie się wiernym towarzyszem spacerów. A ona - podbródkiem wskazał dziewczynę siedzącą na łóżku - będzie najrozkoszniejszą kochanką i najczulszą przyjaciółką, z którą z radością podzielisz się każdą myślą i każdym drgnieniem serca. Zaczнеш znowu pisać i zapewne stworzysz arcydzieła. Ludzie będą cię szanować i kochać, postawią ci pomniki nie ze spiżu i granitu, ale ze słodkich tęsknot, które w nich obudzisz. Ba, przecież to nie wszystko! Czy nawet nie ważniejszy od twego osobistego powodzenia stanie się fakt, że będziesz mógł patrzeć, jak twój kraj odżywa, jak przestaje go toczyć odwieczna zaraza? Jak ci, których uważałeś za świny i szczury, nabierają ludzkich cech? Jak zaczynają się czasy prawdziwej godności, honoru i sprawiedliwości?

Umilkł, ale jego słowa nadal zdawały się brzmieć w pokoju, a pisarz Konrad Piotr tkwił w bezruchu, jakby zauroczony nimi i pokonany.

- Lepiej się napijmy - rzekł w końcu i stuknął knykciami w blat. - Bo jeszcze się rozplącę. A może łyżę też mi już zabrałeś, tak jak puls?

Pan Światłونيسień przypatrywał mu się z posepną uwagą.

- Chcesz mnie rozczarować? Obrazić? Bardzo obrazić i bardzo rozczarować? Jesteś mój i mogę zrobić z tobą, co tylko zechcę!

- Gówno prawda - warknął Konrad Piotr. - Jestem swój własny i mam was wszystkich w dupie.

- Skoro tak... - westchnął pan Światłونيسień i pstryknął palcami.

Ciało pisarza Konrada Piotra zważyło się na podłogę jak manekin. Gdyby się przyjrzeć bliżej, można by zobaczyć na jego twarzy sine, opadowe plamy. Leżał z nienaturalnie wykrzywionymi

kończynami, a pan Światłoniesień stanął nad nim i szpicem buta trącił ciało usztywnione *rigor mortis*.

- To jeszcze nie koniec - powiedział gdzieś w przestrzeń. - O, nie, to jeszcze nie koniec.

*

Kardynał Anastazy Pastuch zastanawiał się nad wszystkim i nad niczym, a głównie nad bezsensownością własnego istnienia, bezsensownością istnienia czegokolwiek i bezsensownością czynienia czegokolwiek. W tej chwili wydawało mu się, że najlepiej na świecie być katatonikiem, a może jeszcze lepiej zapaść w komę i obudzić się, kiedy będzie tu już pięknie, dobrze oraz wspaniale. Westchnął rozdrażniony własnymi myślami, bo wiedział, że tutaj nieprędko, a może nawet nigdy nie będzie pięknie, dobrze oraz wspaniale. Chociaż odkrycie niezmiernych pokładów ropy naftowej pod martwymi lasami dalekiej Suwalszczyzny wydawało się być nieprawdopodobnym darem. Tylko od kogo ten dar pochodził? Od Boga, czy może od Szatana? Zresztą kimże był sam kardynał Anastazy Pastuch, by rozstrzygać o tak delikatnych kwestiach, jak udział Boga lub Szatana w ludzkich przedsięwzięciach? Zwłaszcza że nie wierzył ani w boskie siły jasności, ani w demoniczne siły ciemności, gdyż był człowiekiem nowoczesnym, dalekim od hołdowania jakimkolwiek przesądom.

Kardynał Anastazy Pastuch wierzył tylko w ślepy rzut kośćmi oraz w działanie bakterii gnilnych. Czasami ciężko mu było z tą wiarą, ale był też dumny z faktu, iż potrafił w niej wytrwać pomimo wszelkich przeciwności losu. Codzienne odprawianie mszy świętej było dla niego zaledwie nudnym spektaklem teatralnym, przed którym szczególną uwagę poświęcał jedynie uczesaniu, a w trakcie tegoż spektaklu lubił modulować na różne sposoby głos i przybierał wcześniej trenowane pozy. Msza święta dawała mu mniej więcej tyle samo mistycznych przeżyć, co proces kiszenia ogórków.

- Wasza Eminencjo - usłyszał głos przy drzwiach.
- Słucham? - zapytał uprzejmym tonem kardynał.
- Pan Bowles czeka, Eminencjo. Prosił o audiencję już tydzień temu.
- Ach tak, prawda - niechętnie przypomniał sobie Anastazy Pastuch.

Niechętnie, gdyż nie przepadał za Bowlesem, nominalnie pierwszym sekretarzem teksańskiej ambasady, a faktycznie rezydentem CIA.

Bowles był niewiarygodnie spokojnym człowiekiem o zimnych, przenikliwych oczach i cichym głosie. Bardzo niebezpiecznym człowiekiem, a jak donosił wywiad, istniało prawdopodobieństwo, że genetycznie i cybernetycznie zmodyfikowanym. Co czyniło go, rzecz jasna, jeszcze bardziej groźnym. Kardynał nie znosił cybermanów, jednak doskonale wiedział, że wykorzystują ich również tajne służby Przenajświętszej. Mimo zakazu papieskiego. Lecz cóż, zakazy zakazami, a życie życiem.

- Niech wejdzie - rozkazał Anastazy Pastuch z westchnieniem i włączył blokady. To zawsze odbierało cybermanom część ich możliwości.

Bowles wszedł i zgiął się w pełnym szacunku ukłonie.

- Wasza Eminencjo. - Jego polszczyzna była nienaganna, tak że nawet największy purysta językowy miałby kłopoty, by rozpoznać w nim obcokrajowca.

- Panie Bowles. - Kardynał przetrzymał go chwilkę. - Proszę siadać. Czy mogę pana poczęstować czymś do picia?

- Zapalę, jeśli wolno...

- Wolno - odparł chłodno kardynał.

Wiedział, że blokady chemiczne również zostały włączone, zresztą Bowles także musiał świetnie zdawać sobie z tego sprawę. Teksańczyk uśmiechnął się samymi kącikami ust i zapalił papierosa od ulokowanej w paznokciu zapalniczki. Kardynał nie spodziewał się co prawda, aby Bowles próbował prostackich zagrywek, ale z drugiej strony wiadomo, że najprostsze zagrania są najlepsze. A Bowles był dobry, naprawdę dobry. To przecież on zlikwidował w Kijowie Ibrahima Sulajmata zwanego nowym Salah ad-Dinem, to on wysadził w powietrze meczet Notre Dame razem z kilkoma tysiącami mudżahedinów świętujących proklamowanie francuskiej Dżamahiriji. Aż dziwne, że po takim sukcesie wysłano go do Polski. Zasłużył sobie przecież na coś znacznie lepszego.

- Słucham pana, panie Bowles - powiedział kardynał. - Lecz zanim pan zacznie, proszę wiedzieć, że odpowiedź brzmi „nie”.

- Odpowiedź nie może brzmieć „nie”. - Bowles zaciągnął się głęboko. - Naprawdę nie może.

Anastazy Pastuch uśmiechnął się tylko. Teraz oni są petentami. Oni wszyscy. Będą się zastanawiać, czy lub kiedy Rzeczpospolita odkręci kurek. A jeśli zrobi to teraz, obywatele oraz władze Republiki Teksasu nie będą, łagodnie mówiąc, zachwyceni.

- Jesteście w stanie rozdać karty, Eminencjo. - Bowles pochylił się nad stołem. - I jednej ze stron przydzielić asy. Jednak nie możecie wygrać. Wy tylko rozdajecie.

- Ale ten, kto wygra, podzieli się z nami pulą. - Kardynał zaśmiał się tylko. - A wy po prostu chcecie, żebyśmy w ogóle przestali rozdawać. To istotna różnica, panie Bowles. Wiem, z kim rozmawiacie i kogo kupiliście, ale beze mnie nic nie może się stać w tym kraju, a mnie nie kupicie.

- Watykan nas popiera - stwierdził Bowles. - Wasza Eminencja na pewno dostał już list od Ojca Świętego, prawda? Z tego, co wiem, zawarto w nim coś więcej niż jedynie sugestie...

O, tak, to była prawda. List od papieża był niczym innym jak kuriozalnym poleceniem takiego, a nie innego działania. Oczywiście ubranym w zręczne, patetyczne tyrady, z których sływał Jan Paweł IV.

- Kiedy będziemy mieli ropę, sami staniemy się nowym Watykanem i sami wybierzemy sobie nowego papieża. - Anastazy Pastuch był naprawdę w niezłym humorze, a wykpiwanie teksańskiego rezydenta sprawiało mu nielichą satysfakcję.

- Proszę powiedzieć, dla kogo pan gra, Eminencjo? Dla Japończyków? Dla Niemców? Dla Chińczyków?

- Dla Polski - warknął kardynał, lecz nawet w jego uszach zabrzmiało to nie do końca wiarygodnie.

Bowles wybuchnął śmiechem, a potem wzruszył ramionami.

- Proszę nie żartować - powiedział z wyrzutem w głosie. - Polska to zapomniane pojęcie. Zapomniane dawno temu. Nikt nie gra dla Polski.

Anastazy Pastuch znowu się uśmiechnął, gdyż nikt i nic nie mogło mu popsuć satysfakcji z upokorzenia Bowlesa. Teksańczyk będzie przekonywał, prosił, groził, ale wyjdzie z odpowiedzią, którą usłyszał już na początku wizyty. Ciekawe, po jakim czasie wróci?

- Pozwoli pan, że pana pożegnam, panie Bowles? - zapytał uprzejmie. - Powiniennem przygotować jutrzejszy list pasterski. Szczególnie pieczołowicie, gdyż jego tekst zostanie odczytany we wszystkich kościołach.

- To niepotrzebne. - Bowles spojrzał mu prosto w oczy. - Pan nie napisze żadnego listu pasterskiego, Eminencjo. A jeśli nawet, to tylko taki, który zostanie przeze mnie zaakceptowany.

Kardynał mógłby wybuchnąć gniewem, roześmiać się lub obrazić. Nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Czekał.

- A więc gdzie jest pies pogrzebany? - zapytał.

- Pan sam jest najsłabszym punktem swego planu, Eminencjo - wyjaśnił Bowles. - I to aż żenujące, że w dzisiejszych czasach okazuje się, iż najskuteczniejsze są pradawne metody przekonywania...

- Zawsze mówiłem, że najskuteczniejsze są najprostsze zagrywki - zgodził się z nim Anastazy Pastuch. - Więc?

- On miał tylko dwanaście lat, Eminencjo - obniżył głos Bowles.

- Ccco takiego? - Anastazy Pastuch cofnął się z całym krzesłem, jakby ktoś właśnie pchnął go w pierś.

- To był nasz cyborg z wszczepem feromonalnym. Tak silnym, że gdyby wszczepić go kozie, również spodobałaby się Waszej Eminencji. - Bowles nie starał się już być grzeczny. - Mamy całą dokumentację tego zdarzenia. Aż po smutny epilog w wiślanym rozlewisku. A tak pana prosił, żeby go nie topić... Że jest jeszcze taki młody i chce żyć...

- Ttito było tak dawno temu - wyjąkał kardynał. - Sam nie wiem, jak... - Potrząsnął głową i wydawało się, że dochodzi do siebie. - Szyta grubymi nićmi prowokacja - powiedział oschle. - Nikt w nią nie uwierzy.

- Dowody są niezbite, Wasza Eminencjo. Będzie się pan tłumaczył przed papieżem, Episkopatem, opinią publiczną, Interpołem. Bo to był obywatel Teksasu, wie pan? I Teksas takiego incydentu nie puści płazem. Opublikujemy film na Sieci, uruchomimy międzynarodowe publikatory, rozpoczniemy procedury sądowe. Nawet wy tu, w Polsce, musicie się liczyć ze światem na zewnątrz. - Bowles roześmiał się jak z dobrego dowcipu. - Ale pan przecież do tego nie dopuści, prawda?

- Nie dopuszczę. - Kardynał zastanawiał się długą, długą chwilę, co powiedzieć dalej. Następne słowa z trudem przeszły mu przez gardło. - Nie dam wam wygrać - dodał.

Bowles spojrzał na niego uważnie.

- A więc to tak - stwierdził nadspodziewanie łagodnym tonem. - Może jednak w takim razie jeszcze gdzieś jest ta Polska, o której pan mówił? To będzie czczy gest, Eminencjo. Świat przetoczy

się i potoczy dalej.

- My, Polacy, zawsze robiliśmy rzeczy bezsensowne - rzekł Anastazy Pastuch. - Zawsze gesty i modlitwy, i wiara bez pokrycia. Kiedyś odbierzemy nasz dług z nawiązką. A to „kiedyś” się zbliża, panie Bowles. „Kiedyś” może być jutro lub pojutrze. I my, panie Bowles, musimy wygrać, gdyż zawsze przegrywaliśmy. I nie wiara w Boga trzyma mnie przy nadziei, ale rachunek prawdopodobieństwa. Rachunek, który mówi, że jeśli sto razy wypadła reszka, może pan postawić cały majątek na orła.

- Rachunek prawdopodobieństwa tego nie mówi, Eminencjo. Typowy błąd humanisty. - Bowles wstał i zgasił papierosa w popielniczce. - Ale nawet jeśli... Problem tkwi przecież w tym, że wasza moneta ma reszkę zarówno na awersie, jak i rewersie, a wy, nieszczęśni Polacy, nie wiecie, że tę monetę dawno temu sfalszowano. Wszyscy wiedzą, tylko nie wy. Pozwoli więc Wasza Eminencja, że postawię sto pierwszy raz na reszkę, szanując w ten sposób zarówno prawdopodobieństwo, jak i logikę.

- Cóż, pański wybór. - Kardynał Anastazy Pastuch wzruszył ramionami. - Do widzenia.

- Do widzenia?

- Ach, proszę mnie nie chwytać za słowa. Kardynał Anastazy Pastuch został sam i wolno dopił kawę.

Nie chcę umierać, pomyślał rozpaczliwie. Wiedział jednak, że w tym wypadku, nawet jeśli moneta jest sfalszowana, on postawi na orła. Zawsze na orła. Choć musi wyjść reszka. Ale może nie liczyła się przegrana, a sam fakt postawienia na przegraną?

- I zawsze będziemy tacy - westchnął kardynał Anastazy Pastuch. - Zawsze będziemy umieli umierać i nie będziemy potrafili żyć.

- Eminencjo? - w interkombie rozległ się głos szefa ochrony.

- Tak?

- Nie udało nam się do końca zablokować sensorów.

- To nieważne - odpowiedział kardynał Anastazy Pastuch, gdyż faktycznie było to w tym momencie nieważne.

- Poinformowaliśmy COW. Czy wysłać zawiadomienie o *persona non grata*?

- Nie, nie, niech zostanie i widzi, jak jego misterny plan upada. - Kardynał wiedział, że oficer go nie rozumie. - To wszystko. Dziękuję i proszę odwołać wszystkie dzisiejsze spotkania.

- Oczywiście, Wasza Eminencjo.

- Aha, i proszę wezwać Pana Kota na zastrzeżoną linię. Odbiorę w łazience.

- W łazience, Eminencjo? - upewnił się głos.

Kardynał Anastazy Pastuch nie raczył już odpowiedzieć. Powoli skierował się do łazienki, rozpinając po drodze guziki koszuli. Wszedł do wanny, która przybrała kształt rozświetlonej pacyficzej muszli. Nie musiał długo czekać na połączenie z Panem Kotem. Tak naprawdę nie zdążył jeszcze dobrze się wyciągnąć, a już na ekranie pojawiła się twarz Pana Kota. Jak zwykle w nieprzejrzystych, maskujących okularach.

- Wasza Eminencjo?

- Muszę zdjąć parasol - oświadczył kardynał z prawdziwym smutkiem.

- Ach tak - kiwnął głową Pan Kot, wiedząc, czym jest spowodowana ta decyzja. - Czy nie spróbuje pan...

- A miałyby to sens?

Umysł Pana Kota, precyzyjny niczym komputery nowej generacji, przez ułamek sekundy analizował wszystkie za i przeciw.

- Nie - odpowiedział szczerze. - Nie miałyby.

- Czy przerzucić cię w bezpieczne miejsce?

- Nie uniknie się przeznaczenia. - Pan Kot leciutko skrzywił usta. - Zostanę tu, gdzie jestem. Dziękuję, że Wasza Eminencja o mnie pomyślał. Chciałem tylko zameldować, iż wydarzyły się pewne zdumiewające...

Anastazy Pastuch uniósł dłón.

- Bardzo cię proszę - powiedział spokojnym tonem. - Nie dziś. To już mnie nic nie obchodzi.

- Rozumiem, Wasza Eminencjo.

- Przygotowałem na jutro list pasterski - rzekł kardynał po chwili milczenia. - Prześlij go Głęboką Siecią do wszystkich parafii. Dopilnuj, żeby nikt po drodze się do niego nie dostał.

- Oczywiście, Wasza Eminencjo.

Kardynał skinął mu głową i ścienny ekran wygasł. Anastazy Pastuch już wcześniej przygotował sobie pewien zabytkowy przedmiot, który w czasie rozmowy z Panem Kotem trzymał ukryty pod pianą pokrywającą grubym kożuchem wodę w wannie. Brzytwa w złoczonej oprawie, z wygrawerowanymi inicjałami kardynała. Prezent na szesnaste urodziny. Teraz się przyda... Kardynał zawsze twierdził, że najskuteczniejsze są najprostsze metody, i miał właśnie twierdzenie to udowodnić w praktyce. Wyciągnął przed siebie dłón ociekającą wodą i pianą. Uważnie przyjrzał się cieniuteńkiej siatce żył, a potem jednym zdecydowanym ruchem przeciągnął ostrzem po przegubie. Zapiekło. Ale nie zabolalo, tak jak się kardynał spodziewał, że zabolilo. Do wody trysnęła krew. Też nie tak silnym strumieniem, jak myślał Anastazy Pastuch.

- Czyżbym był już starcem i to starcza krew sączy się z moich żył tak leniwym strumieniem? - zapytał sam siebie.

Niemile dotknął go fakt, że mógłby być starcem, chociaż przecież jakie to miało znaczenie teraz, właśnie w tej chwili? Schował dłón pod wodę i ból, jeśli w ogóle istniał, przygasł. I Anastazy Pastuch nie czuł już nic poza osłabieniem i umieraniem.

Jak tam będzie? - zamyślił się z ciekawością, ale bez lęku. Czy trafię wprost w światło czy do czarnego tunelu bez końca?

Wiara w robaki oddaliła się w momencie cięcia brzytwą i właściwie powinien się bać, że mroczny tunel może go zaprowadzić do miejsca, w którym trzeba za wszystko zapłacić. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić, i usiłował nawet sam siebie przekonać, że właśnie powrót i stawienie czoła rzeczywistości byłyby aktem prawdziwej odwagi. Lecz przecież nie o akt odwagi tu

chodziło, a jedynie o akt poświęcenia. I kardynał cicho westchnął. Czy tylko przez rozstanie z człowiekiem można ocalić człowieka? - przemknęło mu przez myśl. Piana na powierzchni wody nabrała różowawego połysku. Kardynał Anastazy Pastuch podniósł czerwoną, lepka od krwi rękę i wiedział już, że w śmierci nie ma nic wzniosłego. Jest tylko mokro i lepko, i brudno, i strasznie.

- *Morituri te salutant* - rzekł, aby własną patetyczną śmiesznością zagłuszyć strach.

Życie purpurowymi strugami uciekało leniwie z jego żył. Kardynał Anastazy Pastuch umierał z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku i z rozpaczliwym pragnieniem Boga.

Nie miał się dowiedzieć, że list pasterski wysłany łączami Głębokiej Sieci został przechwycony przez hakera teksańskiego rządu, a jego treść zmieniono zgodnie z zaleceniami CIA. Nazajutrz wszyscy proboszczowie przeczytają wiernym przesłanie kardynała popierające ideę stworzenia polsko-teksańskiej strefy ekologicznej na terenie Suwalszczyzny. Nie będzie odwiertów, szybów i ropy. Nie będzie drugiego Kuwejtu.

O szóstej rano następnego dnia, w porze początku mszy świętych, zadowolony pan Bowles rzucał monetą i zawsze wychodziła mu reszka. Za dwie godziny miał się przekonać, że jego naiwna wiara w powodzenie misji nie miała żadnych podstaw. Japońscy halerzy spenetrowali komputery CIA, włamali się do Głębokiej Sieci i przywrócili właściwą treść listu pasterskiego kardynała Anastazego Pastucha. Pan Bowles o piętnastej otrzymał polecenie z teksańskiej centrali. Celem był ajatollah Matarani z Krymu. Uważany za jednego z najlepiej strzeżonych przywódców świata. Pan Bowles przyjął rozkaz z nieukrywaną rezygnacją, lecz również z czymś na kształt ulgi.

- Polska - powiedział, jakby uczył się tego słowa lub je smakował. Roześmiał się do własnych myśli. - Nauczycie się ją odmieniać przez wszystkie przypadki - dodał, myśląc o reszcie świata.

Za trzy dni miał już umierać wbity na pal przed pałacem ajatollaha. Mógł dokładnie obserwować gawieź lub oddać się spokojnym przemyśleniom, gdyż wyłączył receptory bólu i kaźń nie sprawiała mu więcej przykrości niż siedzenie w dyrektorskim fotelu. Czasami tylko jęczał lub przeciągle skowyczał, aby zaspokoić oczekiwania tłumu.

W pewnym momencie zobaczył nad sobą ajatollaha Mataraniego. Smagłego, długobrodego, o zmęczonych oczach smutnego psa. Tłum zawył z entuzjazmem, widząc swego przywódcę. Pan Bowles uśmiechnął się i pozazdrościł ajatollahowi, iż ten żyje i cieszy się dobrym zdrowiem. Strasznie chce się żyć, kiedy się umiera, pomyślał.

Matarani ujął prawą dłoń Bowlesa w swoje dłonie. Miał ciepłe palce.

- Mam nadzieję, że siły pana jeszcze nie opuściły, panie Bowles - powiedział po angielsku ze świetnym, uniwersyteckim akcentem.

- Jeszcze nie - odparł agent. Było mu głupio, że zaostrzony pal wbija się w jego odbyt i penetruje wnętrze. Bardzo kiepska pozycja do rozmów.

- Zabiłby mnie pan - stwierdził ajatollah - bo jest pan najlepszy...

- Ale?

- Wystawili pana, panie Bowles. Był pan moim deserem podanym na tacy.

Bowles roześmiał się, lecz w tym śmiechu nie było wesołości.

- A to skurwysyny - skwitował z goryczą.

- Zdarza się - przytaknął ajatollah. - Nie rozumiem ich, jeśli mam być szczery, bo jak można złomować tak cenne narzędzie jak pan?

- Prawda? - zapytał Bowles i westchnął. Przypomniawszy sobie, że tkwi nabity na pal, więc zaryczał przeraźliwie. Zgromadzony wokół tłum zaczął wiwatować. Matarani skrzywił usta.

- Niech pan dziękuje Allahowi, że nie jestem mściwy - powiedział. - Wiem, że nic pan nie czuje, i niech tak zostanie. - Poglądził brodę. - Nasi lekarze mogą pana poskładać - dodał, patrząc uważnie Bowlesowi prosto w twarz.

- A ceną jest?

- Zabije pan każdego, kto zechce otworzyć polską ropę. - Czarne oczy Mataraniego rozjarzyły się. - Pan zna Polskę i Polaków. Pan może wejść wszędzie.

- Tama już pękła. - Bowles wzruszył ramionami, choć wzruszyć ramionami, będąc nabitym na pal, wcale nie było tak łatwo. - Możesz zabić stu, tysiąc, milion. Nic to nie da. Ja zawałem sprawę i dlatego właśnie jestem tu, a nie gdzie indziej. Z pniakiem wbitym w dupę...

Ajatollah Matarani uśmiechnął się, ale uśmiech można było poznać tylko po oczach, gdyż gęste wąsy zasłaniały usta.

- Zabij ich - powiedział, nachylając się nad Bowlesem. - Zabij ich wszystkich.

- Nie - odparł Bowles i własna decyzja go zdumiała.

- Dlaczego? - spytał Matarani spokojnym głosem.

- Ma pan monetę? Jakąkolwiek? Zdumiony Matarani skinął głową.

- Proszę nią rzucić. Wyjdzie rewers, czy co wy tam macie na monetach, jestem do pana dyspozycji. Wyjdzie awers, czyli reszka, zostaniemy przy moim.

Ajatollah wpatrywał się w Bowlesa wzrokiem, w którym zdziwienie walczyło o lepsze z obawą, że agent dostał pomieszania zmysłów. Wyrzucił monetę w powietrze i złapał na dłoń.

- Reszka - stwierdził po długiej chwili.

- Wiedziałem! - krzyknął rozradowany Bowles.

- Głupota! - Matarani cisnął monetę w tłum, nie zauważając, że ludzie zaczęli o nią walczyć. Nie z powodu jej rzeczywistej wartości, ale dlatego, że została dotknięta przez świętego męża.

- Bowles, mam pana kazać zdjąć czy chce pan tu zdechnąć? - zawarczał.

- Nie będę dla pana zabijał - oznajmił Bowles pogodnym tonem. - Przykro mi.

Ajatollah z trudnością zapanował nad sobą. Agent widział, jak trzęsą mu się dłonie, i był tym rozbawiony.

- Czemu? - wycedził Matarani.

- Jestem Polakiem - odparł Bowles. Ajatollah roześmiał się z wyraźnym przymusem.

- Przecież wiem, że nie!

- Fakt, żartowałem - przyznał rozbrajającym tonem Bowles. - Ale niech pan pomyśli, jaki to był kiedyś wielki naród. Pełen godności, wiary i szaleństwa. Teraz wszyscy spsiali i znędznieli. No, niemal wszyscy... Powiedzmy więc, że ja jestem ostatnim prawdziwym Polakiem. I umiem umierać tak samo dobrze, jak kiedyś oni. Założymy się?

- Pan nie jest Polakiem, pan nie chce umierać... - Oczy ajatollaha jawiły się Bowlesowi jak dwa burzowe jeziora. - I niech pan mnie nie doprowadza do pasji, bo każę włączyć pana receptory, a wtedy pozna pan, jak naprawdę smakuje umieranie.

- Pewnie, że nie chcę umierać - przyznał Bowles, a w jego głosie zabrzmiał smutek. - Lecz wolę umrzeć dla siebie niż żyć dla pana.

Matarani wpatrywał się w niego z wręcz bolesnym napięciem.

- Dlaczego? - zapytał w końcu.

- Bo jeśli dalej nic nie ma, jeśli zgniję, a moje ciało rozsypie się w proch, to wszystko jedno, co zrobiłem. Lecz jeśli istnieje świat po śmierci, czeka mnie w nim gorące przyjęcie. - Bowles roześmiał się. - Ostatni z Polaków - dodał po chwili. - Czy może być lepsza przepustka do raju? Przecież On kocha idiotów.

Ajatollah wzruszył ramionami.

- Oszalał - rzucił do asystentów stojących za jego plecami. - A wyraźnie nakazywałem rozpiąć nad nim parasol... To słońce...

- Winni zaniedbania zostaną należycie ukarani - szczechnął jeden z asystentów.

- Wystarczy po sto batów - powiedział Matarani, gdyż mimo wszystko był w wyjątkowo łaskawym nastroju, a poza tym chciał spokojnie przemyśleć słowa Bowlesa.

- Najpierw będę łowił mieczniki - rzucił teksański agent, patrząc z rozmarzeniem w niebo, ale nikt go nie zrozumiał.

*

Ach, Sonia! Cóż to była za kobieta! Poseł Lepki spotykał się z nią nie z uwagi na jej walory intelektualne, zdolność błyskotliwej rozmowy czy szczególną urodę lub zachwycającą figurę. Sonia była po prostu jedyną kobietą, która potrafiła sprawić, że poseł Lepki czuł się mężczyzną pełną gębą (a raczej pełnym czym innym, ale przecież sformułowanie „mężczyzna pełnym chujem" nie funkcjonowało w języku polskim). Z Sonią poseł Lepki nie kompromitował się szybkim spustem, potrafił raz, drugi, trzeci i czwarty, a nawet piąty pieprzyć ją całymi godzinami. Na misjonarza, na jeźdźca, na pieska, na łyżkę, po grecku, francusku i hiszpańsku. Pod koniec takiego seansu żołądz kutasa Lepkiego zwykle wyglądał jak obdarty ze skóry owoc dojrzałego granatu, lecz nadal sztywny i gotowy do dalszej wyteżonej pracy. Tak więc czego nie były w stanie dokonać wynalazki współczesnej farmakologii, tego dokonywało ciało Sonii.

I nagle przydarzyło się nieszczęście. Lepki zamierzał trochę się wyluzować przed imieninowym przyjęciem u prezydenta i posłał po Sonię samochód, aby ściągnąć ją na małe, dwugodzinne

pieprzonko. Sonia, jak to Sonia, zawsze chętna, przyjechała w samym futrze zarzuconym na nagie ciało i od progu, na kolanach, zajęła się przyzwoitym masażem za pomocą swych wielkich cyców, miękkich ust i sprawnych paluszków. I... nic. Poseł Lepki na początku nie był zdenerwowany, gdyż myślał, że wszystko szybko wróci do normy. Nie wracało. Minęło kilka minut, a kutas posła Lepkiego trwał w beczynnej obojętności. Sonia jęczała, wzdychała, kręciła tyłkiem, przemawiała do kutasa, głaskała kutasa, lizała kutasa, ssała kutasa, bawiła się jajami. Wszystko na nic.

- Może do łóżka? - mruknął w końcu Lepki.

Nalał sobie solidnego drinka i niuchnął małe co nieco. Ot tak, tylko na pobudzenie wyobraźni. Zanim zdołał dotrzeć do sypialni, ona leżała już na łóżku i miętoszyła oraz ssała sobie cycy. Duże brązowe sutki sterczały jej jak antenki.

- Och, wydymaj mnie - poprosiła. - Zajeżdź mnie, ty mój ogierze...

To ogiera można zajeżdżić, a nie ogier może zajeżdżić kogoś, bardzo trzeźwo i bardzo rozsądnie pomyślał poseł Lepki, dostrzegając w słowach Sonii logiczną niekonsekwencję.

- O taaak, przetrzep mi futro, proooszę...

Cóż, skoro trzepać tego futra nie było czym, gdyż trzepaczka odmówiła posłuszeństwa. Lepki ujął kutasa w dwa palce i podciągnął niemal pod pępek. Puścił i zwiotczały członek smętnie uderzył o jaja. Był tak bardzo sflaczały, że zaraz jeszcze bardziej skurczył się ze wstydu.

- O żesz kurwa mać - zawarczał poseł, żałując, że kutasa nie można wychować jak społeczeństwa.

Próbował wsadzać tam, gdzie trzeba, próbował wsadzać w usta, próbował wsadzać w tyłek, próbował wsadzać między ogromne poduchy jej cyców, puścił na całą ścianę film pornograficzny. Nic nie pomagało. Kutas posła Lepkiego najwyraźniej nie poznawał Sonii. Był jak przerażony pies kryjący się po kątach przed kimś, kto do tej pory był jego najlepszym przyjacielem. Dostawał karmę najlepszego sortu i uciekał. Zamiast merdać ogonem, strachliwie skurczał.

- Ja pierdolę - zajęczał Lepki i zaraz pomyślał, jak by było świetnie, gdyby było to prawdą.

Męczeństwo posła Lepkiego trwało ponad dwie godziny. Sonia była niezmordowana. Na przemian ostra i czuła, łagodna i drapieżna. Ani przez sekundę nie okazywała zniecierpliwienia. Odegrała przed nim aktorkę porno i uwięzioną dziewczycę, była skromną dziewczynką i demonem seksu, broniła się i pragnęła. Wszystko na nic... Po dwóch godzinach z okładem poseł Lepki spojrzął na zegarek.

- O kurwa, zajebią mnie - powiedział, gdyż właśnie sześć minut temu zaczęło się przyjęcie u prezydenta.

- Muszę iść - wyjaśnił Sonii. - Zaczekaj na mnie.

- Mmmmm - odparła.

Przechylił szklaneczkę, a potem zaniuchał, żeby dodać sobie energii oraz animuszu. Miał przygotowane białą koszulę, frak, muszkę oraz lakierki tak lśniące, że mógł się w nich przeglądać. Ubrał się pospiesznie.

- Jami, jami - zachwycił się, patrząc w lustro. Zarzucił na ramiona płaszcz i zbiegł po schodach.

Czarna limuzyna czekała tuż przed bramą. Kierowca mimo siąpiącej mżawki stał obok samochodu i widząc postać, szybko podbiegł z parasolem. Przeprowadził go, opiekując się nim tak pieczołowicie, jakby jedna kropla deszczu mogła Lepkiego rozpuścić na amen. Otworzył tylne drzwi. Poseł rozparł się na kanapie.

- Tylko, kurwa, szybko - przykazał.

Po kilku minutach włączył radio i wysłuchał komunikatu podawanego na okrągło razem z marszem żałobnym Chopina. Sięgnął do barku, nalał sobie pełną szklanekę wody (ręka tak mu drżała, że wylał część alkoholu na spodnie) i łyknął do dna. Powtórzył raz i drugi, a potem odetchnął głęboko.

- Ach ty, jebany - powiedział serdecznie, patrząc na swoje krocze. - Ale ty masz pierdolony instynkt samozachowawczy.

Pomyślał o czekającej w domu Sonii i poczuł, jak kutas wypręża się pod spodniami.

- Wracamy - rozkazał kierowcy, a w sercu grały mu anielskie chóry.

*

Przyjęcie w Pałacu Prezydenckim odbywało się w tych samych godzinach, co wielka feta u ambasadora Japonii. I zbieżność terminów nie była przypadkowa. U prezydenta zebrali się zwolennicy porozumienia z Republiką

Teksasu, ambasadę Japonii wybrali ci, którzy zdecydowali się postawić na japońskie inwestycje na terenie Suwalszczyzny. Oczywiście na obu tych przyjęciach było również wielu gości, którzy nie znali szczegółów toczącej się gry, lub też takich, których pozycja była zbyt słaba, by ktokolwiek ich o cokolwiek pytał.

Przyjęcie u pana prezydenta połączono z uroczystym podjęciem delegacji Republiki Mbabane, która to delegacja od wielu miesięcy czekała już na zaszczyt ujrzenia głowy państwa. Niestety, w Kancelarii nikt nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, gdzie właściwie leży Republika Mbabane, podejrzewano tylko, że w Afryce, gdyż członkowie delegacji czarne mieli nawet kutasy, co w raportach pieczołowicie odnotowała agentka polskiego wywiadu - oddana służbie nazaretanka z dwudziestoletnim stażem i sensorowymi wszczepami. Stwierdzono również, że dwóch z pięciu członków delegacji chorowało na zgnilca kongijskiego.

Goście zgromadzeni w wielkiej sali przyjęć stali i plotkowali, a pan prezydent się spóźniał. Podejrzewano, iż wysiadła mu poduszka powietrzna. W końcu jednak pan prezydent wpłynął przez dwuskrzydłowe drzwi, a za nim sunęła cała cywilna i kościelna świta. Pan prezydent prawym ramieniem obejmował pluszowego misia w różowych okularach (misiowi ktoś wbił w czoło maleńką teksańską flagę na aluminiowym maszcie), a lewą ręką pozdrawiał tłumnie zgromadzonych gości.

- Dziabuńcia - powitał zebranych pan prezydent, a wszyscy grzecznie i w miarę zgranym chórem odpowiedzieli: „dobry wieczór, panie prezydencie”. Zaraz potem panu prezydentowi wyłączono wzmacniacze głosu.

Jeszcze przed rozpoczęciem oficjalnej uroczystości wręczania prezentów nadeszła chwila dla delegacji Mbabane. Dla pięciu rośliwych czarnych mężczyzn w rytualnych skórkach z syntetycznego lamparta.

- Ambasador nadzwyczajny i pełnomocny Wielkiej Republiki Górno Mbabane, pan Umtata Umfolozi wraz ze świtą - obwieścił sekretarz stanu i strzelił przygotowanymi wcześniej serpentynami. Pan prezydent uśmiechnął się błogo.

- Oto myyy, niegodni wysłanniiiicy Staaarszeego Braaata Wieceecznooooości - zaśpiewał pan Umtata Umfolozi.

- Oto my, oto my - zawtórował mu chór delegacji Mbabane, przygrywając na rytualnych bębenkach.

- Oto myyyyy, niegodni wysłanniiiicy Praaaaawej Ręki Światłooości - zaśpiewał pan Umtata Umfolozi.

- Oto my, oto my - w niepokojącym rytmie wybębnił chór delegacji Mbabane.

- Będzieeeeemy mówić ustaaaaami Wszechmądrości - zaśpiewał pan Umtata Umfolozi.

- Będziemy, będziemy - przyrzekł chór delegacji Mbabane.

Pan Umtata Umfolozi wykonał rytualny skok powitalny, symbolizujący składanie ofiary bogu-lampartowi Mbubalasi (szereg najbliższych stojących cofnął się, wymieniając uwagi świadczące o zaniepokojeniu oraz zakłopotaniu). Jednak pan prezydent obserwował wszystko z dużym zainteresowaniem i klepał swego misia po głowie w rytm bębenków.

- Dziękuję - przemówił sekretarz pana prezydenta. - Pan prezydent Przenajświętszej Rzeczypospolitej Polskiej, Największy Obrońca Demokracji...

- Najwięęęększy Obrońca Demokraaaacji - zaśpiewał, fałszując, sekretarz sekretarza pana prezydenta, który był tak naćpany, że ledwo widział na oczy.

- Obrońca Jedynej Prawdziwej Wiary, Oddany Syn Matki Boskiej Częstochowskiej i Wyzwoliciel Ostrej Bramy - kontynuował sekretarz pana prezydenta, spojrzeniem powstrzymując swojego sekretarza przed dalszymi przyśpiewkami - z uwagą śledzi rozwój odwiecznej przyjaźni pomiędzy narodem polskim i... - Znowu spojrzał w stronę swego sekretarza, tym razem nieco rozpaczliwie.

- Mbabańskim - podpowiedział ten teatralnym szeptem, uwalniając się na chwilę z oparów metakoksu.

- ... mbabańskim - dokończył z ulgą sekretarz pana prezydenta. - Dlatego też z radością przyjmuje ustanowienie stosunków dyplomatycznych na poziomie ambasad pomiędzy naszymi krajami.

- Pomniecek - udało się wtrącić panu prezydentowi. Delegacja Mbabane przyglądała mu się w skupieniu.

- Pan prezydent pragnie wiedzieć, czy Republika Mbabane uhonorowała już pomnikiem jego zasługi jako Największego Misjonarza Wszech Czasów - przetłumaczył sekretarz.

- My w Mbabane zawsze jeść misjonarza - wyjaśnił z niejakim zdumieniem pan Umtata Umfolozi i pogłaskał się machinalnie po obfitym brzuchu. - W Polska nie jeść misjonarza? - zapytał z

prawdziwym współczuciem.

Musiał jednak wyczuć, że popełnił ciężko wybaczalny błąd, gdyż szybko zaproponował:

- Pan prezydent przyjąć doktorat honoris causa słynnego Coconut University of Mbabane, który mam zaszczyt być rektor? - Te słowa rozładowały napięcie.

Sekretarz pana prezydenta wygłosił kilka słów podziękowania i oto część oficjalna zmierzała ku końcowi. Teraz miało nastąpić tylko wręczanie prezentów, potem krótka msza, po czym goście mogli zająć się już swoimi sprawami oraz niszczeniem prezydenckich zapasów alkoholu.

Pan Umtata Umfolozi jako pierwszy złożył swój dar, a był to drewniany, pięknie rzeźbiony krzyż. Rozpięta na nim postać do złudzenia przypominała Włodzimierza Iljicza Lenina. Miała nawet łysinę, kocią bródkę i cyklistówkę na głowie.

- Jezusik - z nabożnym podziwem w głosie zidentyfikował rzeźbę pan prezydent.

Niestety mylnie, gdyż ukrzyżowana postać wyobrażała boga Mbubalase i przedstawiała tragiczny koniec jego życia.

Otoczenie pana prezydenta zaczęło przyjmować prezenty od przedstawicieli Episkopatu, rządu oraz korpusu dyplomatycznego, a wreszcie pomniejszych oficjeli. Senator Kardupell nie był w danym momencie w rządzie (pobierał tylko trzyletnią odprawę), więc, niestety, musiał czekać dość długo na swoją kolej. Pocieszała go myśl, że usytuowanie w kolejce do prezydenta ma się nijak do prawdziwych wpływów. Senatorowi towarzyszyła córka, a kiedy para podchodziła do fotela, człowiek obserwujący całą scenę na ekranie powiedział dobitnym głosem: „już!”.

Wtedy właśnie nadszedł czas butów Ligii Kardupell, naszyjnika Ligii Kardupell, bransolety Ligii Kardupell i kolczyków Ligii Kardupell. Wszystkie wybuchły w tym samym momencie, a sala zamieniła się nawet nie w przedsionek piekła, lecz w jego punkt centralny. Pan prezydent stopił się w jedno ze swoim misiem, fotelem i ministrem spraw zagranicznych.

Nie było słyhać żadnego krzyku, gdyż nikt krzyknąć nie zdołał. Nikt nie zorientował się, że nadszedł kres jego życia. Wszystko przebiegło sprawnie, szybko i porządnie, a człowiek kierujący akcją miał nadzieję, że właściwe służby szybko poradzą sobie z pożarem, gdyż było mu żal wnętrza zabytkowego pałacu. Bowiem jak każdy prawdziwy Japończyk żywił ogromny szacunek dla sztuki i głęboko bolał nad zniszczeniem dzieł wykonanych dłońmi wielkich artystów, nawet jeśli nie pochodzili z Kraju Kwitnącej Wiśni.

*

Pan Światłoniesień trochę wyrzucał sobie nadmierną pochopność postępowania z pisarzem Konradem Piotrem. Ale cóż, nie należał do osób nadmiernie cierpliwych, a opór zawsze diablo go rozdrażniał. Dddiablo, powtórzył sobie w myślach i to sformułowanie go rozbawiło. Mógł, oczywiście, trochę bardziej się postarać, ale sama konieczność zabiegania o przychylność istoty tak nędznej doprowadzała go do szału. Wiedział, że tak czy inaczej sobie poradzi. Przyjdzie jeszcze czas następnych zakładów i tym razem nie zakończą się one jak ten ostatni. Tymczasem jednak pan Światłoniesień trzymał w rękach dodatkowy atut. Może nie był to atut o sile bomby atomowej, ale na

pewno coś, co miało mu pomóc w splątaniu złośliwego psikusa. A pan Światłونيسień uwielbiał złośliwe psikusy.

I ciekawe, co wykombinujesz w rewanżu? - zastanawiał się, myśląc o swym sromotnie przegrywającym każdą bitwę oponentie, któremu teraz (jak ślepej kurze ziarno!) wreszcie udało się pokrzyżować plany rywala.

Uznając, że czas kuć żelazo, póki gorące, skontaktował się z jednym ze swych partnerów handlowych, szefem wielkiego, ponadnarodowego koncernu z siedzibą w Szanghaju.

- Witaj, Ho - rzekł pan Światłونيسień. - Mam dla ciebie ważną informację. Otóż postanowiłem upublicznić wyniki pewnych badań. Po wdrożeniu w życie wynalazku, którego plany mam przy sobie, polska ropa będzie potrzebna światu tylko w znikomym zakresie. Można powiedzieć, że w ogóle ropa straci strategiczne znaczenie. Ja dysponuję jedyną kopią planów, gdyż autor koncepcji, niestety, nie doczeka jej triumfu...

- W takim razie zapraszam, abyśmy mogli ten problem przedyskutować - odezwał się głos ze słuchawki.

Pan Światłونيسień niemal był dumny ze swego rozmówcy, że ten nie okazał nawet nuty zdziwienia, słysząc przecież wiadomość, która mogła (ba, musiała!) wstrząsnąć światową gospodarką. A sam pan Światłونيسień czuł się bezpiecznie, bo wiedział, że od podania przez niego ogólnego zarysu koncepcji do zastosowania w praktyce była długa droga. I bez wyników badań nawet najbardziej zaawansowanym technologicznie koncernom prace zajęłyby wiele miesięcy żmudnych doświadczeń. Poza tym Ho był zbyt mądrym człowiekiem, by myśl o wykiwaniu pana Światłونيسienia mogła zagościć w jego umyśle inaczej niż tylko jako pozbawiona znaczenia igraszka intelektualna.

- To ja zapraszam. Byłeś kiedyś w Warszawie, Ho?

- Oczywiście - odparł rozmówca pana Światłونيسienia. - Lecz chętnie zobaczę jeszcze raz miasto, które mój przyjaciel darzy taką sympatią.

- Tak właśnie myślałem - rzekł pan Światłونيسień i rozłączył się.

Rozdział ósmy

Czy pociski w magazynku pistoletu naprawdę zostały specjalnie przygotowane przy pomocy relikwii? A jeśli tak, to czy rzeczona relikwia w ogóle miała jakąkolwiek moc? Poeta Atlas Symbol był człowiekiem bardzo sceptycznym, choć trzeba przyznać, że jego sceptycyzm został ostatnio poddany ciężkim próbom. Wiedział oczywiście, że Watykan w ramach zwiększania dochodów wystawiał na licytację różne relikwie, dotąd pieczołowicie przechowywane w skarbcach katedr, kościołów oraz banków. Było to nic innego jak powrót do średniowiecznego obyczaju, który kazał dzielić ciała świętych na małe kawałeczki i rozsyłać je do biskupstw, opactw oraz probostw, rozsianych po całym świecie. I tak ciało nieszczęsnego papieża podzielono na wiele elementów, osobno sprzedając palce, zęby lub serce. Największy skandal wyniknął w czasie sprzedawania głowy, kiedy okazało się, że kupił ją (korzystając z łańcuszka podstawionych firm) pewien saudyjski

książę. I teraz w jego pałacu głowa polskiego papieża przyozdabiała ścianę w sali łowieckiej, wisząc obok głów lwa, słonia, syberyjskiego tygrysa, afrykańskiego bawołu i niedźwiedzia grizzly.

Poeta dowiedział się, gdzie mieszka pan Światłونيسień, i warował codziennie w okolicach jego pałacu, obserwując bramę z krzaków po drugiej stronie ulicy. Ubrany w brudne ciuchy, w których przebył kanały, i z butelką niebieskiego płynu w dłoni świetnie udawał pijaczka raczącego się w spokoju procentami. Spędził wiele godzin w chłodzie i deszczu, kryjąc się ze wstydu przed przechodniami i ze strachu przed patrolami policji. Wiele razy przychodziło mu do głowy, by porzucić w diabły szaleńczy plan.

Po co mi to wszystko było, myślał z goryczą, skoro teraz i tak będą wypuszczać ze Śląska? Ale zawsze kiedy był już niemal zdecydowany, że nie dotrzyma danej księdzu obietnicy, wydawało mu się, że gdzieś w głębi głowy czuje łaskotanie. Nic bolesnego, jakby tylko świadectwo czyjejs czujnej obecności.

Nigdzie nie mógł znaleźć zdjęcia pana Światłونيسienia, ale co dziwne, nie było mu potrzebne. Bowiem od pewnego czasu starczało, by przymknął powieki, a twarz tego człowieka pojawiała się tak wyraźnie, jakby przedstawiona na trójwymiarowym zdjęciu. Czarne włosy, czarne głębokie oczy, semicki wydatny nos, wąskie usta skrzywione w ironiczno-zgryźliwym uśmiechu. Zaobserwował też inny zdumiewający fenomen. Oto pewnego popołudnia przed bramę pałacu wyjechała ciężka, czarna, najwyraźniej opancerzona limuzyna o nieprzezroczystych szybach. A wtedy pistolet, którego kolbę Atlas Symbol kurczowo ścisnął, wyraźnie się rozgrzał. Tak bardzo, że poeta przestraszył się, by broń nie wybuchła mu w rękach. Kiedy jednak samochód się oddalił, kolba wróciła do dawnej temperatury i była po prostu zwyczajnie ciepła oraz lepka od trzymania jej w spoczonej dłoni.

Tylko co mi z tego? - pomyślał potem. Tu trzeba bazooki, a nie tej zabaweczki.

Mylił się. Samochód pana Światłونيسienia został skonstruowany z kosmicznych plastików nowej generacji i przystosowany nawet, by wytrzymać ostrzelanie z dział dużego kalibru lub wycieczkę w głąb pieca hutniczego. Pan Światłونيسień nie należał do osób mających obsesję na punkcie bezpieczeństwa, ale nie widział też powodu, by ułatwiać pracę potencjalnym zamachowcom.

Siódmy dzień od ucieczki ze Śląska był dniem szczególnym. Po pierwsze, poeta odczuwał od samego rana szczególnie intensywne łaskotanie, które od potylicy przemieszczało się w stronę skroni oraz zatok i z powrotem. Po drugie, wreszcie uśmiechnęło się do niego szczęście. A wręcz można powiedzieć, zdarzył się cud! Gdyż czarna, opancerzona limuzyna wyjechała tuż za bramę pałacu, po czym jej silnik odmówił posłuszeństwa i bezradnie stanęła. Kierowca z ochroniarzem wysiedli niemal natychmiast, pan Światłونيسień dopiero po dłuższej chwili.

- To niewiarygodne - powiedział na tyle głośno, że leżący w krzakach poeta dobrze go usłyszał. - To absolutnie zdumiewające i niewiarygodne. - W jego głosie nie było rozdrażnienia, tylko zdziwienie.

- Też tak uważam, proszę pana - westchnął kierowca i otworzył maskę. W to, co się pod nią kryło, wpatrywał się ze sporą obawą, że ktoś mu może kazać reperować mechanizm przypominający stopniem komplikacji raketę kosmiczną.

- No nic, niech podjadą drugim, a ten zepchnijcie do garażu. - Pan Światłونيسień wzruszył ramionami.

- Teraz! - zdecydował Atlas Symbol.

Chciał wyskoczyć z krzaków i zaszarżować niczym komandos, zasypując swą ofiarę gradem pocisków. Na nieszczęście potknął się o wyszczerbiony wysoki krawężnik i runął jak długi na asfalt. Butelka pełna niebieskiego płynu rozbiła się z głośnym hukiem. Ochroniarz pana Światłونيسienia roześmiał się.

- Te pijaczki - powiedział.

I poeta nie wiedział nawet, jak wiele zawdzięczał swej niezręczności. Bowiem gdyby wypadł z krzaków z pistoletem w dłoni i z zamiarem ostrzelania pana Światłونيسienia, nie zdołałby przeżyć następnej sekundy (abstrahując od faktu, że jako człowiek nigdy nieszkolony w sztuce strzeleckiej miałby kłopoty, by z kilkunastu metrów trafić w cel mniejszy od stodoły. A co dopiero w pełnym biegu!). A tak gramolił się z asfaltu i pokrzwawioną dłonią sięgnął za pasek, gdzie tkwiła broń. Wyszarpnął pistolet i przekręcając się na bok, zaczął strzelać.

Pierwszy pocisk tylko musnął pana Światłونيسienia, urywając mu połowę ucha. Drugi przebił się przez płaszcz i portfel, zdruzgotał minidysk zawierający tajne dane dotyczące problemów energetycznych, uszkodził osierdzie i wyrwał dziurę w plecach, wylatując wraz z fontanną krwi. Trzeci pocisk przebił kolano, gruchocząc rzepkę. Czwartego strzału Atlas Symbol nie zdążył już oddać. Usłyszał huk broni maszynowej i poczuł w całym ciele ból. A może najpierw poczuł ból, a potem usłyszał huk? Gdyby mógł obserwować swe ciało ze stosownej odległości, zauważyłby, że zachowywało się ono jak szmaciana lalka wściekle szarpana zębami wielkiego psa. Potem naliczono, że na pięćdziesiąt wystrzelonych przez ochroniarza kul czterdzieści dziewięć dotarło do celu. Nie na wiele jednak mogło się to zdać panu Światłونيسieniowi, który leżał na środku ulicy, bulgocząc krwią. Nic go nawet nie bolało, był tylko niezmiernie zdziwiony. Dddiablo zdziwiony, zdążył pomyśleć, zanim odleciał w pustkę. Rozczarowany, upokorzony i pełen wściekłości. Ale dobrze wiedzący, że to jeszcze nie koniec...

Ochroniarz zeznał później, że z ciała zamachowca wypełznął ogromny czarny szczur, który najpierw spokojnie przyjrzał się jednym zwłokom, potem spokojnie przyjrzał się drugim zwłokom, a później odbiegł niespiesznym truchtem. Oczywiście uznano to tylko za wywołaną stresem halucynację, zwłaszcza że zmasakrowane ciało terrorysty leżało dokładnie na półodchylonej klapie studzienki kanalizacyjnej.

*

Poseł Lepki nie przypominał sobie z historii podobnej sytuacji. Aby całe państwo nagle zostało pozbawione niemal wszystkich dostojników najwyższej rangi. Zginęli marszałkowie oraz wicemarszałkowie Sejmu i Senatu, szef Sztabu Generalnego, wszyscy ministrowie oprócz ministra rolnictwa, który pijany w trzy dupy dotoczył się do Pałacu Prezydenckiego już w czasie akcji gaszenia pożaru (i który teraz znowu pił z niezwykłej radości, dochodząc do słusznego wniosku, iż alkohol ma magiczną moc ratowania życia).

Ocalała garść posłów oraz senatorów i wielu urzędników niższego szczebla, którzy na tak elitarne przyjęcia nie byli zapraszani (a teraz uważali, że niezrobienie kariery w Przenajświętszej było ich największym osiągnięciem życiowym). Poza wszystkim innym na zawał serca zmarł prymas,

słynny Antek Jebaka, a poseł Lepki z rozbawieniem dowiedział się przez swoje źródła, że teraz widocznie śmierć na skutek poszarpania żył ostrym narzędziem nazywana jest zawałem. Współczuł jednak trochę Anastazemu Pastuchowi, że ten nie doczekał naprawdę wielkiej rozgrywki.

Lepki wiedział, że stoi przed szansą, której nie wolno mu nie wykorzystać. Coś takiego zdarza się raz na życie, a może nawet rzadziej: raz na epokę. I przez wszystkie dni, które nastąpiły po zamachu, starał się tę szansę wykorzystać. Użył wszystkich wpływów, wszystkich znajomości i wszystkich możliwości, by stanąć na czele nowego ciała, Komitetu Obrony Państwa, które to ciało miało między innymi zorganizować wybory, a do tego czasu administrować krajem.

Poseł Lepki wygłaszał wstrząsające przemówienia, emitowane przez wszystkie stacje telewizyjne i radiowe, publikowane w papierowej prasie i na Sieci. „Nowe otwarcie”, „Uczciwe rządy uczciwych ludzi”, „Obywatelska platforma porozumienia wszystkich Polaków”, „Koniec z korupcją, koniec z przestępczością, koniec z bezrobociem”, „Wybudujemy mieszkania dla wszystkich obywateli”, „Nadszedł czas godnego życia”, „Podniesiemy zasiłki”, „Natychmiast wypłacimy emerytury”, „Koniec z przywilejami dla rządzących”, „Jestem prostym, zwyczajnym człowiekiem, tak jak i wy wszyscy”, „Dość panoszenia się obcych koncernów”, „Uwolnimy wszystkich niesprawiedliwie skazanych i uwięzionych”, „Polski majątek w ręce Polaków”.

Coraz częściej Lepki pojawiał się w towarzystwie siwowłosego pana i jękającego się młodzieńca, którzy niegdyś należeli do kabaretowej opozycji, a teraz wraz ze swymi licznymi kumplami zaczęli brylować na salonach. Poseł odwiedzał nie tylko zagraniczne ambasady i przyjmował przedstawicieli międzynarodowych korporacji oraz banków. Flotylla helikopterów wozila jego i jego świtę z jednego miejsca w Polsce do drugiego. Przemawiał, obiecywał, nakłaniał, schlebiał... Ba, pewnego razu przebrał się nawet w kucharski kitel i założył ogromną białą czapę, by z wielkiego kotła własnoręcznie nalewać zupę głodującym biedakom! Był tak inny od wszystkich tych, którzy do tej pory z wysokości urzędów zarządzili Przenajświętszą, że obywatele uznali go za swojaka.

- Tak gardziliście tym bydłem, a ja teraz na czele tego bydła zdobędę władzę - szydził Lepki, wspominając tragicznie zmarłych towarzyszy.

Świetnie wiedział, że społeczeństwo przypomina stado bawołów. Ospale, nieruchawe, głupie i niemal bezbronne. Lecz jeśli znajdzie się ktoś, kto takie stado potrafi pobudzić do ruchu, to pędząca horda zrówna z ziemią każde miejsce, w które zostanie posłana. I wdepcze w ziemię każdego, nawet najpotężniejszego wroga, stojącego pomiędzy nią a celem, do którego ona biegnie. „Na początek: sto tysięcy dla każdego!”, „Polska drugim Kuwejtem”, „Wolność, równość, bogactwo” oraz „Czas zapłacić za zbrodnie!” - to były hasła, które podziały na otepiałe stado może nie jak rozżarzony pręt przytknięty do zadu, ale na pewno jak solidny strzał z bata.

- Ach, ty mój ojczyźnie - szeptała Sonia, masując Lepkiego wielkimi cyckami, i nie wiadomo było, czy zwraca się do samego posła, czy też do jego dumnie wyprężonego kutasa, który teraz nigdy już nie odmawiał posłuszeństwa swemu właścicielowi.



Amalryk Dymała siedział spokojnie, bojąc się nawet ruszyć, by czegoś przypadkiem nie zmienić w ustalonym przez Onufrego Faję kursie łodzi. Wiedział, że ten rejs poprzez śmierdzące labirynty musi trochę potrwać, bo przecież Warszawę od Suwałk dzieliła spora odległość. Z pięćset kilosów jak obszył, pomyślał. W pewnym momencie ukołysany miarowym pomrukiem silnika przyłożył się na chwilę, a kiedy się obudził, silnik już nie pracował. Łódź kołysała się tuż przy brzegu, na małym jeziorze, którego powierzchnia pokryta była zieloną breją glonów. Szare światło poranka tliło się gdzieś za chmurami burzowego nieba.

- O zesz ty kurwa jego mać! - ucieszył się Dymała, bo wreszcie dotarło do niego, że jest prawdziwie wolny.

Ostrożnie wylazł z łodzi (gęste błocko wciągnęło mu nogi aż po kolana, a potem wypuszczało je niechętnie i z głośnym bulgotem) i przeciągnął ją na sam brzeg. Później rozejrzał się wokół. Nie miał pojęcia, gdzie dokładnie może być, gdyż jak okiem sięgnąć widział tylko szarobury las pełen bezlistnych, uschniętych drzew.

- I co teraz? - Podrapał się po brodzie.

Przysiadł na zeschniętym pniu drzewa i poczuł, że jest głodny. Rozejrzał się wokół bez szczególnej nadziei we wzroku, bo i co można znaleźć do jedzenia w wymarłym, pustym lesie. Westchnął.

- Mam cztery możliwości do wyboru - powiedział na głos. - Mogę iść na południe, na północ, na wschód i na zachód.

Wtedy doszedł go na razie odległy jeszcze warkot motoru. Poderwał się na równe nogi i wpatrzony w szare niebo śledził, skąd może dochodzić ten odgłos. Wreszcie zobaczył. Śmigłowiec na początku przypominał krążącą bez celu ważkę, ale niedługo obniżył lot i skierował się prosto w stronę brzegu jeziora.

- Tuuuuu! - zakrzyczał Amalryk, unosząc ramiona i skacząc tak, jakby chciał doskoczyć do kabiny.

Nie miał pojęcia, któż może być w śmigłowcu, lecz nie widział oznakowań policyjnych ani wojskowych, więc postanowił zaryzykować. Maszyna wylądowała kilkadziesiąt metrów od niego, uchyliły się drzwi, a Dymała zobaczył wychylających się na zewnątrz biskupa Bellagrande oraz Lilianę.

- Jesteście - wyjąkał tylko i nie wiedział, co powiedzieć dalej, gdyż kłamstwa Pana Kota zachwiały jego świeżo narodzoną wiarą w ludzi.

Liliana, tym razem ubrana w mundurową kurtkę koloru khaki, rzuciła mu się na szyję.

- Pewnie, że jesteśmy - wykrzyknęła. - Jak sobie wyobrażałeś inaczej? Nasz biskup poruszył niebo i ziemię, żeby cię wydostać. Ależ ty cuchniesz - dodała, ale nie odstała nawet na krok, tylko zmarszczyła nos.

- Dziękuję, profesorze. - Dymała szczerze i żarliwie potrząsnął dłonią Asteriksa Bellagrande.

- Wsiadaj, chłopcze - rozkazał biskup. - Lecimy do Königsberga, a potem mamy samolot do Rzymu.

- A z Rzymu następny - dodała Liliana.

- Dokąd? - zapytał Amalryk, gramoląc się do kabiny śmigłowca. Drugi pilot podał mu rękę.

- Do Pernambuco - wyjaśnił Bellagrande. - Chciałeś przecież zobaczyć Pernambuco, prawda?

- O mój Boże... - Dymała przytulił Lilianę i pocałował ją w ciepły policzek.

- A nawiasem mówiąc, widzisz, mój chłopcze, zaszły pewne perturbacje. Nie mam pojęcia, jak to się mogło stać. - Biskup rozłożył dłonie, by gestem pokazać, jak bardzo sytuacja przerosła jego zdolności pojmowania. - Ale się stało. Otóż, aby fundacja kardynała Caraveggia otrzymała fundusze, które zechciałeś jej przekazać, nieodzowne stanie się dokonanie jeszcze pewnych drobnych formalności z twojej strony, które, mam nadzieję, z pożytkiem dla nas wszystkich załatwimy w Königsbergu.

- Ach tak - powiedział Amalryk i zamyślił się.

- Rzecz jasna, tak czy inaczej przylecielibyśmy po ciebie - rzekł biskup. - Nie wyobrażasz sobie chyba, iż mogłoby być inaczej?

- Nie, nie wyobrażam sobie - odparł Dymała i przeciągnął się lekko. - Jasna cholera, kości mnie bolą po tych kanałach. Wiesz co, biskupie? - Uśmiechnął się. - Przejdź z łaski swojej na fotel między pilotów, a ja się trochę położę...

Bellagrande zerknął na przód śmigłowca, gdzie pomiędzy pilotami było tylko tyle miejsca, by wcisnąć dużą torbę, zagryzł usta i uśmiechnął się z przymusem.

- Jasne, mój chł... - dostrzegł wzrok Dymały i urwał. - Jasne, Amalryku - poprawił się. - Odpocznij sobie. Należy ci się.

Amalryk Dymała spojrział w niebo. Nie było widać ani słońca, ani księżycy, ani gwiazd. Ot, smutna powłoka w różnych odcieniach szarości, otulająca równie smutny świat. Ale nad tymi chmurami coś na pewno było. Coś odległego i znajomego, coś pożądanego i zapomnianego, coś, w czym można się było zakochać i co można było nienawidzić.

Westchnął i zerknął na biskupa Bellagrande siedzącego pomiędzy dwoma pilotami. Uśmiechnął się do jego ściśniętych obojczyków i pomyślał, że świat się zmienia. Na lepsze. Potem przeniósł wzrok na Lilianę, przytulił ją mocniej.

- To będzie dobre życie - zawyrokował. - To, które nadchodzi...

Pisarz Konrad Piotr ocknął się i otworzył oczy przygotowany na ból kaca. Zdumiony zorientował się, że nie tylko nie ma kaca, ale czuje wręcz niezwykłą świeżość umysłu. Spojrzał wokół i zobaczył, że znajduje się na cudownie złotej plaży, a bryza wiejąca znad szmaragdowoseledynowego morza chłodzi jego nagie, opalone ciało. No, nie do końca nagie, gdyż miał na sobie wąskie, wściekle żółte kąpielówki. Jednak nie mógł na razie zastanawiać się nad tym, gdzie jest, gdyż za bardzo pochłonęła go myśl o tym, kim jest. Z całą pewnością nie był Konradem Piotrem, którego pamiętał z lustra. Silne bicepsy, wyrzeźbiona klatka piersiowa, mocno wybijające się mięśnie na płaskim jak deska brzuchu.

- Mój Boże... - mruknął sam do siebie.

- Witaj na wyspie - usłyszał głos za sobą i zobaczył starca w kapitańskiej czapeczce i w niebieskim mundurze ze złotymi epoletami.

- Słucham? - Pisarz Konrad Piotr podniósł się z nadmuchiwanego leżaka.

- Witaj na wyspie - powtórzył starzec. - Jestem kapitanem tej łajby. - Machnął dłonią, a pisarz dostrzegł wtedy mały jacht cumujący przy molo. Mógłby przysiąc, że ani jachtu, ani mola jeszcze przed chwilą nie było. Kilkadziesiąt metrów od łodzi dostrzegł skaczące nad falami delfiny.

- Podać ci drinka, przystojniaku? - usłyszał dziewczęcy głos i odwrócił się gwałtownie.

Obok kapitana stały trzy dziewczyny ubrane jedynie w girlandy z kwiatów. Pierwsza miała jasną twarz okoloną rudymi włosami i śmieszne piegi na nosie, druga skórę w kolorze kawy z mlekiem, a trzecia przypominała figurkę z żółtej porcelany. Wszystkie były piękne i uśmiechnięte, a kształty ich ciał zapierały dech w piersiach.

- Mój Boże - powtórzył pisarz Konrad Piotr, bo oto zdał sobie sprawę, że znajduje się w miejscu, o którym zawsze śnił. W miejscu pozostającym jedynie w marzeniach, których nigdy nie było czasu zrealizować.

- Pinacolada? - zaproponowała rudowłosa.

- Banana daiquiri? - uśmiechnęła się druga.

- A może strawberry fields? - poddała Chinka.

- Być może wszystkie trzy naraz - odpowiedział Konrad Piotr pogodnie i dwuznacznie.

- Proszę, proszę. - Rudowłosa roześmiała się z dobrotliwą ironią. - Oto gość o olbrzymim pragnieniu. No cóż. - Wstrząsnęła głową, a jej włosy otuliły przez chwilę twarz jak połyskliwa miedziana mgiełka. - Postaramy się je zaspokoić.

Starzec spojrzał pobłaźliwie na pisarza Konrada Piotra i otaczające go dziewczęta.

- Jak ci się to wszystko znudzi, wpadnij do mnie - powiedział. - A może wtedy popłyniemy dalej. Kiedy już będziesz gotów...

- Aye, aye, kapitanie - mruknął Konrad Piotr. - Wpadnę na pewno. Ile mam czasu?

- Ile sobie tylko życzysz. - Starzec uśmiechnął się pogodnie i pomachał mu dłonią. - Miłej zabawy - dodał.

- Poczekaj. - Konrad Piotr zrobił kilka kroków w stronę odchodzącego. - Kim właściwie jesteś?

- Kim jestem? - Stary wzruszył ramionami, a pisarz Konrad Piotr dopiero teraz zobaczył, że jego rozmówca ma długie siwe bokobrody. - Przecież mówiłem ci, że jestem kapitanem - odparł.

- A co tu robisz?

- Kiedy nie pływam? Maluję - westchnął. - Chociaż nie mam zbyt wielkiego talentu... Chcesz zobaczyć?

- Pewnie - odpowiedział ostrożnym tonem pisarz Konrad Piotr.

Obrócił się w lewo i na skraju plaży zobaczył ogromne sztalugi. Rozpięte na nich płótno zwrócone było obrazem w stronę palmowych drzew, więc nie był w stanie zobaczyć, nad czym pracuje kapitan. Poszedł w tamtą stronę, a jego palce grzęzły w sypkim, miękkim i ciepłym piasku. Spojrzał na obraz i zobaczył, że przedstawia on ślady stóp. Ślady stóp dwóch ludzi, które czasami zamieniały się w ślady stóp jednego tylko człowieka. Wiodły one przez wyschnięte lasy, granitowe skały godzące w niebo ostrymi jak szczyty szczytami, bagniste jeziora pokryte kożuchem

brudnozielonej rzęsy (dziwne, ale na tej rzęsie ślady również się odbijały). Ślady stóp zatopione były nawet w miękkim asfalcie na szosie pełnej wyrzuconych z samochodów puszek, plastikowych butelek i papierzysk. Prowadziły przez zasy ciemnego od zanieczyszczeń śniegu i przez brudny piach.

- Czyje to ślady? - spytał pisarz Konrad Piotr.

- Twoje - odparł kapitan. - Malowałem właśnie twoje życie, kiedy się pojawiłeś.

- A te drugie?

- Och, to moje. - Machnął dłonią. - Szedłem zawsze koło ciebie, ale byłeś za bardzo zajęty, żeby zwracać na mnie uwagę. Toteż starałem ci się nie narzucać.

Pisarz Konrad Piotr przyjrzał się uważnie niezwyklemu obrazowi. Zobaczył, że w momencie, kiedy droga prowadziła przez najbardziej obrzydliwe i najgroźniej wyglądające miejsca, widać było tylko jeden rząd stóp.

- Kiedy było najgorzej - powiedział po chwili z namysłem i przybrał oskarżycielski ton - wtedy szedłem sam. - Wskazał wyciągniętym palcem.

- Och, nie - mruknął kapitan. - Wtedy to ja cię niosłem.

Konrad Piotr pochylił się i zobaczył, że na ziemi obok śladów stóp widać rude plamki.

- To krew? - spytał. - Tak, krew - odpowiedział sam sobie.

- No cóż, byłeś dość ciężkim brzemieniem - westchnął starzec. - Ale nie mówmy o tym - zbagatelizował sprawę. - W końcu teraz jesteś na wakacjach.

Pisarz Konrad Piotr spojrział w stronę brzegu, gdzie trzy dziewczęta figlowały w płytkim morzu, obryzgując się fontannami wody.

- Chodź do nas! - zawołała rudowłosa. Konrad Piotr obrócił się w stronę starca.

- Nie chciałbym chyba za szybko stąd odpływać - powiedział niemal proszącym tonem. - Chciałbym tylko, jeśli można, zapomnieć. O tym wszystkim, co zobaczyłem i usłyszałem w Rosji.

- Jasne. - Starzec pstryknął palcami. - Już nie pamiętasz.

- O czym? - zapytał Konrad Piotr, mając wrażenie, że umknął mu fragment rozmowy.

- Nieważne. - Kapitan potarł bulwiasty, ogorzały od słońca nos. - Możesz tu spędzić tyle czasu, ile tylko chcesz, a jeśli znajdziesz chwilę, wpadnij do mnie na piwo. Świetnie otwieram kapsle zębami - dodał z uśmiechem.

- Fajnie. - Pisarz poczuł, że kamień spadł mu z serca. Chciał zostać na tej plaży, ale nie zamierzał być niegrzeczny. - Będziesz malował dalej?

- Po co? - Starzec wzruszył ramionami. - Ten obraz już przecież skończyłem. Nie wiedziałeś?

- Wiedziałem. - Pisarz Konrad Piotr skinął mu głową i poszedł w stronę brzegu, gdzie trzy dziewczęta leżały na złotym piasku, a krople wody na ich skórze parowały w olśniewającym słońcu.

Mini wywiad z Jackiem Piekara

Piszesz o Matce Boskiej tymi słowami: „Ona bawi się naszym nieszczęściem. Znajduje satysfakcję w przypatrywaniu się udręce tych, którzy w nią wierzą i proszą ją o wsparcie”. Ukazujesz homoseksualne marzenia jednego z bohaterów. Dodajmy - marzenia o ciele Chrystusa. Zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo się narażasz?

Moi bohaterowie mają prawo do własnych myśli, tak jak ja mam prawo z tymi myślami się nie zgadzać. Czy na przykład dokumentalista opisujący psychopatycznego mordercę ma być oskarżany o to, że zbrodnie tego człowieka mu się podobają albo że podziela jego wizję świata? W „Przenajświętszej Rzeczpospolitej” występują zarówno postacie, którym współczuję jak i takie którymi pogardzam. To jest powieść, którą należy wyjątkowo uważnie czytać. A wyrywanie cytatów z kontekstu nie jest sposobem na merytoryczną dyskusję.

Czy naprawdę sądzisz, że Polsce za lat kilkanaście lub kilkadziesiąt zagraża właśnie katolicki fanatyzm?

Przede wszystkim uważam, że Polakom zagraża zbydlęcenie. Utrata godności oraz ideałów. A czy to zbydlęcenie odbędzie się pod sztandarem czerwonym, czy pod sztandarem biało-żółtym, czy pod sztandarem świni przy korycie - to już jest kwestia drugorzędna. Czy dzisiaj bardziej złowrogim macherem od „prania mózgów” jest, podaję te nazwiska jako ilustrację pewnych przykładów, Michnik, czy Rydzyk - to też kwestia drugorzędna. Ważne jest samo pranie oraz to, że duża część Polaków nie potrafi się przed nim obronić.

Twoi bohaterowie często posługują się językiem nawet nie potocznym, ale po prostu wulgarnym. Słowa na „k”, „ch” i „p” wręcz tłoczą się na stronach.

To proponuję pojechać pociągiem z kibicami piłkarskimi albo pójść pod budkę z piwem i posłuchać, czy obecni tam dżentelmeni rozprawiają o Wielkiej Sztuce za pomocą trzynastozgłoskowca Mickiewicza. Z kolei odwiedziny w godzinach późnowieczornych w hotelu sejmowym lub sejmowej knajpie dadzą stosowny obraz tego, jakiego języka używają tzw. „elity”. Kiedy piszesz o szambo-nurkach, musisz używać gównianego języka. Bo inaczej nikt ci nie uwierzy.

A epatowanie seksem? Brutalne sceny przekraczające już granice pornografii?

Romantyczna to jest miłość, seks jest zawsze pornograficzny. Zgadzam się, że u mnie jest to taka wyjątkowo „brudna” pornografia, ale trudno wymagać od podłych ludzi, aby pięknie się kochali.

Do tej pory charakterystyczne dla literatury „kontrowersyjnej” było to, że znajdowała swych promotorów. Mówiąc w skrócie: autor przypuszczał bezpardonowy atak na jedno środowisko polityczno-społeczne, aby znaleźć poklask u środowiska przeciwnego. Ty szydzisz, drwisz i obrażasz wszystkich: katolików i postępowców, narodowców i zwolenników Unii Europejskiej...

Myślę, że duża część Polaków jest już znużona przepychankami wszelkiego rodzaju hołoty, która dostała się do żłobów, niezależnie od tego, jakie barwy polityczne ta hołota reprezentuje. „Przenajświętsza Rzeczpospolita” jest tak naprawdę książką o upadku obyczajów, ideałów, godności, o braku miłości, szacunku i przyjaźni. Ale również o tym, że w ekstremalnych sytuacjach nawet kanalia może zostać bohaterem. Bo to nie jest powieść, która pokazuje, że nie ma już żadnej nadziei. Nadzieja jest, tylko trzeba sobie na nią zapracować.